

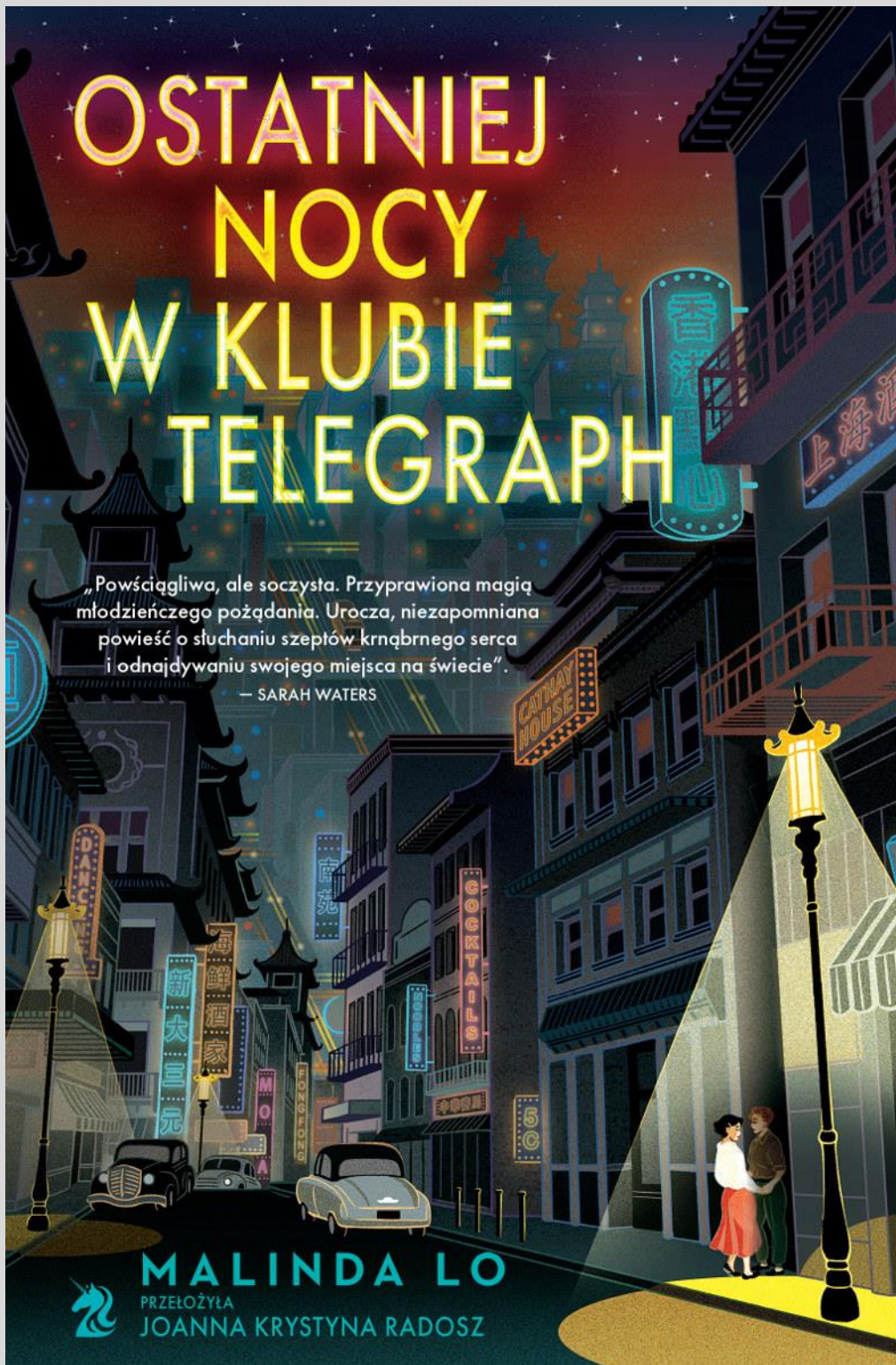
OSTATNIEJ NOCY W KLUBIE TELEGRAPH

„Powściągliwa, ale soczysta. Przyprawiona magią
młodzieńczego pożądania. Urocza, niezapomniana
powieść o słuchaniu szeptów krnąbrnego serca
i odnajdywaniu swojego miejsca na świecie”.

— SARAH WATERS

MALINDA LO

PRZEŁOŻYŁA
JOANNA KRYSZYNA RADOSZ



**OSTATNIEJ
NOCY
W KLUBIE
TELEGRAPH**

Tytuł oryginału: *Last Night at the Telegraph Club*

Copyright © 2021 by Malinda Lo

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Copyright © for the Polish translation by Joanna Krystyna Radosz, 2022

Redaktor prowadzący: Łukasz Chmara

Marketing i promocja: Anna Fiałkowska, Aleksandra Kotlewska, Oliwia Żyłka

Redakcja: Patryk Biańczak

Korekta: Robert Narloch, Sandra Popławska

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Ilustracja na okładce: © Feifei Ruan

Projekt graficzny okładki: Kristin Boyle

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Wojciech Bryda

Pytania do dyskusji: © Erica Gillingham

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67461-29-0

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@wenedya.pl

marketing@wenedya.pl

www.wenedya.pl

Dla wszystkich butches i femmes,

które były, które są i które będą.

- 1950 — senator Joseph McCarthy ogłasza listę domniemyanych komunistów pracujących w Departamencie Stanu
- rozpoczyna się wojna koreańska
- Judy Hu wychodzi za Francisa Fonga
- 4 lipca 1950 — **Lily uczestniczy w trzecim dorocznym pikniku Stowarzyszenia Chińskich Obywateli Amerykańskich z okazji Dnia Niepodległości oraz w konkursie Miss Chinatown**
- 1951 — doktor Hsue-shen Tsien trafia do aresztu domowego w związku z podejrzeniami o przynależność do komunistów i sympatyzowanie z Chińską Republiką Ludową
- Judy zabiera Lily do parku rozrywki Playland
- Kalifornijski Sąd Najwyższy wydaje wyrok w sprawie Stoumen przeciw Reilly, w którym stwierdza, że osoby homoseksualne mają prawo do publicznych zgromadzeń, na przykład w barach

Prolog

Uczestniczki konkursu piękności Miss Chinatown zgromadziły się właśnie za parawanem przy scenie. Nie było ich tam jeszcze, gdy Lily Hu mijiała to miejsce piętnaście minut wcześniej w drodze do toalety. Ich nagłe pojawienie się wywołało w niej lekkie zmieszanie.

Lily miała trzynaście lat. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek wcześniej widziała taką grupę dziewcząt chińskiego pochodzenia: ubranych w stroje kąpielowe, na wysokich obcasach, z wymyślnymi fryzurami i perfekcyjnymi makijażami. Wyglądały tak amerykańsko.

Dziewczyna zwolniła. Konkurs piękności miał się wkrótce rozpocząć, a gdyby dłużej zabawiła w tym miejscu, mogłaby przegapić początek imprezy. Powinna wrócić na koc, gdzie na trawniku przed sceną piknikowała jej rodzina, a mimo to się ociągała, starając się jednak nie patrzeć zbyt natarczywie na scenę.

Dziewcząt było dwanaście, a ich stroje kąpielowe miały kolory czerni i bieli, morskiej albo leśnej zieleni, bywały jedno- lub dwuczęściowe. Obnażone ramiona i nogi modelek łąpały promienie upalnego południowego słońca, a ich lśniące czarne włosy połyskiwały upięte lub poskręcane w sprężynki. Na ustach modelki nosiły jaskrawą czerwień szminki, a na paznokciach szkarłat lakieru. Skórę miały gładką i opaloną. Każda z nich na swój sposób uosabiała wzór idealnej kobiety.

Obcasy wysokich szpilek zapadały im się w trawę. Co chwilę któraś podnosiła nogę, upewniając się, czy but nie utknął jej w mokrym gruncie, przez co przypominały smukłonogiego żrebaka z *Bambiego*, który uczy się stawiać pierwsze kroki. Uczestniczka konkursu w dwuczęściowym czarnym kostiumie miała wyjątkowo wysokie obcasy, a kiedy zmieniała pozycję, prawy but utknął jej w ziemi. Zaczęła się z nim szarpać, a wtedy wysunął się z niego fragment stopy, ukazując wszystkim brzydki czerwony ślad w miejscu, w którym obuwie obtarło jej ścięgno Achillesa. Dziewczyna zmarszczyła brwi, próbując palcami u nóg wydobyć but, ale tym razem wymknęła się z niego cała stopa. Okrągła różowa pięta. Dyskretny łuk stopy. Przebierające w powietrzu palce. Lily musiała odwrócić wzrok, zupełnie jakby przyglądała się kobiecie zdejmującej publicznie sukienkę.

Rozległ się pisk mikrofonu, po którym jakiś mężczyzna mówiący po angielsku oznajmił:

– Witamy na trzecim dorocznym pikniku Stowarzyszenia Chińskich Obywateli Amerykańskich oraz na konkursie Miss Chinatown, zorganizowanych z okazji corocznego Dnia Niepodległości!

Rozbrzmiały oklaski i zachęcające okrzyki wydawane przez zgromadzoną na trawie publiczność. Starsza kobieta z kartkami ułożonymi na podkładce poczęła zbierać dziewczęta w szeregu za ekranem, szykując je do wejścia po schodkach na scenę. Wtedy Lily się odwróciła i pospiesznie ruszyła w stronę trawnika.

Zauważyła swoją rodzinę gdzieś pośrodku tłumu, skupioną na starym i podniszczonym wojskowym kocu z nazwiskiem jej ojca – kapitana Josepha Hu – wypisanym białą farbą. Otaczały ją inne rodziny, wszystkie rozleniwione pod bezchmurnym błękitnym niebem, każda zwrócona w stronę sceny ustawionej przed lożą jurorów.

Lily zauważyła matkę, gdy ta akurat stała i stawiała do pionu czteroletniego Frankiego. Ojciec, nadal siedzący na kocu, podał jej torebkę, a potem mama wraz z Frankiem poczęli sobie torować drogę na skraj trawnika. Wujek Francis i ciocia Judy, siedzący obok ojca Lily, spoglądali na scenę z różnymi minami. Wuj wydawał się pochłonięty tym widokiem, ale ciocia raczej była sceptycznie nastawiona do tego przedsięwzięcia. Lily nigdzie nie widziała swojego starszego brata, Eddiego. Domyśliła się, że pewnie wciąż się gdzieś bawi z przyjaciółmi.

Na matkę wpadła na ścieżce.

– Idę z Frankiem do łazienki – powiedziała do córki. – Zostało jeszcze trochę smażonego kurczaka.

Kiedy Lily szła trawnikiem, ktoś odpalił fajerwerki. Letnie słońce, gorące i suche, wnikało w jej czarne włosy. Tu, w Los Altos, panowała prawdziwie letnia pogoda – idealna na lody, nie to co w zimnym i mglistym San Francisco. Przez cały dzień Lily pozbywała się kolejnych warstw ubrań, które rano narzuciła na siebie w mieszkaniu w Chinatown, tak że teraz miała na sobie tylko bluzkę z krótkim rękawkiem i bawełnianą spódnicę. Żałowała, że nie założyła sandałów zamiast półbutów ze skarpetami.

Gdy dotarła do rodziny, kucnęła, by zgarnąć ostatni kawałek kurczaka, jaki pozostał w koszyku. Jej przyjaciółka, Shirley Lum, przysiadła ze swoimi bliskimi w pobliżu. Gestem zaprosiła Lily na swój koc.

– Mogę pójść do Shirley? – zapytała Lily, kierując pytanie do ojca. Ten skinął głową. Tymczasem konferansjer zaczął przedstawiać uczestniczki konkursu piękności. Przy akompaniamencie donośnie rozbrzmiewających nazwisk Lily wstała z pałką kurczaka w dłoni.

– Panna Elizabeth Ding!

– Panna May Chinn Eng!

Lily dosiadła się do Shirley na kocu jej rodziny – zrobionym ze starego białego obrusu – i podkurczyła nogi, wygładzając spódnicę na kolanach jak prawdziwa dama.

Shirley nachyliła się do niej, mówiąc:

– Moja ulubiona to ta trzecia, ta w żółtym dwuczęściowym kostiumie.

– Panna Violet Toy!

– Panna Naomi Woo!

Lily odgryzła kawałek kurczaka. Jego skórka wciąż była chrupiąca, a wewnątrz soczyste i słone. Ułożyła pod nim dłoń, tak by uchwycić spadające okruszki. W międzyczasie dziewczęta na scenie kroczyły jedna za drugą na szpilkach, kołysząc biodrami w przód i w tył. Od strony publiczności dobiegło kilka gwizdów, a potem śmiech.

– Myślę, że dziewczyna w czarnym trochę za bardzo gwiazdorzy – oceniła Shirley.

– Co masz na myśli? – zapytała Lily.

– Tylko spójrz na nią! Zachowuje się jak jakaś gwiazda filmowa czy coś w tym stylu. Jak ona w ogóle stoi!

– Przecież wszystkie tak stoją.

– Ale ona stoi raczej tak, jakby myślała, że taki z niej ideał.

Lily nie widziała, by dziewczyna w czerni wyglądała choć trochę inaczej od reszty. Pamiętała jednak widok jej obnażonej, uniesionej stopy i czuła zażenowanie w imieniu uczestniczki. Wszystkie dziewczyny na scenie się uśmiechały, trzymały dłonie na biodrach i ściągały łopatki. Konferansjer wyjaśnił, że muszą jeszcze raz przejść się dookoła sceny, by jurorzy mogli ocenić ich twarze oraz sylwetki. Publiczność znowu zaklaskała.

Jury zasiadało przy stole postawionym na trawie tuż przed sceną. Lily nie widziała, kto wchodził w jego skład, ale zdążyła się o nim nasłuchać. Dwoje spośród osób jurorskich należało do władz Chinatown: jedna była mężczyzną – prominentnym białym biznesmenem, a druga kobietą – Królową Narcyzów z hawajskiego Honolulu. Wcześniej Lily widziała, jak robi sobie zdjęcia z fanami; nosiła piękną sukienkę w kwiecisty wzór, a we włosy wpięła sobie duży różowy kwiat.

– Patrz. Teraz idzie moja! – odezwała się Shirley.

Dziewczyna w żółtym dwuczęściowym kostiumie była wyższa od reszty, a jej kształty bardziej zaokrąglone niż u pozostałych rywalek. Miała falujące czarne włosy, które z tyłu utrzymywały grzebienie, uwydatniając lśniące kolczyki łezki. Gdy wyszła na przód sceny, gwizdy poczęły narastać. Kiedy zaś dotarła na jej drugą stronę, przystanęła na chwilę, ugięła kolano i spojrzała kokieteryjnie przez ramię. Publicznością wstrząsnęła fala braw, do których entuzjastycznie przyłączyła się również Shirley.

Lily, wciąż z na wpół zjedzonym kurczakiem w dłoni, niespokojnie odwróciła wzrok od sceny. Nie rozumiała tego ucisku w brzuchu, jakby uważała, że nikt nie powinien jej przyłapać na patrzeniu na te dziewczęta. Nieopodal spostrzegła grupkę starszych mężczyzn z Chinatown, którzy jak gdyby nigdy nic siedzieli i palili papierosy, lustrując uczestniczki konkursu spojrzeniami. Jeden z nich uśmiechnął się do innego, a w jego minie można było dostrzec coś odrażającego. Lewą ręką wykonał dziwny gest, jakby coś ścisnął, a drugi mężczyzna zachichotał. Lily opuściła wzrok na kurczaka. Jego kość nasuwała skojarzenia ze ścięgnem Achillesa dziewczyny w czerni, poczerwieniałym od twardej krawędzi buta.

– Chodźmy na scenę – rzuciła konspiracyjnym tonem Shirley. Wzięła Lily za rękę i pociągnęła ją przez trawnik.

– Nie powinnyśmy...

– Nie chcesz się przekonać, jak to jest?

Brzmiało to niebezpiecznie i buntowniczo – ale tylko trochę. Popołudniowe słońce zdawało się teraz złote i ciężkie. Impreza dobiegała końca, a widzowie zbierali rzeczy, szykując się do powrotu do domu.

– Dobra – zgodziła się Lily. W odpowiedzi Shirley pi-snęła.

Ostatnich kilka metrów właściwie przebiegły, a gdy znalazły się u stóp schodków, Shirley gwałtownie przystanęła, przez co Lily wpadła na jej plecy.

– Pomyśl tylko – odezwała się rozmarzona przyjaciółka – jakie to musi być uczucie, zostać Miss Chinatown!

Kiedy jury ogłosiło werdykt, pojawiło się wokół tego sporo kontrowersji. Lily usłyszała kilka gwizdów pośród aplauzu, a twarz zwyciężczyni spąsowiła zarówno z dumy, jak i konsternacji. Jakiś mężczyzna krzyknął po angielsku w kierunku sceny:

– Ona wygląda jak laska pin-up, a nie chińska dziewczyna!

Lily spojrzała na niego ukradkiem. Siedział w pobliżu mężczyzny od dziwnego gestu, a ten pochylił się ku niemu i poklepał go po ramieniu. Zaczęli z ożywieniem dyskutować i choć Lily

nie całkiem rozumiała ich konwersację – mówili po tajszańsku[1] – wyłapała słowa oznaczające piękno i kobietę.

– Lily, idziesz czy nie?

Shirley weszła już na scenę. Do Lily dotarło, że odstaje od przyjaciółki. Oparła dłoń na poręczy – ta się zachwiała – i szybko wbiegła po schodach. Ze sceny zniknął już mikrofon i statyw, przez co wydawała się ona niemal całkiem pusta. Shirley wyszła na środek krokiem przypominającym chód uczestniczek konkursu, jak gdyby odgrywała rolę królowej piękności.

Lily się zawahała, patrząc, jak przyjaciółka odwraca się do rozległego, pustoszejącego trawnika. Ktoś zagwizdał, a Shirley, zarumieniona z radości, dygnęła.

– Następny raz będzie twój! – rozległ się czyjś głos.

Shirley zachichotała, po czym zerknęła przez ramię na Lily.

– No, chodź! Chodź zobaczyć widok!

Ta dołączyła do niej na scenie w chwili, gdy gdzieś daleko fajerwerki rozdarły powietrze. Popołudniowe słońce znajdowało się za ich plecami, przez co rzucały cienie na podest. Gdy Shirley uniosła rękę i pomachała na królewską modłę, Lily spostrzegła, jak cień przyjaciółki wyciąga się i pada na trawę. Ziemia była naznaczona pustymi szklanymi butelkami i zgniecionymi papierowymi torebkami, a sama trawa została ugnieciona, tworząc nieregularne wspomnienie koców i ciał.

– Lily!

Głos dobiegł ją z lewej, zza sceny. Zrobiła krok w tył, by się rozejrzeć, dzięki czemu zobaczyła ciotkę Judy nadchodzącą od strony parkingu i machającą do niej.

– Musimy się zbierać! – zawołała ciotka.

Lily odmachała jej i złapała Shirley za ramię.

– Czas na nas.

– Jeszcze chwilę – odparła przyjaciółka.

Lily podeszła do schodów, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Shirley wciąż stoi na skraju sceny i patrzy na trawnik. Promienie słoneczne otaczały tył jej głowy niczym korona, skrywając w cieniu twarz dziewczyny. Nos i usta wciąż miała słodkie, dziewczęce, lecz na jej klatce piersiowej zaczęła się już pojawiać skromna wypukłość. Sukienka była z kolei ściągnięta w tali, uwidaczniając lekką krągłość bioder. Lily zaczęła się zastanawiać, czy właśnie tak powinna wyglądać chińska dziewczyna.

[1] Nazwa języka pochodzi od miasta Taishan (Nowe Tajpej) i nie jest notowana w polskich słownikach (przyp. red.).

CZEŚĆ I

I Can Dream, Can't I?[2]

Sierpień–wrzesień 1954

[2] Anglojęzyczne tytuły wszystkich części książki są jednocześnie tytułami piosenek popularnych w czasach, w których rozgrywa się akcja powieści (przyp. red.).

– Ta kobieta jest taka piękna! – stwierdziła Shirley, szturchając Lily, by też popatrzyła. Dwie białe dziewczyny siedziały po drugiej stronie restauracji, przy stoliku we wnętrzu. – Ciekawe, czy idzie na jakiś występ.

Był piątkowy wieczór, sam środek kolacyjnego rozgardiaszu. Restauracja Eastern Pearl była niemal pełna, ale Lily od razu rozpoznała, o kim mówi Shirley. Lampiony z czerwonego papieru zwisające z sufitu rzucały ciepły blask na blond włosy kobiety. Były upięte w kok i przymocowane czymś błyszczącym, pasującym do kolczyków łezek w uszach. Miała na sobie granatową suknię bez rękawów, z okrągłym dekoltem uwydatniającym jej kremową skórę, kolorem dopasowaną do bolero, które przewiesiła przez oparcie krzesła. Jej towarzyszka wyglądała o wiele mniej olśniewająco. Była ubrana w spodnie z szarej flaneli i bluzkę z kołnierzykiem. Całości dopełniały krótko i modnie ścięte włosy, przez które wyglądała niemal męsko. To zwróciło uwagę Lily. Z jej postawy emanowało coś subtelnie chłopięcego. Dziewczyna nie umiała tego wyjaśnić, ale coś w tej kobiecie wydało jej się intrygujące.

Lily zdała sobie sprawę, że wgapia się w nieznaną, więc szybko skupiła uwagę na spoczywającym przed nią niechlujnym stosie serwetek. Za jej plecami Shirley pospieszenie przedzierała się palcami przez swój stosik, robiąc z kolejnych serwetek łabędzie. Lily od dzieciństwa spędzała z Shirley niezliczone godziny w restauracji – w razie potrzeby często pomagała w niej przy różnych pomniejszych zadaniach. Niedługo miały rozpocząć ostatni rok szkoły, a ona nadal nie umiała zrobić z serwetki porządnego łabędzia. Odłożyła tego ptaka, którego właśnie próbowała złożyć, i zaczęła od nowa.

W weekendowe wieczory Eastern Pearl przyciągała raczej turystów aniżeli lokalną chińską społeczność. Shirley twierdziła, że to dzięki jednej z firm turystycznych, która sprowadzała ludzi do Chinatown i polecała ten lokal. Dzięki temu restauracja miała świetne obroty. Lily wciąż zastanawiała się nad tym, czy kobiety we wnętrzu są turystkami, więc raz jeszcze ukradkiem na nie spojrzała.

Blondynka wyjmowała akurat srebrną papierośnicę z torebki, a jej towarzyszka – pudełko zapalek z kieszeni spodni. Pochyliła się ku kobiecie, zapalając zapalkę. Blondynka zasłoniła płomień dłonią, przyciągnąwszy dłoń koleżanki i wstrzymawszy oddech. Potem się odsunęła i podała towarzyszce papierośnicę. Ta wyjęła papierosa i szybko go odpaliła, po czym kciukiem

i palcem wskazującym wyjęła go z ust. Kłęby dymu wzniosły się do rozświetlonego czerwienią sufitu.

– Kiepsko ci wychodzą – oznajmiła Shirley, spoglądając na brzydko poskładane łabędzie Lily. – Ma się to nie spodoba.

– Przepraszam – odparła Lily. – Nie umiem ich robić.

Shirley potrząsnęła głową, ale bez złości.

– Przerobię twoje – obiecała, przesuwając w swoją stronę serwetki Lily.

Dziewczyna siedziała przez chwilę bez ruchu, obserwując, jak jej przyjaciółka poprawia niechlujnego łabędzia. Potem wzięła się za „Chronicle”. Zawsze uwielbiała recenzje filmowe i teatralne, a najchętniej czytała rubryczkę kulturalną ze zdjęciami kobiet w futrach i diamentach. Zaczęła się zastanawiać, czy blondynka kiedykolwiek trafiła do jakiegoś czasopisma.

– Może to dziedziczka – powiedziała Shirley. – Ta biała kobieta, o tam.

Shirley rzuciła przelotne spojrzenie na drugą stronę restauracji.

– Dziedziczka kopalni złota?

– Tak. Jej ojciec niedawno zmarł, zostawiając córce cały majątek w spadku...

– Ale potem odkryła, że ma przyrodniego brata...

– ...który toczy z nią walkę o spadek...

– ...więc wynajmuje prywatnego detektywa, który go uwiedzie!

Lily spojrzała na Shirley z zaskoczeniem.

– Że co?

– A jak myślisz, kim jest ta druga kobieta? Wygląda jak prywatna detektywka. Tylko taka osoba mogłaby w ten sposób wyglądać. Pewnie jest pod przykrywką.

Lily to wyraźnie rozbawiło.

– Pod jaką przykrywką?

– Ach, któż to wie!

Bawiły się w to od dzieciństwa: wymyślały historie o nieznanym, których spotykały w restauracji, ale Shirley z reguły traciła zainteresowanie tą formą rozrywki wcześniej niż Lily.

– Widziałas, gdzie moi rodzice umieścili najnowszą reklamę? – zapytała Shirley, ustawiając ostatniego serwetkowego łabędzia obok pozostałych, przez co tworzyły małą, zabawną armię.

– Nie.

– Jest o tu... Widziałam ją wcześniej. Patrz dalej. Na tej samej stronie co recenzja klubu nocnego.

Lily posłusznie kartkowała stronicę „Chronicle” aż do działu *Po zmroku*, który zajmował pół strony. Drugą połowę zapełniały reklamy restauracji i klubów nocnych. Skanowała je wzrokiem, szukając wzmianki o Eastern Pearl.

„Spotkajmy się u Juliana w Xochimilco: najlepsza meksykańska kuchnia. Chińskie programy rozrywkowe – niesamowity trzydaniowy obiad, chiński albo amerykański – Forbidden City”. Ilustracja przedstawiająca cztery twarze – matki, ojca, syna i córki ze wstążką we włosach – zachęcała do tego, by odwiedzić „Dobrą strawę! Dobre życie znaczy dobry obiad u Granta”.

– Jest tu – powiedziała Shirley, wskazując na reklamę u dołu strony. Skromny czarny prostokąt z pogrubionym białym napisem głosił: „Poczuj najdoskonalszą kuchnię orientálną w Eastern Pearl. Najlepsza w Chinatown”.

Wzrok Lily zatrzymał się jednak na kwadratowej ramce tuż nad reklamą Eastern Pearl. Tekst wewnątrz niej głosił: „Tommy Andrews, kobieta w męskim przebraniu – światowa premiera! Telegraph Club, Broadway 462”. Ramka była dość duża i zawierała także zdjęcie osoby wyglądającej na przystojnego mężczyznę w smokingu, z zaczesanymi włosami. Coś w Lily zamarło, jakby jej serce potrzebowało chwili przerwy, nim na nowo zacznie bić.

– Nie jest specjalnie duża, ale Pa mówi, że ludzie ją zauważą – oznajmiła Shirley. – Co o tym sądzisz?

– Och, tego... tego no... na pewno ją zauważą – odparła Lily.

– Ludzie zazwyczaj czytają tę stronę, prawda? Chcą wiedzieć, jakie gwiazdy zjadą do miasta.

– Masz rację. Jestem pewna, że ludzie ją dostrzegą.

Shirley, usatysfakcjonowana odpowiedzią, skinęła głową, a Lily musiała się zmusić do oderwania wzroku od fotografii Tommy Andrews. Po drugiej stronie restauracji dwie kobiety regulowały właśnie rachunek. Ta w niebieskiej sukience wyjęła portfel z torebki, a ta z krótkimi włosami niespodziewanie wyciągnęła go z kieszeni spodni. Banknoty opadły miękko na stół.

Za ladą otworzyły się wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni. Z jej wnętrza mama Shirley wystawiła głowę i zawołała:

– Shirley, chodź tu na chwilę!

– Tak jest, Ma – odparła dziewczyna, patrząc umęczonym wzrokiem na Lily. – Tylko nie dotykaj serwetek. Skończę, jak wrócę.

Wtem odezwał się dzwonek przymocowany do drzwi wejściowych. Lily zobaczyła, jak obie kobiety wychodzą. Krótkowłosa przytrzymała skrzydło przed przyjaciółką, a potem obie zniknęły. Lily wróciła do wpatrywania się w reklamę Telegraph Club.

Broadway 462 – to musiało być raptem kilka przecznic od Eastern Pearl. Na Broadwayu, na wschód od głównej arterii miasta – Columbus Avenue – znajdowało się sporo klubów nocnych. Rodzice Lily kazali jej wystrzegać się tych okolic; były one przeznaczone dla dorosłych – tak przynajmniej mówili – i turystów. Nie dla grzecznych chińskich dziewczynek. W ogóle nie dla dziewczynek. Lily wiedziała, że powinna uważać te kluby za tandetne miejsca, jednak ilekroć przechodziła przez Broadway (oczywiście niezmiennie w ciągu dnia), spoglądała na szeroką ulicę ciągnącą się do odległego Bay Bridge, a jej wzrok zatrzymywał się na zamkniętych drzwiach. Zastanawiała się wtedy, co takiego za sobą skrywają.

Jej dłonie zaczęły się pocić. Zerknęła przez ramię, ale nikogo nie dostrzegła za ladą. Szybkim ruchem wydarła stronę z reklamą Telegraph Club, złożyła ją starannie w kostkę i wcisnęła głęboko do kieszeni spódnicy. Złożyła gazetę i odłożyła na stos numerów „Chronicle”. Wyrównując go, zdała sobie sprawę, że opuszki palców poczerniały jej od farby drukarskiej. Pomknęła do łazienki, odkręciła wodę i tak długo szorowała palce nieprzyjemnym w dotyku różowym mydłem, aż nie pozostał na nich żaden ślad.

Eastern Pearl znajdowała się raptem dziesięć minut drogi piechotą od mieszkania rodziny Hu, lecz tamtego wieczoru droga do domu zdawała jej się ciągnąć w nieskończoność. Gdy Lily ledwie wyszła z restauracji, przyszło jej spędzić sporo czasu na rozmowie ze starym panem Wongiem, który akurat zamykał magazyn importowanych towarów znajdujący się po sąsiedzku. Potem, gdy skręciła w Grant Avenue, zawołał do niej Charlie Yip ze stoiska z jedzeniem, aby oznajmić, że ma w promocji jej ulubione *wa moo*[3]. Kupiła małą paczkę z zamiarem podzielenia się z braćmi, a kiedy chowała ją do kieszeni spódnicy, starała się nie pognieść złożonego wycinka gazety.

Przed Shanghai Palace grupka białych turystów blokowała cały chodnik. Byli gotowi na nocne życie Chinatown, a Lily widziała, że byli już po kilku drinkach. Żaden z nich nie zauważył, jak przemknęła obok nich ulicą, zręcznie omijając niedopałek rzucony przez kobietę w futrze. Dziewczyna spojrzała tylko z irytacją na plecy nieznajomej. W tym samym momencie zatrąbił jakiś samochód, a Lily aż odskoczyła. Utknąwszy między turystami a zaparkowanym buickiem, musiała zaczekać na zmianę świateł, by w końcu przebiec niecierpliwie między stojącymi samochodami.

Kiedy w końcu dotarła na drugą stronę jezdni, spojrzała za siebie, na Broadway i North Beach, zastanawiając się, gdzie dokładnie mieści się Telegraph Club. Wyobrażała sobie wysoki neon zawieszony nad drzwiami z markizą, a wtedy na myśl przyszły jej kobiety z Eastern Pearl i ich potencjalna wycieczka do Telegraph Club. Oczyma duszy widziała, jak zajmują miejsca przy niedużym okrągłym stoliku nieopodal sceny, na której pojawi się wystrojona Tommy Andrews i zacznie śpiewać.

Miała ochotę natychmiast wyjąć fragment gazety i spojrzeć raz jeszcze na jej twarz. Oparła się jednak tej pokusie. Przed nią rozciągał się Clay Street, więc znajdowała się zaledwie kilka przecznic od domu.

Przyspieszyła kroku.

Otworzyła drzwi wejściowe i wbiegła drewnianymi schodami na trzecie piętro. Po lewej stronie mieszkania, tam gdzie znajdowała się kuchnia, było cicho i ciemno, ale z prawej, spod drzwi salonu, na korytarz sączyła się smuga światła. Odwiesiła kurtkę na wieszak, zdjęła buty, założyła

kapcie i ruszyła do salonu, mijając zamknięte drzwi sypialni rodziców.

Ojciec siedział na sofie, czytając gazetę i paląc fajkę. Jej młodsi bracia, Eddie i Frankie, rozłożyli się na dywanie, pogrążeni w lekturze komiksów. Kiedy weszła do pokoju, ojciec podniósł na nią wzrok i się uśmiechnął. W szklach okrągłych okularów odbijało się światło lampy.

– Jadłaś kolację? – zapytał. – Jak się miewa Shirley?

– W porządku. Jadłyśmy razem. Gdzie jest mama?

– Położyła się wcześniej. Jeśli wciąż jesteś głodna, to w kuchni coś jeszcze zostało.

Eddie spojrzął na nią przez ramię.

– Jest jeszcze ciasto. Z promocji w Cameron House.

To przypomniało Lily o *wa moo*, które od razu wyjęła z kieszeni.

– Chcecie trochę? Dostałam je od Charliego Yipa.

Frankie zerwał się na równe nogi, by zabrać jej przekąskę, na co tata natychmiast oznajmił:

– Tylko nie jedzcie za dużo. Zaraz czas do łóżka.

Lily doskonale wiedziała, jak przeminie im reszta wieczoru. Ojciec nie położy się tak długo, aż nie doczyta gazety, czyli być może przez kolejne pół godziny. Bracia będą się upierać, że mogą się jeszcze nie kłaść, ale o dziesiątej zostaną zapędzeni do łóżka. Ona zaś mogłaby posiedzieć z nimi w salonie, pochłaniając łączywie jakąś powieść, ale wiedziała, że nie da rady się skupić. Zamiast tego ruszyła więc do kuchni i wstawiła czajnik na kuchence. Czekając, aż woda się zagotuje, stanęła przy oknie nad zlewem i przyglądała się światłom dochodzącym z miasta, tym lśniącem płomykiem świadczącym o czymś życiu: oknom sypialni i salonów czy lampom samochodów jeżdżących po stromych ulicach. Zastanawiała się, gdzie mieszkają kobiety z restauracji i jak wyglądają ich domy. Wsunęła dłoń do kieszeni, by dotknąć złożonej gazety.

Zrobiła sobie jaśminową herbatę i zabrała ją do sypialni, która tak właściwie nie była sypialnią, tylko wnęką w salonie, tuż za przesuwными drzwiami. Na razie zostawiła je otwarte. Wcześniej to miejsce było biurem ojca, ale gdy Frankie skończył cztery lata, Lily udało się namówić rodziców, by nie musiała już dzielić z braćmi pokoju. Teraz miała swoją małą samotnię, w której udało się upchnąć wąskie łóżko, stare biurko z niedomykającymi się szufladami, a także kilka stosów książek tworzących chwiejny stolik nocny pod lampkę. Niewielkie okno u stóp łóżka przesłaniały krótkie kotary z niebieskiego aksamitu nakrapiane małymi cekinami. Lily zszyła je własnoręcznie na zajęciach z gospodarstwa domowego pod koniec podstawówki. Szwy zaczęły się rozchodzić, gdy tylko je powiesiła, ale i tak lubiła tę ozdobę – kojarzyła jej się z powieściami science fiction, które tak chętnie czytała i które na okładkach miały grafiki przedstawiające kosmos.

Czekając, aż ojciec i bracia pójną spać, umyła zęby i posprzątała w swoim pokoiku. Poskładała pranie, które leżało na łóżku, przejrzała notatki z matematyki z poprzedniej klasy i ustaliła, których z nich może się pozbyć. Przez cały czas doskonale pamiętała, że w kieszeni jej spódnicy spoczywa wyrwana strona z gazety; szeleściła, ilekroć dziewczyna przyklękała, by odłożyć ubrania; ocierała się o jej biodro, kiedy siadała na łóżku.

Miała wrażenie, że minęły całe godziny, nim ojciec i bracia w końcu wyszli z salonu. Kiedy jednak już sobie poszli, Lily zamknęła przesuwne drzwi wnęki i przebrała się w koszulę nocną. Wyjęła stronę z gazety, po czym położyła ją na stosie książek pełniącym funkcję stolika nocnego. Złożyła ją na mały kawałek, ale teraz strona zaczęła się samoistnie otwierać niczym motyle skrzydła.

Zaskoczona dziewczyna patrzyła na wycinek tak długo, aż gazeta przestała się poruszać. Gdzieś na zewnątrz zatrzeszczał tramwaj przejeżdżający przez Powell Street, a jego dzwonek zdawał się bić w tym samym rytmie co jej serce. Poczęła rozmontowywać jeden ze stosów książek za łóżkiem i wyjęła z niego *Na podbój przestrzeni* Arthura C. Clarke'a – prezent od cioci Judy.

Położyła książkę na łóżku, a potem oparła poduszkę o ścianę i usiadła przy nim, sięgając w końcu po reklamę.

Ostrożnie ją rozłożyła. Zobaczyła Tommy Andrews patrzącą gdzieś w przestrzeń niczym gwiazda filmowa z aureolą światła wokół lśniących włosów. „Tommy Andrews, kobieta w męskim przebraniu”. Nie tak dawno temu widziała reklamę spektaklu w innym klubie nocnym głosząca: „Jerry Bouchard, pierwsza kobieta na świecie w męskim przebraniu!”. Towarzyszyła jej ilustracja przedstawiająca kobietę (o oczywistych krągłościach) w cylindrze i fraku, z lokami wymykającymi się spod nakrycia głowy. Ilustracja wydawała się dziwna, w jakimś sensie wręcz komiczna. Nie taka jak to zdjęcie. Tommy była przystojna i jowialna. Jej zdjęcie idealnie pasowałoby na ścianę w sypialni Shirley – powiesiłaby je obok fotografii Taba Huntera i Marlona Brando.

Pewnego razu Lily wyrwała z magazynu „Popular Science” (ojciec czasem kupował go Eddiemu) ilustrację – przedstawiała kolonię na Księżycu – i powiesiła ją na ścianie nad biurkiem. Kiedy Shirley to zobaczyła, kpiła, że przyjaciółka ma chłopięcy gust. Lily zdjęła zatem to zdjęcie zaraz po tym, jak tylko Shirley sobie poszła. Gdyby odznaczała się wyjątkową odwagą, wycięłaby słowa „Tommy Andrews, kobieta w męskim przebraniu” z tej reklamy i przyczepiła je w miejsce Księżycy. Wątpiła, by ktokolwiek – nawet Shirley – odkrył, że nie przedstawia ona mężczyzny.

Wiedziała jednak, że nie odważy się tego zrobić. Odłożyła reklamę na łóżko i otworzyła *Na podbój przestrzeni*. Między jej stronicami miała ukryte dwie inne złożone kartki. Pierwszą z nich wyrwała ze starego numeru czasopisma „Life” leżącego w skrzynce przed Chińskim Szpitalem. Przedstawiała młodą Katharine Hepburn siedzącą na krześle z niedbale przerzuconymi nogami przez oparcie. Miała na sobie szerokie spodnie i sweter, w dłoni trzymała papierosa, a przy tym patrzyła gdzieś w lewo. W jej spojrzeniu można było dostrzec niezachwianą pewnością siebie, a jej sylwetkę odznaczało coś wyraźnie męskiego.

Lily doskonale pamiętała, jak znalazła to zdjęcie, kartkując czasopismo na chodniku. Był wrzesień, a nad jej głową świeciło słońce. Zatrzymała się na widok fotografii i patrzyła na nią tak długo, aż włosy poczęły ją palić od żaru. Wtedy bez zastanowienia wyrwała ją z czasopisma. Akurat ktoś przechodził obok i Lily zauważyła zaskoczone spojrzenie przechodnia. Było już jednak za późno – udawała więc, że nie dostrzegła jego wzroku. Szybko złożyła stronę wpół, wsunęła ją do tornistra, a magazyn odłożyła na miejsce.

Drugim skarbem był artykuł o dwóch byłych „osach” – pilotkach Kobięcych Sił Powietrznych, które po wojnie otworzyły własne lotnisko. Tekst został opatrzony niedużą fotografią bohaterek siedzących obok siebie i spoglądających w niebo. Miały na sobie identyczne okulary przeciwsłoneczne, koszulki polo i spodnie, a ta po prawej, o krótkich potarganych włosach, obronnym gestem trzymała rękę towarzyszki. Krótkowłosa pracowała jako mechanik, a jej koleżanka była instruktorem. Nie prezentowały się tak imponująco jak Katharine Hepburn, ale ich nonszalancka bliskość miała w sobie coś hipnotyzującego.

Artykuł pochodził z jednego z numerów „Flying”, który Lily znalazła minionej wiosny w bibliotece publicznej, gdzie pracowała nad referatem o „osach”. Pamiętała to wyraźnie: wcisnęła się wówczas z czasopismem w najciemniejszy kąt biblioteki i najciszej, jak umiała, wydarła kartkę z artykułem. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale z jakiegoś powodu, którego jej świadomość nawet nie zarejestrowała, musiała posiadać to zdjęcie. Po wszystkim potajemnie położyła pięciocentówkę na bibliotecznym ladzie, jakby to miało wynagrodzić zniszczenie przez nią mienia.

Teraz położyła zdjęcie pilotek na łóżku, obok Katharine Hepburn i Tommy Andrews, i patrzyła po kolei na każdą z fotografii. Nie umiała wyrazić słowami, dlaczego wybrała akurat te trzy

zdjęcia, ale czuła to w kościach: palącą, nieodpartą potrzebę patrzenia i zrozumienia przez to patrzenie.

[3] Wa mooi – słone suszone śliwki uważane za przekąskę (przyp. aut.).

Windziarka w Macy's była młodą Chinką w błękitnym cheongsam[4] wyszywanym żółtymi kwiatkami.

– Dzień dobry – powiedziała do Lily i jej matki. – Na które piętro panie zawieźć?

– Dzień dobry – odparła pani Hu. – Poprosimy do działu dla dziewcząt.

– Tak jest, proszę pani. – Windziarka nacisnęła na przycisk trzeciego piętra. Wyglądała na niewiele starszą od samej Lily, ale ta jej nie знаła. To oznaczało, że dziewczyna pewnie nie dorastała w San Francisco.

– Jesteś wnuczką pani Low? – zapytała matka. – Pani Wing Kut Low z Jackson Street?

Wyłożona boazerią winda minęła drugie piętro, a dziewczyna odpowiedziała:

– Nie, proszę pani. Jestem z Sacramento.

Do podłogi przed panelem z przyciskami został przymocowany stołek, który nie wyglądał na zbyt wygodny. Lily wyobraziła sobie, jak dziewczyna na niego opada, by móc odetchnąć, wysuwając stopy z czarnych pantofli na obcasie, gdy akurat nie musiała jeździć. Wizja bycia uwięzioną przez cały dzień w tym ruchomym pudle, z wiecznie otwierającymi się i zamykającymi drzwiami, a mimo to pozbawioną możliwości ucieczki brzmiała jak okrutny sposób na zarabianie.

– Sacramento! – wykrzyknęła matka Lily, jakby chodziło o miejsce na Księżycu. Gdy winda zwolniła, zbliżając się do trzeciego piętra, zaskrzypiały hamulce. – I jesteś sama w San Francisco?

– Mam wuja w Chinatown.

– Rozumiem.

Ton matki podpowiedział Lily, że ta nie ma zbyt dobrego zdania o tym rozwiązaniu. Kiedy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, a drzwi rozsunęły z dźwięcznym *ding*, matka Lily przystanąła w progu.

– Gdybyś potrzebowała kobiecego wsparcia – zwróciła się do dziewczyny – to pracuję w Chińskim Szpitalu. Jestem pielęgniarką na oddziale położniczym. Grace Hu.

Windziarka wydała się zakłopotana.

– Dziękuję. To miłe z pani strony.

Lily skierowała w jej stronę współczujące spojrzenie, po czym wysiadła.

– Martwię się o takie dziewczęta – oznajmiła szeptem matka, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

– Jest za młoda, by być sama. Nie wyobrażam sobie, by wuj umiał o nią należycie zadbać.

Lily rozejrzała się dookoła, by mieć pewność, że nikt ich nie słyszy. Przed nimi rozciągał się lśniący fluorescencyjnymi światłami dział dla dziewcząt. Piętro wypełniały liczne stoiska, które sprawiały, że musiały lawirować między szklanymi witrynami. Za tą z kapeluszami stała akurat matka z córką, a dziewczyna – nastolatka – chichotała, gdy matka przymierzała na jej blond loki niebieski toczek. Spojrzały na przechodzące obok Lily i panią Hu, a potem ich spojrzenia odplynęły. Lily miała świadomość, że się wyróżniają. Matka nosiła staromodny brązowy żakiet z poduszczkami i dopasowany do niego brązowy kapelusz – coś, w czym Lily widywała ją jedynie w kościele. Ona sama miała na sobie z kolei tanią spódnicę i bluzkę z przeceny – obie dalekie od najnowszych krzyków mody.

Zwolniła, pozwalając matce się wyprzedzić, jakby to miało sprawić, że inni nie pomyślą, iż przyszły tu razem. Ta myśl sprawiła, że aż się wzdygnęła z poczucia winy i dała się odciągnąć od tych rozważań dostrzeżonej przez siebie biżuterii – srebrnym kolczykom, lśniącej perłowej koliai i kanciastym bransoletom wysadzanych cyrkoniami – a potem reklamie w ramce nad ladą. Ukazywała ona trzy dziewczęta w odważnych połączeniach strojów. Ta pośrodku miała na sobie kaftan przycięty na podobieństwo smokingu, narzucony na białą bluzkę z kołnierzem stojką, a na dole wąską, brązową spódnicę. Stała z dłonią podpartą na biodrze i jednym spuszczonego ramieniem, patrząc prosto w obiektyw z figlarnie uniesioną brwią. Jedna z jej dłoni w rękawiczkach znajdowała się tak blisko dłoni dziewczyny będącej obok niej, że niemal stykały się małymi palcami. Wszystkie trzy znacząco się uśmiechały, jakby dzieliły ze sobą jakiś wspólny sekret.

– Chciałabyś coś przymierzyć?

Lily podniosła wzrok znad reklamy i zobaczyła nadchodzącą sprzedawczynię.

– Tylko się rozglądam – oznajmiła niepewnie.

Kobieta miała szczerą, życzliwą twarz i ścięte na pazia jasnobrązowe włosy. Na identyfikatorze widniało nazwisko: „Panna Stevens”.

– Te góry i doły są uniwersalne – oznajmiła, odsuwając reklamę i pokazując Lily ubrania w gablocie. – Możesz też założyć tę bluzkę i jedną z tych pięknych rozszerzanych spódnic.

– Ojej... Sama nie wiem – wyjąkała Lily, po czym podeszła bliżej. Kaftan-smoking okazał się wykonany z granatowego materiału z czarnymi klapami. Panna Stevens wyjęła go i położyła na gablocie.

– Można go prać ręcznie. To bardzo wygodne.

Lily dotknęła ubrania, jej palce przebiegły po materiale o tłoczonych fakturze.

– Mogę przynieść do przebieralni odpowiedni rozmiar, jeśli chcesz – oznajmiła panna Stevens.

– Lily! Tu jesteś!

Dziewczyna odskoczyła jak oparzona i uniosła wzrok. W jej stronę zmierzała matka z przewieszoną przez ramię czarną kanciastą torebką. Za nią podążała blondwłosa sprzedawczyni z naręczem koszul i spódnic.

– Znalazłam dla ciebie trochę rzeczy do przymierzenia – obwieściła matka. Spojrzała na kostium i uniosła brew. – A to co?

– Wspaniała kolekcja gór i dołów do dowolnego łączenia, proszę pani – powiedziała panna Stevens. Jej spojrzenie przemknęło szybko w stronę blondynki, a potem znów skupiło się na matce Lily, która podeszła do gabloty i teraz przyglądała się kaftanowi oraz reklamie.

– I gdzie ty byś to nosiła, Lily? – Ton matki był stanowczy i krytyczny. Lily poczuła zażenowanie.

– Sama nie wiem. Tak tylko patrzyłam.

– To świetny wybór na przyjęcia – wtrąciła panna Stevens. – Skoro panna Marshall szykuje dla

pań przymierzalnię, może wziąć też ten zestaw.

Blondynka – panna Marshall – wystąpiła naprzód z naręczem ubrań i wyczekującą miną, ale matka Lily pokręciła tylko głową.

– Dziękuję, ale nie uważam, że to odpowiedni strój dla mojej córki. Chodź do przymierzalni, Lily, musisz przymierzyć kilka ubrań do szkoły.

Lily popatrzyła ze skrucą na pannę Stevens, po czym potruchtła za matką i panną Marshall. Panna Stevens odpowiedziała jej łagodnym uśmiechem, składając kaftan i odkładając go na miejsce.

W przymierzalni na zamontowanej szynie sprzedawczynie powiesiła kilka sukienek, koszul, spódnic i dopasowanych żakietów. Matka Lily zajęła miejsce na ławce wewnątrz kabiny.

– Przymierz najpierw tę brązową sukienkę – poinstruowała. – O tę, z czarnymi guzikami.

Oczom Lily ukazał się szereg brązowych i szarych sukienek oraz spódnic, jasnoróżowych albo błękitnych koszul ze skromnymi okrągłymi kołnierzykami i rękawami typu trzy czwarte zakończonymi mankietami. Stanowiły one młodzieżową wersję kościelnego stroju matki, niewyzywającego i przeraźliwie nudnego. Lily z tęsknotą myślała o kaftanie, ale im dłużej przeglądała ubrania wybrane przez matkę, tym bardziej absurdalny stawał się pomysł jego nabycia. Może matka miała rację. Gdzie się nosi takie rzeczy? Wywołałoby to sensację na jesiennym balu, a ona nie należała do dziewcząt chcących wzbudzać czyjekolwiek zainteresowanie.

– Ten żakiet jest na ciebie za duży – oznajmiła matka, przyglądając się ostatniemu przymierzonemu strojowi, ciemnoszaremu i kanciastemu, o którym Lily pomyślała: *staromodny*.

– Nie podoba mi się – powiedziała dziewczyna.

– Idziesz do ostatniej klasy – odparła matka. – Musisz stosownie wyglądać. – Otworzyła drzwi kabiny, ale korytarz przed nią był pusty. – Gdzie ta sprzedawczyni? – Rzuciła Lily znaczące spojrzenie. – Zaczekaj tu, zaraz wrócę.

Kiedy wyszła, Lily spojrzała na swoje odbicie w lustrze. *Musisz stosownie wyglądać*. Lily wiedziała, o co chodzi matce. Miała wyglądać na poważną i poważaną. Dziewczyna w lustrze wyglądała jak uczennica, która przebrała się w matczyne ubrania. Miała zaciśnięte usta i zmarszczone czoło, a jej ciało było pochłonięte przez gąbki znajdujące się na ramionach żakietu. Gdyby matka usłyszała teraz myśli swojej córki, pewnie kazałaby jej przestać być taką niewdzięcznicą. Prawie nigdy nie chodziły do Macy's, chyba że akurat była duża wyprzedaż, ale oto tym razem znalazły się w dziale dla dziewcząt z najmodniejszymi strojami, a nie w piwnicy z przecenionymi towarami, odrzutami i końcówkami zeszłosezonowych kolekcji.

Lily pamiętała inną wizytę w Macy's, kiedy była jeszcze dzieckiem – miała jakieś dziewięć czy dziesięć lat. Eddie uczeplił się wtedy ręki mamy, a ona przez ciężkie drzwi na parterze popychała powozik z małym Frankiem. Z trudem zapakowali się do windy i pojechali na czwarte piętro, gdzie znajdowały się stoiska świętego mikołaja. Lily zapamiętała zwisające z sufitu srebrzyste płatki śniegu, girlandy zawieszane na gablotach i masę pudełek z zabawkowymi autkami oraz samolotami, które zawałały sklepowe półki. Miniaturową wioskę mikołaja okrążała natomiast elektryczna kolejka, a oczarowany Eddie przy niej przyklęknął, by móc jej się lepiej przyjrzeć. Tymczasem Lily zachwycił zestaw małego chemika. Na stoisku rozstawiono próbki i mały palnik, a nieduże szklane fiolki wypełniały barwne ciecze. Pudełko zawierające zestaw było ozdobione fotografią dwóch bawiących się chłopców. Nad ich blond główkami umieszczono słowa: „Odkryj przyszłość już dziś!”.

Nie wiedziała, jak długo patrzyła na ten zestaw, ale nagle pojawiła się nad nią matka w towarzystwie Eddiego i Frankiego, krzycząca, że ją zgubiła i że co ona robi.

Lily wskazała na zestaw i zapytała:

– Mogę to dostać na święta?

Matka spojrzała na nią wielkimi oczami.

– A nie wolisz dostać lalkę?

Lily była za duża na dziecięcą furkę, ale coś w tej odpowiedzi wypełniło ją złością. Zaciśnęła dłonie w pięści i głośno oznajmiła:

– Nie chcę lalki!

Twarz matki w jednej chwili stężała. Lily dostrzegła uniesioną dłoń, jakby ta zamierzała ją uderzyć, ale nie mogła tego zrobić przy Eddiem i Frankiem. Zamiast tego warknęła:

– Na litość, jesteś w Macy's. Zachowuj się!

Ostry ton zaskoczył ją tak bardzo, że Lily wybuchnęła płaczem.

A teraz drzwi kabiny się otworzyły i wróciła matka z panną Marshall na doczepkę i dwoma kolejnymi żakietami.

– Przymierz ten – poleciła, wręczając jej mniejszy rozmiar.

Lily zrobiła to, co jej kazano. Pasował o wiele lepiej. Kiedy go zapięła, otulał talię jak należy, zamiast plątać się wokół bioder. Matka poprawiła jej rękawy. Dziewczyna patrzyła przez jej ramię na pannę Marshall starannie zdejmującą czarny włos z kłapy większego żakietu i dyskretnie zrzucającą go na podłogę.

– Lepiej – oznajmiła matka Lily. Zrobiła krok w tył, przysłaniając córce widok na sprzedawczynię. Na jej twarzy można było dostrzec coś niezwykłego. Chwilę zajęło Lily, zanim zdała sobie sprawę, że matka jest zadowolona.

– *M cho* – oznajmiła po kantońsku. – *Gei hou*[5].

Lily odwróciła się do lustra. Zobaczyła w nim młodą Chinkę w bezkształtnym szarym stroju, o niczym niewyróżniającej się twarzy, bez żadnych znaków szczególnych, wręcz nudnej. Poważanej. To słowo brzmiało kanciasto i nieruchomo niczym za ciężkie pudło. Poważaną dziewczynę dało się łatwo zaszufładować, wszystko było w niej jasne. Chciała skończyć studia, wyjść za mąż, mieć ładny dom i miłe dzieci – w tej kolejności.

Zobaczyła delikatny uśmiech matki, jakby ta miała świadomość, że sprzedawczyni wciąż je obserwuje. Zrozumiała, dlaczego matka założyła do Macy's kościelny strój. Może i był brzydki, ale świadczył o byciu poważaną – kobieta była przecież modelową amerykańską żoną i matką, a nie chińską laleczką w cheongsamie, zdegradowaną do roli windziarki.

– Wygląda profesjonalnie, ale i bardzo kobieco – stwierdziła panna Marshall. – Mam to paniom zapakować?

[4] Tradycyjna chińska suknia (przyp. aut.).

[5] „Nieźle. [...] Całkiem dobrze” (oryg. „唔錯 [...] 幾好”) (przyp. aut.).

– W tym roku wybierzemy się w podróż, która pozwoli nam lepiej zrozumieć nas samych i nasze cele na życie po szkole średniej – obwieściła klasie panna Weiland stojąca przy tablicy.

Była filigranową kobietą o twarzy w kształcie serca otoczonej aureolą jasnobrązowych loków. Była też jedną z najmłodszych nauczycielek w szkole średniej Galileo, toteż kochała się w niej połowa chłopców z klasy Lily. Dziś założyła kraciatą, szarą ołówkową spódnicę i dopasowaną różową bluzkę podkreślającą jej kształty w taki sposób, że gdy tylko chłopcy znaleźli się w klasie, zaczęli o tym szeptać.

Każdy uczeń ostatniej klasy musiał się zapisać na przedmiot cele i plany, nauczany albo przez pana Stevensona (o którym mówiło się, że pozwala sobie na niestosowne komentarze względem dziewcząt), albo przez pannę Weiland (Lily cieszyła się, że trafiła właśnie do niej). Oficjalnie zajęcia przygotowywały do życia po szkole, ale słynęły z bycia łatwą okazją do zdobycia najwyższej oceny i obejmowały oglądanie sporej liczby filmów o etykietce i randkach.

– Zajmiemy się trzema głównymi działami – ciągnęła panna Weiland. – Rozwojem osobistym i życiem rodzinnym, przystosowaniem zawodowym oraz edukacją konsumencką. Dziś zaczniemy od oceny osobistej i ustalenia, gdzie się obecnie znajdujecie. Chciałabym, abyście podzielili się na czteroosobowe grupy i omówili ze sobą kilka zagadnień, które zapiszę na tablicy. Będziecie pracować z osobami ze swojego rzędu: czterema z przodu, czterema z tyłu. A teraz proszę, przysiądźcie się do siebie.

Gdy wszyscy łączyli się w zespoły, rozległo się skrzypienie krzesel. W czwórce Lily znalazł się siedzący przed nią Will Chan, będąca za nią Shirley oraz znajdująca się za Shirley Kathleen Miller. Lily, Shirley i Will znali się od dziecka, ponieważ chodzili razem do podstawówki Commodore Stockton. Kathleen znali z poprzednich lat, ale nigdy nie trzymali się z nią bliżej. Nie należała do dziewcząt, które pasowałyby do ich paczki. Przede wszystkim była biała, a przyjaciele Lily rekrutowali się spośród dzieciaków z Chinatown. Kathleen i Lily uczęszczały jednak razem na matematykę od ósmej klasy, a Lily zawsze uważała ją za przemiłą, cichą i inteligentną.

Odsunęła się, by zrobić miejsce dla Kathleen. Jednocześnie zauważyła, jak Will znacząco się uśmiecha do Hansona Wonga należącego do grupy obok. Chłopcy bezwstydnie spoglądali na odwróconą tyłem pannę Weiland zapisującą na tablicy pytania. Kiedy podnosiła rękę, jej bluzka nieco się zadzierała, odsłaniając dopasowaną w talii spódnicę. Jej zakładki sprawiły, że Lily

przebiegła wzrokiem po linii pleców i nóg kobiety. Tylne szwy pończoch, tuż nad piętą, były przyozdobione diamentowym wzorkiem.

– Przestań się gapić – syknęła Shirley.

Lily się skuliła, ale zaraz zrozumiała, że syk odnosił się do Willa. Ten zaś z uśmiechem niewiniątka z powrotem odwrócił się do Shirley. Lily spuściła wzrok na zeszyt, wzięła ołówek i próbowała udawać, że nic nie zauważyła.

– Dobrze, to są kwestie, które powinniście omówić – oznajmiła panna Weiland. – Jakie było wasze marzenie w dzieciństwie? O czym marzycie teraz? Jakie trzy kroki możecie podjąć, by je zrealizować? Chciałabym, aby każda grupa wybrała lidera, który pod koniec zajęć zreferuje efekty waszej dyskusji. Macie dwadzieścia minut na omówienie pytań, a potem opowiecie, co wam z tego wyszło. Będę przechodzić między grupami i sprawdzać, jak sobie radzicie.

Klasa momentalnie wypełniła się gwarem prowadzonych rozmów. Shirley otworzyła zeszyt i oznajmiła:

– Willu, oczywiście to ty powinieneś być naszym liderem.

– Jasne, zdam raport.

Kathleen też wyjęła zeszyt i uważnie przepisywała pytania z tablicy.

– Moim zdaniem Lily powinna notować – powiedziała Shirley. – Pisze najładniej z nas wszystkich.

Ołówek Kathleen na moment się zatrzymał, po czym dziewczyna go odłożyła.

– Zgoda.

– No dobrze – odparła Lily. – Kto chce zacząć i opowiedzieć o swoim marzeniu z dzieciństwa?

– Chciałem zostać koszykarzem – powiedział Will.

– Chciałam zostać gwiazdą filmową – oznajmiła Shirley, odchylając się na krześle i przyglądając włosy. W zeszłym tygodniu zrobiła sobie trwałą ondulację w salonie w Chinatown i teraz z dumą prezentowała loki.

Will się uśmiechnął.

– Widziałbym cię w Hollywood.

Shirley aż się rozpromieniła.

– Bo jestem taka piękna?

– Bo jesteś taka teatralna – odparła Lily, a Will zachichotał.

– Cóż, a ja wiem, jakie było twoje marzenie – zwróciła się Shirley do przyjaciółki.

– Jakie?

– Nie chciałaś polecieć na Księżyc? To takie zabawne!

– Wcale nie – zaprotestowała Lily, czując ukłucie w sercu. – Tak, chciałam polecieć na Księżyc. I nadal chcę. A ty byś nie chciała?

– W życiu! Tam nie ma nic do roboty.

– A ja bym poleciała – powiedziała Kathleen.

Cała trójka, wyraźnie zaskoczona, odwróciła się w jej stronę. Ta z kolei spojrzała tylko na Shirley.

– Też miałaś takie marzenie? – zapytała Shirley nieco mniej pewna siebie. – Zapisz to, Lily, przyda nam się do podsumowania.

– Nie. Kiedy byłam mała, marzyłam o tym, żeby zostać Amelią Earhart. Ale lot na Księżyc to fantastyczne marzenie.

– Leciałaś kiedyś samolotem? – zapytała Lily.

– Tak. Kiedy byłam w ósmej klasie, moja drużyna z Wing Scout[6] pojechała na lotnisko. Lataliśmy niezbyt długo, bo musieliśmy się zmieniać, ale było wspaniale. – Kathleen wyraźnie się rozpromieniła, kiedy mówiła o lataniu.

– Jakie to uczucie? – zainteresowała się Lily. – Bałaś się?

Kathleen odpowiedziała uśmiechem.

– Trochę, na początku, ale kiedy oderwaliśmy się od ziemi, przestałam. Było tyle rzeczy do obejrzenia.

Lily chciała zadać jej więcej pytań – dowiedzieć się wszystkiego o tym locie – ale Shirley oznajmiła:

– No dobra, chodźmy dalej. Mamy tylko dwadzieścia minut. Następne pytanie brzmi: „Jakie marzenie macie teraz?”. Will? Jak to wygląda u ciebie?

Z twarzy Kathleen zniknął uśmiech, Lily zmarszczyła brwi, a Shirley wciąż była zajęta patrzeniem na Willa.

– No to tak, nie chcę już być koszykarzem. To dobre dla dzieci. Chcę zostać prawnikiem. A ty nadal chcesz być aktorką?

Shirley aż się sztucznie zaśmiała.

– Nie bądź głupi. Chcę wyjść za mąż i założyć rodzinę, to oczywiste. – Spojrzała na Lily. – Jesteś następna. O czym marzysz teraz?

Lily nie była pewna, czy Shirley jej nie prowokuje. Mówiła z uprzejmym zainteresowaniem, ale kiedy przybierała taki ton, oznaczało to zazwyczaj tyle, że coś kombinuje.

– Hm, myślę, że chciałabym mieć taką pracę jak ciocia Judy – powiedziała w końcu. – Ciocia pracuje w Laboratorium Napędu Odrzutowego jako obliczeniowiec – wyjaśniła, kierując te słowa do Kathleen.

– Naprawdę? – Kathleen znowu się ożywiła. – I co dokładnie robi?

– Zajmuje się matematyką. W tym laboratorium tworzy się rakiety. Nie robi tego moja ciocia, ale inżynierowie.

– Idziesz na rozszerzoną matematykę z panem Burkiem? – zapytała Kathleen. – W następnym semestrze?

– Tak, a ty?

– Ja też. Słyszałam, że w każdym półroczu daje tylko jedną ocenę A. – Kathleen odchyliła się na krześle i wycelowała ołówkiem w Lily. – Jestem pewna, że to ty je dostaniesz.

– Nie, coś ty. Jeżeli faktycznie tak jest, dostanie je Michael Reid...

– Dziewczeta, zbaczacie z tematu – przerwała im Shirley. – Następne pytanie? Aha, trzy kroki, jakie możesz podjąć, by zrealizować marzenie.

– Ale Kathleen jeszcze nie powiedziała, o czym teraz marzy – zaprotestowała Lily.

Twarz Shirley stężała.

– To o czym teraz marzysz, Kathleen?

Brwi dziewczyny lekko się uniosły, gdy usłyszała ton wypowiedzi Shirley, ale nie zdecydowała się tego skomentować.

– Nadal chcę zostać pilotem.

– I jak to osiągniesz?

– Cóż, pierwszy krok to pójście na studia, zrobienie magisterki z aeronautyki albo inżynierii. Krok drugi...

– Nie sądziłam, że wybierasz się na studia – przerwała jej Shirley.

Lily patrzyła na przyjaciółkę ze zdziwieniem. Nie miała pojęcia, co w nią wstąpiło. Kathleen z kolei nie wydawała się zaskoczona. Uśmiechnęła się tylko, po czym odpowiedziała:

– Uniwersytet Kalifornijski przyjmuje każdego z najlepszych piętnastu procent w ostatniej klasie. Nie będę mieć problemu. Lily też nie. Ale z tobą chyba się tam nie zobaczymy...

Policzki Shirley poczerwieniały. Zanim jednak Lily zdołała jakoś rozładować napięcie, pojawiła się przy nich panna Weiland. Uśmiechnęła się uprzejmie i zapytała:

- Jak sobie radzicie? Macie jakieś pytania?
- Dajemy radę – odpowiedziała Kathleen. – Lily robi świetne notatki, a Will będzie naszym liderem.
- Cieszę się – oznajmiła panna Weiland. – To dobrze, że tak wspaniale wam się współpracuje. Kiedy nauczycielka przeszła do kolejnej grupy, cała czwórka przez dłuższą chwilę siedziała w ciszy. Will wyglądał na zaskoczonego. Shirley wciąż była czerwona na twarzy. Tylko Kathleen wydawała się spokojna. Lily z kolei sprawiała wrażenie dziwnie wstrząśniętej całą tą sytuacją. Jeszcze nikt nigdy nie sprzeciwił się jej przyjaciółce.

Po szkole Shirley dopadła Lily przy szafce i zagaiła:

- Co robisz w sobotę?
 - Nie wiem, a co? – zapytała, pakując torbę.
- Shirley oparła się o ścianę obok.
- Will zaprosił nas na piknik w parku Golden Gate. Flora i Hanson też przyjdą. Powinnaś wpaść.
 - Muszę się uczyć – mruknęła Lily. Wraz z Kathleen były jedynymi dziewczynami na zajęciach z rozszerzonej matematyki. Miała dziwne wrażenie, że nauczyciel raczej się nie spodziewa, by wytrwały na nich zbyt długo, a ta bardzo chciała mu udowodnić, że się myli.
 - Możesz się pouczyć przed piknikiem. No chodź, nie chcę iść sama.
 - Przed chwilą mówiłaś, że Hanson i Flora też przyjdą.
- Shirley wyraźnie się nadała.
- Jeżeli będzie nas tylko czworo, Will może pomyśleć, że to jakaś podwójna randka czy coś w tym stylu. Musisz przyjść.
- Shirley zawsze była wymagająca, niemal jak chłopak. Czasem jej upór przytłaczał – Lily miała wtedy wrażenie, że jest jedyną znaczącą przyjaciółką dziewczyny – ale dzisiaj jakoś na nią nie działał.
- Shirley nagle złapała ją za ramiona i przyciągnęła do siebie z konspiracyjną miną.
- Lily, musisz przyjść. Już powiedziałam Willowi, że będziesz. Ten piknik urządza grupa kulturowa jego brata, więc nie musimy robić nic poza byciem tam razem z nim.
 - Czyli nie będzie was tylko czworo – zauważyła.
- Przyjaciółka rzuciła jej błagalne spojrzenie.
- Proszę, chodź. Bez ciebie nie będzie tak fajnie.
- Lily westchnęła i chociaż udawała zirytowaną, wewnątrz czuła drżącą przyjemność.
- No dobrze, już dobrze. Pójdę z tobą.
- Podekscytowana Shirley ścisnęła jej rękę.
- Cudownie! Wpadnę do ciebie w sobotę tuż przed południem, to pójdziemy razem. A teraz biegnę na radę. Ty idziesz do domu?
 - Tak, ale...
 - Super, do zobaczenia jutro!
- Lily patrzyła, jak Shirley zmierza szybkim krokiem przez korytarz. Wydawało jej się, że dostrzegła Kathleen Miller mijającą gablotę z trofeami sportowymi. Pomyślała, że mogłyby się razem pouczyć matematyki, więc szybko skończyła się pakować i pobiegła w jej stronę. Gdy jednak dotarła do gabloty, po koleżance nie było już śladu.

[6] Zainicjowany w 1941 roku program dla młodych skautek zainteresowanych lotnictwem

(przyp. tłum.).

Praktycznie co rano Lily i Eddie spotykali się z Shirley i jej młodszym bratem na rogu ulic Granta i Washingtona, skąd szli razem do szkoły. Po drodze dołączali do nich Hanson i Will przed Dupont Market, a potem, przecznicę dalej na północ, Flora i Linda Soo. Na Broadway docierali całą bandą, a potem szli przez Columbus Avenue i North Beach jak swego rodzaju parada z Chinatown. Młodszy odłączali się na Francisco Street i ruszali na wschód, do swojej szkoły, a starsi szli dalej w zachodnią stronę, przez Russian Hill, do szkoły średniej Galileo.

Lily lubiła chodzić do szkoły ze znajomymi, ale skrycie, nikomu nie mówiąc o tym głośno, jeszcze bardziej lubiła wracać z niej sama. Mogła wtedy wybierać cichsze ulice i węższe chodniki, miała możliwość zatrzymywania się i podziwiania widoków, kiedy tylko chciała. Dzisiaj wchodziła po stopniach Chestnut Street na Russian Hill, gdzie na szczycie obróciła się wokół własnej osi, spojrzała na Presidio i westchnęła z zachwytem. Zawsze uważała, że w tym mieście jest coś magicznego – w jego stromych schodach i mgnieniach zatoki widocznej między wysokimi, wąskimi budynkami. Zdawało się ogromne i tak wiele obiecywało, a każde na wpół ukryte przejście przypominało, że miasto, w którym się urodziła, kryje przed nią jeszcze wiele tajemnic.

Szła dalej w górę Larkin Street, a potem w dół Lombard Street, aż wchłonęła ją grupa turystów, nieodmiennie włączających się po najbardziej stromych częściach San Francisco, fotografujących Coit Tower wznoszącą się w oddali na Telegraph Hill. Ten widok przypomniał jej o reklamie Telegraph Club – myślała o niej przez całą drogę Columbus Avenue, aż do świateł na Broadwayu.

Klub musiał się zapewne znajdować gdzieś wśród budynków po lewej stronie. Nie widziała go, ale gdyby przeszła przez ulicę i poszła nieco dalej, mogłaby go minąć. Na tę myśl serce jej przyspieszyło i niemal skręciła w stronę klubu. Potem jednak kątem oka dostrzegła drogerię znajdującą się nieco dalej, za Vesuvio Cafe, na Columbus Avenue. Zerknęła na zegarek; miała niewiele czasu, zanim Frankie wyjdzie ze swojej chińskiej szkoły.

Kiedy światło zmieniło się na zielone, pospiesznie przeszła przez ulicę.

Do tej konkretnej drogerii pierwszy raz trafiła jakoś w zeszłym roku. Zaszła, żeby kupić opakowanie podpasek – nie chciała tego robić w aptece w Chinatown, gdzie mogłaby wpaść na kogoś, kogo zna. Ta tutejsza, należąca do sieci Thrifty, znajdowała się tuż za ich dzielnicą, toteż jej znajomi zazwyczaj do niej nie chodzili.

Wkrótce odkryła, że Thrifty ma jeszcze jeden plus w stosunku do apteki w Chinatown – znakomity wybór tanich powieści. Kilka obrotowych regałów wypełnionych książkami znajdowało się we wnęce zaraz za alejką z podpaskami. Jeden z nich był pełen thrillerów o ponurych okładkach przedstawiających skąpo odziane kobiety w objęciach smagłych mężczyzn. Lily zazwyczaj tylko przechodziła obok tego działu. Dziś jednak przy nim stanęła, przyciągnięta przez okładkę *Zamku Krwi*, na której czerwona suknia niemal zsuwała się z potężnego biustu blond piękności, a pod jej cienkim materiałem odznaczały się kobiece sutki. Zazwyczaj to miejsce było opustoszałe, ale nawet wtedy Lily ostrożnie obracała stojakami i chowała się za nimi tak, by nie było jej widać. Kobiety na okładkach tych książek wydawały się z trudem utrzymywać na sobie jakąkolwiek odzież. Mężczyźni zaś wyrastali tuż za nimi albo trzymali je w muskularnych ramionach, wyginając ich ciała w łuk, tak że piersi celowały w niebo.

W tych ilustracjach można było dostrzec coś niepokojącego, i nie chodziło wcale o lubieżnych mężczyzn, lecz o giętkie kobiece ciała, ich obnażone nogi, bujne biusty i o usta lśniące jak czerwone landrynki. Na okładce jednej z książek znajdowały się dwie kobiety: blondynka i brunetka. Blondynka w różowej bieliźnie klęczała na ziemi, spuszczać wzrok, a brunetka stała tuż za nią. Tytuł powieści brzmiał *Dziwna pora*, a poniżej widniało motto: „Nie zdołała wyrzec się nienaturalnych pragnień serca”.

Lily przeszył dreszcz. Zerknęła za stojak, w pełni świadoma, że znajduje się w miejscu publicznym. Mimo że słyszała podzwanianie kasy na przodzie sklepu, nie widziała nikogo, kto zbliżałby się do jej zaułka. Wróciła więc do książki, ostrożnie ją otworzyła, by nie wygiąć grzbietu, i zaczęła czytać.

Powieść traktowała o dwóch kobietach mieszkających w Nowym Jorku: młodej i niedoświadczonej blondynce Patrice oraz starszej brunetce Maxine. Kiedy chłopak Patrice publicznie ją porzucił, Maxine się nią zaopiekowała i odprowadziła ją do domu. W ten sposób zaczęła się ich osobliwa relacja, która od znajdowania Patrice kolejnych mężczyzn skręcała w stronę dziwnie sugestywnych rozmów między obiema kobietami.

Gdzieś w połowie książki następował zwrot akcji. Patrice, załamana po nieudanej randce, niespodziewanie przyszła do penthouse’u Maxine na Piątej Alei, gdzie ta zaczęła ją pocieszać.

– Dlaczego chcę cię pocałować? – wyszeptala Patrice, gdy Maxine przeczesywała palcami jej długie blond włosy.

Palce Maxine się zatrzymały, ale po chwili wróciły do rytmicznej pieszczoty.

– Nie wiem, Patty. Dlaczego?

Patrice obróciła się na kanapie i podparła się na kolanach.

– Max, wolę być tu z tobą niż na jakiegokolwiek randce!

Lily przewróciła stronę z coraz szybciej bijącym sercem. Niemal nie wierzyła w to, co czytała dalej:

Maxine pchnęła Patrice na aksamitne poduszki i przybliżyła usta do bladej skóry dziewczyny.

– Jesteś taka sama jak ja, Patrice. Przestań z tym walczyć.

Patrice aż drgnęła, gdy Maxine przycisnęła usta do jej szyi.

– Max, co ty robisz? – jęknęła. – To gorszące!

– Dobrze wiesz, co robię – wyszeptala Maxine.

Rozpięła bluzkę Patrice i zsunęła ją z ramion dziewczyny, muskając przy tym jej piersi. Patrice wydobyła z siebie jęk pełen rozkoszy.

– *Pocałuj mnie* – wyszeptwała. – *Natychmiast.*

Maxine to zrobiła, a rozkosz związana z zetknięciem się ich ust przyćmiewała każdy wstyd.

Lily usłyszała skrzypienie zbliżających się w jej stronę kółek. Z wypiekami na twarzy szybko zerknęła za stojak. Sprzedawca pchał między regałami metalowy wózek wypełniony pudełkami podpasek.

Szybko zamknęła książkę i wcisnęła ją z powrotem na stojak za powieścią pod tytułem *Wyrzuty sumienia*. Przesunęła się do sąsiedniego stojaka – z science fiction – i udawała, że przegląda wyeksponowane tam pozycje.

Ze swojego miejsca mogła obserwować sprzedawcę uzupełniającego półki na końcu alejki. Gorąco pragnęła wrócić do lektury *Dziwnej pory*, ale nie miała odwagi jej czytać, gdy mężczyzna był w pobliżu, i za nic w świecie by jej nie kupił.

Sprzedawca poruszał się tak wolno, że Lily powoli wychodziła z siebie. Zazwyczaj stojak z science fiction był jej ulubionym, ale dzisiaj wzrok dziewczyny przesunął się po okładkach z planetami oraz statkami kosmicznymi, choć w żaden sposób ich nie rejestrował. W kółko wyobrażała sobie Patrice i Maxine na jednej kanapie. Chciała – musiała – się dowiedzieć, co zdarzyło się dalej, ale kiedy mijał czas, dotarło do niej, że dziś się to po prostu nie uda. Musiała odebrać Frankiego ze szkoły.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na stojak skrywający *Dziwną porę*, a potem wyszła.

Przez resztę dnia – gdy spotkała się z Frankiem i szła z nim do domu, gdy odrabiała zadanie domowe, gdy razem z rodziną jadła kolację – była w stanie myśleć tylko o tej książce. Wiedziała, że to, co przeczytała w *Dziwnej porze*, było nie tylko gorszące, lecz także zboczone. Powinna czuć się brudna po samej tej lekturze; powinna czuć wstyd, że to ją podekscytowało.

Problem polegał na tym, że niczego takiego nie doświadczała. Miała wręcz wrażenie, jakby wreszcie złamała ostatnią część szyfru, nad którym głowiła się tak długo, że nawet już nie pamiętała, kiedy to się właściwie zaczęło. Przepełniała ją radość.

Kiedy weszła do łóżka, wyobrażała sobie dłonie Maxine powoli odpinające guziki z bluzki Patrice. Sama wsunęła sobie rękę pod koszulę nocną, gdzie poczuła pod palcami swoją ciepłą skórę. W ciszy i ciemności własnej sypialni słyszała dyskretne, lecz konsekwentne bicie serca – czuła też, jak przyspiesza. Wyobraziła sobie, jak bluzka zsuwa się z ramion Patrice, ukazując jej blade wzniesienia piersi. Całe jej ciało stało się gorące. Musiała skrzyżować nogi, by stłumić ból w centrum siebie.

Wyobrażała sobie, że Maxine i Patrice całują się tak, jak Marlon Brando całował Mary Murphy w *Dzikim*, którego wraz z Shirley oglądały potajemnie w lutym („Nie bądź taka porządnicka” – mruknęła Shirley, kiedy Lily się obawiała, że ktoś je przyłapie). Teraz jednak Marlon Brando zmienił się w wyobraźni Lily w Max ściskającą Patrice w ramionach. A kiedy ich usta się ze sobą zetknęły, Lily uniosła skraj koszulki i dotykała palcami miejsca między udami. Dotykała i dotykała, raz po raz...

– To na pewno tutaj? – zapytała Lily.

Adres podany przez Willa okazał się piwnicą na Stockton Street. Metalowe drzwi były przymocowane do balustrad, tak żeby się nie domykały. Schody za nimi prowadziły w dół – od chodnika do kolejnych drzwi, tyle że tym razem zamkniętych.

– Tu jest znak – wskazała Shirley.

Na kartce przychepionej do balustrady widniał napis po angielsku oraz chińsku. Lily rozumiała może połowę chińskich znaków, za to po angielsku było napisane: „Demokratyczna Liga Młodzieżowa Chińskich Amerykanów”.

Drzwi u stóp schodów gwałtownie się otworzyły i na stopniach pojawiła się nieznajoma młoda Chinka z grzywą krótko ściętych, kręconych włosów. Na widok Lily i Shirley zapytała po mandaryńsku:

– *Ni men shi lai can jia ju hui de ma?*[7]

Lily mówiła po kantońsku niemal płynnie, ale jej mandaryński był już dużo gorszy. Znała właściwie tylko kilka słów, co zawdzięczała ojcu, który posługiwał się tym językiem. Postanowiła odpowiedzieć po angielsku:

– Przyszliśmy się spotkać z Willem Chanem. Znasz go?

Dziewczyna zaraz się rozpromieniła.

– Już idę – oznajmiła po angielsku, choć z wyraźnym mandaryńskim akcentem. – Poszli załatwić samochód od brata. – Wyciągnęła rękę. – Edna Yang. Też idziecie na piknik?

Lily potrząsnęła jej dłonią na przywitanie. Uścisk Edny był mocny i poważny.

– Tak, też. Jestem Lily Hu.

– Shirley Lum – dodała Shirley i również ujęła dłoń Edny.

Za nią z piwnicy począł wychodzić gąszcz ludzi: dziewczęta w spódnicach i swetrach, chłopcy w chinosach i sportowych kurtkach, a wszyscy niosący schowane pod folią talerze i białe pudełka z ciastami obwiązane czerwoną wstążką.

Lily i Shirley odsunęły się na bok. Wejście do piwnicy przypominało cyrkowy samochód klauna, z którego wyłaniało się wciąż więcej i więcej klaunów.

Dźwięk klaksonu skupił uwagę Lily na ulicy, przy której wzdłuż rzędu innych aut przystanął zielony plymouth sedan. Z siedzenia pasażera wychylił się Will i do nich pomachał.

– Lily! Shirley! – wykrzyknął.

Z miejsca kierowcy wyskoczył jakiś młody mężczyzna, by otworzyć bagażnik. Lily poznała, że to brat Willa – Calvin. Will wysiadł, a grupa młodzieży zaczęła załadowywać wóz piknikowymi specjałami. Dyskutowali przy tym ze śmiechem, czy pudełka można ustawić jedno na drugim i czy napoje gazowane nie będą zbyt wstrząśnięte po podróży. Shirley zaoferowała, że może wziąć na kolana garnek z kurczakiem w sosie sojowym, żeby nic się po drodze nie rozlało. Kiedy w końcu udało im się zamknąć bagażnik, kierowca podszedł do pasażerów, a Will powiedział:

– Calvinie, pamiętasz Shirley i Lily...

Shirley wykonała ruch przypominający dygnięcie, ponieważ jej ręce były zajęte garnkiem.

– Jasne – odparł Calvin. Miał twarz łudząco podobną do twarzy Willa, ale szczuplejszą i dojrzałą. Uśmiechnął się do Shirley i zapytał: – Na pewno chcesz trzymać ten garnek?

Shirley zachichotała.

– Z przyjemnością.

Calvin nigdy nie robił szczególnego wrażenia na Lily, chociaż widziała go wystarczająco dużo razy, żeby go zapamiętać. Miał swoją paczkę o kilka lat starszą niż przyjaciele Lily i Shirley. Teraz studiował na lokalnym państwowym uniwersytecie, a Lily nie pamiętała, kiedy ostatnio go spotkała. Zauważyła wdzięczny uśmiech poślany mu przez Shirley, gdy pomagał jej usiąść z przodu i ostrożnie wręczył garnek. Kiedy zamknął drzwi, poklepał lekko dach, a potem zajrzał do środka ze swobodnym uśmiechem i oznajmił:

– Wszystko gotowe.

– Usiądziemy z tyłu – powiedział Will, otwierając drzwi przed Lily.

– A gdzie Hanson i Flora? – zapytała.

– Nie mogli przyjść – odparła Shirley. – Przykro mi, Will. Wsiadaj, Lily.

W jej lekkim tonie dało się słyszeć coś, co wzbudziło podejrzenia dziewczyny, ale Shirley zdążyła się już odwrócić.

– Lily? – odezwał się nagłaco Will.

– Tak, już. Przepraszam.

Wsiadła do samochodu, przesuając się po długim siedzeniu na swoje miejsce. Will usiadł obok. Siedząca z przodu Lily doskonale widziała Shirley i rozpoznawała jej uśmiech skierowany do Calvina. Uśmiechała się w ten sposób, gdy chciała komuś zaimponować. Wtedy Lily zrozumiała, dlaczego Shirley tak naprawdę chciała dotrzeć na ten piknik.

Zaparkowali przy głównej drodze w parku Golden Gate nieopodal szklarni. Calvin uprzejmie zaoferował, że sam poniesie garnek, aby Shirley mogła wziąć koc. Lily i Will poszli za nimi obciążeni torbami i pudełkami. Wybrali kawałek zieleni, na którym mogli rozłożyć rzeczy, obciążając skraje koca garnkiem, koszykiem z naczyń i sztućcami oraz dwiema butelkami z napojami.

Dzień był piękny, bezwietrzny i ciepły, a na niebie nie dało się dostrzec żadnej chmury. Shirley szybko zdjęła różowy kardigan, ukazując bezrękawnik w tym samym kolorze. Lily zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie widziała tego zestawu – podobnie jak jasnoniebieskich rybaczek w kratkę, które tego dnia przyjaciółka również miała na sobie. Shirley zawsze starannie dobierała ubrania, ale dzisiaj – jak sądziła Lily – wyjątkowo się postarała. Założyła też klipsy z różowymi kwiatkami i kryształowymi środkami mieniącymi się w blasku słońca, a jej włosy były zaczesane tak, by uwypuklać ozdobę.

Lily nie miała nawet kiedy zapytać Shirley o ten nowy strój, ponieważ Calvin i Will ciągle kursowali od i do samochodu z kolejnymi piknikowymi zapasami, a Shirley niczym hostessa

ustawiała lub przestawiała naczynia i serwetki albo prosiła Calvina, by otworzył którąś z butelek. W końcu dotarł także busik z pozostałymi członkami grupy. Rozłożyli się z pudełkami słodkości oraz długą sportową torbą ze sprzętem do siatkówki. Kiedy już się zebrali, Lily naliczyła jakieś dwa tuziny ludzi – mniej więcej po równo dziewcząt i chłopców – niemal sami studenci, chociaż kilkoro wciąż chodziło do szkoły średniej. Studenci wydali jej się o wiele starsi. Byli do niej przyjaźnie nastawieni, ale traktowali ją jak młodszą siostrę. Część z nich mówiła po mandaryńsku, co było niespotykane w Chinatown, gdzie większość ludzi porozumiewała się, używając kantońskiego. Wkrótce Lily dowiedziała się, że ci mówiący po mandaryńsku to studenci z Chin, którzy nie mogli wrócić do ojczyzny z powodu obecnej sytuacji politycznej. Ci ludzie zainteresowali dziewczynę. Ubierali się jak Amerykanie, ale było w nich coś dyskretnie obcego: w tym, jak się zachowywali. Może nie nieamerykańskiego, ale mniej amerykańskiego. Chciała zapytać, czy ktoś z nich jest z Szang-haju, ale była na to zbyt nieśmiała – czuła się niewystarczająco chińska – a poza tym zabrali się za jedzenie.

Wszyscy jedli kurczaka, ostrzegając się wzajemnie, że sos sojowy przecieknie przez papierowy talerzyk, jeśli szybko nie zjedzą tego, co sobie nałożyli. W garnku znajdowały się też jajka na twardo marynowane na głęboki brąz. Lily wyłowiła jedno z nich, rozcięła je na pół i podzieliła się z Shirley. Sama zjadła swoje na dwa razy, a potem sięgnęła po udko z kurczaka, które spożywała już mniej zachłannie. Wreszcie odłożyła kość do papierowego worka na śmieci.

Białe pudełka skrywały w sobie ciasta kupione w piekarni z Chinatown: kulki z sezamem i tarty z jajkiem, a także około tuzina miękkich bułeczek z grillowaną wieprzowiną, które podzielili tak, by każdy dostał kawałek. Jedna z dziewczyn przygotowała sporo pierożków, które nazywała *chiao-tzu*, nadziewanych siekaną wieprzowiną i kapustą pekińską. Lily zanurzyła swoje pałeczki w resztkach sosu z udka i oblizła palce, by nie umknęła jej ani kropelka.

Najedzona i senna położyła się na trawie i osłoniła ręką oczy przed słońcem. Pogrążała się w drzemce, czując się przy tym tak, jakby zapadała się powoli w ciepły grunt. Głosy ludzi stawały się coraz odleglejsze. Ktoś wspominał o tym, jak to Chiny zacierają ku przyszłości, a Lily wyobraziła sobie Chińczyka w skafandrze astronauty, z twarzą rozmytą pod hełmem, stojącego na czerwonej planecie. Za nim wyrastała armia identycznych zdobywców kosmosu: setki, tysiące Chińczyków. Mężczyzna na przedzie uniósł czerwoną flagę Republiki Chińskiej, której pięć złotych gwiazdek wtapiało się w marsjański krajobraz.

Musiła przysnąć, bo kiedy się obudziła i zamrugała, patrząc na lazuruwe niebo nad głową, była na piknikowym kocu zupełnie sama. Gdzieś nieopodal słyszała jednak śmiech i odgłos odbijanej piłki do siatkówki. Przewróciła się na bok, a zielone ostrza źdźbeł trawy połaskotały ją w policzek. Siatkę do gry rozciągnięto między dwoma słupkami, a grupa podzieliła się na dwa zespoły, choć część osób obserwowała jedynie rozgrywkę z boku.

Lily docisnęła głowę do ramienia, żeby znaleźć wygodniejszą pozycję – wciąż nie wstała. Shirley brała z kolei udział w grze, co nie zdarzało się zbyt często. Kiedy były małe, Shirley zawsze dobrze sobie radziła w rozgrywkach sportowych; do drużyny na WF-ie wybierano ją jako pierwszą, dominowała też w koszykówce, kiedy grały na boisku za Cameron House. Minęło jednak wiele czasu, odkąd Lily ostatni raz widziała, jak Shirley popisuje się kondycją. Teraz widziała przyjaciółkę stojącą z lekko ugiętymi kolanami, złączonymi dłońmi i wzrokiem śledzącym lot piłki. Ta wylądowała na graczku stojącym za nią, który odbił ją rękoma, a potem Shirley wyskoczyła, wyciągnęła ramię i sięciła przez siatkę. Piłka wylądowała na ziemi między dwoma zawodnikami przeciwnej drużyny.

Grupa Shirley zaczęła wiwatować, a Calvin podbiegł do dziewczyny i poklepał ją po plecach.

Gdyby jego dłoń pozostała na jej ciele dłużej, niżby wypadało, nie zauważyłby tego nikt prócz samej Shirley – i prócz Lily, która spostrzegła, jak przyjaciółka podsuwa się pod jego rękę i unosi głowę, uśmiechając się do chłopaka.

– Lubisz go, co nie? – zapytała Lily, kiedy razem z Shirley wracały do domu ze Stockton Street. Shirley, która zawsze zgrywała opanowaną, nie mogła powstrzymać rumieńca wstępującego na jej policzki.

– Wszyscy byli naprawdę mili.

Lily zaczęła się śmiać.

– Jasne. Wszyscy. Ale Calvin był dla ciebie szczególnie miły.

Shirley potrząsnęła głową.

– Nie wiem, o czym mówisz – oznajmiła hardo. – Zauważyłam, że Will był szczególnie miły dla ciebie.

– Co? Will był... był po prostu sobą.

Shirley spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzaniem. Ta zmarszczyła brwi.

– Był miły. Jak zwykle. Dlaczego zawsze doszukujesz się czegoś, czego nie ma?

– Dlaczego nigdy nie widzisz tego, co jest? Czasem jesteś tak ślepa... Jeśli nie zaczniesz bardziej zwracać uwagi na szczegóły, nigdy nie znajdziesz sobie chłopaka.

Lily omal nie odpowiedziała: „Nie chcę mieć chłopaka”, ale zdążyła się powstrzymać. Zamiast tego oznajmiła:

– Rodzice nie pozwolą mi go mieć, dopóki nie pójde na studia. Więc to i tak bez znaczenia.

Zauważyły koleżankę, Mary Kwok, idącą ulicą, więc szybko porzuciły ten temat. Później jednak

– już wieczorem, gdy Lily weszła do łóżka – dotarło do niej, że Shirley skutecznie odciągnęła ją od pierwotnego tematu: jej zainteresowania Calvinem. Dziwne, że przyjaciółka nie chciała o tym rozmawiać, choć prawdę mówiąc, cały ten dzień był dziwny. Przede wszystkim spędziły go z dwoma tuzinami nieznajomych. Lily i Shirley miały tę samą paczkę, odkąd Lily sięgała pamięcią. Chociaż w szkole wciąż pojawiali się nowi imigranci z Chin, odsyłano ich na zajęcia amerykańizujące, przez co nie stykały się zbyt często z chińskimi dziećmi urodzonymi w Stanach. A teraz Lily po raz pierwszy spędziła tyle czasu ze studentami. Nie mogła uwierzyć, że za niespełna rok sama do nich dołączy. Ich życie wydawało się zupełnie inne od jej doświadczeń, bardziej swobodne, ale też wypełnione większymi obowiązkami. Lily zauważyła, że Shirley stale wtrącała się do rozmów prowadzonych przez studentów podczas gry w siatkówkę. Była czarująca, i to w sposób, jakiego zazwyczaj nie prezentowała. Utrzymała na wodzy swoje skłonności do rządzenia się i odgrywała rolę skromnej, radosnej dziewczyny.

Oczywiście wszystko to uleciało, kiedy tylko pożegnały się z Willem i Calvinem na Stockton Street. „Czasem bywasz taka ślepa” – powiedziała wówczas. To zdenerwowało Lily, a teraz irytacja zmieniła się w złość na to, jak Shirley ją postrzegała – albo jak jej nie postrzegała.

Tego wieczoru koldra wydawała jej się gorąca i szorstka, więc postanowiła ją z siebie zrzucić, uwalniając w ten sposób nogi. Otworzyła okienko w pokoju, ale powietrze wciąż pozostawało w bezruchu. Słyszała odgłosy miasta napływające zza okna: silniki samochodów pnących się po wzgórzach i z nich zjeżdżających, czyjś odległy śmiech. Przewróciła poduszkę na chłodną stronę i zastanawiała się, czy Shirley miała rację, mówiąc o Willu.

Przywołała w pamięci obraz jego twarzy, ale nie poczuła nic szczególnego. Próbowала sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby go pocałowała, ale ten pomysł wydał jej się lekko żenujący i dziwnie odpychający. Przecież dla niej był on po prostu starym, dobrym Willem ze szkoły Commodore Stockton, przemiłym chłopakiem, który niegdyś chciał zostać koszykarzem, a teraz

marzył o zawodzie prawnika. Zaraz po tej myśli zaczęła sobie wyobrażać, jak ten wrzuca piłkę do kosza na boisku przed Cameron House.

Raz, dwa, trzy, cztery.

W końcu usnęła.

[7] „Przyszłyście na piknik?” (oryg. „你們是來參加聚會的嗎?”) (przyp. aut.).

W poniedziałek Shirley wydawała się w szkole bardziej zamyślona niż zwykle, jakby musiała się stale przywoływać do prozaicznej rzeczywistości z o wiele ciekawszego miejsca w wyobraźni.

We wtorek, kiedy Lily w końcu zwróciła jej na to uwagę, ta odparła:

– Nie bądź głupia. Po prostu jestem zajęta. Bal jesienny zbliża się wielkimi krokami, a mój komitet balowy ma jeszcze sporo rzeczy do zrobienia. Fajnie by było, gdybyś dołączyła. Mielibyśmy z ciebie pożytek.

– Mam w tym semestrze sporo zadań domowych z matematyki – odparła Lily.

– Typowe – burknęła Shirley, chociaż brzmiała bardziej na rozbawioną niż poirytowaną.

W środę po lekcjach Lily została w szkole, by skorzystać z biblioteki. Chciała się przyjrzeć rakiecie V-2, którą Arthur C. Clarke wspominał w *Na podbój przestrzeni*. Kiedy wychodziła, przy gablocie z pucharami wpadła na Willa.

– Jestem zdziwiona, że nadal tu siedzisz – powiedziała. O tej godzinie większość szkolnego rozgardiaszu już ucichła, a korytarze w większości zdążyły opustoszeć.

– Miałem kółko naukowe, ale cieszę się, że cię widzę – odparł. – Chciałem z tobą porozmawiać.

– O czym?

Wydawał się zdenerwowany. Poprawił pasek tornistra na ramieniu.

– Słyszałaś o tym jesiennym balu, którym zajmuje się Shirley...

Kiedy urwał i uciekł wzrokiem, poczuła zdumienie.

– Tak, a co? Przysłała cię, abyś mnie przekonał, żebym dołączyła do komitetu?

– Nie, to... – Schował się w cieniu gabloty z pucharami i złapał dziewczynę za łokieć, po czym pociągnął ją w swoją stronę. – Lily... – dodał nieobecny głosem.

Zrozumiała, że teraz zaprosi ją na bal. Zanim zdążył się odezwać, dopadło ją przerażenie.

– Lily – spróbował ponownie. – Zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś może pójść ze mną na bal. Jako moja partnerka.

A potem, jakby tego było mało, spojrzął jej prosto w oczy – dostrzegła w nim ogrom nadziei.

– Ojej – oznajmiła, a potem odebrało jej mowę.

Musiała odwrócić wzrok. Nad jego ramieniem zobaczyła ustawione w rzędzie baseballowe puchary. Każdy z miniaturowych chłopców z brązu miał uniesiony kij, gotów do odbicia piłki, która nigdy nie nadlatywała. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch przy drzwiach sali – to chyba chłopcy siadali ciężko na krzesłach. Sala należała do pana Wrighta, jeśli dobrze rozumiała, i to

on prowadził kółko naukowe.

– Lily? – zapytał Will po raz kolejny. Musiała mu odpowiedzieć. Jakiś głos w jej głowie, brząca potwornie niczym Shirley, zapytał: „A co ci szkodzi z nim pójść?”, ale nie mogła się zdobyć na potwierdzenie. Słowa, niczym rybia ość, utknęły jej w gardle i uparcie drapały.

– Nie wolno mi... – zaczęła, ale zaraz jej przerwał:

– Będzie cała nasza grupa. Flora, Hanson i kilka innych osób. Nie wiem jeszcze, kto dokładnie. Przed balem idziemy na specjalną kolację do Cameron House.

– Cała grupa? – Uczepiła się tego słowa. Skoro mowa o grupie, nie będzie to prawdziwa randka.

– Tak, ale same pary. Miałem nadzieję, że ty będziesz moją partnerką.

Ścisnęło ją w żołądku. Był blisko niej, patrzył z przejęciem na jej twarz, a ona dokładała wszelkich starań, by nie zdradzić się miną. Zrobiła krok w tył.

– P-przepraszam... na chwilę. Muszę... muszę do toalety. Przepraszam!

Odwróciła się i od niego odeszła, starając się nie biec.

– Wszystko w porządku? – zawołał za nią.

– Przepraszam! – odrzyknęła i przyspieszyła kroku. Tornister boleśnie obijał się o jej biodro. Toaleta dla dziewcząt znajdowała się na końcu korytarza, za rogiem, i jeszcze nigdy nie wydawała jej się równie odległa. Kiedy w końcu do niej dotarła, wbiegła do środka, dopadła kabiny i oparła czoło o zamknięte drzwi. Drewno przyjemnie chłodziło jej zarumienioną skórę, a krew pulsowała w skroniach – potarła je, by obniżyć napięcie.

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do sąsiedniej kabiny. Zamarła. Pod ścianką działową dostrzegła czubki białobrązowych dziewczęcych oxfordów. Domyślała się, że to oznacza, iż dziewczyna także widzi jej stopy, a biorąc pod uwagę fakt, gdzie stała, nie mogła korzystać z toalety.

Odwiesiła tornister na hak za drzwiami i przycupnęła na skraju muszli, uznając, że poczeka, aż tamta skończy. Wydawało się, że trwa to całe wieki, ale w końcu rozległ się odgłos spuszczonej wody. Drzwi kabiny obok gwałtownie się otworzyły, a dziewczyna poszła umyć ręce.

W tej samej chwili tornister zsunął się z haczyka. Ułamek sekundy trwał teraz w nieskończoność – haczyk nie był dobrze przymocowany do drzwi, a ramię tornistra tylko częściowo go oplatało, więc waga książek pociągnęła wszystko w dół. Torba spadła na białoczarne płytki, otworzył się zeszyt od matematyki, a za nim książka Clarke’a. Wyleciały z niej trzy skrawki papieru. Dostrzegła zdjęcie Tommy Andrews tuż przed tym, jak znalazło się poza obszarem jej wzroku za drzwiami kabiny.

Lily usłyszała dźwięk kroków stawianych na podłodze toalety. Nagle się zatrzymały. Papier zaszeleścił. Chwilę później jakaś dziewczyna zapytała:

– Lily? To ty?

Ta zamarła. Skąd ta dziewczyna ją знаła? Głos brzmiał znajomo, ale nie umiała go z nikim połączyć.

– Lily? Wszystko w porządku?

– Tak, przepraszam – odparła, a serce waliło jej jak szalone. Pochyliła się, by pozbierać rzeczy, ale wypadło ich jeszcze więcej: piórniki, podręcznik do matematyki, zeszyt z planów i celów oraz podpaska, która ślizgiem poleciała po podłodze.

Otworzyła drzwi kabiny. Pośrodku łazienki stała Kathleen Miller ze zdjęciem Tommy Andrews w jednej dłoni i zeszytem od matematyki w drugiej. Okładka tego drugiego była podpisana nazwiskiem jego właścicielki – jej przyjemnym, pochyłym pismem.

– Moja... moja torba spadła – powiedziała Lily. Zaczęła pospiesznie zbierać rzeczy, zaczynając od pozostałych wycinków, które leżały między jej kabiną a stopami Kathleen.

Dziewczyna zaczęła jej pomagać i schyliła się po ołówek, który wpadł pod umywalkę. Zebrała

także zeszyty, gdy Lily akurat podnosiła podpaszkę. Lily wcisnęła wszystko do tornistra, wygładziła go i wyciągnęła rękę po wycinek, który Kathleen wciąż trzymała w dłoni. Słowa „kobieta w męskim przebraniu” zdawały się teraz krzyczeć pogrubionymi czarnymi literami.

– To... używałam tego jako zakładki – powiedziała Lily, po czym się zaczerwieniła.

Kathleen nie paliła się do oddania zdjęcia. Miała dziwną minę, ale po dłuższej chwili pełnej napięcia – w czasie której Lily zaczęła się bać, że Kathleen wie, co to za reklama – dziewczyna oddała je bez słowa. Lily odkopła książkę Clarke’a i szybko wsunęła wycinek pomiędzy jej strony.

Ktoś zapukał do drzwi, przez które rozbrzmiał głos Willa:

– Lily? Jesteś tam? Wszystko w porządku?

Lily w przerażeniu spojrzała na zamknięte drzwi.

– Źle się czujesz? – zapytała zaniepokojona Kathleen. – Nie wyglądasz najlepiej.

Dziewczyna próbowała zamknąć tornister.

– Zaprosił mnie... zaprosił na bal – powiedziała cicho, w nadziei że Will jej nie usłyszy. Wciąż walczyła z zamknięciem torby. – Oczekuje odpowiedzi, a ja... nie mogę.

Tornister się otworzył i ujawnił swoją zawartość.

Twarz Kathleen pojaśniała. Dziewczyna skinęła pospiesznie głową i zaproponowała:

– Powiem mu, że nie czujesz się najlepiej. Nie musisz mu przecież od razu odpowiadać.

To nie było pytanie. Spokojna pewność w głosie Kathleen sprawiła, że Lily nagle ulżyło.

– Nie muszę – przytaknęła.

Kathleen natychmiast opuściła toaletę i poszła porozmawiać z Willem. Lily była zbyt zaskoczona, by ją powstrzymać. Kiedy koleżanka chwilę później wróciła, miała zacięty wyraz twarzy.

– Co się stało? – zapytała Lily.

– Powiedziałam mu, że masz... no wiesz, kobiece problemy. – Kathleen się dyskretnie uśmiechnęła. – Nic więcej nie chciał słyszeć.

Lily wiedziała, że powinno ją zawstydzić to, co Kathleen powiedziała Willowi, ale zamiast tego zachciało jej się śmiać.

– O rany! Dziękuję.

– Nie ma za co. – Kathleen znowu miała tę zaciętą minę. – Wiesz, widziałam już Tommy Andrews.

Wypowiedziała te słowa miękko, ale w uszach Lily zabrzmiały jak fajerwerki.

– Że co?

– Tommy Andrews. Już ją widziałam. – Twarz Kathleen lekko się zarumieniła. – W Telegraph Club. – Stężała i wbiła wzrok w podłogę, dodając: – Poszliśmy tam latem z Jean, moją przyjaciółką.

W łazience zapadła taka cisza, że Lily usłyszała kapiącą wodę z kranu po lewej stronie, ciche *kap-kap* uderzające w porcelanę. Kathleen podniosła wzrok w poszukiwaniu jej oczu. Wtedy Lily zrozumiała, co koleżanka jej daje – początek.

Woda kapnęła raz jeszcze. Pytanie zatrzymało się na końcu języka, związane paralizującym poczuciem, że są o krok od porozumienia. Nie umiała tego ująć w słowa.

Nieco rozczarowana Kathleen w końcu poinformowała:

– Muszę iść do domu. Będę się opiekować dzieckiem.

Ruszyła w stronę drzwi.

– Zaczekaj – powiedziała Lily. Szansa wyślizgiwała jej się z rąk, a ona nie mogła do tego dopuścić. W końcu udało jej się zamknąć tornister, przerzucić go przez ramię i oprzeć na biodrze.

– Pójdę z tobą. To znaczy, mogę cię odprowadzić?

Zaskoczona Kathleen odwróciła się z uśmiechem.

– Jasne.

Kathleen mieszkała w North Beach, niedaleko Washington Square. Ze strony matki była półkrwi Włoszką i katoliczką; miała troje rodzeństwa: jedno starsze, dwoje młodszych. Przez większość dni po szkole musiała się zajmować młodszymi – bratem i siostrą – chociaż siostra miała dwanaście lat i mogła już bez problemu radzić sobie sama. O rodzeństwie mówiła z mieszkanką irytacji i miłości, co Lily uznała za ujmujące. Kiedy szły razem przez Columbus Avenue, rozmawiając o rodzinach i zajęciach z matematyki, Lily się zastanawiała, czemu nie poznała Kathleen wcześniej. Od lat chodziły na te same lekcje, ale zachowywały się jak zautomatyzowane figurki w dioramie poruszające się po wytyczonych ścieżkach – zbliżały się do siebie, ale nigdy się ze sobą nie zetknęły. Aż do teraz. Dzisiaj opuściły swoje wyznaczone tory, a Lily miała doskonałą świadomość faktu, jak bezprecedensową rzeczą jest ta bliskość.

Na rogu Columbus i Filbert Street, gdzie park Washington Square zajmował ogromną zieloną połąć dzielnicy North Beach, Kathleen poinformowała:

– Tutaj skręcam.

Zatrzymały się na skrzyżowaniu. Lily zaczęła rozważać, czy to właśnie ta chwila, w której będzie chciała wypowiedzieć wciąż tkwiące w jej gardle niezadane pytanie. Ale nie, Kathleen poszła dalej, a Lily szybko rzuciła:

– Dziękuję. Dziękuję, że pomogłaś mi z Willem.

– Nie ma za co. – Dziewczyna na chwilę zamilkła, po czym zapytała: – Czy mogłabyś... mówić do mnie Kath? Dla przyjaciół jestem Kath, nie Kathleen.

Wydawała się nieco speszona; coś nieśmiałego przemknęło przez jej twarz, teraz mającą najjaśniejszy odcień różu. Lily zauważyła, że jej policzki miały teraz ten sam kolor co usta: delikatnie zaróżowiony jak peonia.

– Jasne – odpowiedziała. – Do zobaczenia w szkole, Kath.

Kiedy się rozdzieliły, Kath poszła na wschód, w stronę gotyckich wież kościoła Świętych Piotra i Pawła, a Lily ruszyła na południe ku Chinatown. Słowo „przyjaciele” rozbrzmiewało w jej głowie echem niczym woda kapiąca do zlewu w toalecie.

– Coś ty zrobiła? – zapytała Shirley wyczekującym odpowiedzi szeptem. Dopadła Lily przy szafce w czasie tych dziesięciu minut między końcem lekcji a początkiem zebrania szkolnej rady.

– Will jest strasznie spięty na każdą wzmiankę o balu. Zaprosił cię?

Po tamtym popołudniu przy pucharach Will unikał bycia z Lily sam na sam, a kiedy spotykali się w gronie innych, starał się nie patrzeć jej w oczy. Ucieszył ją ten dystans, ponieważ sprawiał, że nie musiała udzielać mu odpowiedzi. Rozczarowało ją jednak to, że Shirley to zauważyła.

– Nic nie zrobiłam – oznajmiła dość ostro. – Ale tak, zaprosił mnie.

– Co odpowiedziałas? Nie odmówiłaś mu, prawda? – Shirley brzmiała na przejętą.

Lily westchnęła.

– Nic nie powiedziałam. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

Shirley uniosła brwi.

– Tak! Powinnaś była odpowiedzieć, że tak.

– Ale ja nie... Dlaczego nie możemy iść całą paczką jak zwykle? Powiedział, że przed balem odbędzie się wspólna kolacja całej naszej grupy w Cameron House. Wybierasz się?

– Nie, będę musiała być w szkole trochę wcześniej, żeby wszystko przygotować. Powinnaś z nim pójść.

Za plecami Shirley Lily dostrzegła Kath stojącą przy drzwiach wejściowych. Zaczęły razem chodzić do domu, ale podczas zajęć w szkole zachowywały się tak, jakby praktycznie się nie znały. Nie omawiały tej strategii. Wypadło to na tyle naturalnie, że dopiero teraz, kiedy Shirley naciskała na nią w sprawie Willa, Lily zdała sobie sprawę, jakie to dziwne.

– Nie lubisz go? – zapytała zdumiona Shirley. – Bylibyście świetną parą. Wiem, że jesteś nieśmiała w tych sprawach. Chcesz, żebym to ja z nim o tym porozmawiała?

Lily nie była w stanie określić, czy Shirley jest dla niej miła, czy pobłażliwa. Zapewne jedno i drugie.

– Nie, nie rozmawiaj z nim – powiedziała. Widziała, jak Kath zajmuje miejsce na ławce obok sekretariatu i wyraźnie na nią czeka.

– W takim razie ty z nim pomów – odparła Shirley. – To nie w porządku kazać mu tak czekać na odpowiedź. – Spojrzała na zegarek i dodała: – Muszę już iść. Porozmawiaj z nim, Lily.

Pospieszyła korytarzem w stronę sali, gdzie właśnie zbierała się rada.

Lily skończyła pakować tornister i podeszła do Kath, która na jej widok od razu wstała.

– Co się dzieje? – zapytała Kath, kiedy razem wyszły z budynku. – Masz ponurą minę.
– Nic takiego. – Lily nie chciała mówić o Willu, nie chciała o nim nawet myśleć. To sprawiało, że było jej nieprzyjemnie, jakby źle się czuła we własnej skórze. – Musisz się dziś opiekować rodzeństwem?

– Nie tak od razu. Teraz są u naszej *nonny*. Wiesz, babci. Muszę je odebrać dopiero za kilka godzin.

– Poróbmy coś – zaproponowała spontanicznie Lily. Nad ich głowami rozciągało się lazuruwe niebo, a zapach pobliskiego oceanu pobudzał ją do działania. Musiała się oderwać od myśli o tamtej rozmowie z Shirley.

– Co chcesz zrobić? – zapytała Kath. Wydawała się rozbawiona. – Nie musisz dziś odebrać Frankiego?

Lily niemal zapomniała o własnych planach. Jęknęła, spojrzawszy na zegarek.

– Tak, ale jeszcze nie teraz. Nie, jeśli się pospieszymy. Chodźmy na lody.

– Dokąd?

Omówiły dostępne opcje, idąc przez Francisco Street i w dół Leavenworth, aż wreszcie zdecydowały się na lodziarnię Ciros w parku przy Washington Square, ponieważ Kath zarzekła się, że mają tam najlepsze włoskie smaki. Kiedy dotarły na miejsce, park był pełen młodych matek pchających wózki spacerowe z niemowlętami, starszych panów w fedorach na głowie przysypiających na ławkach i dzieci ganiających się wzajemnie z kapiącymi na trawę rożkami lodów w ręku.

W Ciros lada ze stali nierdzewnej i szkła zajmowała jakąś połowę niewielkiej przestrzeni, a dwóch Włochów w białych fartuchach oraz czepkach robiło świetny interes na matczy-no-dziecięcej grupie. Za szkłem znajdowały się galony czekolady i wanilii, truskawek i mięty, a także długie kanciaste koryta lodów o smakach, których Lily nigdy wcześniej nie próbowała: *bacio* i orzech laskowy, *stracciatella* i *fior di latte*. Po prawej stronie znajdowała się tęczna pastelowych sorbetów: żółć cytryny, pomarańcz mandarynki i jasna zieleń limonki.

Lily poradziła się Kath i postanowiła wziąć dwie gałki sorbetów w kubeczku: truskawkowy i cytrynowy. Kath z kolei wzięła orzech laskowy w rożku. Z lodami wróciły do parku, gdzie znalazły pusty pas zieleni pod drzewem. Lily jadła sorbet drewnianą łyżeczką, a Kath lizała rożek, wydając przy tym siorbiące dźwięki, które wyraźnie je obie rozbawiały.

– Nigdy wcześniej nie jadłam *sorbetti* – przyznała Lily, starannie wymawiając nieznane sobie słowo. – W Chinatown też jest lodziarnia, Fong Fong’s. Mają tam lody imbirowe, moje ulubione.

– Imbirowe! Jak smakują?

– Są pyszne. Mają w sobie kawałki kandyzowanego imbiru. Powinnaś kiedyś tam ze mną wpaść i ich spróbować.

Kiedy Kath dojadła rożek, oparła się na łokciach i wyciągnęła nogi do słońca. Jej golenie były obnażone między skrajem spódnicy a krótkimi białymi skarpetkami.

– Pewnie, wpadnę!

Wtem w oddali rozległ się wyraźny warkot, a Lily dostrzegła, że Kath spogląda w niebo. Na jej twarzy pojawił się tęskny uśmiech. Lily śledziła jej wzrok skierowany ku górze, aż zauważyła fruujący nad ich głowami samolot.

– Siedziałaś w samolocie tylko raz? – zapytała.

– Tak. Ale byłam kilka razy na lotnisku w Oakland z kuzynką. W czasie wojny była „osą”, a potem przez jakiś czas pracowała jako mechanik samolotowy.

– Naprawdę? – Lily przypomniał się artykuł we „Flying” o dwóch kobietach z własnym lotniskiem. – Nadal to robi?

Kath zabawnie się skrzywiła.

– Nie, wyszła za mąż i przeniosła się do Mountain View. Teraz ma dzieci i nie ma już czasu na latanie. Moim zdaniem to kiepski interes.

Lily zaczęła się śmiać.

– Rozumiem, że ty nie wyszłabyś za mąż i nie przeprowadziłabyś się do Mountain View?

– Żartujesz sobie? Jak tylko zrobię licencję pilota, nigdy tego nie porzucę. Leciałam zaledwie raz, ale to było najlepsze, co mi się w życiu przytrafiło.

– Dlaczego? – zapytała z zaciekawieniem Lily.

Kath się poprawiła i spojrzała jej w oczy.

– Zastanawiałaś się kiedyś, jak by to było, gdyby nic nie trzymało cię przy ziemi? Kiedy startowaliśmy, samolot toczył się po pasie na kółkach, wiesz? Czułam każdą nierówność, każde szarpnięcie. Jechał coraz szybciej i szybciej, a potem nagle... nie było nic. – Kath pstryknęła palcami; ekscytacja związana z tym wspomnieniem wywołała rumieńce na jej twarzy. – Koła odrywają się od ziemi, a wtedy już kompletnie nic nie czujesz. Żadnych szarpnięć. Wszystko jest idealnie gładkie. Czujesz się jak... jak ptak! Nic cię nie trzyma przy gruncie. Szybujesz. Latasz! Ziemia się od ciebie oddala, ty wyglądasz przez okno i wszystko jest coraz dalej i dalej, nie ma już żadnego znaczenia. Jesteś w powietrzu. Wszystko inne zostawiasz na dole, a na górze jesteś tylko ty i wiatr.

Lily była poruszona wyrazem twarzy Kate – czystą radością jej wspomnienia i tęsknotą za kolejnym lotem.

– To brzmi... niesamowicie – przyznała cicho.

Kath nagle wróciła do siebie i nieśmiało ukryła twarz przed spojrzeniem koleżanki, zrywając źdźbła trawy.

– Przepraszam, nie chciałam, żeby mnie tak poniosło. Brat zawsze mówi, że za dużo gadam o samolotach.

– Nie – pospieszyła z zapewnieniami Lily. – Wcale nie. Uwielbiam o tym słuchać. Możesz mi o nich opowiadać, kiedy tylko masz na to ochotę.

Kath się uśmiechnęła i znacząco wzruszyła ramionami.

– Uważaj, bo możesz żałować, że to powiedziałaś.

– Na pewno tak nie będzie.

Spojrzały na siebie: Kath z tym swoim nieśmiałym półuśmiechem i Lily z całą powagą. Nagle pojawiło się między nimi doświadczenie otwartości, lotne uczucie, jakby tu i teraz uniosły się nad ziemię. Potem jednak Kath się zarumieniła i odwróciła wzrok, Lily zaś ogarnęła fala zakłopotania. Przekierowała wzrok na skraj parku, gdzie przechodnie wędrowali wokół trawy. Dzieci biegły tu zaraz przed matkami, ale w pobliżu dojrzała też kilka par. Z całą mocą zdawała sobie sprawę, jak mocno wali jej serce i jak łapie powietrze przy każdym oddechu.

Grupa czterech młodych kobiet – prawdopodobnie będących lekko po dwudziestce – przywędrowała tu zaraz za dziewczynami: dwie z nich były w spodniach, a kolejne dwie spacerowały, idąc ramię w ramię obok siebie. Trójka białych i najprawdopodobniej Meksykanka. Jedna z dziewczyn w spodniach chodziła w dziwnie jowialny sposób: z dłońmi w kieszeniach i oczami skrytymi za szklami okularów przeciwsłonecznych. Kobieta za nią – ta ciemniejsza, z głową pełną lśniących czarnych loczków – spoglądała na nią z zadowoleniem, ale Lily nie umiała stwierdzić, czy to samozadowolenie, czy podziw dla towarzyszki. A potem objęła koleżankę ramieniem i ich biodra miękko się o siebie otarły. Kobieta w okularach odwróciła głowę i figlarnie się uśmiechnęła – ten uśmiech uderzył Lily swą śmiałością. Przecież były w miejscu publicznym!

Lily dyskretnie spojrzała na koleżankę, by sprawdzić, czy ta również to zauważyła. Kath chyba też przyglądała się dziewczynom, a w łagodnym wyrazie jej twarzy było coś teatralnego. Lily

zastanawiała się, czy teraz w końcu porozmawiają o Telegraph Club, ale Kath wyglądała na zadowoloną z milczenia. Czy w tej ciszy było coś znaczącego?

Lily nagle poczuła się tak, jakby wycinki z gazet i wyznanie Kath dotyczące tego, że była w klubie, połączyły je ze sobą – od czasu do czasu zdawało jej się nawet, że słyszy, jak ten niewidzialny łańcuch pobrzękuje niczym srebro dzwoniące o szkło: cicho, echem. Czy Kath też to słyszała? Jak mogłaby nie słyszeć?

Mimo to Lily nie mogła się zdobyć na rozmowę na ten temat. Bo co niby miałyby powiedzieć?

Ta chwila znów jej się wymykała. Patrzyła, jak cztery kobiety odchodzą za róg ulicy, a kiedy zniknęły, poczuła się tak, jakby właśnie coś utraciła.

– Powinnam już wracać – powiedziała.

– Ja też – odparła Kath.

Lily wstała z ziemi i podała swoją rękę Kath. Ta przez chwilę się wahała, ale ostatecznie dała sobie pomoc. Jej dłoń była chłodniejsza, niż się spodziewała. Przez sekundę, może dwie, trzymały się w ten sposób, aż Lily poczuła nagły przyływ gorąca, a wtedy Kath puściła jej dłoń.

Odezwały się w tej samej chwili:

– Do zobaczenia jutro.

– To cześć – dodała Kath.

Lily odwróciła się i ruszyła w stronę Columbus Avenue, nie pozwalając sobie na spojrzenie w tył, choć bardzo tego pragnęła.

Na skrzyżowaniu Broadway i Columbus Avenue Lily zauważyła neon Thrifty po drugiej stronie ulicy. Zaczęła się zastanawiać, czy nadal jest tam jej powieść. Ostatnim razem, kiedy tam zaszła, doczytała ją niemal do końca, ale musiała wówczas wyjść, a teraz bardzo chciała się dowiedzieć, co było dalej. Zerknęła na zegarek. Światło akurat zmieniło kolor na zielony, a ona była w połowie drogi przez ulicę, gdy w końcu poddała się impulsowi i pobiegła najszybciej, jak umiała, by mieć jak najwięcej czasu na lekturę.

Była niemal na miejscu – kilka metrów, nie więcej – kiedy spostrzegła zmierzającą w stronę apteki znajomą matki z Chińskiego Szpitala, panią Mok. Kobieta miała na twarzy grymas przepełniony niepokojem, a do Thrifty wpadła tak gwałtownie, jakby też ścigała się z czasem. Nie zauważyła Lily.

Dziewczyna westchnęła z rozczarowaniem, po czym zawróciła na Grant Avenue. Spojrzała na zegarek. Wciąż było zbyt wcześnie na odebranie Frankiego, więc postanowiła pójść najpierw do domu. Być może pewnego dnia powinna przyprowadzić do Thrifty również Kath i pokazać jej tę książkę. Ta myśl była dla Lily zaskakująca, ale mimo to dziewczyna zaczęła sobie wyobrażać, jak obie stoją we wnęce na tyłach sklepu i obracają stojakiem. W głowie ujrzała, jak znajduje książkę, zdejmuje ją z półki i wręcza Kath. Zastanawiała się, co koleżanka powiedziałaby na widok okładki z tymi dwiema kobietami, przez co przeszedł ją dreszcz ekscytacji.

Zatopiona w myślach Lily niemal nie zauważyła, jak dotarła na Clay Street. Ostatnie wzgórze pokonała na autopilocie, a potem wsadziła klucz do zamka drzwi wejściowych. Wewnątrz panował chłód i półmrok, a na drewnianej klatce schodowej niosły się czyjeś głosy z góry. Wyglądało na to, że rodzice wrócili wcześniej, co było dość nietypowe. Weszła po schodach, a kiedy dotarła na najwyższe piętro, usłyszała, jak ktoś wychodzi z kuchni. Jej ojciec. Czekał na nią na klatce, wciąż w fartuchu lekarskim, jakby wyszedł wprost ze szpitala i zapomniał go zdjąć. – Coś się stało? – zapytała.

Przyglądał się jej uważnie, a ona zatrzymała się kilka stopni przed szczytem schodów, zastanawiając się przez długą, straszną chwilę, czy ktoś z jego znajomych mógł usłyszeć, że myślała o tej książce.

– Odłóż rzeczy i chodź do kuchni – oznajmił. – Mama i ja musimy z tobą porozmawiać.

Miał grobowy głos. Odłożyła tornister na ławkę i pospieszenie ściągnęła buty, po czym poszła za nim do kuchni. Matka siedziała przy stole ze szklanką wody w dłoni. Nadal miała na sobie

fartuch pielęgniarki i nawet nie zdjęła obuwia. Ojciec z kolei oparł się o blat i skrzyżował ręce.

– Usiądź – powiedział.

Przysunęła sobie krzesło i na nie opadła. W jej głowie szalała istna gonitwa myśli.

– Chodzi o Eddiego? Czy o Frankiego? – zapytała.

– Nie, nie, z nimi wszystko w porządku – odparła matka.

– Dwóch agentów FBI wyciągnęło mnie dziś z pracy – zaczął ojciec. – Chcieli ze mną porozmawiać o pewnym młodzieńcu, którego leczyłem w zeszłym tygodniu. Podejrzewają, że należy do organizacji komunistycznej w Chinatown.

Te słowa były tak niespodziewane, że z początku po prostu na niego patrzyła, ewidentnie oszołomiona. Wreszcie zapytała:

– Ale dlaczego wypytywali o to ciebie?

– FBI i służby imigracyjne niepokoją się komunistami. – Matka z trudem wypowiadała kolejne słowa, siedząc sztywno na krześle. Nie wykonała żadnego ruchu, nie napiła się wody, zaciskała jedynie palce na szklance, jakby to było jej jedynym kołem ratunkowym. – Kiedy znajdują kogoś, kogo podejrzewają o komunistyczne powiązania, to w ramach śledztwa przesłuchują też znajomych tej osoby.

Ojciec delikatnie musnął ramię matki dłonią. Jej palce na szklance jeszcze mocniej się zacisnęły.

– Agenci mnie wypytywali, czy wiem cokolwiek o tym człowieku, moim pacjencie, ale zaprzeczyłem – ciągnął. – Znam go tylko jako chorego. A potem powiedzieli, że należy do organizacji znanej z sympatii do komunistów, Demokratycznej Ligi Młodzieżowej Chińskich Amerykanów. Jej członkowie nazywają ją Man Ts'ing.

Przeszył ją dreszcz.

– To komuniści?

– Tak powiedzieli agenci – odpowiedział ojciec.

Lily zastanawiała się, który z chłopaków na pikniku był pacjentem jej ojca.

– To lewacy – dodała matka, wypluwając to słowo niczym najgorsze przekleństwo. – Są młodzi i nie mają pojęcia, co robią.

– Agenci FBI powiedzieli, że widziano cię w towarzystwie Man Ts'ing – wyjaśnił ojciec. – Ciebie i Shirley. Widziano was w ich siedzibie, a potem jeszcze w parku Golden Gate.

Opadła jej szczęka.

– Ktoś mnie widział? To był tylko piknik! Poszłam na niego, bo... bo Will Chan mnie zaprosił!

Myśl, że Will miałby być komunistą, brzmiała niedorzecznie, przez co Lily omal nie wybuchła śmiechem. Miny rodziców wskazywały jednak na to, że nie ma się z czego śmiać.

– Czy to znaczy, że Will ma kłopoty? Przecież on nie jest komunistą. Will Chan?!

Ojciec nieco zeszywniał.

– Moim zdaniem to ugrupowanie, Man Ts'ing, ma członka, który informuje o wszystkim FBI – stwierdziła matka.

To zdanie zabrzmiało jak z filmu, a Lily spojrzała na nią zszokowana.

– Naprawdę?

Matka zmarszczyła brwi.

– Lily, musisz być bardziej ostrożna. Spędzasz za dużo czasu, śniąc na jawie! Fantazjujesz o statkach kosmicznych! Jesteś dokładnie tym typem dziewczyny, który będą próbowali zrekrutować. Nawet nie zauważysz, jak nakładają ci do głowy tych swoich idei.

– Jakich idei? – zapytała oburzona Lily. – Poszłam tylko na piknik. Jeden piknik! A oni grali w siatkówkę. To wszystko.

– Właśnie tak to robią – odparowała matka. – Dbają o to, abyś myślała, że są nieszkodliwi, a potem piorą ci mózg.

– Grace – oznajmił ostrzegawczo ojciec Lily. Usta matki zacisnęły się w wąską linię, ale posłuchała męża.

Wściekła Lily skrzyżowała ręce na piersi. *Fantazjuję o statkach kosmicznych!* Serce waliło jej tak, jakby właśnie przebiegła maraton.

Ojciec zdjął okulary i przetarł oczy, po czym usiadł przy kuchennym stole.

– Nie mamy pewności, czym się kierują, ale lepiej będzie unikać kontaktów z tą grupą. – Założył z powrotem okulary i zaskakująco szczerze spojrział na Lily, jakby była dorosłą osobą, a nie jego małą córką. – Nie wierzę, żebyś miała złe intencje. Nigdy nie interesowałeś się polityką, ale twoje działania mogą się negatywnie odbić też na innych. Żyjemy w skomplikowanych czasach. Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją, a my musimy im pokazać, że jesteśmy przede wszystkim Amerykanami. Rozumiesz to?

Przeraziła ją powaga w jego głosie.

– Tak, tato – odparła, chociaż nie do końca rozumiała sytuację.

Przypomniała sobie, jak przed kilkoma laty, podczas wojny koreańskiej, dzieciaki z Chinatown szły w paradzie z okazji Chińskiego Nowego Roku z tabliczkami „Precz z komunizmem”. Był wśród nich też Eddie. Kibicowała mu, wymachując z boku amerykańską flagą. Pamiętała, jak tata i ciocia Judy przyglądali się paradzie z dziwnymi minami, jakby byli jednocześnie dumni z Eddiego i nieco przerażeni tym spektaklem. Teraz nie do końca rozumiała sytuację, zupełnie jakby czytała książkę, z której usunięto kilka stron i dopiero po czasie zdała sobie sprawę z ich braku.

Ojciec nadal wydawał się zafrasowany, więc odpowiedziała:

– Nawet nie chciałam iść na ten piknik, tato. Nie myślałam, że... – Urwała. Nie była pewna, czego nie myślała.

Skinął głową i oznajmił:

– I nie pójdziesz tam więcej.

– A co z Shirley? I z Willem?

– Porozmawiamy z ich rodzicami. – Ojciec wstał i zasunął za sobą krzesło. – A teraz muszę wrócić do pracy. Ty idź odrobić zadanie domowe. Mama zostanie dziś w domu, więc nie musisz odbierać Frankiego ze szkoły.

Lily miała więcej pytań, ale rodzice już wstali, zaczęli planować kolację i przechodzić do kolejnych działań. Poczuli się tak, jakby wyrwano ją z kina w samym środku filmu. Zakłopotana opuściła kuchnię, wzięła tornister i zaniósła go do siebie. Otworzyła podręcznik do matematyki i usiadła na łóżku, żeby przyjrzeć się zadaniom, ale litery i cyfry zlewały jej się przed oczami. Kilka minut później usłyszała, jak ojciec wychodzi i jak rozbrzmiewa odgłos jego kroków na schodach. Pomyślała o Shirley, o jej zauroczeniu Calvinem – nie wiedziała, jak to się teraz skończy.

– Lily!

W drzwiach stała matka. Weszła do pokoju i usiadła na skraju łóżka, wgniatając materac tak, że ołówek Lily potoczył się i zatrzymał dopiero przy jej biodrze.

– O co chodzi? – zapytała Lily obronnym tonem.

– Ojciec nie chciał, żebym ci o tym mówiła, ale uważam, że jesteś już wystarczająco duża, by znać prawdę. FBI zabrało jego paszport.

Lily natychmiast się wyprostowała, a podręcznik spadł z jej kolan na łóżko.

– Dlaczego to zrobili?

Twarz matki pobladła, a czerwona szminka mocno odcinała się na jej jasnej, pobladłej cerze.

– Chcieli, żeby podpisał oświadczenie, że ten cały Calvin, jego pacjent, jest komunistą. Ojciec nie chciał tego zrobić.

Calvin. Matka z pewnością nie podała jego imienia celowo. Wyglądała na zdenerwowaną: obracała w palcach identyfikator, wciąż przypięty do fartucha, na którym widniał podpis: „Pani Grace Hu, R.N.[8]”.

– Twój ojciec nigdy nie zdradziłby informacji o pacjentach bez ich pozwolenia, a nie chciał też kłamać przed agentami. Za karę zabrali mu papiery.

– Ale dlaczego FBI miałyby ukarać tatę za to... za to, że nie skłamał?

– Nie zależy im na prawdzie. Potrzebują kozłów ofiarnych. Twój ojciec musi zdawać sobie z tego sprawę. Powinien im powiedzieć to, co chcieli usłyszeć. Teraz chroni chłopaka, którego właściwie nie zna. I nie chce im powiedzieć tego, czego oni oczekują. W ten sposób naraża się na niebezpieczeństwo, a zatem naraża na nie też ciebie, twoich braci i mnie.

– Jak to naraża się na niebezpieczeństwo? Jest amerykańskim obywatelem. Miał stopień kapitana w wojsku!

– Te śledztwa są wykorzystywane jako pretekst do deportacji Chińczyków – wyjaśniła matka. – Zabrali mu papiery, więc nie posiada żadnych dowodów na swoje obywatelstwo. Ma też rodzinę w Chinach, my mamy rodzinę w Chinach. Ty nigdy jej nie poznałeś, ale dla FBI to nie ma większego znaczenia. W dodatku poszłaś na ten piknik, nawet jeśli nie miałaś pojęcia, czym jest Man Ts'ing. To nie wygląda zbyt dobrze.

– Ale... zwrócą mu papiery, jak zrozumieją, że nie zrobił nic złego, prawda? Chyba nie mogą go deportować? – Zadawała te pytania, ale w gruncie rzeczy znała już odpowiedź. Wielokrotnie słyszała, jak w Chinatown mówiono, że tego a tego przesłuchiwała służba imigracyjna, a ten i ten niedługo będzie deportowany do Chin, bo przyjechał na fałszywych dokumentach.

Pamiętała też, jak ciocia Judy opowiadała o tym, że to FBI zatrzymało pochodzącego z Chin założyciela Laboratorium Napędu Odrzutowego pod zarzutem związków z komunistami, i to mimo że podczas wojny popierał Stany.

– Możemy z nimi tylko współpracować – powiedziała matka. – Próbuję go namówić na podpisanie tego oświadczenia.

– Co się stanie, jeśli tego nie zrobi? – zapytała Lily i zaraz pożałowała tego pytania. Obawiała się, że skoro wypowiedziała je na głos, jej obawy się ziszczą.

Matka sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– Nie myślmy o tym teraz. Musimy się skoncentrować na tym, by pokazywać się jako prawdziwie amerykańska rodzina. Przecież nią jesteśmy. To oznacza, że musisz się pilnie uczyć i nie zadawać z Man Ts'ing. – Powiedziawszy to, wstała. – Idę po Frankiego, a jak Eddie wróci do domu, porozmawiam z nimi o tej sprawie. Ty zajmij się pracą domową. – W progu jeszcze na chwilę się zatrzymała i dodała: – Jeżeli zaczniesz podejrzewać, że Shirley albo ktokolwiek z twoich znajomych nadal zadaje się z tym ugrupowaniem, musisz mi o tym natychmiast powiedzieć.

Lily od razu sobie przypomniała, jak Shirley twierdziła, że nie jest zainteresowana Calvinem. Zaczęła się zastanawiać, czy przyjaciółka wiedziała o jego powiązaniach z komunistami. Ta możliwość sama w sobie brzmiała niepokojąco.

– Lily, powiesz mi o tym?

Podniosła wzrok na matkę i oznajmiła:

– Tak, powiem.

[8] R.N., czyli *registered nurse* – skrót na identyfikatorach amerykańskich pielęgniarek oznaczający dyplomowaną pielęgniarkę, tj. osobę po studiach pielęgniarskich (przyp. tłum.).

- 1931 — Japonia dokonuje inwazji na Mandżurię
- 1932 — Joseph Hu przybywa do San Francisco na studia w szkole medycznej w Stanford
- 23 września 1934 — Grace Wing poznaje przyszłego męża, Josepha Hu**
- 1936 — Grace Wing poślubia Josepha Hu
- student z Chin, Hsue-shen Tsien, staje się członkiem Legionu Samobójców, grupy naukowców raketowych z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego
- 1937 — rodzi się Lily Hu (胡麗麗)
- Japonia napada na Chiny
- 1940 — rodzi się Edward Chen-te Hu (胡振德)
- 1941 — Stany Zjednoczone angażują się w II wojnę światową

GRACE

Dwadzieścia lat wcześniej

Grace Wing natknęła się na niego po raz pierwszy, kiedy po niedzielnym nabożeństwie czekała w kolejce do automatu z kawą w hallu wspólnoty. Nieznajomy stał w połowie pomieszczenia i jadł akurat kanapkę. Nie przypominał znanych jej Chińczyków; miał lśniące, zaczesane z przodu czarne włosy *à la* Clark Gable, a na małym palcu prawej ręki nosił złoty sygnet. Pomyślała o nim: *przystojny*.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, nadal przeżuwał jedzenie, a Grace aż się zakłopotowała, przyłapaną na podglądaniu go. Odwróciła się szybko, zastanawiając się przy tym, kto to taki. Nie pamiętała, by widziała go podczas nabożeństwa. Skupiła się na kawie, dołała sobie dodatkowego mleka i dosypała dwie łyżeczki cukru, a potem wybrała sobie kanapkę. Zdecydowała się na tę z sałatką z jajkiem w pszennym pieczywie, a wtedy pani B. Y. Woo poprosiła ją o radę w kwestii dolegliwości, które ostatnio ją męczyły. Grace była zaledwie dwudziestodwuletnią studentką pielęgniarstwa, ale pani Woo uwielbiała jej się żalić na swoje problemy zdrowotne. Grace słuchała jej wtedy ze współczuciem i sugerowała rozwiązania, które pani Woo niezmiennie odrzucała, jako że nie ufała zachodniej medycynie. Grace już miała udzielić jej kolejnej rady, kiedy wielebny Hubbard podszedł się z nimi przywitać. To samo w sobie nie było jakkolwiek zaskakujące, ale za nim szedł ten dziwny nieznajomy. Zdążył dokończyć kanapkę, ale Grace zauważyła okruszek na klapie jego szarego garnituru. Aż świerzbiły ją palce, by go zdjąć.

– Panno Wing, pani Woo, pragnę przedstawić wam jednego z naszych nowo przybyłych – oznajmił wielebny Hubbard. Był to biały mężczyzna w średnim wieku o głowie łysej jak kolano; tego dnia czubek jego łysiny był szczególnie jasny i błyszczący. – Oto Joseph Hu, który niedawno przyплыł do nas z Chin. Pan Hu studiuje medycynę w Stanford. Panna Grace Wing jest studentką pielęgniarstwa, zatem coś was łączy.

– To dla mnie zaszczyt, panno Wing – oznajmił Joseph, podając Grace rękę na amerykańską modłę.

– Witamy w San Francisco – odparła i potrząsnęła jego dłonią.
– Dziękuję. Cieszę się, że w końcu tu dotarłem. Tak wiele słyszałem o pani mieście!
– Och, nie pochodzę stąd – odparła Grace. – Sama przyjechałam dopiero kilka miesięcy temu. Pani Woo mieszka tu o wiele dłużej.

– Niemal całe życie – dodała pani Woo. – Jako młoda dziewczyna przybyłam tutaj z Guangdong. A pan skąd pochodzi?

– Z Szanghaju.

Pani Woo spojrzała na niego z wyraźnym zainteresowaniem.

– Z Szanghaju! Cała pańska rodzina tam mieszka?

– Tak. Mój ojciec to przyjaciel jednego ze znajomych wielebnego.

Na tę wzmiankę wielebny Hubbard zareagował uśmiechem.

– Cieszę się, że Paul opowiedział panu o naszym kościele. Cieszy nas pańska obecność.

Wymienili jeszcze kilka kurtuazji dotyczących kościoła, a Grace popijała kawę, starając się zbyt otwarcie nie gapić na mężczyznę. Obstawiała, że Joseph jest od niej o kilka lat starszy. W jego twarzy było coś łobuzerskiego, jakby bardzo musiał się starać, by nie wtrącać się do rozmowy wielebnego Hubbarda z panią Woo o wspólnych znajomych, a potem o różnicach między pogodą w San Francisco i Szanghaju o tej porze roku. (San Francisco, pozwolił sobie wspomnieć, było latem o wiele przyjemniejszym miejscem). Grace nie miała już co dodać do tej rozmowy, więc milczała. Nie знаła tego Paula, nigdy też nie była w Szanghaju, chociaż wiedziała, że uważa się go za wyjątkowe miejsce. Prawdę mówiąc, akurat tego ranka widziała w „Chronicle” artykuł o dwóch rywalizujących ze sobą aktorkach z Szanghaju, które ponoć były tak piękne, że doprowadziły do tego, iż Mandżuria poddała się Japonii. Nie miała czasu doczytać tej historii, ale chciała o tym wspomnieć, bo może Joseph widział ten artykuł – nie umiała go jednak wpasować w rozmowę. Poza tym wspólnota wydawała się nieodpowiednim miejscem do podnoszenia tak kontrowersyjnych wątków.

Po kilku minutach banalnej konwersacji wielebny Hubbard wymówił się od rozmowy koniecznością pójścia dalej, a pani Woo zaprosiła Josepha do ich towarzystwa. Grace była pewna, że mężczyzna uprzejmie odmówi – ktoś taki jak on na pewno miał ważniejsze sprawy do roboty – ale ten zgodził się bez wahania. Wkrótce cała trójka siedziała w rogu i popijała kawę.

– Wielebny Hubbard wspomniał, że jest pani studentką pielęgniarstwa? – zwrócił się do Grace.

– Tak. Na Parnassusie – odparła.

Przez kilka minut rozmawiali o programie jej studiów, a pani Woo uważnie im się przyglądała.

– Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie, panie Hu – wtrąciła, gdy zapadła cisza. – Pański ojciec jest...?

– Profesorem na Nan Yang w Szanghaju.

Grace wyobraziła sobie mandaryna[9] w okrągłej czapeczce i pieczołowicie wyhodowanej długiej białej brodzie, ale potem sama się skarciła – pewnie nosił nowoczesne garnitury, podobnie jak Joseph.

– A pan jest najstarszym synem? – dopytywała dalej pani Woo.

Joseph przytaknął.

– Mam dwóch młodszych braci i dwie młodsze siostry.

– Ktoś z nich również mieszka w Stanach?

– Nie, na razie jestem tu tylko ja. Ale mój młodszy brat, Arthur, liczy, że za rok lub dwa do mnie dołączy.

– Też zamierza studiować medycynę?

– Być może. Rozważa też inżynierię. – Joseph spojrzał przelotnie na Grace, a ona znowu zaczęła podejrzewać, że czegoś im nie mówi. Być może, przyszło jej do głowy, wolałby porozmawiać na

temat artykułu o aktorkach zamiast o planach edukacyjnych brata.

– Ach, rozumiem. A pan otrzymał stypendium bokserów[10]?

Joseph odpowiedział uśmiechem.

– Nie, niestety nie.

– Zatem jakieś inne stypendium? – nie ustępowała pani Woo.

Grace rzuciła Josephowi przepraszający uśmiech, a pani Woo wciąż wypytywała go o sytuację finansową. Mężczyzna jednak albo się tym nie przejmował, albo doskonale udawał. Okazało się, że jego podróż do Stanów została sfinansowana przez misję prezbiterian w Szanghaju, co wyjaśniało, dlaczego przyszedł dziś do Chińskiego Kościoła Prezbiteriańskiego. Jego nauka została jednak ufundowana z prywatnych środków – czyli rodzina Josepha Hu prawdopodobnie była dobrze sytuowana. Grace znowu pomyślała o blichtrze i o Annie May Wong z *Szanghaj Ekspres* w kuszącej jedwabnej sukni i z ciemnymi oczami owianymi mgiełką tytoniowego dymu. Bardzo spodobał jej się ten film, gdy oglądała go przed kilkoma laty, choć nie mogła się do tego przyznać w kościele – matka zabroniła jej oglądania tej produkcji, ponieważ chiński minister uznał ją za niemoralną. Wszystko wskazywało jednak na to, że rodzina Josepha prawdopodobnie była bardzo poważana i nie miała nic wspólnego z dramatycznym światem wojskowych oraz upadłych kobiet przedstawionych w filmie. Poczowała lekkie ukłucie rozczarowania, gdy pękł balonik jej własnych fantazji.

Pani Woo zwróciła się do Grace:

– Panno Wing, jest pani najstarszą córką w rodzinie, czyż nie?

– Tak – odparła Grace, chociaż pani Woo już to wiedziała.

– Grace to chluba swojej rodziny – wyjaśniła Josephowi kobieta. – Niewiele dziewcząt kończy szkołę średnią, a jeszcze mniej idzie na pielęgniarstwo.

– Schlebia mi pani, pani Woo.

– Ależ to prawda. Pan Hu powinien mieć świadomość, że rozmawia z jedną z najmądrzejszych panien w San Francisco.

Pani Woo posłała im promienny uśmiech. Grace czuła się jednocześnie zakłopotana i nieco polechtana tym, jak oczywiste były próby wyswatania ich czynione przez starszą kobietę.

– Staram się po prostu dać rodzicom powód do dumy – powiedziała Grace, siłąc się na skromność.

– Z pewnością są z pani dumni – odparł Joseph.

Czy w jego głosie wybrzmiał podziw czy raczej rozbawienie? Grace nie była tego pewna.

Niespodziewanie odezwała się pani Woo:

– Och, już tak późno! Muszę iść się spotkać z panią Leong, zanim nas opuści. Cudownie było pana poznać, panie Hu. Pani Wing, dziękuję za poradę medyczną.

Grace i Joseph wstali równocześnie, a gdy pani Woo zebrała się do wyjścia, spojrzeli na siebie, niezgrabnie trzymając kubki z kawą. Wreszcie Joseph powiedział:

– Cóż, skoro już pani wszystko o mnie wie, czy będzie się pani czuła bezpiecznie, zostając ze mną sam na sam?

Zobaczyła, jak unosi mu się kącik ust, i pomyślała: *Teraz na pewno jest rozbawiony.*

– Naturalnie. Usiądźmy – oznajmiła. Sprawił, że lekko się zaniepokoiła, ale w dziwnie przyjemny sposób.

Wrócili na miejsca. Pustą filiżankę i spodek położyła na krześle pozostawionym przez panią Woo, a Joseph usiadł tuż obok niej. Grace obrzuciła wzrokiem hall, po którym reszta zgromadzenia wędrowała z kawą i kanapkami. Nikt z obecnych nie wydawał się patrzeć na Grace i Josepha w ich kąciку, ale dziewczyna czuła, jakby wszyscy wiedzieli: oni tu są.

Kiedy znów odwróciła się w stronę Josepha, na jego twarzy dostrzegła wyraz zaciekawienia.

– Wspomniała pani, że przybyła tu kilka miesięcy temu – odezwał się. – Skąd się pani przeniosła? Nie z Chin?

– Nie, z Santa Barbara. Urodziłam się tutaj.

– Amerykańska dziewczyna – podsumował. W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki mimiczne.

– *Ngo hai tong yan*[11] – stwierdziła nieco zbyt bezpośrednio po kantońsku.

– *Ni men lao jia zai na li?*[12] – zapytał po mandaryńsku.

– *Nei wa me wa?*[13] – zapytała Grace. Nie zrozumiała.

Jego uśmiech wypełnił się skruchą.

– Przykro mi. Nie znam pani dialektu.

Niewiele wiedziała o chińskich studentach przybywających na uniwersytety w Ameryce. W większości pochodzili z Szanghaju, zazwyczaj z rodzin z koneksjami lub dobrze sytuowanych, i niezbyt chętnie się integrowali z amerykańskimi Chińczykami – a przynajmniej nie z tymi, których znała Grace. Joseph był pierwszym takim studentem, z którym rozmawiała bezpośrednio. Trudno jej było go sklasyfikować. Nie spełniał jej wyobrażenia o mandarynie – był za młody i zbyt zachodni. Nie wydawał się też jakoś szczególnie amerykański, chociaż mówił po angielsku z ledwie słyszalnym akcentem.

– Jak się pani podoba w San Francisco? – zapytał. – Tęskni pani za Santa Barbara? Nigdy tam nie byłem. To daleko stąd?

– Kilka godzin pociągiem na południe – odpowiedziała Grace. – Jest tam cieplej niż tutaj. Oczywiście tęsknię też za rodziną.

– Ile ma pani rodzeństwa?

– Jedynie dwójkę, dwóch młodszych braci. Mam małą rodzinę, ponieważ ojciec zmarł, kiedy miałam jedenaście lat.

– To musiało być dla pani matki trudne.

– To silna kobieta. Przejęła zarządzanie sklepem z zagranicznymi towarami w tamtejszej chińskiej dzielnicy. Pomagałam jej, póki moi bracia byli mali. Teraz to oni współprowadzą ten biznes.

– A co sprzedaje się w waszym rodzinnym sklepie?

– Wszystko po trochu. Produkty z Chin dla miejscowych. Wie pan, suszone warzywa i zioła, leki, trochę porcelany, jedwabiu. Po prostu wszystko.

Grace zamilkła, zastanawiając się, czy aby go tym nie nudzi. Ją zawsze nudził ten interes.

Joseph krzepiąco się do niej uśmiechnął i zapytał:

– A po szkole pielęgniarskiej planuje pani wrócić do domu i pomagać w rodzinnym biznesie?

Grace nie wyobrażała sobie powrotu i pracy w sklepie. Z trudem wymknęła się stamtąd do szkoły.

– Zobaczę, czego będzie potrzebować moja matka – oznajmiła dyplomatycznie. – A pan zamierza wrócić? Do Chin?

– Naturalnie. Chiny potrzebują doktorów wyszkolonych na Zachodzie. A także inżynierów, architektów... no i pielęgniarek. Jak pani zapewne wie, jesteśmy obecnie w trudnym położeniu.

Skinęła głową ze współczuciem, chociaż miała zaledwie szczątkową wiedzę o obecnej sytuacji w Chinach. Wiedziała, że Japonia stale grozi im inwazją, a chiński rząd pod wodzą generalissimusa Czanga Kaj-szeka miał sporo trudności z odpowiedzią na agresję. Chiny zawsze wydawały jej się niebywale odległe, a jednocześnie niewygodnie bliskie – jak kraina cesarzy w jedwabnych szatach siedzących w antycznych pałacach, ale też zapadłe wioski z opowieści matki. „Nie mieliśmy bieżącej wody” – zwykła opowiadać, kiedy Grace narzekała na ciekące rury w sklepie. „Spaliśmy w szóstkę na jednym łóżku” – dodawała, gdy dziewczyna marzyła

o własnym pokoju.

– Chciałaby się pani wybrać kiedyś do Chin? – zapytał Joseph.

– Być może. Odwiedzić rodzinę matki. – Był taki czas, gdy jej matka stale narzekała, że oddzielono ją od rodziny, ale w ostatnich latach przestała już to robić. Grace się zastanawiała, czy zapomniała o krewnych, czy po prostu przywykła do emigracji.

– Kiedy skończy pani szkołę, będzie pani pożądanym pracownikiem w Chinach – zauważył Joseph. – Wielu Chińczyków potrzebuje nowoczesnych metod leczenia.

Grace nigdy nie rozważała takiej możliwości. Nagle wyobraziła sobie nowoczesny szpital gdzieś w Chinach, jasny i czysty, z chińskimi pacjentami leżącymi spokojnie wśród białych prześcieradeł. W jej wyobrażeniu miała na sobie biały czepek i popychała wózek z lekami przez jasnozielony korytarz.

– To właśnie zamierza pan zrobić? – zapytała. – Wrócić i leczyć ludzi?

– Na to liczę. Chcę też wykorzystać moje wykształcenie, by wyuczyć przyszłych lekarzy w Chinach, takich, których nie stać na studia w Stanach.

Brzmiał tak altruistycznie, tak prostolinijnie. Poczowała wstyd, że wcześniej planowała wspomnieć o aktorkach z Szang-haju. Toczyli dalej tę nienaturalną konwersację, przeskakując między tematami Chin, medycyny i San Francisco – podobnie wyglądało wiele pierwszych rozmów z nowo poznanymi ludźmi. Żadne z nich nie próbowało tego zakończyć. Grace uznała go za fascynującego, a to, z jakim zainteresowaniem pytał o jej pielęgniarską pasję, mocno jej schlebiało. Podobały jej się też zmarszczki w kącikach jego oczu, które pojawiały się, ilekroć posyłał jej uśmiech. Aż ją od nich mrowiło. Chciała, żeby jeszcze raz się uśmiechnął.

Później – tego samego popołudnia, kiedy wróciła do akademika – przypomniała sobie o artykule dotyczącym aktorek z Szanghaju.

Poszła do wspólnego salonu, by sprawdzić, czy wciąż znajdzie tam niedzielne wydanie „Chronicle”. Ktoś już je przeczytał, a poszczególne jego działy leżały luźno porzucane na stoliku przy drzwiach. Szybko jednak znalazła interesujące ją strony. Był to artykuł z okładki „Sunday Magazine” (*Chińska awantura o dwie filmowe królowe*) zilustrowany fotografiami dwóch kobiet spoglądających uwodzicielsko w obiektyw. Jedna z nich miała na sobie pasiastą chińską suknię i siedziała na pufie ze skrzyżowanymi nogami oraz jedną ręką zarzuconą niedbale na kolano. Druga uśmiechała się do obiektywu mocno pomalowanymi ustami i marszczyła brwi. Pomiędzy nimi umieszczono ilustrację przedstawiającą walczących Chińczyków – bijących się zapewne o aktorki. Mieli podbite oczy i rozcięte łuki brwiowe, co nadawało im komicznej grozy. Poniżej ilustracji widniał podpis: „Wszystko zaczęło się wtedy, gdy panna Cheng zdobyła koronę w dużym konkursie popularności, co doprowadziło do furii stronników promiennej syreny, panny Wu. Tak właśnie wybuchła wojna!”.

Grace usiadła na kanapie, by doczytać artykuł. Pisano w nim, że namiętność wywołana śpiewem i tańcem panny Wu zachęciła chińskich żołnierzy do porzucenia służby, przez co Japonia napadła na Mandżurię. (*To niedorzeczne!* – przyszło do głowy Grace). Potem pojawiły się groźby zapisane ludzką krwią (*A skąd oni niby wiedzieli, że ta krew była ludzka?*) z żądaniem, by panna Wu wyjechała z kraju. Autora artykułu najbardziej zaskakiwał jednak fakt, że Chiny, postrzegane przez większość Amerykanów jako wiejska kraina, mają w ogóle jakikolwiek przemysł filmowy. (Grace przewróciła oczami). A potem, w ostatnim akapicie, artykuł skręcił w nieoczekiwaną stronę.

„Bez wątpienia słyszeliście, że bohaterowie chińskich filmów się nie całują, ponieważ w chińskiej kulturze nie uznaje się czegoś takiego jak pocałunek”. Autor pokrętnie informował,

że chińskie kobiety, zamiast się całować, „uprawiają miłość przy pomocy rąk”, całując opuszkami palców, a nie ustami.

Grace spaşowiała. To szukanie sensacji... To pozbawione krzty dobrego smaku zastanawianie się nad namiętnością chińskich dziewcząt... Ten dziwaczny pomysł, jakoby Chińczycy się nie całowali! Dzięki Bogu, że nie wspomniała o tym artykule Josephowi Hu. Wzdrygnęła się z zażenowania i szybko schowała „Sunday Magazine” pod innymi gazetami na stoliku.

Idąc na palcach, weszła do góry, do siebie, irracjonalnie zaniepokojona tym, że któraś z jej współlokatorek ją zobaczy i po wyrazie twarzy rozpozna, że czytała ten ohydny artykuł. A jednocześnie nie mogła przestać o nim myśleć. Tak naprawdę nigdy nie widziała, żeby zakochani Chińczycy się całowali, ale przecież nikt nie robiłby tego publicznie! Próbowła wyrzucić z umysłu tę dziwną myśl, ale to uczucie nie chciało jej opuścić: nienaturalny ucisk w brzuchu – coś cierpkiego niczym ocet – wywołany perwersyjnym zainteresowaniem rodowitych Amerykanów tym, co powinno pozostać prywatne. Zastanawiała się, co też Joseph Hu pomyśli sobie o tym kraju.

Usiadła przy biurku, żeby przejrzeć notatki – musiała powtórzyć cały rozdział przed niedzielną kolacją z resztą dziewcząt z piętra – ale nie mogła się skupić. Wciąż myślała o Josephie i jego łagodnej pewności siebie. Nigdy nie próbowałby zwrócić na siebie uwagi aktorki – czy to chińskiej, czy jakiegokolwiek innej. Miał w sobie godność, której nie widziała u chińskich Amerykanów zwracających na nią uwagę.

Chińscy Amerykanie wydawali jej się o wiele bardziej zdesperowani. Było to w sumie zrozumiałe, ponieważ z uwagi na restrykcje imigracyjne było ich znacznie więcej niż chińskich Amerykanek. Sama Grace dorobiła się już wianuszka gorliwych adoratorów. Wiedziała zresztą, że niezła z niej zdobycz, choć za nic w świecie nie przyznałaby tego na głos. Ktoś taki jak Joseph Hu nie musiał się jednak ograniczać wyłącznie do niewielkiego grona Chinek w Ameryce. W Chinach nie brakowało kobiet, a on był jeszcze lepszą partią od niej.

Znowu ujrzała w wyobraźni nowoczesny chiński szpital, tak jak wcześniej, lecz teraz wyobraziła sobie także doktora Josepha Hu krocącego po schludnym oddziale w białym kitlu i ze stetoskopem na szyi. Obok niego zaś, w wykrochmalonym fartuchu i z notesem z klipsem, szła Grace we własnej osobie. Ta wizja sprawiła, że wzmogło się w niej nieznane dotąd uczucie – gwałtowna tęsknota za miejscem, w którym nigdy nie była, za ludźmi, których kojarzyła, ale nie znała. Gdy patrzyła pustym wzrokiem na podręcznik, przyszło jej do głowy, że może i był to patriotyzm, tyle że z pewnością nie amerykański.

Chiński.

[9] Dostojnik bądź uczony w dawnych Chinach (przyp. red.).

[10] Stypendium dla chińskich studentów pragnących się kształcić w Stanach Zjednoczonych, by po ukończeniu nauki powrócić do kraju i szerzyć tam amerykańską myśl naukową. Nazwa pochodzi od członków stowarzyszenia „Pięść w imię sprawiedliwości i pokoju”, nazywanych bokserami, którzy na przełomie XIX i XX wieku zapoczątkowali reformy w Chinach (przyp. tłum.).

[11] „Jestem Chinką”, oryg. „我係唐人” (przyp. aut.).

[12] „Z jakiego miasta pochodzisz?”, oryg. „你們老家在哪裡?” (przyp. aut.).

[13] „Co pan mówi?”, oryg. „你話咩話?” (przyp. aut.).

CZEŚĆ II

I Enjoy Being a Girl

Październik–listopad 1954

– Lily, widziałaś może ulotkę o pracy w departamencie edukacji? – zapytała Shirley.

Lily przeglądała akurat broszurki z ofertami pracy, które znajdowały się w szafce z dokumentami na tyłach sali pani Weiland – szukała czegoś, co mogłaby wykorzystać w swoim referacie. Między broszury poświęcone pracy w sektorze budżetowym niemal potajemnie wciśnięto ulotkę zdradzającą „100 rzeczy, które powinieneś wiedzieć o komunizmie w USA”.

– Nie – odparła Lily. Shirley oparła się o szafkę. – Mam tę o księgowości. – Wsunęła w nią ulotkę i pokazała Shirley. – Chcesz?

– A kto chciałby zostawać księgowym? – mruknęła.

– To dobre dla ludzi z dyplomem z matematyki – zauważyła Lily i zabrała sobie dwie ulotki. Zerknęła przy tym na siedzącą w sąsiednim rzędzie Kath, ale ta miała spuszczoną głowę i akurat przepisywała informacje z innej broszury. Lily potajemnie wsunęła ulotkę o komunizmie pod zeszyt i zajęła się tą o księgowości.

Shirley po kilku minutach wróciła na miejsce, położyła na ławce wybraną broszurę, a potem odwróciła się do Lily.

– Nie zgadniesz, co się stało – wyszeptała.

Lily podniosła na nią wzrok.

– No, co?

– Louisa Ramirez przenosi się do San Jose i musi zrezygnować z miejsca w komitecie balowym. Miała się zajmować napojami. – Shirley brzmiała tak, jakby ta wiadomość osobiście ją uraziła.

– Na pewno poradzicie sobie bez niej. Może ktoś inny mógłby przejąć jej obowiązki?

– Ktoś będzie musiał, to pewne. Ale bal jest za niecałe dwa tygodnie. Trudno nam będzie znaleźć teraz zastępstwo.

Will siedział przed Shirley, a Lily zauważyła, że dyskretnie odwrócił głowę, jakby przysłuchiwał się ich rozmowie. Wciąż nie mieli okazji pogadać o balu.

– Ja mogę się tym zająć – oznajmiła spontanicznie.

Shirley wyglądała na zaskoczoną.

– Ty?

Gdyby Lily była w komitecie balowym, miałaby doskonałą wymówkę, żeby nie iść na niego jako partnerka Willa.

– Tyle razy prosiłaś, żebym dołączyła do komitetu. Mogę zastąpić Louise.

Oczy Shirley zwięzły się w wyrazie podejrzliwości.

– Jesteś pewna? Czekają nas dużo pracy przez najbliższe dwa tygodnie.

– Chcesz, żebym ci pomogła, czy nie?

– Dziewczeta, to nie czas na integrację – oznajmiła pani Weiland, zbliżając się do nich. – Wróćcie, proszę, do pracy.

Shirley spojrzała znacząco na Lily, po czym odwróciła się na krzesło.

– Przepraszamy, pani Weiland.

– Przepraszamy – powtórzyła Lily jak echo, po czym wzięła ołówek i zaczęła robić notatki dotyczące zawodu księgowej.

Shirley wpisała Lily do komitetu podczas przerwy na lunch. Wzięły tacki z budyniem toffi i kanapkami z szynką, po czym poszły w kąt stołówki, aby nikt im nie przeszkadzał. Kiedy tylko się dało, Lily kryła się przed Willem za Shirley, Florą albo Mary, dzięki czemu zyskała pewność, że postąpiła właściwie, zgłaszając się na ochotniczkę do komitetu. Nawet myślała, że będzie musiała przewieźć tramwajem do sali gimnastycznej kilka ogromnych puszek soku ananasowego, nie wydawała się już aż tak straszna.

Gdy jednak słuchała instrukcji Shirley dotyczących jej obowiązków – w tym uzgodnień na temat mis do ponczu i serwetek – jej myśli krążyły wokół ulotki o komunizmie, Man Ts'ing i Calvina. Shirley nie wspominała o nim od czasu pikniku – Lily też nie. Powstrzymywała ją prośba matki, by ustaliła, czy przyjaciółka dziewczyny nadal spotyka się z tą organizacją młodzieżową. Unikanie jednak tematu tylko podsycalo jej chęć porozmawiania o nim.

Pod koniec lunchu, kiedy oddawała tackę, uległa pokusie i zapytała Shirley:

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne. O co chodzi?

Shirley wydawała się zaintrygowana tym, że Lily zaciągnęła ją w kąt stołówki, za jeden z betonowych filarów. Ten konkretny pokrywały plakaty zachęcające do przyjścia na Bal Strachów i do udziału w lidze kręglarskiej G.A.A. – Girls' Athletics Association, czyli Dziewczego Towarzystwa Sportowego.

– Rodzice rozmawiali z tobą o Man Ts'ing? – zapytała Lily.

Shirley zesztywniała.

– Tak. Zabronili mi chodzić na jakiegokolwiek pikniki. – Urwała i się rozejrzała, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Dotarło do mnie, że nie powinnam o tym mówić. Do ciebie chyba też, więc po co drążysz?

Lily uznała, że nie powinna mówić Shirley o agentach FBI polujących na informacje o Calvinie. Pomyślała jednak, że chciałyby ją jakoś ostrzec.

– Sądziłam, że Calvin naprawdę ci się spodobał – zaczęła, starając się brzmieć ostrożnie.

Shirley zmarszczyła brwi.

– A gdyby tak było, to co?

– Ale chyba nie zamierzasz... nie możesz... Nie, jeśli należy do tej organizacji...

– Rodzice pół godziny prawili mi kazania o tym, że rząd wsadzi nas do obozów jak Japończyków, jeżeli agenci uznają, że jesteśmy komunistami – warknęła szeptem. – Nie jestem głupia.

– Nic takiego nie powiedziałam – odparła obronnym tonem Lily. – Tylko zapytałam.

Stołówka niemal całkowicie opustoszała, ale Shirley nadal mówiła cicho, dodając:

– Ale to i tak jedno wielkie kłamstwo. Will i Calvin nie mają nic wspólnego z Czerwonymi. To idiotyczne.

– Jesteś tego pewna? – zapytała Lily. – Jak dobrze znasz Calvina?

Shirley zmrużyła oczy.

– Tak samo jak ty. A Willa obie znamy od zawsze. Nie uwierzę, że... A ty wierzysz, że są... komunistami? – Ostatnie słowo Shirley wypowiedziała niemal szeptem.

– Nie! Jasne, że nie. Ale mama powiedziała, że to nie tylko o to chodzi. Rząd używa komunizmu jako pretekstu do tego, aby nas deportować. – Lily nie była pewna, czy powinna powiedzieć Shirley o tym, że agenci zabrali ojcu papiery. Rodzina przyjaciółki miała własne problemy z obywatelstwem: jej ojciec przyjechał do Stanów z fałszywymi dokumentami po trzęsieniu ziemi w tysiąc dziewięćset szóstym roku.

Shirley zbladła, ale w końcu odpowiedziała:

– Imigracyjni zawsze traktowali nas paskudnie. Ale nikt nas nie deportuje. Jesteśmy Amerykanami.

Rozbrzmiał dzwonek oznaczający koniec przerwy na lunch, toteż obie z automatu ruszyły w stronę wyjścia.

– Cieszę się, że jesteś w komitecie – powiedziała nagle Shirley. – Ale nie musiałaś tego robić, żeby unikać Willa.

– Nie dlatego to zrobiłam.

– Nie musisz mnie okłamywać – odparła przyjaciółka. – Przecież bym cię nie zmuszała, żebyś poszła z nim na bal.

Te słowa zaskoczyły Lily tak bardzo, że odebrało jej mowę.

Shirley zatrzymała się w progu i smutno się uśmiechnęła, po czym dodała:

– Do zobaczenia na zebraniu komitetu.

Tego wieczoru, będąc w swoim pokoju, Lily wyjęła ulotkę o komunizmie z tornistra i wzięła ją ze sobą do łóżka. Tekst składał się ze stu pytań i zaczynał od „Czym jest komunizm?”. Odpowiedzi pokazywały system, w którym jednostkę pozbawiano wszelkiej wolności. Ostrzegały przed „grupami poświęconymi działalności idealistycznej”, takimi jak Amerykańska Młodzież dla Demokracji, które miały potajemnie rekrutować niczego niepodważających ludzi w szeregi Czerwonych. Komunizm odbierał im domy i konta w bankach, pozbawiał wiary; komunizm nie pozwalał nawet wybierać sobie przyjaciół.

Tekst coraz bardziej się rozkręcał, ukazując bezwzględna międzynarodową organizację nieznoszącą sprzeciwu i skupioną na niszczeniu wszystkich amerykańskich wartości. Jego lektura powinna była przerażać, ale nagromadzenie tych wszystkich koszmarów tylko minimalizowało ten efekt. Lily zaczęła szybciej przeskakiwać wzrokiem przez pytania, póki jej uwagi nie przykuł numer dziewięćdziesiąt pięć: „Co jest największą siłą komunizmu?”.

Odpowiedź brzmiała prowokacyjnie, wręcz obrazoburczo: „To, że potajemnie odwołuje się do żądz władzy. Niektórzy ludzie w naturalny sposób pragną zdominować innych, i to na każdym polu”.

A potem, w osobnym akapicie zapisanym kursywą: „*Komunizm pozwala im tego spróbować*”.

Wiedziała, że ulotka przedstawia komunizm jako niemoralną żądzę władzy, ale to ostatnie ostrzeżenie paradoksalnie brzmiało inspirująco. Cztery słowa jak gdyby unosiły się nad tekstem chmurą szeptów: potajemnie, żądza, naturalny, *spróbować*.

Oparła głowę o poduszkę, a broszura spadła na jej pierś, unosząc się i opadając w rytm oddechu dziewczyny.

Jutro – postanowiła. – *Jutro zaproponuję Kath, żebyśmy poszły do Thrifty.*

Musiała jej pokazać tę powieść.

Lily po raz kolejny obróciła stojak z powieściami wydanymi na tanim papierze, a potem zaczęła je przeglądać, jedna za drugą, szukając prowokacyjnej okładki *Dziwnej pory*. Blondynka (to musiała być Patrice) w bieliźnie na podłodze; brunetka (Maxine o ciemnych oczach) będąca nad nią w kuszącej czarnej sukni. Lily czuła za sobą obecność obserwującej ją Kath.

– Była tu przez całe tygodnie – poinformowała. – Myślałam, że nadal tu będzie.

Kath wyciągnęła książkę z sąsiedniego stojaka – powieść kryminalną z obrysem zwłok na okładce – i zapytała:

– Jak brzmiał tytuł? Pomogę ci szukać.

– *Dziwna pora*.

Kath odłożyła kryminał i zaczęła przeszukiwać pozostałe przegródki. Kiedy Lily skończyła przeglądać stojak z romansami, przeszła do science fiction w nadziei, że ktoś omyłkowo odłożył romans właśnie tam.

Poszukiwania okazały się jednak bezowocne.

– Nie ma jej – westchnęła Lily. – Pewnie ktoś ją kupił.

Nie wyobrażała sobie, kto mógł mieć tak stalowe nerwy, by kupić tę książkę. Ktoś niezwykle odważny.

– O czym była? – zapytała Kath.

Kiedy Lily postanowiła pokazać tę powieść Kath, nie brała pod uwagę możliwości, że książka zniknie. Liczyła, że to tekst zada pytania, które sama chciała postawić – bez niego wróciła do punktu wyjścia. Miała teraz wybór: wyjaśnić, o czym była powieść, albo skłamać. Kath spoglądała na nią wyczekująco i coś w jej minie sprawiło, że Lily była pełna nadziei: może koleżanka już знаła tę książkę? Było to jednak, wyjaśniła sama sobie, myślenie życzeniowe. Przez cały spędzony razem czas, przez te wszystkie przechadzki Columbus Avenue, żadna z nich nie wspomniała o Telegraph Club ani o koleżance Kath – Jean. Ani razu. Lily chciała wierzyć, że całkowity brak tego tematu między nimi oznacza jego wagę. Ale prawdopodobnie nie oznaczał niczego.

Zaczęło ją mdlić z niepokoju, na co Kath musnęła jej rękę.

– W porządku? – zapytała.

Jej palce ostrożnie dotknęły ramienia Lily. W oczach Kath czaiła się troska, ale też ciekawość.

Były szaroniebieskie jak niebo zasnuwane pierzyną deszczowych chmur.

Lily cofnęła się w kąt między stojakiem z science fiction a ścianą sklepu, na co Kath ruszyła za nią. Były teraz praktycznie same, a nad ich głowami brzęczał halogen, jakby w żarówce utknął komar.

– Była o dwóch kobietach – zaczęła Lily. W ustach czuła taką suchość, że bała się zakrztuszenia własnymi słowami. – Ta książka, *Dziwna pora...* była o dwóch kobietach, które się w sobie zakochały. – A potem zadała pytanie, które jakiś czas temu zapuściło w niej korzenie, a teraz rozwijało liście, domagając się wyjścia na światło dzienne: – Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

Oczy Kath na chwilę się rozszerzyły, a potem wbiła wzrok w podłogę, po czym spojrzała na stojak z science fiction i znów na Lily. Ta czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi, a krew buzująca w żyłach barwiła dziewczynie skórę na różowo. Czekwała na odpowiedź Kath. Miała wrażenie, że minęła cała wieczność; halogenowe światło padające na jej głowę było jak rozżarzone sztuczne słońce, a kasa z przodu sklepu rozbrzmiewała niczym syrena alarmowa.

W końcu Kath wypowiedziała miękko jedno słowo:

– Tak.

Wyszły z drogerii i ruszyły Columbus Avenue, z dala od Chinatown i North Beach, w stronę filipińskich restauracji i sklepów w Manilatown. Popołudniowe słońce rozciągało cienie na wschód i jak gdyby wskazywało im drogę. Lily tymczasem opowiadała Kath o tym, co przeczytała.

– Całowały się – wyznała.

Mówienie tego na głos wywoływało u niej dreszcz i rumieńce. Jednocześnie nie była w stanie wypowiedzieć słowa, którym w książce opisywano ten rodzaj dziewcząt: lesbijki. To słowo zdawało się niebezpieczne, ale też potężne, jakby jego wymówienie mogło coś przywołać. Coś lub kogoś. Policjanta, który aresztowałby je za wypowiedzianie takich słów, albo gorzej – prawdziwą lesbijkę.

Spojrzała z ukosa na Kath i zapytała:

– Znałaś kiedyś... takie dziewczyny?

Zatrzymały się na kolejnym przejściu. Kath zdawała się ponura. Zbladła, jeśli nie liczyć dwóch rozpalonych punktów tuż poniżej kości policzkowych, jakby nałożyła za dużo różu.

Odpowiedziała cicho:

– Moja koleżanka Jean... jest taka.

– Ta, która zabrała cię do Telegraph Club?

Kath skinęła głową.

– Tam wszystkie takie są. No, może poza turystkami. Niektórymi.

Światło zmieniło się na zielone, ale one ani drgnęły. Znajdowały się na Pacific Street, naprzeciwko dzielnicy rozrywki International Settlement wyróżniającej się neonem ozdobionymi barwnymi flagami i obejmującym ulicę łukiem. Dalej widać było wywieszki klubów nocnych Sahara Sands i Gay 'N Frisky, a z dachu klubu Barbary Coast zwisała ogromna obnażona kobieca noga wyglądająca niczym obsceniczne zaproszenie. Lily stanowczo się odwróciła, wyobrażając sobie, co musiało się dziać w środku.

Za nimi gwizdnął do nich jakiś mężczyzna.

– Hej, dziewczyny!

Lily zamarła.

– Chcecie się zabawić?

Był już tuż za nimi – gość w średnim wieku, w zniszczonym kapeluszu, wyglądający jak

księgowy po godzinach.

– Nie, dziękujemy – odparła Kath. Zbliżyła się do Lily i trąciła ją, by ta nie zwalniała. Światło jednak znów zmieniło się na czerwone, przez co utknęły po tej samej stronie ulicy.

Spojrzał na nie lubieżnie.

– Jesteście trochę daleko od domu, czyż nie? Podoba mi się ta chińska laleczka.

Lily złapała dłoń Kath i pociągnęła koleżankę w stronę Pacific, z powrotem ku Chinatown.

– Ach, trochę dziewczęcego uczucia od razu poprawia mi humor – zaśmiał się mężczyzna. Lily usłyszała, że wtóruje mu jakiś inny, będący niedaleko, jakby usłyszał całą tę wymianę zdań. Twarz paliła ją ze wstydu. Chociaż ci mężczyźni byli ohydni, razem z Kath właśnie o tym rozmawiały. Miała poczucie, jakby ktoś u góry ją osądzał. Szła coraz szybciej, jak gdyby próbowała prześcignąć własny wstyd.

W końcu Kath pociągnęła ją za rękę, mówiąc:

– Czekaj, Lily... Zwolnij.

Znalazły się na Grant Avenue obwieszanej czerwonymi latarniami, pachnącej pieczoną wieprzowiną i pełną chińskich sprzedawców zachwalających swe towary. Lily ulżyło; była w domu. Zatrzymała się na rogu i puściła dłoń Kath.

– Przepraszam – powiedziała natychmiast. – Musiałyśmy uciekać.

Blokowały chodnik, więc Lily odsunęła się na bok, a Kath podążyła za nią. Obie stały w niezręcznym milczeniu. Lily chciała kontynuować rozmowę, ale nie mogła tego zrobić, skoro znalazły się z powrotem w Chinatown. Jak gdyby ktoś nałożył jej kaganiec w chwili, gdy tylko tu wróciła.

– Chyba powinnam już pójść do domu – oznajmiła Kath.

– Nie, nie teraz. – Lily bała się, że jeżeli Kath ją teraz opuści, nigdy nie wrócą do tej rozmowy, która tak je do siebie zbliżyła. – Chodźmy... Chodźmy do Fong Fong's na lody imbirowe.

Kath wyglądała na zaskoczoną, ale szybko się zgodziła.

– Jasne.

Lily uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

– Tędy – powiedziała i złapała Kath za ramię, prowadząc ją w stronę lodziarni.

Gdy Lily szła wraz z Kath przez Chinatown, patrzyła na znajome ulice zupełnie inaczej, zastanawiając się, co koleżanka sądzi o jej okolicy. Zauważyła, że Kath spogląda na pomalowane balkony i pagody, na czerwone papierowe latarnie i poślacane lub szkarłatne wywieszki wyeksponowane na ulicy niczym nachalni chińscy sprzedawcy. Podobało się jej? A może uznała okolicę za przytłaczającą i osobliwą? Jej mina niewiele zdradzała. Wydawała się bardziej skupiona na nadążaniu za Lily niż na podziwianiu widoków.

Po drodze napotykały na przeszkody, które należało wyminąć: wiadra z mrożonymi rybami ustawione w perłowych rzędach, kontenery z zielono-białą *pak choi*[14] i kopczykami powyginanych korzeni imbiru, turyści gapiący się na lśniące pieczone kaczki zwisające z haków na wystawie. Wszystko to przenikała kakofonia zapachów i dźwięków: gorycz ziół zmieszana ze słodką bułeczek, szybkie i ostre zdania wykrzykiwane po kantońsku przez sprzedawców, a także mdła stęchła woń wczorajszych owoców morza.

Lily szczególną uwagę zwracała właśnie na zapachy; wiedziała, że biali marszczą nosy, czując nieznaną wonie. Kiedy w oddali spostrzegła cukierkowy front Fong Fong's – wyróżniający się niczym latarnia amerykańskości pośród chińskich restauracji i sklepów z pamiątkami – pociągnęła Kath w tamtą stronę niczym do oazy na środku pustyni. Wskoczyła naprzód i z elegancją otworzyła drzwi przed koleżanką. Kath zdawała się rozbawiona jej zachowaniem, ale weszła bez komentarza.

W lokalu stoliki znajdowały się po prawej stronie pod ścianą, a marmurowa lada ze stołkami zajmowała miejsce na tyłach. Za nią obsługa w białych fartuchach i pasiastych czapczkach nalewała desery lodowe oraz tworzyła pucharki bakaliowe ozdobione owocami i ciastkami sezamowymi. Lily spostrzegła z tyłu wolny stolik i ruszyła w jego stronę, po czym opadła na siedzenie, a Kath zajęła miejsce naprzeciwko niej.

Lily chodziła do Fong Fong's, odkąd pamiętała, ale i tak otworzyła menu. Były tam hamburgery i frytki, banana split i pucharki lodowe, napoleonki i inne ciasta do obejrzenia w gablocie z przodu.

– Co powinnam zamówić? – zapytała Kath.

– Lody imbirowe – odparła natychmiast Lily.

Kath rozglądała się po wnętrzu z wyraźną fascynacją, a jej wzrok spoczął na wymalowanym na ścianie za witryną z ciastami piernikowym ludziku.

– Fajne miejsce.

Lily też się rozejrzała, lustrując wzrokiem lśniące gabloty ze stali nierdzewnej, wypolerowane marmurowe blaty, chińskich kelnerów i operatorów dystrybutora napojów w schludnych białych fartuchach i pasiastych czapczkach. Czuła dumę z tego miejsca, bo dzięki niemu Chinatown wydawało się nowoczesne i amerykańskie.

– Podoba ci się? – zapytała. Nigdy wcześniej nie była w Fong Fong's z nikim białym.

Zanim jednak Kath odpowiedziała, pojawił się obok nich kelner, by przyjąć zamówienie. Mówił po angielsku, ale z wyraźnie kantońskim akcentem. Przez krótki, upokarzający wręcz moment Kath go nie rozumiała, więc Lily musiała tłumaczyć – zaczęła się przez to zastanawiać, czy przyprowadzenie tu koleżanki było dobrym pomysłem. W jednej chwili duma zmieniła się w zażenowanie.

Kiedy kelner odszedł, szybko zmieniła temat.

– Wybierasz się na Bal Strachów? – zapytała.

Kath wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie przepadam za takimi imprezami.

– Ja też nie, ale muszę iść ze względu na Shirley. Dołączyłam do jej komitetu balowego.

– Dlaczego? – zapytała Kath, jakby to była niezrozumiała decyzja.

Lily westchnęła i przeniosła wzrok za nią. W pomieszczeniu nie było nikogo, kogo by znała.

– Tylko w ten sposób mogłam się wymigać od bycia partnerką Willa Chana.

– To brzmi okropnie – odparła sucho Kath.

Lily udała grymas.

– To co, przyjdiesz na bal?

Na jej twarzy pojawiła się dziwna mina; Lily nie umiała określić, czy to zaskoczenie, czy niechęć.

– Muszę się zająć napojami, ale nie sądzę, żebym musiała to robić przez cały wieczór – dodała Lily, na wypadek gdyby Kath uznała, że nie będą mogły spędzić tego czasu razem.

Kath zamrugnęła, a potem delikatnie się uśmiechnęła.

– Nie mam pojęcia, co miałabym założyć.

Lily zabrało chwilę zrozumienie, że koleżanka żartuje, a potem zaśmiały się razem i Lily z jakiegoś powodu nie mogła przestać. Musiała się złapać za brzuch, by się uspokoić, kiedy kelner przyniósł im identyczne metalowe pucharki z lodami imbirowymi.

Kath wzięła łyżkę i spróbowała deseru. Jej oczy momentalnie się rozszerzyły.

– Ale to pyszne!

– Wiem.

Lily była świadoma, że brzmi zarozumiale, ale miała to w nosie. Też wzięła odrobinę lodów. W zimnej, słodkiej masie tkwiły kawałki kandyzowanego imbiru.

– Pójdę na bal, jeśli ty pójdziesz ze mną na spotkanie G.A.A. – oznajmiła Kath.

– Co się robi na takich spotkaniach? Zajmujecie się rytmiką? – zapytała Lily z powątpiewaniem.

– Nie, tego akurat nie uprawiamy. Zazwyczaj to tenis albo kręgle. Mówię ci, świetna zabawa! Uczy nas panna Wei-land. Mamy wspaniałą grupę.

– Nie jestem zbyt dobra w grze w tenisa czy w kręglach. Prawdę mówiąc, nigdy nie byłam w kręgielni...

– Co? – Kath wydawała się wstrząśnięta. – Musisz spróbować.

Lily zjadła kolejną łyżkę lodów, pozwalając im powoli rozpuścić się na języku, po czym odpowiedziała:

– Chciałabym, żeby istniało kółko naukowe wyłącznie dla dziewcząt. Pewnie mogłabym się zapisać na to normalne, ale tam są sami chłopcy. Nie chcę być jedyną dziewczyną.

– Co się robi w kółku naukowym?

– Pewnie wszystkie możliwe rzeczy: eksperymenty chemiczne, rozkładanie na części silników albo... Wiesz, co naprawdę chciałabym zrobić? – Podekscytowana Lily aż się pochyliła. – Chciałabym zbudować model rakiety. Widziałam w „Popular Science” reklamę takiego modelu do składania. Nie wyglądał na trudny, ale problem w tym, że musiałabym gdzieś tę raketę odpalić.

Kath uniosła brwi.

– Co masz na myśli?

– Ma kanister na dwutlenek węgla, który odpala ją w powietrze. – Zamyśliła się. – To musi przypominać fajerwerki, więc może mogłabym puścić ją na ulicy.

– To brzmi niebezpiecznie – stwierdziła Kath. Jej ton jasno wskazywał, że drażni się z Lily, która poczuła przypływ zadowolenia.

– Oj tam, to drobnostka – odparła nonszalancko. – Nie to co prawdziwa rakietka. Chciałabym kiedyś taką zobaczyć.

– A gdzie można to zrobić?

– Musiałabym dostać pracę w rządowej agencji. Już to rozplanowałam. Najpierw pójdę na uniwersytet kalifornijski i zrobię magisterkę z matematyki. Moja ciocia Judy skończyła tam studia matematyczne, więc zna wszystkich profesorów. Być może będę musiała pójść też na studia podyplomowe, ale tego nie jestem pewna. Jeżeli nie, to dostanę pracę jako obliczeniowiec w tym samym miejscu co ciocia. Projektują tam rakiety, ale ona nie może mi o tym za dużo powiedzieć, bo to podobno ściśle tajne. Przeczytałam już chyba wszystko o raketach. Wiadomo, jak robić takie, które można wystrzelić w kosmos, a przynajmniej są teorie, jak mogą one działać, ale do tego potrzebne są lepsze paliwa. Wiesz, żeby nabrały odpowiedniej prędkości do wyjścia poza Ziemię. Myślę, że niedługo się one pojawią.

– Kiedy? – zainteresowała się Kath, zdrapując resztki lodów z dna pucharka.

– Pewnie w ciągu kilku dekad. Jestem pewna, że wtedy rakiety zostaną wystrzelone w powietrze. Na ich pokładzie można umieścić zautomatyzowane przyrządy, które wrócą z pomiarami, a może nawet zdjęciami! Bo wysłanie w kosmos ludzi zajmie nam trochę dłużej. Musimy stworzyć statki mogące wytrzymać potencjalne uderzenie meteorów, a może i wytworzyć sztuczną grawitację. W przeciwnym razie ludzie będą po prostu latać po statku.

– Latać? Ale dlaczego?

– W kosmosie nie ma grawitacji. Sądzę, że to trochę jak pływanie, tylko bez wody. To musi być dziwne.

– Bezpieczne dla ludzi?

– Nie wiem. Chyba tak. Czyż to nie fascynujące? – Lily się rozpromieniła.

Kath odwzajemniła uśmiech, a potem lekko potrząsnęła głową.

– Dobra. Pójdę na bal, ale ty musisz przyjść na kręgle.

– Umowa stoi – odparła Lily, po czym wyciągnęła rękę przez stół, jakby były biznesmenami zawierającymi kontrakt. Kath chciała potrząsnąć jej dłoń, ale gdy ich palce się zetknęły, wcale nie wyglądało to jak poważna umowa. Lily przypomniała sobie jedną z wczesnych scen *Dziwnej pory*, gdy Maxine wzięła Patrice za rękę, by obejrzeć jej manicure, i oznajmiła: „Masz śliczne palce”.

Wyrwała rękę z uścisku Kath, po czym próbowała zakryć zmieszanie, dojadając lody imbirowe. Chciała ją zapytać o coś jeszcze – o tę sprawę – ale nie umiała. Wokół niej rozbrzmiewały śmiech, gwar rozmów i brzęk łyżeczek uderzających o deserowe pucharki – wszystko to przypominało jej o tym, gdzie się znajduje. Jasna, czysta restauracja w Chinatown pachnąca cukrem i śmietaną nie była odpowiednim miejscem na to pytanie, a mimo to Lily miała wrażenie,

że wszystkie jej myśli są wypisane na twarzy.
Jesteś jak te dziewczyny z tej książki? Bo ja chyba tak.

[14] Rodzaj chińskiej kapusty (przyp. tłum.).

Przygotowania do Balu Strachów rozpoczęły się na kilka godzin przed oficjalnym startem imprezy. Jedna z dziewcząt z komitetu balowego pożyczyła auto od rodziców, by przywieźć część rzeczy – Lily udało się ją namówić na wspólną wyprawę do najbliższego sklepu spożywczego po sok ananasowy, 7-Up, precele i ciężkie worki z lodem.

Kiedy wróciły do szkoły, Lily poczęła szukać w szafce znajdującej się w sali zajęć gospodarskich misek do ponczu, a potem przeniosła je przejściem podziemnym łączącym główny budynek z salą gimnastyczną. Po drodze minęła damską szatnię. Drzwi były uchylone. Wewnątrz zobaczyła błękitną sukienkę Shirley zawieszoną na wieszaku na skraju szafki – wyglądała niczym skorupa dziewczyny powiewająca w powietrzu. Lily miała już na sobie strój balowy – czarną spódnicę ze sztucznego jedwabiu i różowy bawełniany sweterek z krótkimi rękawami. Spódnica miała już ślady po wodzie z kapiącego przez torby lodu, który musiała zaciągnąć do sali. Lily miała nadzieję, że wyschną, zanim pojawi się Kath.

Shirley nadzorowała właśnie proces dekorowania sali gimnastycznej. Dziewczęta z komitetu zdążyły zawiesić jaskrawozielone serpentyny, wycinankowe duchy i szkielety wykonane z grubego białego papieru. Jako oczy ponaklejano im po kilka cekinów, co nadawało stworom szklistego wyglądu. Shirley pewnie celowała w dziwaczny efekt, ale zdaniem Lily wyszło to bardzo niepokojąco. Teraz dziewczyny przyklejały litery tworzące napis „Bal Strachów” na ścianie między futbolowymi proporczykami. Wycięto je z folii aluminiowej o pofalowanych kształtach przywodzących na myśl napisy z horrorów. Niewielka scena, na której ustawiał się zespół, znajdowała się przed srebrzystymi literami. Lily rozpoznała ze szkoły paru członków grupy muzycznej.

Stół z napojami mieścił się na drugim końcu sali gimnastycznej. Lily skierowała się tam z misami do ponczu, zaniepokojona tym, że Kath koniec końców nie pojawi się na balu. Gdyby tak było, czy to by coś znaczyło? Źle się czuła z tym pytaniem. Próbowała o nim zapomnieć, rozrabiając poncz, ale niepewność tliła się w jej głowie jak coś swędzącego, czego nie można nawet podrapać.

Równo o ósmej wieczorem Shirley otworzyła drzwi. Lily ze swojego stanowiska przy stole z napojami doskonale widziała całą salę. Dostrzegła, że pierwsi przyszli ich przyjaciele: Will

i Hanson w sportowych marynarkach, a także Flora i Mary w sukienkach wieczorowych odpowiednio w kolorze rózu i zieleni. Potem kilku chłopaków z drużyny futbolowej wraz z partnerkami, a za nimi tłum uczniów, którzy niemal jednocześnie wbiegli do sali jakoś kwadrans po ósmej. Z początku mieszała się wszyscy: Chińczycy i Włosi, czarni i biali. Dziewczyny stały w grupkach, podziwiając nawzajem swoje sukienki i porównując przypięte do nich kwiaty. Chłopcy przemieszczali się między stołem z napojami a dziewczynami, przynosząc im pucharki z ponczem. Następnie przystawali niepewnie obok, próbując nabrać odwagi na poproszenie któregoś z nich do tańca.

Lily widziała, jak Shirley przemieszcza się z miejsca na miejsce, a jej sukienka do połowy łydki kołysze się wokół niczym chmura błękitu. Dziewczyna długo oszczędzała, by móc kupić ten strój, a Mary pomogła jej z poprawkami, ściskając linię biustu, by lepiej eksponowała sylwetkę. Przyjaciółka zdobyła też połyskliwy naszyjnik z cyrkoniami i kolczyki do kompletu, a do tego jeszcze białe satynowe rękawiczki znalezione na tyłach jednego ze sklepów w Chinatown. Wyglądała niczym księżniczka i wyraźnie jej to pasowało. Od czasu do czasu spoglądała na Lily, a raz nawet zapytała, czy wszystko u niej w porządku. Nie zaproponowała jednak, by Lily dołączyła do niej i jej paczki.

Lily zaś czuła ulgę, że ma dobry pretekst, by chować się za stołem.

To Shirley jako pierwsza odważyła się porwać kogoś na parkiet, ciągnąc za sobą Willa, a wkrótce potem za ich przykładem poszły też inne pary. Partnerzy trzymali się w odpowiedniej odległości od siebie i poruszali się po sali niczym roboty. Wtem skończyło się mieszanie, a pary dobrały się między sobą karnacją – Chińczycy z Chińczykami, czarni z czarnymi. Gdy Lily obserwowała Shirley i Willa, w jej pamięci pojawił się fragment wspomnienia. Czy jego brat, Calvin, nie wywołał aby skandalu kilka lat temu? Nie pamiętała szczegółów, ale miało to coś wspólnego z dziewczyną, którą przyprowadził na bal. Shirley na pewno by pamiętała – ona pamiętała wszystko – ale Lily uważała, że to kiepski moment na takie pytania.

Spojrzała na ogromny zegar na ścianie, poniżej tablicy wyników. Było już po wpół do dziewiątej, a kolejne minuty płynęły – ani śladu Kath. Lily regularnie dolewała ponczu, układała ciasteczka i wykladała więcej precli, ale nadszedł czas, kiedy nie miała już nic do roboty i nie chciała już wstawać. Podeszła do trybun z pucharkiem ponczu, czując się jak ktoś, kto tylko podpira ściany. Starła się przy tym nie patrzeć zbyt wyczekująco w stronę wejścia.

Kiedy zespół zaczął grać *ABC Boogie*, niemal wszyscy pobiegli na parkiet. Chłopcy kręcili dziewczynami, a ich spódniczki wirowały, gdy ich właścicielki wpadały w objęcia partnerów. Wszyscy się śmiali i krzyczeli, ktoś śpiewał, zagłuszając zespół, a kolejne dziewczęta zdejmowały pantofle, by móc lepiej tańczyć. Lily przyglądała się tej radości ze swojego miejsca na trybunach; wszyscy inni podpieracze ścian znaleźli sobie partnerów albo dołączyli do znajomych. Ona zaś skrzyżowała ręce na brzuchu i przybrała minę mającą mówić: „Jest mi tu świetnie”.

Nie zawsze tak było. Lily nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy powinna iść na bal, czy będzie się dobrze bawić albo co zrobi, gdy nikt nie zechce z nią tańczyć. Wszystkie dziewczyny swobodnie wymieniały się partnerami, ponieważ nikomu nie wolno było przychodzić z parą – przynajmniej tak to wyglądało w ich paczce z Chinatown. Teraz wszyscy już wiedzieli, że Hanson i Flora są razem, chociaż ci dwoje nigdy by się do tego głośno nie przyznali, jako że ich rodzice nie zgadzali się na randki. Dzieci niebędące Chińczykami zdawały się mieć już w tym roku swoich partnerów. Kilka par już się nawet zaręczyło albo i pobrało. Kiedy to wszystko tak się zmieniło? Miała wrażenie, że to stało się tak nagle.

Kiedy zespół zaczął grać kolejną znaną piosenkę, część tańczących zmieniła partnerów, a Lily starała się nie patrzeć nikomu w oczy. Nie chciała, żeby ktokolwiek zaprosił ją do tańca. Zamiast

tego rzuciła okiem na stół z napojami – nie wyglądało na to, aby konieczna była dolewka ponczu – i nieopodal drzwi wejściowych, gdzie przy ścianie spostrzegła jakąś dziewczynę ze złożonymi rękami. Gwałtownie wstała. Dziewczynę otaczały tańczące pary, toteż Lily musiała przejść kawałek trybun, by lepiej ją dostrzec. Tak – dziewczyna miała na sobie zwyczajną brązową spódnicę i białą bluzkę pod kurtką – to była Kath.

Lily przebiegła przez salę, z trudem wymijając wirujące pary, po czym potknęła się o porzucone czarne szpilki. Kath złapała koleżankę za ramię, ta zaś chwyciła ją za rękę, a potem wspólnie wykonały półobrót, jakby tańcząc, po czym Lily wyrwała się bez tchu.

– Chodźmy stąd – rzuciła i ruszyła w stronę wyjścia.

Drzwi sali gimnastycznej zatrzasnęły się za nimi, zagłuszając muzykę. Lily i Kath stanęły na szerokim półpiętrze. Poniżej betonowe stopnie wiodły do drzwi wyjściowych. Sala znajdowała się w budynku naprzeciwko szkoły, toteż miały niewielki wybór, dokąd pójść – dwa piętra w dół do szatni albo na zewnątrz, prosto w noc. Lily wybrała to drugie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Kath, spiesząc za nią.

– Gdziekolwiek – odparła Lily, popychając ciężkie drzwi.

Bay Street spowijała mgła. Za ledwie dwie przecznice stąd znajdował się Aquatic Park, a w powietrzu unosił się intensywny zapach oceanu. Lily potarła dłońmi obnażone ręce i zdała sobie sprawę, że zostawiła kurtkę w budynku. Nie mogła tam jednak wrócić. Nie teraz.

– Chodźmy do Aquatic Park – zaproponowała.

– Na pewno? Nie masz kurtki.

– Nie jest tak zimno. Przynajmniej nie wieje. – Rzuciła Kath znaczące spojrzenie i udały się za róg. – Potrzebuję powietrza. Nie miałam pojęcia, że tam będzie tak duszno.

– Coś się stało?

– Nie. Po prostu nie chcę już tam siedzieć.

Skręciły w prawo, kierując się wzdłuż Van Ness w stronę wody. Mgła jak gdyby pochłaniała wszystkie dźwięki, w tym głuchoe odgłosy ich kroków. Miasto spowijała nienaturalna cisza.

– Przepraszam, że przyszedłam tak późno – powiedziała Kath. – Nie mogłam się wyrwać wcześniej.

– Cieszę się, że jesteś.

Niepewnie się do siebie uśmiechnęły. Lily, czując przyływ zakłopotania, musiała odwrócić wzrok. Boisko futbolowe po prawej stronie za salą gimnastyczną wyglądało jak ogromna ciemna połać. Latarnie były wyłączone, a przez mgłę przebijały się tylko światła z wysokich okien sali. Na końcu przecznicy Lily spojrzała na wschód, na North Point Street wiodącą do Fisherman's Wharf. Ogromny neon na placu Ghirardelliego lśnił niczym odległy miraż, a zazwyczaj wyraźne litery rozplywały się teraz we mgle. W Fisherman's Wharf wszystkie restauracje i kluby o tej porze w sobotni wieczór były na pewno wypełnione światłem i muzyką, lecz tutaj, w cieniu Fortu Mason, miasto zdawało się ciche i opustoszałe.

Szły dalej przez pogrążone w mrocznej mgle Van Ness. Minęły parę trzymającą się za ręce. Ona miała na sobie jego płaszcz, który niemal pochłaniał jej ramiona. Gdy tak szli, podzwaniała za

nią klamra paska. Nagle wybuchnęli śmiechem, a potem zaczęli rozmawiać, ale Lily i Kath nie rozróżniły ich słów. Mgła zgęstniała tak bardzo, że widziały otoczenie na odległość co najwyżej kilku metrów przed sobą.

W polu widzenia pojawiły się światła. Dochodziły z okolic Muzeum Morskiego, którego białe kontury – kreślące kształt łodzi podwodnej – wyraźnie się odznaczały na tle ciemności. Betonowe trybuny ustawione po obu jego stronach umożliwiały obserwację ciemnej zatoki. Gdzieś w dole znajdował się ocean; Lily go nie widziała, ale słyszała jego szum, rytmiczne szszszsz fal, jakby sam ocean je uciszał. Mgła opadała za nimi niczym kurtyna. Były właściwie same – a przynajmniej tak im się zdawało – na skraju wodnej toni.

W oddali zawyła syrena. Lily zrobiło się zimno. Na gołych rękach i na twarzy czuła wilgotny chłód – wyraźnie drżała, gdy wzmagał się wiatr, smagając jej włosy.

Kath zdjęła kurtkę.

– Masz – powiedziała, podając ją Lily.

– Ale tobie będzie chłodno. To moja wina, że nic ze sobą nie wzięłam.

– Ja mam długie rękawy. No, weź.

Lily skapitulowała. Kurtka Kath była rozkosznie ciepła, zrobiona z miękkiego sztruksu. Lily zapięła ją pod samą szyję i wsunęła dłonie do kieszeni z satynową podszewką.

– Dziękuję – powiedziała.

Stały razem w ciszy, a Lily patrzyła w ciemność, wyobrażając sobie, jak dostrzega delikatny ruch wody. Czuła się tak, jakby ktoś zawinął ją w malutki, prywatny kokon z Kath. Wiedziała, że stoją na otwartym terenie, niedaleko jaskrawo oświetlonego Muzeum Morskiego – jego cień padał w stronę wody, na trybuny – ale we mgle można było odnieść wrażenie, że są niewidoczne dla innych.

– Jak było w Telegraph Club? – zapytała Lily.

Kath nie okazała zdziwienia. Może – przyszło do głowy Lily – może czekała na to pytanie, odkąd powiedziała jej o swojej wizycie w klubie.

– To było... Nie wiem, jak to opisać. Nigdy wcześniej nie widziałam niczego podobnego. Wiesz, występują tam znani ludzie. Trochę jak u Finocchia[15], tylko z kobietami.

– U Finocchia? To ten klub dragowy?

– Tak.

– Turyści tam często chodzą. Wpadają na kolację do Chinatown, a potem idą do Finocchia. Do Telegraph Club też?

– Niektórzy. – Kath otuliła się ramionami, chroniąc się przed chłodnymi objęciami mgły. – Tamtego wieczoru pewnie z połowa publiczności była turystami.

– A druga połowa?

– Kobiety.

Pod nimi ocean szemrał w ziarnkach piasku. Syrena zawyła ponownie.

– Widziałaś... – zaczęła Lily – ...widziałaś Tommy Andrews?

– Tak. Był tam spektakl, w którym występowała między innymi Tommy. Śpiewała... różne piosenki ze zmienionym tekstem.

– Czyli jakim?

– Nie pamiętam dokładnie, ale znasz te piosenki. Chodziło o to, że była, no wiesz, przebrana za mężczyźnę. Śpiewała do kobiet na widowni. Jest bardzo... przystojna. – Kath wydała z siebie nerwowe parsknięcie, coś, co tylko przypominało śmiech. – Potem podeszła do naszego stolika... W sumie podchodziła do wszystkich stolików przy scenie, a ta była tak mała, że przyszła do wszystkich... W każdym razie Jean nie mogła się nacieszyć.

Lily wyobrażała sobie występ Tommy niezliczoną ilość razy, ale opis Kath wprowadził ją w pełne

ekscytacji drzenie. „Śpiewała do kobiet na widowni”. Wzięła głęboki oddech, wciągając do płuc mgliste powietrze.

– Och, chciałabym to zobaczyć – oznajmiła, patrząc na Kath. Ta odwzajemniła spojrzenie, a jej mina była dziwna, przestraszona i rozradowana jednocześnie. – Co? O co chodzi?

– Możemy się tam wybrać. Do Telegraph Club.

Lily była zaskoczona taką reakcją.

– Przecież nie mamy jeszcze dwudziestu jeden lat. No właśnie, jak się tam dostałaś?

– Jean załatwiła mi podrobiony dowód – przyznała Kath, a potem zaproponowała: – Tobie też może.

– To nielegalne – zauważyła Lily. Zaraz pomyślała o podrabianych dokumentach imigracyjnych. Co zrobiłaby policja, gdyby ktoś złapał ją z fałszywym dowodem? Zaciśnęła pięści w kieszeniach kurtki Kath. – To chyba kiepski pomysł.

– Potrzebujesz papierów tylko do kupowania drinków. Kiedy tam wchodziłam, nawet mnie o nie nie pytali.

Lily zaczęła się zastanawiać, czy ta nonszalancja Kath nie jest aby tylko na pokaz.

– To po co one w ogóle?

– Tak... na wszelki wypadek. Czemu nie miałabyś sobie załatwić takiego dowodu, a potem decydować, czy chcesz z niego korzystać?

– Nie chciałabym, żebyś miała kłopoty.

– Nie martw się. Poproszę Jean, ona wie, gdzie można załatwić coś takiego. – Wiatr targał krótko ściętymi włosami Kath i znów wprawił Lily w drzenie mimo kurtki narzuconej na ramiona. – A jak już nie będzie mogła, to... to coś wymyślimy.

Gdy tylko pojawiła się taka możliwość, Lily nie chciała, by ktokolwiek jej ją odbierał. Raz jeszcze sobie wyobraziła, jak wchodzi do klubu, jak siedzi przy niewielkim okrągłym stoliku na skraju sceny, a Tommy Andrews dla niej śpiewa.

– No dobrze. Poproś Jean – oznajmiła szybko, by nie zmienić zdania. – Kiedy to zrobisz?

– Niedługo się z nią widzę. Przyjeżdża raz w miesiącu, żeby zobaczyć się z rodziną. Porozmawiam z nią, jak wpadnie. Pewnie w przyszły weekend.

– Przyszły weekend! To naprawdę szybko.

Ciało Lily przeszył dreszcz. Ujrzała uśmiech Kath, a potem jej drzenie, gdy wiatr ponownie dmuchnął wprost na nie.

– Zimno ci – mruknęła. – Powinnyśmy już wracać.

Ich rozmowa tak po prostu się skończyła. Mgła, która je wcześniej nakryła, towarzyszyła im przez całe Van Ness, gdy szły z powrotem do sali gimnastycznej o oświetlonych oknach mrugających pośród mlecznobiałej toni.

[15] Finocchio's Club to znany klub nocny w San Francisco, który w latach 30. XX wieku jako jeden z pierwszych zaczął oferować występy *drag queens* (przyp. tłum.).

Kiedy całe zmarznięte wróciły do ciepłej, suchej sali, Bal Strachów wciąż trwał w najlepsze. Lily zdjęła i oddała Kath kurtkę, którą od niej pożyczyła, a ta po prostu ją założyła. W tej samej chwili otworzyły się drzwi. Stała w nich Shirley, wyraźnie kogoś poszukując.

– Lily! Tu jesteś! Gdzieś ty się podziewała? Trzeba uzupełnić poncz w miskach.

Zeszła po schodach, spostrzegła stojącą obok Kath i zatrzymała się kilka stopni od dołu.

– Kathleen? – zapytała zaskoczona.

– Cześć, Shirley – odparła Kath, wyraźnie zakłopotana.

Lily ucieszyła się, że zdążyła oddać koleżance kurtkę, zanim Shirley je zobaczyła.

– Byłam w łazience i wpadłam na... Kath... Kathleen.

Shirley nie ruszyła się z miejsca, jakby nie chciała się zbliżyć.

– Długo cię nie było.

– Ale już jestem.

Od strony sali niosła się muzyka – zespół grał kolejny żywy, taneczny numer.

– Zabawa chyba się rozkręciła – stwierdziła Lily, starając się brzmieć entuzjastycznie.

– Owszem – odpowiedziała Shirley – ale powinnaś była mi powiedzieć, zanim odeszłaś od stołu z napojami.

Lily przełknęła narastającą w niej irytację.

– Przepraszam. Kiepsko się poczułam.

To właściwie nie było kłamstwo.

– A teraz czujesz się lepiej? – zapytała zniecierpliwiona Shirley. – Wrócisz?

– Jasne – odpowiedziała Lily. Nie mogła się w żaden sposób wymigać, nie mogła też wziąć ze sobą Kath, ponieważ Shirley za nic w świecie by na to nie pozwoliła. Lily spojrzała na Kath, zastanawiając się, jak jej to powiedzieć, ale ta wydawała się rozumieć, co się dzieje. Zapięła kurtkę i wsunęła ręce do kieszeni, w których Lily grzała dłonie zaledwie kilka minut wcześniej.

– Idę do domu – oznajmiła Kath. Shirley nie odpowiedziała.

Lily chciała jej powiedzieć dziesiątki różnych rzeczy, ale zdołała wykrztusić tylko:

– Dobranoc.

Potem odwróciła się i ruszyła w stronę Shirley, która już wspinała się po schodach. Za sobą usłyszała tylko otwierające i zamykające się drzwi wejściowe za Kath. Chłodne powietrze owiało jej nogi.

Shirley zatrzymała się tuż przed drzwiami sali i odwróciła się tak, że stała kilka stopni nad Lily.

– Zanim wrócimy na salę, muszę cię ostrzec przed Kathleen Miller – oznajmiła.

– Ostrzec? – zapytała zaskoczona Lily.

Shirley skrzyżowała ręce i spojrzała na przyjaciółkę z góry.

– Nie powinnaś się z nią zadawać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Shirley zeszła stopień niżej, tak że była zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od Lily, i szepnęła:

– Nie pamiętasz, co się stało z jej przyjaciółką, Jean Warnock?

Lily z trudem potrząsnęła głową.

– Nie, a co?

Shirley zerknęła na drzwi, ale te wciąż były zamknięte, więc przeniosła spojrzenie z powrotem na Lily.

– Jean jest zбочzona. Nie pamiętasz? Ktoś w zeszłym roku przyłapał ją w sali muzycznej... – skrzywiła się z niesmakiem – ...z inną dziewczyną.

Lily poczuła, jak włosy stają jej dęba.

– Nie słyszałam o tym – powiedziała obojętnym tonem.

– Doprawdy, czasem mam wrażenie, że nie obchodzi cię nic oprócz zadań z matematyki i tych twoich kosmicznych czytań. – Shirley miała zabawną minę, trochę matczyną, trochę poirytowaną.

Ta krytyka spłynęła po Lily jak woda po kacze. Myślała tylko o tym, że Shirley wiedziała o Jean. A potem przypomniała sobie to, o czym niemal zapomniała na temat Calvina, który był w klasie Jean. Skandal. Na początku szkoły średniej związał się z dziewczyną (Lily nie pamiętała jej imienia), co samo w sobie było niezwykle jak na dzieciaka z Chinatown, ale mogłoby być tolerowane, o ile trzymaliby swoją relację w tajemnicy. Skandal polegał na tym, że nie była Chinką, była czarna, a po jednym z balów przyłapano ich razem w samochodzie Calvina.

Shirley wciąż mówiła:

– Dlatego powinnaś się trzymać z daleka od Kathleen Miller. Nie chcesz chyba, żeby o tobie też plotkowano.

Lily zrobiła krok naprzód, by zrównać się z przyjaciółką.

– To Calvin powiedział ci o Jean? – zapytała.

Shirley zmarszczyła brwi.

– Co? To bez znaczenia, kto mi o tym powiedział. Chodzi o to, żebyś miała świadomość, jakie to ważne. Nie możesz być kojarzona z takimi ludźmi.

Lily nie odpowiedziała. Czuła się jakby nieobecna, a jednocześnie – czego nie robiła nigdy wcześniej – zwracała baczną uwagę na czoło Shirley marszczące się ze złości. Między brwiami dziewczyny utworzyły się dwie litery V, które jak gdyby karykaturalnie wskazywały na jej nos.

– Jeżeli wiesz, co dla ciebie dobre, dogadasz się z Willem – ciągnęła Shirley. – Już z nim rozmawiałam. Chciałby z tobą zatańczyć. To dobry pomysł, zwłaszcza jeśli ktoś jeszcze widział cię z Kathleen.

– Nie chcę z nim tańczyć. Proszę, żebyś z nim o mnie nie rozmawiała – odparła chłodno Lily. – A z Kath wszystko jest w porządku.

– Kath? – zapytała Shirley i omal nie sarknęła. – Czy ty się w ogóle słyszysz? Chcesz, żeby ludzie myśleli, że się przyjaźnicie?

– A czemu nie? – zapytała Lily.

Shirley wydawała się szczerze wstrząśnięta.

– Właśnie ci to wyjaśniłam. Wyświadczam ci przysługę.

Lily wiedziała, że zaraz popełni błąd, ale nie mogła się oprzeć.

– Nie potrzebuję od ciebie żadnych przysług – oznajmiła szybko.
Shirley zaniemówiła.

– Cóż... – zaczęła, ale urwała.

Lily nie mogła już cofnąć wypowiedzianych słów. Nie chciała tego zresztą robić. Drzwi gwałtownie się otworzyły i wypadła przez nie grupa białych uczniów, szereg trzymających się za ramię par. Dziewczęta chichotały. Lily i Shirley nie znały ich zbyt dobrze, zeszyły więc na bok, by je przepuścić. Zespół zagrał pierwsze takty *I'll Be True*. Lily była przekonana, że wszyscy ruszą na parkiet, ale ani ona, ani Shirley nawet nie drgnęły. Zaczęła się zastanawiać, czy będą tak stać do końca świata, ale koniec końców Shirley potrząsnęła dyskretnie głową, jakby w wyrazie rozczarowania zachowaniem Lily, po czym ruszyła w stronę drzwi.

– Idziesz czy nie? – zapytała.

Lily wiedziała, że jeśli nie pójdzie, to spotkają ją tego przykre konsekwencje. Shirley przecież dość jasno jej to wyłożyła, czyż nie? Zachowanie Jean było zaraźliwe jak przeziębienie – mogło się przenieść przez Kath na Lily, a wszystko za sprawą zwykłej plotki.

– Nie – odparła.

Gdy tylko to słowo wypłynęło z jej ust, opanowała ją panika. Nie powinna była tego mówić, ale Shirley już wchodziła z powrotem na salę. Drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

Lily niepewnie wzięła oddech. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko pójść do domu, toteż wzięła kurtkę z damskiej szatni i wyszła. Właściwie spodziewała się, że przed salą spotka czekającą na nią Kath, ale ulica była pusta. Nad chodnikiem poruszała się wyłącznie mgła, cicha i bezcielesna niczym duch.

W poniedziałkowy poranek Lily i Eddie dotarli jak zwykle do skrzyżowania Washingtona i Granta, ale Shirley tam na nich nie czekała. Tylko Flora stała na rogu zarumieniona z przejęcia. Lily przez cały weekend się zastanawiała, w jaki sposób Shirley ukarze ją za wyjście z balu. W niedzielę nie widziała przyjaciółki w kościele, Shirley nie zadzwoniła też, aby porozmawiać z nią o tańcach, jak zwykła to czynić wcześniej. Lily wiedziała, że coś się stanie, ale akurat tego się nie spodziewała.

– Shirley już poszła do szkoły – oznajmiła Flora. – Poprosiła mnie, abym ci przekazała, żebyś na nią nie czekała.

Upokorzenie rozpało policzki Lily, ale próbowała je skryć pod postacią chłodnej rezygnacji.

– No to czas iść, żebyśmy się nie spóźniły – oznajmiła. Miała świadomość, że Shirley zleciła Florze brudną robotę, by przez swoją nieobecność pokazać Lily, że ta nie należy już do jej paczki.

Eddie spojrzał na nią z zaciekawieniem, ale nie odwzajemniła jego spojrzenia. Szli dalej Grant Avenue. Był wczesny ranek i magazynierzy wciąż przynosili z chodników palety z produktami do wnętrza sklepów. Lily slalomem omijała pudła kapusty pekińskiej oraz imbiru i omal nie wpadła na dwóch mężczyzn niosących pół świni do rzeźnika. Skóra zwierzęcia miała woskowy odcień różu, a jego racice wystawały pod dziwnymi kątami, jakby zamierzało ją kopnąć.

Przeszła pospiesznie obok, a jej żołądek zacisnął się tak, jakby racica trafiła w dziesiątkę.

Kiedy dołączyli do reszty paczki u wyjścia z Chinatown, ukradkowe spojrzenia rzucane w jej kierunku mówiły wyraźnie: wszyscy już wiedzieli. Jeśli Lily miała wcześniej jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, z jakim chłodem potraktuje ją Shirley, wyzbyła się ich, gdy zauważyła, że Will nie czekał z Hansonem. Poszedł już razem z Shirley – tylko we dwójkę.

Lily wbiła wzrok w chodnik i wcisnęła spocone dłonie w kieszenie kurtki, podążając za Florą, Hansonem i resztą – wciąż udawała, że kompletnie się tym nie przejmuje. Pozwoliła sobie oddalić się od grupy, aż pozostała w tyle za wszystkimi. Teraz widziała już głównie brudny, poszarzały chodnik rozpościerający się przed nią na kilkadziesiąt centymetrów i nogi idącej z przodu Flory. A potem i ją straciła z oczu, więc gapiła się już wyłącznie w dół.

Przy Francisco Street Eddie skręcił w prawo, w stronę swojej szkoły, a Lily w lewo. Wlekła się naprzód, patrząc, jak powiększa się przepaść między nią a jej przyjaciółmi, aż byli pół przecznicy od siebie i słyszała jedynie fragmenty rozmowy urywanej przez wiatr. Raz czy drugi Flora

spojrzała na nią przez ramię, zwalniając przy tym, jakby chciała na nią zaczekać, ale nigdy na tyle, by Lily faktycznie mogła ją dogonić.

Kiedy obie z Shirley były jeszcze małe, zawsze trzymały się razem. Lubiły te same rzeczy: Smarties, które w ich zabawach odgrywały rolę leków przepisanych przez ojca Lily; *Bambiego* i *Czarnego księcia*, a potem słuchowiska o Archim Andrewsie. Udawały jego bohaterki: Shirley Veronikę, a Lily Betty. Rzadko się kłóciły, a kiedy już to robiły, Lily się zdawało, że to ona zbyt długo chowa urazę. Shirley nigdy tego nie robiła (przynajmniej nie otwarcie) – w ich duecie była tą wielkoduszną i hojną, z którą każdy chciał się kumplować. Teraz dopiero dotarło do Lily, że Shirley nigdy nie przeproszała; po prostu zakładała, że przyjaciółka jej wybaczy – a ona wybacziała.

Kiedy Lily dotarła do Galileo, do rozpoczęcia lekcji zostało zaledwie kilka minut. Stojąc przy szafce, spostrzegła Shirley i ich wspólną paczkę zebraną w kółeczku po drugiej stronie hallu. Gdy przechodziła, niektórzy na nią patrzyli, inni coś szeptali, zasłoniwszy usta dłońmi. Czy Shirley im powiedziała, co spowodowało jej rozejście się z Lily? Czy rozpuściła plotki o Lily i Kath?

Ta myśl ją niepokoiła, ale też wściekała.

Załatwiła sprawy związane z szafką. Z książkami w rękach odwróciła się do grupy Shirley i skierowała się w stronę sali panny Weiland. Kath szła akurat korytarzem, jak zwykle starannie unikając jej wzroku.

Nagle Lily zrozumiała, co powinna zrobić.

– Kath! – zawołała. – Zaczekaj!

Kątem oka zobaczyła, że wszyscy z grupki Shirley odwracają w jej stronę głowy. Kath się zatrzymała i spojrzała na nią wyraźnie zaskoczona. Jej wzrok pomknął gdzieś za Lily, a potem wrócił na nią.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Myślałam, że razem pójdziemy na zajęcia.

Gdy Lily czekała na odpowiedź koleżanki, nagle poczuła, że serce zbyt szybko tłucze jej się w piersi. Przez jedną okropną chwilę nawet się zastanawiała, czy nie popełniła błędu. Może Kath też nie chciała, żeby widziano ją w towarzystwie Lily.

Na szczęście po chwili Kath wskazała głową na Shirley i zapytała cicho:

– Nie idziesz z nimi?

– Nie.

Przez moment nic nie dało się odczytać z jej miny. Była w niej nadzieja, a może i radość.

Lily musiała przełknąć ślinę.

– Jasne – powiedziała w końcu Kath. – Chodźmy.

I poszły, a Lily już więcej nie oglądała się za siebie.

Kule do kręgli stały na stojaku uporządkowane w szeregu niczym układ planet: marmurkowe niebiesko-fioletowe, błyszczące czerwone, intensywnie zielone z białymi paskami. Lily wybrała czerwoną. To na szczęście, ponieważ podejrzewała, że pójdzie jej fatalnie. Wsunęła palce głęboko w otwory.

– Ta będzie dla ciebie za duża – powiedziała Kath. – Spróbuj z tą. – Wskazała mniejszą, zieloną. – I nie podnoś jej palcami, jest za ciężka. Chwyć ją w obie ręce.

Lily zaskoczył ciężar kuli.

– Jak ja mam tym niby rzucić?

Kilka alejek dalej rozległ się śmiech mieszanej grupki. Lily zerknęła w tamtą stronę i spostrzegła, jak jakiś mężczyzna kładzie dłonie na biodrach partnerki, ustawiając ją w odpowiedniej pozycji. Ona z kolei figlarnie się do niego uśmiechała.

– Nie rzucaj – wyjaśniła Kath. – Chodź tu.

Lily podeszła z zieloną kulą do miejsca, w którym stała Kath – jakieś dwa metry od początku toru. Kątem oka nadal widziała flirtującą parę; kobieta wsuwała się w ramiona mężczyzny.

– Wypchnij biodra – poleciła Kath.

Lily odwróciła się do koleżanki.

– W którą stronę?

– W drugą – zaśmiała się, wyraźnie rozbawiona.

Zanim Lily ponownie się odwróciła, Kath dotknęła jej bioder i ostrożnie pchnęła ją w stronę toru. Dotykała jej przez moment, ale Kath czuła jej dłoń przez materiał spódnicy niczym wyładowanie elektryczne.

– A teraz wsuń palce prawej dłoni w dziurki – poinstruowała. – Jesteś praworęczna, prawda?

Lily zamrużyła, próbując się skupić na kuli.

– Tak. Jest bardzo ciężka.

– Przytrzymaj ciężar lewą dłonią. O, właśnie tak. Teraz ugnij kolana, pochyl się do przodu, ale nie za bardzo. Musisz się wybić z prawej nogi. Idziesz w stronę toru... Patrz przed siebie! Zrób zamach prawą ręką. Widzisz, jak robią to ci, o tam? Dobra, teraz machasz ręką i puszczasz... Nie, nie, nie rzucaj!

Lily ciężko upuściła kulę na tor. Ta uderzyła z głuchym łoskotem o wypolerowane drewno, a potem wpadła do rynny.

– Mówiłam ci, że kiepsko mi idzie w sporcie – mruknęła Lily. – Może powinnam była zostać z grupą panny Weiland.

Po ich lewej stronie panna Weiland uczyła kilku nowicjuszy, ale Kath ją przekonała, że sama może nauczyć Lily grać w kręgle. Reszta dziewcząt z G.A.A. podzieliła się na sześć torów rozciągających się przez cały lokal Loop Bowl. Grupa mieszana i czterech mężczyzn obok nich byli jedynymi gośćmi spoza ich szkoły.

– Powinnam była najpierw ci pokazać – uznała Kath. – Teraz patrz. Trzeba złapać rytm, tak mówi panna Weiland. Musisz machnąć ręką w takim samym rytmie, w jakim idziesz. Widzisz?

Lily patrzyła, jak Kath podnosi kulę i przytrzymuje ją przed brzuchem. Potem zaczęła powoli iść w stronę toru, wystawiając do przodu prawą nogę i wykonując zamach prawą ręką. Zrobiła cztery kroki, po czym ślizgnęła lewą stopą po wypolerowanej podłodze, wyciągając za sobą prawą nogę, jakby dygała na środku toru. Wreszcie puściła kulę. Ta potoczyła się po naoliwionej posadzce i przewróciła połowę kręgli.

– Wspaniale! – wykrzyknęła Lily.

– Byłoby lepiej, gdybym strąciła wszystkie. Ale spróbuję jeszcze raz. Może uda mi się zrobić spare[16].

Lily siadła na krzeselku za torem i obserwowała, jak Kath podejmuje kolejną próbę. Rytm jej ruchów był kojący – ta gładkość łuku wykonanego ruchem ręki, zanim wypuściła kulę. Przy czwartym kroku lekko przysiadła, a wtedy jej spódniczka się unosiła, obnażając dołek pod kolanem. Ten widok był nieoczekiwanie intymny i Lily musiała uciec od niego wzrokiem. Mężczyźni grający w pobliżu wydali się bardziej zajęci papierosami i rozmową niż kręglami, a Lily zauważyła, że część z nich przygląda się dziewczętom z jej szkoły i wymienia z nimi porozumiewawcze uśmieški.

Gdy kula Kath zbiła ostatni kręgiel, rozległ się łoskot. Dziewczyna wydała z siebie triumfalny okrzyk, po czym wróciła do Lily.

– Widzisz, chodzi o rozpęd – wyjaśniła. – Nie musisz rzucać kuli na przód toru, rozpęd ją poniesie. Chcesz spróbować jeszcze raz?

Lily była boleśnie świadoma obecności mężczyzn na sąsiednim torze, toteż pociągnęła Kath na ławkę obok i wyszeptwała:

– Chyba nas obserwują.

– Kto?

Lily odwróciła się tyłem do nieznanym i nad wyraz cicho oznajmiła:

– Ci goście za mną. Kiedy rzucasz, spódniczka ci się unosi.

Kath wydała się zaskoczona. Zerknęła na koleżanki z klasy, które tak samo jak ona robiły kroki po torze i wyciągały nogi do tyłu. Kiedy któraś z dziewczyn rzucała kulę, jej spódniczka się unosiła, ukazując kolano i kawałek uda. Przez gapiących się mężczyzn zwyczajny ruch ich ciał stawał się niezrozumiale niestosowny, jakby dziewczyny prezentowały im w ten sposób swoje wdzięki.

Kath wbiła wzrok w swe dłonie, a jej policzki lekko się zaróżowiły.

– Nie zwracaj na nich uwagi – odparła, ale nie zaproponowała powrotu do gry.

Pozostałe członkinie G.A.A. na drugim końcu kręgielni nie zauważyły, że mają widownię. Kontynuowały lekcję u panny Weiland uczącej je, jak właściwie poruszać się po torze.

– Trzeba to robić niespiesznie, nie musicie biec przez tor – usłyszała Lily.

Głos nauczycielki niósł się dźwięcznie między echem melodyjnych odgłosów wydawanych przez kule wpadające na kręgle. Obserwowała, jak panna Weiland zajmuje pozycję i rusza po torze, a jej ręka wykonuje zamach, wypuszcza kulę, w czasie gdy jej prawa noga wyciąga się do tyłu w specyficznym dygnięciu. Panna Weiland miała na sobie obcisłe spodnie koloru khaki, a nie

spódnicę – Lily nie mogła się nie zastanowić, czy to celowe.

– A teraz, jak widzicie, trzeba pohańcać kulę jak wahadło i po prostu ją puścić – tłumaczyła dalej nauczycielka.

Jej kula potoczyła się prawą stroną toru, po czym skręciła ku środkowi i wpadła wprost pomiędzy środkowy kręgiel a ten po jego prawej stronie. Huk zderzenia rozbrzmiał echem, a kręgle upadły. Lily wyobraziła sobie komiks, w którym ilustracją do tej sceny są gwiazdki symbolizujące eksplozję. Zaraz pomyślała o raketach.

– To czysta fizyka – powiedziała nagle.

– Co? – zapytała zaskoczona Kath.

– Kula do kręgla uderzająca w kręgle... To trzecia zasada dynamiki Newtona. Wzajemne oddziaływanie ciał. Na tej zasadzie działają rakiety.

– Chyba nie rozumiem.

– Przepraszam. Chcesz, żebym wyjaśniła?

– Jasne.

Lily sięgnęła do tornistra i wyjęła zeszyt, po czym zaczęła rysować w nim schemat z rakieta i uproszczoną ludzką postacią. Siedząca obok Kath pochyliła się, obserwując powstający rysunek.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała.

– Czytałam o tym – wyjaśniła Lily, starając się nie myśleć o kolanie Kath ocierającym się o jej nogę. – No i ciocia Judy co nieco mi wyjaśniła.

– Chciałabym kiedyś polecieć rakieta.

– Ludzie nie mogą nimi latać. To zbyt niebezpieczne.

– Właśnie dlatego to byłoby takie fajne! Nie sądzisz?

Kath była tak blisko, że Lily czuła ciepło jej ciała.

– Nie... nie dla mnie. Robi mi się niedobrze, nawet kiedy tramwaj jedzie za szybko.

– A ja bym poleciała. – Kath odchyliła się na ławce, a jej ramię otarło się o ramię Lily. – Wyobrażasz sobie, jakie to musi być wspaniałe, lecieć na Księżyc albo na Marsa?

– Arthur C. Clarke twierdzi, że dotarcie na Marsa zajęłoby około dwustu pięćdziesięciu dni. O ile rakietą będzie w stanie osiągnąć prędkość ucieczki, nie będzie potrzebna zbyt wiele dodatkowej energii, żeby dolecieć do Marsa.

– A ile zajmie podróż na Księżyc?

– Nie więcej niż pięć dni. Gdybyśmy wyleciały jutro, mogłybyśmy tam dotrzeć do wtorku! Ale na razie nie umiemy wystrzelić rakiety, która osiągnęłaby prędkość ucieczki do opuszczenia ziemskiego pola grawitacyjnego. Poza tym to bardzo niebezpieczne. – Lily stuknęła ołówkiem w zeszyt, a wszelkie obliczenia wyparowały jej z głowy. – Trzeba by znaleźć sposób, by ochronić załogę, o ile na pokładzie jakakolwiek by w ogóle była, przed promieniowaniem. O wiele bezpieczniejsze jest wysłanie narzędzi zautomatyzowanych. – Z podniecenia zaczęła gestykulować z ołówkiem w rękę, po czym rzuciła: – Roboty!

Ołówek prawie trafił w nogę Kath.

– Ostrożnie – rzuciła ze śmiechem dziewczyna i wzięła Lily za rękę.

– Wybacz – odparła, czerwieniejąc.

Kath wyjęła ołówek spod jej palców i odłożyła go na ławkę.

– Powiedzmy, że stworzysz rakieta, która to zrobi...

– Jest problem z paliwem – odparła Lily.

– No dobrze, paliwo. Ale powiedzmy, że znajdziemy rozwiązanie i że ludzie będą w stanie podróżować taką rakieta. Jak sądzisz, jakie to uczucie lecieć na Księżyc?

– Hmm... – Lily wciąż czuła na dłoni wspomnienie dotyku Kath. Spróbowała się skupić. –

Najpierw trzeba by też wynaleźć skafandry kosmiczne. Arthur C. Clarke twierdzi, że mogłyby wyglądać jak zbroje. Czyż to nie zabawne?

– Dlaczego właśnie zbroje?

– Ze względu na ciśnienie. Na Księżycu go nie ma, więc strój musiałby być bardzo sztywny.

– Czyli na Księżycu nosiłybyśmy zbroje? Jak król Artur i rycerze okrągłego stołu? Czyli jak spotkamy kosmitów, będziemy przygotowani. – Kath wzięła ołówek i wystawiła go przed siebie na podobieństwo miecza. – *En garde*, obcy!

Lily wybuchnęła śmiechem, aż zeszyt zsunął jej się z kolan i spadł na podłogę. Kath podniosła go i użyła jako tarczy, stając w heroicznej pozie. Lily zasłoniła usta, wciąż nie mogąc stłumić śmiechu, a wtedy kątem oka znowu zobaczyła grupkę mężczyzn. Prawie o nich zapomniała. Teraz wyglądali dość żałośnie: w średnim wieku, łysiejący, ubrani w brzydkie jednokolorowe koszule. W tym, jak przyglądali się dziewczynom, widać było pewną desperację. Cały niepokój, który czuła w związku z ich uwagą, zmienił się ostatecznie w litość. Zainspirowana, wstała i wróciła do stojaka z kulami.

– Sama zobaczysz, to czysta fizyka – zażartowała do koleżanki.

Fakt, że Kath ją obserwowała i że nie spuszczała oka z ciała Lily, gdy ta wypuszczała kulę na tor, oczywiście robiąc to dość niezdarnie, sprawiał jej dużą przyjemność. Kiedy kula trafiła tylko jeden kręgiel, na skraju po lewej stronie, dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie jestem w tym za dobra, ale wciąż chodzi o zachowanie rozpędu. Ten moment, w którym kula uderza o kręgle, jest dokładnie tym samym co chwila, w której rakieta odrywa się od ziemi. Eksplozja.

Kath podeszła i podniosła swoją kulę.

– Chyba zgubiłam się w tej analogii, ale pewnie nie muszę wiedzieć, jak to działa. W końcu z nas dwóch to ty będziesz budować rakiety, prawda?

Lily tylko się uśmiechnęła.

– Racja.

Odsunęła się, żeby zrobić Kath miejsce i przysłonić widok nieznanym.

[16] Spare to w bowlingu strącenie wszystkich kręgli w dwóch rzutach (przyp. tłum.).

W poniedziałek z samego rana Kath skierowała się od razu w stronę szafki Lily. Jej oczy aż zabłyśzczały.

– Mam to – poinformowała. Żołądek Lily zawiązał się w supeł. Wokół nich uczniowie odkładali kurtki, zbierali książki oraz ołówki i kierowali się na zajęcia. Lada chwila miał rozbrzmieć dzwonek, więc teraz nie było czasu na rozmowę. – Pokażę ci po szkole.

Przez cały dzień czas włókł jej się niemiłosiernie. Na planach i celach, z Kath w rzędzie za nią, minuty mijały jeszcze wolniej, ponieważ nie mogły ze sobą porozmawiać. Lily zauważyła, że Shirley, która od czasu balu zamieniła z nią raptem kilka słów, podejrzliwie na nią spogląda. Próbowwała ukryć zniecierpliwienie, ale nie mogła powstrzymać nerwowego podrygiwania kolana pod ławką.

Pod koniec dnia Lily była już wykończona oczekiwaniem i milczeniem, Kath zaś zdawała się pełna nerwowej energii. Gdy tylko rozbrzmiał ostatni dzwonek, wyszły razem ze szkoły i ruszyły Chestnut Street w górę Russian Hill. Zatrzymały się u stóp schodów i upewniły, że są same, po czym Kath wyjęła z tornistra niewielki kartonik.

– Nie myślałam, że tak szybko ci pójdzie – powiedziała Lily, niemal bojąc się na niego spojrzeć.

– Jean zdobyła go od znajomego w Western Addition[17]. Byłyśmy u niego w sobotę.

– Ile to kosztowało? Jestem ci coś winna?

– Nie, nie przejmuj się. I tak wisiał Jean przysługę. Proszę, to twoje.

Kartonik był niewiele większy od wizytówki, z białymi lite-rami na ciemnym tle. U góry widniały słowa „Prawo jazdy – Kalifornia”, data ważności i numer dokumentu. Nazwisko nie należało do Lily, wystawiono go na May Lee Wong. W ramce po prawej stronie na dole znajdował się odcisk palca, a poniżej podpis. Wyglądał niepokojąco autentycznie.

– Powiedziała im, że jesteś Chinką – wyjaśniła Kath. – Uznali to za dobre nazwisko. W porządku?

Lily ostrożnie wzięła dokument do ręki, jakby miał ją poparzyć.

– Czyj to odcisk? Kto to podpisał?

– To mój odcisk – odparła Kath. – A podpis należy do gościa, który go zrobił. Nie wygląda prawdziwie?

Kath zdawała się nieświadoma potencjalnych konsekwencji posiadania takiego dokumentu, ale na widok oświadczenia znajdującego się powyżej podpisu („Niniejszym poświadczam, że osoba

opisana na tym dokumencie otrzymała uprawnienia do kierowania pojazdami mechanicznymi”) Lily zrobiło się dziwnie. Nie wyobrażała sobie, że dowód może wyglądać tak autentycznie, a teraz była już pewna, że podpisze na siebie wyrok, jeśli jakieś służby ją z nim przyłapią. Zastanawiała się, czy fałszywe dokumenty imigracyjne są równie łatwe do zdobycia.

– Coś nie tak? – zapytała Kath. Wydawała się zaniepokojona. – Mam wrażenie, że... Nazwisko jest właściwe?

Lily nie chciała psuć jej nastroju. Potrząsnęła głową.

– To trochę tak, jakbym się nazywała Jane Smith, ale okej.

Kath zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewna? Nie musimy tego robić, jeśli nie chcesz.

Lily drgnęła, wstrząśnięta nagłą myślą.

– Chcę, tylko... A gdzie twój? Mogę go zobaczyć?

Kath wyciągnęła kartonik i pokazała go Lily.

– Elizabeth Flaherty – odczytała dziewczyna. – Nie wyglądasz na Elizabeth.

Kath zaczęła się śmiać, więc Lily poszła w jej ślady. Niepokój powoli przemijał, wypierany przez ekscytację.

– Naprawdę sądzisz, że nam się uda? – zapytała, patrząc na Kath. Na jej twarzy znów pojawiły się dwie czerwone plamki, tuż poniżej kości policzkowych.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. To kiedy idziemy?

Brzezi wycinka z fotografią Tommy Andrews powoli się wycierały. Lily ostrożnie wyjęła zdjęcie z książki i rozwinęła je na okładce, starając się nie rozmazać farby drukarskiej. Razem z Kath postanowiły pójść do Telegraph Club w piątkowy wieczór, ale myśl, że miałyby zobaczyć Tommy na żywo, wciąż wydawała się nierealna.

Obróciła reklamę, by lepiej złapać światło z nocnej lampki. Znała ją tak dobrze, że nie musiała na nią patrzeć, by sobie przypomnieć, jak wygląda Tommy. Mimo wszystko lubiła spoglądać na zdjęcie, lubiła uczucia, które w niej wywoływało: iskierkę czegoś znajomego, błysk nadziei.

Oparła się na poduszkach i położyła wycinek obok siebie na łóżku. Zamknęła oczy, próbując sobie wyobrazić Tommy Andrews śpiewającą do kobiet na widowni – do niej – ale wyobraźnia stawiała dziś opór, jakby nie chciała jej już prezentować tej fantazji, która wkrótce miała stać się prawdą. Do końca tygodnia już tam będzie.

Kiedy otworzyła oczy, sufit w blasku lampki nocnej miał ciemnożółtą barwę. W mieszkaniu panowała cisza. Wszyscy już się położyli, ale jej nie chciało się spać. Wzięła *Na podbój przestrzeni* i otworzyła na przypadkowej stronie – na rozdziale o wewnętrznych planetach: Merkury, Wenus i Marsie. Czytała go już wcześniej, ale teraz zaczęła powtórzną lekturę, w nadziei że to pozwoli jej usnąć.

Clarke przez wiele stron opisywał tajemnice Wenus, które chyba go irytowały. Planetę w całości pokrywały chmury zakrywające wszystkie ślady na jej powierzchni. Według teorii Clarke’a raczej niemożliwym było, by nie istniały tam inteligentne formy życia, ale spekulował, że gdyby coś tam jednak żyło, mieszkańcy planety nie znalazłyby gwiazd, póki nie wymyśliliby maszyn zdolnych wzlecieć ponad chmury. Tymczasem Mars był zasadniczo obnażony przed obserwatorem, a jego powierzchnię opisano nawet na mapach. Książka zawierała mapę Marsa, która dla Lily była równie fantastyczna co mapa zamieszczona w *Alicji w Krainie Czarów*. Tego Marsa opisywano nazwami miejsc, w których nigdy nie stanęła ludzka stopa: Elizjum, Eden, Amazonia. Była też kolorowa ilustracja automatycznej rakiety zdolnej wyruszyć w podróż na tę planetę. Miała sferyczny korpus zamocowany na kilku mniejszych raketach i metalowe ramiona

z wyciąganym talerzem satelity do komunikacji podczas zwiedzania Czerwonej Planety. Niekiedy Lily znajdowała się w stanie między jawą a snem, w którym zdawało jej się, że może sterować swym nieświadomym umysłem. Problem polegał na tym, że nigdy nie była pewna, gdzie ów stan się zaczyna, a gdzie kończy. Odpływając w objęcia snu, spostrzegła rakieta przypominającą owada, pełznącą po powierzchni Marsa – nie czerwonej, jak być powinno, ale pokrytej wirującymi chmurami niczym te nad Wenus. Wiedziała, że może pokierować rakieta bliżej celu – w końcu sama ją zbudowała – ale z jakiegoś powodu nie była w stanie jej dostatecznie przyspieszyć. Cel pozostawał srebrzysty i rozmyty.

[17] Dzielnica San Francisco (przyp. tłum.)

- 1942 — Joseph trafia do amerykańskiej armii i staje się naturalizowanym obywatelem USA
- 1943 — uchylenie Chinese Exclusion Act (ustawy limitującej imigrację chińską do USA)
 - Grace wraz z rodziną uczestniczą w paradzie na cześć wizyty Madame Czang Kaj-szek w San Francisco
- 1944 — Legion Samobójców zostaje formalnie uznany za Laboratorium Napędu Od-rzutowego pracującego na rzecz armii
- 1945 — kończy się II wojna światowa
 - Joseph zostaje zwolniony z armii
- 16 listopada 1945 — Joseph zabiera Grace do klubu Forbidden City**
- 1946 — rodzi się Franklin Chen-yeh Hu (胡振業)
- 1947 — Judy Hu przyjeżdża do San Francisco i rozpoczyna studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley

JOSEPH

Dziewięć lat wcześniej

Urządzenie wieczornego wyjścia na miasto było o wiele bardziej skomplikowane, niż Joseph Hu sądził. Kiedy już dzieci trafiły do Lumów (Eddie miał pecha obić sobie kolano o skraj palety, co doprowadziło go do łez i hysterii), a oni z Grace przebrali się w stroje wieczorowe (on w stary, ale świeżo wyprasowany szary garnitur; ona w granatową sukienkę, w której chyba nigdy wcześniej jej nie widział), byli już spóźnieni na swoją rezerwację. Wezwał taksówkę i chociaż Grace protestowała z uwagi na koszty, zignorował to. Miała na sobie nowe buty i widział, że już obtarła sobie pięty. Taksówkarz zbyt gwałtownie brał zakręty, przez co Grace przechyliła się w jego stronę, a różowe jedwabne kwiaty, które wpięła we włosy, wylądowały Josephowi na twarzy. Musiała je po omacku poprawiać, gdy samochód pędził przez Powell Street.

Nie był to zbyt obiecujący początek wieczoru, a Joseph miał pewność, że Grace skrupulatnie odnotowywała wszystkie te drobne potknięcia, jakby zbierała zwiastuny pecha. To była jedna z jej najbardziej chińskich cech – zaskoczyła go tym. Nie spodziewał się bowiem, że amerykańska dziewczyna zachowa tyle przesądów ze Starego Świata.

Kiedy dotarli do Forbidden City[18], czerwony neon przed klubem rzucał diaboliczną poświatę na reklamę „Najbardziej Chińskiego Przedstawienia”. Joseph pomógł żonie wysiąść z taksówki, a ona rzuciła w jego stronę zbolwały uśmiech, jak gdyby starała się strząsnąć z siebie niefortunny początek ich wieczoru.

Najpierw stanęli przy szatni, gdzie młoda Chinka w czerwono-złotym cheongsamie wzięła ich płaszcze i jego kapelusz. Potem minęli zaokrągloną bramę przystrojoną wijącymi się smokami na lazurowym tle i weszli do baru, gdzie sufit zdobiły pierzaste białe chmury, a goście zamawiali drinki u chińskiego barmana. Joseph podszedł do maitre'a, który sprawdził ich rezerwację i przekazał je w ręce kelnera, a ten przeprowadził parę przez kolejną bramę (również przystrojoną smokami) do nakrytego białym obrusem stołu na skraju kwadratowego parkietu. *Przypomina to jakiś rytuał albo ceremonię* – pomyślał rozbawiony Joseph. A kiedy już przeszli przez trzej drzwi (czworo, jeśli liczyć drzwi taksówki) i dotarli do miejsca wykonania rytuału, usiedli przy stole dla dwojga i otworzyli menu, by dokonać ważkiego wyboru: kolacja w stylu American Deluxe czy jednak Special Chinese?

Joseph zauważył, że Grace czyta menu z pewną konsternacją, a kiedy sam zajrzał do środka,

szybko zrozumiał dlaczego. Special Chinese brzmiał okropnie: składało się z omletu *fu yung* i *chop suey*.

– Powinniśmy wybrać kolację po amerykańsku – stwierdził. – Chętnie wezmę stek.

Rozchmurzyła się i skinęła głową, odkładając zamknięte menu.

– Oczywiście, stek.

Kiedy czekali na złożenie zamówienia, Joseph rozejrzał się po restauracji. Była tam niewielka scena dla zespołu, a na ścianach wisiały chińskie obrazy przedstawiające urodziwe dziewczęta. Kelnerki chodziły z tacami pełnymi napojów: Mai Tai, Singapore Sling, Zombie i Egzotyczny Poncz. Gdy przybył ich kelner, Joseph zamówił drinka z rumem o nazwie Flying Tiger – zrobił to wyłącznie ze względu na nazwę; znał jednego z tych pilotów w czasie wojny. Napój okazał się jednak rozczarowujący: jakieś siedemdziesiąt procent kruszonego lodu z kawałkiem ananasa na górze. Grace spodobał się bardziej niż jemu, więc oddał drinka żonie i zamówił dla siebie Mai Tai.

Kolacja precyzją przypominała szwajcarski zegarek: każde danie dostarczano w odpowiednim momencie, a kelnerzy przemykali po restauracji niczym sprawni tancerze, unosząc okrągłe tace wysoko nad głowami, nim opuszczali je na poziom stołów. Para przy sąsiednim stoliku zamówiła kolację po chińsku, a słodko-kwaśny zapach docierał do krojącego stek Josepha. Gdy poruszał nożem i widelcem, niespodziewanie przypomniła mu się operacja w namiocie nieopodal Drogi Birmańskiej. Na moment przestał jeść. Oczami wyobraźni znów zobaczył przed sobą polowy stół chirurgiczny, na którym leżał ranny, otumaniony morfiną żołnierz z obszarpanymi mięśniami ręki, w miejscu gdzie trafił go odłamek japońskiej bomby.

Zamrugnął i znowu zobaczył swój stek w kałuży rzadkiego brązowego sosiku. Podniósł wzrok i spojrzał na żonę przeżuwającą pierwszy kęs.

– Jak ci smakuje? – zapytał, wciąż częściowo pogrążony we wspomnieniach (brzęk skalpela odkładanego na metalową tacę). Nie miał pewności, skąd się one wzięły. Zastanawiał się, co sprawiło, że neurony w jego mózgu nagle stanęły w ogniu. Jakże zadziwiające było to, w jaki sposób impuls elektryczny przelatywał przez jego nerwy; jak dziwne, że taki wstrząs mógł przywołać wspomnienie.

– Wszystko w porządku? – spytała Grace.

Zamrugnął ponownie i uniósł kawałek steka do ust. Mięso było słone i mocno otłuszczone, a tłuszcz zostawił posmak wołowiny na języku. Przeżuł, przełknął. Wziął łyk Mai Tai, smakując słodycz rumu przełamaną kwaskowatym sokiem z limonki.

– Naturalnie – odparł.

– Chciałabym, żeby twoja rodzina też nas odwiedziła na Nowy Rok – oznajmiła Grace. Jej matka i bracia przyjeżdżali na cały tydzień. Mieli nocować w hotelu w Chinatown, ponieważ w ich dwupokojowym mieszkaniu zabrakło już miejsca.

– Nie kłopotz się tym.

Nie było takiej możliwości, żeby cała jego rodzina pokonała długą drogę z Szanghaju. Przynajmniej nie teraz.

– Martwię się tylko o ciebie.

– Nie musisz. – Chciał, żeby zostawiła ten temat.

– Jak to nie? Wojna to jedno, ale teraz... Kto wie, jak długo potrwa ta sytuacja...

– Komuniści uznali nacjonalistów za prawowitych przywódców Chin. Wierzę, że i Czang, i Mao mają na uwadze przede wszystkim interes kraju.

Spojrzała na niego sceptycznie.

– Sama nie wiem, komu wierzyć.

– Uwierz mnie. Poza tym Ameryka ma za wiele do stracenia, jeśli sytuacja w Chinach się nie

ustabilizuje. Nie dopuścimy do tego. A potem wrócimy.

– Nie mogę wracać do miejsca, w którym nigdy nie byłam.

Nigdy dotąd nie spotkała jego rodziców. Poznała tylko młodszego brata, Arthura – jedyne przedstawiciela rodziny na ich ślubie.

– No to ty pojedziesz pierwszy raz. Weźmiemy Lily i Eddiego, żeby poznali dziadków. Sama zobaczysz. Przecież obecna sytuacja nie może trwać wiecznie.

Uśmiechnął się do niej, siląc się na pewność, w którą sam niemal uwierzył.

– Skoro tak mówisz – odparła i w tej samej chwili zespół zagrał pierwsze takty. W głosie Grace wybrzmiało jednak powątpiewanie.

Odwrócili się w stronę zespołu. Ku zaskoczeniu Josepha składał się on z samych białych. Potem pojawiły się też trzy Chinki – w przezroczystych woalach, z uniesionymi rękami i zgrabnie wyciągniętymi palcami – które poczęły wirować po parkiecie. Rozpoczęło się przedstawienie.

Mieli całkiem dobre miejsca. Przepływające przez parkiet tancerki zbliżyły się tak bardzo, że Joseph czuł ich słodkie kwiatowe perfumy. Woale ledwo spowijały ich ciała. Z każdym obrotem tiulowy materiał w mgnieniu oka zdradzał, co kryło się pod spodem: muskularne nogi, gładką białą skórę, młodzieńczo jędrne piersi. Nie były tak pociągające jak tancerki, które widywał w Szanghaju przed przybyciem do Stanów (brał pod uwagę, że był wtedy młodszy i prawdopodobnie łatwiej było na nim zrobić wrażenie), ale poruszały się z prostotą i kuszącą energią. Były niemal doskonałe. Zastanawiał się, czy Grace też się podobają. Zawsze miała w sobie coś purytańskiego, o co obwiniał amerykańskie wychowanie.

Po dziewczętach na scenie pojawiły się osoby śpiewające. Była wśród nich wysoka, barczysta kobieta o zachrypniętym głosie, reklamowana jako chińska Sophie Tucker. Był też wysoki, barczysty mężczyzna o zaczesanych w tył włosach i przyjemnym uśmiechu, reklamowany jako chiński Frank Sinatra. Joseph uznał, że wszyscy byli dobrzy – albo przynajmniej dość dobrzy – w swoim fachu, a ich chińskość tylko dopełniała całości dzieła. Szczególnie spodobały mu się Mei Lings, duet tancerzy przypominający Freda Astaire'a i Ginger Rogers w zawijasach i wymyślnych figurach na parkiecie. Była w nich prawdziwa elegancja.

Joseph rzucił spojrzenie na siedzącą naprzeciwko siebie Grace, by sprawdzić, czy jej się podoba. Gdy właśnie mijali ich duet Mei Lings, ta przyglądała im się z odprężoną miną. Powoli docierało do niego, że tego wieczoru, aż do tej chwili, nie patrzył na nią zbyt uważnie. Wcześniej skupiał się na jedwabnych kwiatach w jej włosach (nieco pomiętych po spotkaniu z jego twarzą), na jej sukni z dekoltem w kształcie litery V, na jej nowych pantoflach, ale jego wzrok prześlizgiwał się tylko po powierzchni. Niekiedy miał wrażenie, że nie obchodzi go już nic innego poza tym, jakby łatwiej było mu patrzeć na świat lekarskim okiem, z dystansu.

Zaraz po tym, jak wrócił z wojny, panowała między nimi niezręczna atmosfera. Lata rozłąki oddaliły ich od siebie. Bardzo chciał już zobaczyć rodzinę, ale w chwili gdy ją ujrzał (tuż po zejściu z okrętu prosto do portu pełnego zapłakanych żon i krzyczących dzieci), zdał sobie sprawę, że zamarła w jego wspomnieniach niczym nieruchome kamienne figury. Teraz Grace, Lily i Eddie wydawali mu się dziwnie obcy. Syn z początku niechętnie zbliżał się do ojca – nie pamiętał go. To Grace popchnęła go zachęcająco naprzód i to Grace namówiła Lily, by przywitała się z tatą.

Teraz, gdy biały zespół grał walca dla chińskich tancerzy, spojrzął na żonę. Zawsze uważał ją za piękną, ale jej uroda przez ostatnie lata jakby zmiękła. Linia jej kości policzkowych, lekko pociągniętych różem, była teraz pulchniejsza. Widział przed sobą i tę samą dziewczynę, którą spotkał dekadę temu, i kogoś niewątpliwie odmiennego. Po raz pierwszy od dawna poczuł

dziwny rodzaj ucisku na jej widok. Nie była to żądza, której doświadczyłyby jako młodzieniec rozłączony na długo z ukochaną – to nie był zwyczajny pociąg fizyczny. To było coś niemożliwego do zmierzenia, uczucie, które przejmowało nad nim kontrolę, jakby jego ciało z opóźnieniem zrozumiało, jak daleko od siebie byli, a umysł szedł w ślad za nim.

Stęsknił się za nią.

Odkąd wrócił z wojny, czuł się tak, jakby jakaś jego część wciąż pozostawała w Chinach, choć on sam już tam przecież nie był. Wojskowe szpitale zdemobilizowano dawno temu, a chłopcy, których leczył, byli już w swoich domach – albo przynajmniej już nie cierpieli. Teraz znajdował się tutaj – w radosnym, kolorowym, rozświetlonym klubie w Stanach – siedząc naprzeciwko swojej amerykańskiej żony. Muzyka była niemal boleśnie głośna, w powietrzu zaś unosiła się intensywna woń perfum i papierosów. Przyłożył drinka do ust i pociągnął jeszcze łyk, a chłód kropelki spływającej po szklance znów wzbudził w nim skojarzenie – intensywne niczym wyładowanie elektryczne.

Obudź się. Jesteś tutaj.

Grace odwróciła się w jego stronę. Odstawił drinka i dotknął jej dłoni. Przyjęła to z zaskoczeniem, ale podała mu rękę.

[18] Ang. „Zakazane Miasto” – nawiązanie do nazwy pałacu cesarskiego znajdującego się w Pekinie (przyp. tłum.).

CZEŚĆ III

I Only Have Eyes For You

Listopad 1954

W piątkowy wieczór, gdy już rodzice poszli spać, Lily zapaliła lampkę i wyszła z łóżka. Odkąd wspólnie z Kath postanowiły pójść do Telegraph Club, bezustannie się zastanawiała, co powinny założyć. Miała jedynie mgliste pojęcie o tym, co zakłada się do takich klubów; chętnie porozmawiałaby o tym z Shirley. Nawet jeśli ta nie wiedziałaby tego na pewno, miała nosa do tego typu spraw.

Shirley pewnie kazałaby jej założyć coś odważnego: wsadzoną w krótką spódniczkę obcisłą bluzkę z głębokim dekoltem albo sukienkę bez ramiączek z narzuconym cienkim szalem. Byle nie tę czarną jedwabną spódnicę z koła, którą Lily zamierzała założyć, albo tę nudną białą bluzkę z okrągłym kołnierzykiem. Dziewczęca niebieska sukienka z krótkim rękawkiem, którą właśnie na takie okazje trzymała w szafie, też z pewnością nie wchodziłaby w grę. Wszystkie te opcje były okropne: niemodne, nieatrakcyjne, po prostu złe.

Shirley powiedziała by też, że świetny wygląd zaczyna się od odpowiednich podstaw – dobrze dobranej bielizny i pończoch – a Lily była pewna, że nic w jej szafie nie spełniało tego kryterium. Matka kupiła jej jesienią nowy biustonosz, ale wiedziała, że Shirley z pewnością uznałaby, iż ma zły kształt. Gdy zakładała majtki, popatrzyła na swoje pończochy i zdała sobie sprawę, że żadne z nich nie są wystarczająco transparentne. Zakładała je do kościoła, nie do klubów, były więc grube i jednokolorowe. Lecz i tak założyła je na nogi i przypięła do pasa – nie zamierzała iść do Telegraph Club w skarpetkach do kostki. Wtedy już na pewno wyglądałaby jak uczennica. Miała nadzieję, że ktoś przynajmniej weźmie ją za młodą sekretarkę albo studentkę college'u.

Shirley zajęłaby się włosami, fachowo umieszczając je na wałkach i przytrzymując loki na miejscu grzebykiem lub bandaną. Włosy Lily nigdy nie znosiły zbyt dobrze loków – mimo wszystkich wysiłków Shirley – i chociaż wykapała się wcześniej, by zdążyć je ułożyć, miała zaledwie kilka godzin. Nie dość długo. Gdy zakładała halkę, wałki zahaczyły o jej materiał i Lily musiała ostrożnie manewrować nią nad głową, by się nie rozpruła. Oślepiąca przez tę wałkę i z ograniczonym zasięgiem rąk poczuła nagły przypływ złości. Nienawidziła swoich ubrań, nienawidziła swoich włosów, a najbardziej na świecie nienawidziła tej niepewności dotyczącej wszystkiego, co robiła.

Naprawdę zamierzała to zrobić?

W końcu udało jej rozprawić z halką i mogła przystąpić do jak najszybszego zdejmowania wałków. W lustrze spostrzegła, że loki już się rozluźniają i nie utrzymują kształtu. Zerknęła na

zegarek; musiała wyjść z domu za niespełna pół godziny. Jeżeli się nie pospieszy, będzie spóźniona, a jeżeli się spóźni, Kath pójdzie do klubu bez niej. Umówiły się, że zaczekają na siebie na rogu Columbus i Vallejo Avenue pięć minut, a potem obejdą okolicę i zaczekają jeszcze pięć. Jeżeli którejś z nich nadal nie będzie o wpół do dwunastej, ta druga odpuści i wróci do domu. Wymyśliły ten plan na wszelki wypadek, chociaż nie doprecyzowały, o jaki wypadek chodzi. Krył się w nim jakiś mglisty strach, którego lepiej było nie werbalizować.

Serce waliło jej tak mocno, że aż się tego przestraszyła. Narastającą wściekłość zastępowała coraz większa panika. Nigdy dotąd nie robiła niczego podobnego. Wstawanie w środku nocy, wymykanie się z domu – to było coś bezprecedensowego. Lily Hu nie praktykowała takich rzeczy.

Wyjęła z włosów ostatni wałek i wrzuciła go do koszyka, po czym spojrzała w lustro – jakby patrzyła na obcą osobę.

Twarz Lily była niewiarygodnie blada, ale za to na jej policzkach płonęły dwie czerwone plamy, nadając dziewczynie wyglądu porcelanowej lalki. Usta miała niemal purpurowe, a dolna warga – którą przygryzała podczas walki z włosami – wydawała się nienaturalnie, wręcz wulgarnie pełna. Jej włosy ułożyły się w luźne czarne fale, a ramiączko różowej halki zsunęło się z ramienia, ujawniając miseczkę białego bawełnianego biustonosza i przypominając jej o rozneglizowanej Patrice z okładki tamtej książki. Piersi miała zaróżowione – ten rumieniec wspinał się po jej szyi, aż dosięgnął twarzy.

Może i Lily Hu nie robiła takich rzeczy, ale dziewczyna z lustra z całą pewnością.

I z równą pewnością się spóźni, jeżeli zaraz się nie ubierze.

Spłynęła na nią nowa energia – niepokój dodający odwagi – i spontanicznie założyła najnowszą, wąską szarą spódnicę zamiast czarnej ze sztucznego jedwabiu. Dołożyła do tego białą bluzkę z kołnierzem i niebieski kardigan. Włosy spięła dwiema spinkami, zostawiając luźno kilka kosmyków z tyłu. Sięgnęła po czerwoną szminkę, którą Shirley pomogła jej wybrać w drogerii na Powell Street. Na głowę założyła miękki beret, starannie układając go na włosach. Na koniec wrzuciła szminkę do torebki razem z podrobionym dowodem, założyła płaszcz i zgasła światło.

W mieszkaniu panowała cisza przerywana tylko jej oddechem. Kiedy podeszła do przesuwanych drzwi i przycisnęła ucho do szczeliny, pod jej stopami zaskrzypiała podłoga. Lily zastygła w jednej chwili, na wypadek gdyby usłyszeli ją rodzice. Wciąż jednak było cicho.

Powoli docierały do niej dźwięki sączące się przez okno: mruczące na ulicy silniki samochodów; okazjonalny śmiech przypominający, że to piątkowy wieczór w Chinatown; podzwanianie kolejki linowej. Kiedy już się przekonała, że wszyscy w mieszkaniu zasnęli, otworzyła drzwi i przekradła się przez korytarz z butami w dłoni. Ostrożnie zeszła po schodach, a potem spróbowała odsunąć zasuwę drzwi wejściowych. Zacięła się. Musiała pociągnąć mocniej, przez co rozległo się skrzypnięcie przypominające koci miauk. Odwróciła się i spojrzała na schody z nadzieją, że nie obudziła rodziców.

Zobaczyła jedynie ciemność.

Policzyła do sześćdziesięciu, starając się oddychać cicho i powoli. Wreszcie wysunęła stopy w pończochach za drzwi, które sprawnie za sobą zamknęła. Ze zdenerwowania było jej gorąco; betonowe stopnie okazały się kojąco chłodne pod ciepłymi stopami, gdy szła w stronę ulicy. Nierówny chodnik wbił się gwałtownie w jej podeszwy, ale bała się wydać z siebie choćby najcichszy dźwięk, póki znajdowała się pod oknem sypialni rodziców. Buty założyła dopiero w połowie przecznicy.

Nigdy dotąd nie była o tej porze sama poza domem; w towarzystwie rodziców chyba też nie. Ulice Chinatown rozświetlały wysokie neony zapraszające na CHOP SUEY i MAKARON, a dachy wielu budynków były otoczone białymi światełkami. Chodniki wypełniali ludzie

wchodzący do barów i z nich wychodzący, w większości biali, kobiety w futrzanych etolach i mężczyźni w fedorach. Śmiech i muzyka niosły się od Shanghai Low, a zapach smażonego na głębokim tłuszczu jedzenia przesycił powietrze. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że o tej porze na ulicach może być aż tak tłoczno. Mijając Chińczyka pracującego w kiosku na rogu, opuściła głowę i przyspieszyła kroku, zaniepokojona, że mógłby ją rozpoznać. Kiedy dotarła do Broadwayu i przeszła przez ulicę na Columbus Avenue, nieco się rozluźniła. Na North Beach panował podobny gwar – w końcu był piątkowy wieczór – ale krążyło tam mniej Chińczyków, którzy mogliby ją spostrzec.

Ucieczka z Chinatown dodała Lily skrzydeł. Chciało jej się śmiać, ale w ostatniej chwili się powstrzymała w obawie, że ktoś zauważy samotną dziewczynę śmiejącą się na chodniku. Wydała z siebie jedynie stłumiony chichot. To momentalnie ją otrzeźwiło. Nagle Columbus Avenue wydała się ogromna i niebezpieczna. Mężczyźni mijali ją z twarzami skrytymi pod kapeluszami, a kobiety stukwały obcasami szpilek. Buty zaczęły ją cisnąć, a gdy zbliżyła się do umówionego miejsca spotkania, ogarnęła ją obawa, że może Kath wcale tam nie czeka.

Na rogu Columbus i Vallejo nikt nie stał w świetle latarni. Lily zwolniła, w nadziei że Kath niedługo się pojawi. Zerknęła na północny wschód, w stronę Washington Square, poszukując znaku dziewczyny zmierzającej przez mrok, ale znów nie dostrzegła Kath. Zatrzymała się kilka metrów od zaułka, nie chcąc stawać w blasku światła. Wsunęła dłonie do kieszeni okrycia i ostrożnie się rozejrzała. Kiedy omawiały swój plan, doszły do wniosku, że niebezpiecznie byłoby stać zbyt długo samotnie na ulicy w środku nocy, ale teraz Lily zrozumiała, że pięć minut to zdecydowanie za dużo. Każdy przechodzący mężczyzna wydawał jej się teraz zagrożeniem. Przesunęła się w stronę ściany budynku na rogu, by skryć się w jego cieniu. Zerknęła na zegarek, marząc o tym, by czas mijał szybciej. Spojrzała na parę zmierzającą w jej stronę przez Columbus Avenue. Mężczyzna prowadził kobietę pod rękę. Gdy przechodzili przez światło latarni, ta spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Wydawała się tak odprężona, tak pewna siebie, tak autentyczna. Lily wcisnęła się w ścianę budynku, zawstydzona tym, co zamierzała zrobić.

Zaczęła się zastanawiać nad ich całym planem. Próbowwała ocenić, ile czasu zajmie jej bieg do domu przez Chinatown. Znowu spojrzała na zegarek, obracając nim tak, by mogła dostrzec wskazówki. Kiedy podniosła wzrok, Kath stała w świetle latarni i wyczekująco się rozglądała.

Lily z ulgą wypuściła powietrze.

– Kath – wykrztusiła, odsuwając się od ściany.

Kath wyszła ze smugi światła i dotarła do niej w ciemności skraju chodnika.

– Gotowa?

– Nie wiem – przyznała Lily.

– Chcesz wrócić do domu? – zapytała zaniepokojona Kath.

Ale teraz, gdy tu była – naprawdę była, kilkanaście centymetrów od niej – wątpliwości w duszy Lily ustąpiły miejsca czemuś silniejszemu. Chciała zobaczyć Tommy Andrews.

Pokręciła głową.

– Chodźmy.

Neon Telegraph Club był mniejszy, niż Lily się spodziewała. Świecił nad okrągłą markizą z wypisaną nazwą klubu. Pod nią znajdowały się czarne drzwi na wpół oświetlone przez pobliską latarnię. Przed nimi stała jakaś osoba, którą dziewczyna z początku uznała za niewysokiego, krępego mężczyznę w garniturze, ale która ostatecznie okazała się kobietą. Lily widywała wcześniej ludzi takich jak ona (zawsze ich dostrzegała, jakby magicznie przyciągali jej wzrok; z jakiegoś powodu jej serce zaczynało bić szybciej na ich widok), lecz nigdy w takim kontekście: jakby to było naturalne, wręcz pożądane, by byli tak właśnie ubrani.

– Dziewczęta, na pewno trafiłyście pod właściwy adres? – zapytała pani bramkarz.

Lily czuła ciężar fałszywego dowodu w torebce, zastanawiając się, czy powinna go wyjąć.

– Już tu byłam – oznajmiła Kath. – Na pewno.

Kobieta dyskretnie się do niej uśmiechnęła i szerokim gestem zaprosiła je do środka.

– W takim razie witamy z powrotem – oznajmiła radośnie.

Lily z ulgą ruszyła za Kath, unikając spojrzenia pani bramkarz. Czarne drzwi się otworzyły, ukazując wąską, słabo oświetloną przestrzeń. Lily nie wiedziała, na co spojrzeć najpierw – chciała zobaczyć wszystko, ale bała się patrzeć. Po lewej stronie znajdował się przeszklony bar, przy którym klienci siedzieli na stołkach. Po prawej było z kolei tylko tyle miejsca, by Lily i Kath zdołały się pojedynczo przecisnąć. Lily najbardziej uderzył zapach tego miejsca: mieszanka alkoholu, perfum, potu i papierosowego dymu. Gdy szła za Kath pod ścianą, zauważyła, że kilka kobiet się odwróciło, by na nie spojrzeć. W ich oczach odbijały się wiszące nad nimi okrągłe światła.

Sala otwierała się łukowatym przejściem na szersze pomieszczenie – być może nawet trzykrotnie – pośrodku którego stała niewielka scena. Blask reflektora oświetlał samotny mikrofon. Na tyłach sceny stało proste pianino, a przy nim siedziała kobieta w kanciastym garniturze z napuszonymi i natapirowanymi włosami, która układała dłonie na klawiszach. Wokół sceny stały niewielkie okrągłe stoliki, wszystkie zajęte. Kath pociągnęła Lily w przestrzeń między ścianą a stołem. Pianistka zaczęła grać, a pomieszczenie, dotąd wypełnione rozmowami i śmiechem, ucichło.

Tył sceny przesłaniała czarna kurtyna, a Lily się zastanawiała, czy ktoś się zza niej wyłoni. Czekala na tę chwilę tak długo, a te ostatnie minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Kiwała się na piętach, patrząc na scenę i na siedzących przy niej ludzi – zazdrosna o ich miejsca

– i jeszcze na Kath, która tak samo wpatrywała się w podwyższenie. Za nimi dało się słyszeć szepty, a stojący obok ludzie, wyraźnie stłoczeni, zwrócili się w stronę łuku.

Ktoś przepychał się przez tłum.

Lily nie widziała wyraźnie, kto to był, dostrzegła tylko ruch ludzi przemieszczających się niczym fala. Podążyła za nimi i wraz z osobami stojącymi w pobliżu się odsunęła, przepuszczając tajemniczą osobę. Ta w końcu weszła na scenę i znalazła się w świetle reflektora.

Lily wiedziała, że to Tommy Andrews – kobieta w męskim przebraniu. Wiedziała, że całe przedstawienie polega na tym, że występuje w nim nie-mężczyzna.

Ktoś obok niej wyszeptał:

– To naprawdę kobieta?

Lily zadrżała, zawstydzona, bo to pytanie sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, jak wygląda ciało Tommy pod garniturem. To zdawało jej się haniebne, obrzydliwe jak spojrzenia tych mężczyzn w kręgielni. Lily była zakłopotana i lekko ją zemdliło. Nie wypadało się tak gapić, ale Tommy była przecież na scenie – należało na nią patrzeć. Niepatrzenie byłoby niegrzeczne, więc patrzyła. Z początku Tommy stała tyłem do publiczności, a pianistka nadal grała. Nuty układały się w melodię, którą Lily szybko rozpoznała. Reflektor padał na jej krótkie włosy, podkreślając cięcie na karku, tuż powyżej białego kołnierzyka obramowanego czarną smokingową marynarką. Tommy zbliżyła mikrofon do ust, wciąż nie odwracając twarzy do publiczności, zwrócona do czarnej zasłony, po czym zaczęła śpiewać pierwsze wersy piosenki *Bewitched, Bothered and Bewildered*.

Głos, który wydobył się z jej ust, był niski i zachrypnięty niczym głos piosenkarki jazzowej przepełniony dymem. Publiczność cicho westchnęła, jakby z zaskoczeniem, ale Lily wiedziała, że to inne uczucie. To był zachwyt nad doskonałością udawanego mężczyzny, zadziwiająco perfekcyjnie odwzorowanego. Kontrast między głosem Tommy (zwłaszcza gdy gładko łąpała wyższe nuty) a jej sylwetką (rozstawionymi nogami, przekrzywioną głową) był kusząco kontrowersyjny. Gdy Lily tak patrzyła, słyszała, jak serce tłucze jej się w piersi. Bała się mrugnąć, bała się przegapić tę chwilę, która, jak czuła, nieuchronnie nadchodziła.

Aż nadeszła.

Pod koniec pierwszej zwrotki Tommy odwróciła się z figlar-nym uśmiechem, a publicznością wstrząsnęła burza braw, tak głośna, że utonęła w niej reszta zwrotki.

Biało-czarne zdjęcie z „Chronicle” było zaledwie marną imitacją rzeczywistości, która teraz wydawała się rozmyta i nieostra. Brakowało na nim ważnych szczegółów: połysku pomady na falach włosów Tommy; idealnego wiązania jej muszki; złotego sygnetu na małym palcu, gdy unosiła mikrofon do ust. Lily zdała sobie sprawę, że fotografia nie oddawała sylwetki Tommy: tego, jak stała, jak się poruszała, jak się kołysała – tak męsko, a zarazem...

To zarazem wywołało rumieniec na jej twarzy. Świadomość, że pomimo ubrań, które nosiła, pomimo postawy, która przyciągała spojrzenia wszystkich w pomieszczeniu, Tommy nie była mężczyzną. Było to uczucie narastające w Lily, jakby na scenie stały jej najskrytsze pragnienia.

Tommy nie zmieniła słów piosenki. Piosenka była powolna, ciężka, z nutą znużonej samokrytyki, jak gdyby Tommy wyznawała, że zakochała się wbrew własnej woli. Słuchanie, jak śpiewa w męskim przebraniu do nienazwanego „jego”, było niesamowite. Publiczność gwizdała, a ona mrugnęła do niej tak pewna siebie, że policzki Lily aż zapłonęły.

Nie chciała, żeby Tommy przestawała. Mogła stać w tym rozgorączkowanym tłumie, wyciągać szyję i przyglądać się głowom tych, którzy mieli dość szczęścia, by znaleźć miejsce przy stole, patrzeć na Tommy w smokingu, i tak w nieskończoność. Oczywiście, słyszała tę piosenkę już wcześniej, ale nigdy nie śpiewaną w ten sposób, z pomrukiem w głosie przypominającym szept skierowany wprost do ucha Lily.

Bluzka dziewczyny przyklejała się do wilgotnej skóry, a ona coraz mocniej czuła, jak naciskają na nią otaczający ją ludzie, jak z ich ciał unosi się żar. Powietrze było ciężkie, pachniało intensywnie dymem papierosów i alkoholem, a nuta perfum zdawała się teraz szokująco intymna, jakby biła od wszystkich zgromadzonych tu kobiet.

Nagle oglądanie Tommy na scenie stało się niemal bolesne. Musiała odwrócić wzrok, bo poczuła się tak, jakby tonęła i potrzebowała powietrza. Lily widziała wśród publiczności kilku mężczyzn – mężów towarzyszących żonom, partnerów z partnerkami – wszystkich razem siedzących w ściśniętej grupie pod jedną ze ścian pomieszczenia, jakby zebrali się tam ze względów bezpieczeństwa. Wyglądało na to, że dobrze się bawią: klaskali, uśmiechali się i wymieniali pełne aprobaty spojrzenia, jak gdyby gratulowali sobie odwagi. Miny ich partnerek wyrażały więcej emocji. Jedna wydawała się śmiertelnie przerażona i z trudem spoglądała na scenę; kolejna pochyliła się z szerokim uśmiechem, co jakiś czas znacząco spoglądając na męża. W tych spojrzeniach było tyle dwuznaczności, że Lily zrobiło się niedobrze, chociaż nie była pewna ich dokładnego znaczenia. Ta niewiedza tylko pogarszała sprawę – otwierała puszkę Pandory wielu możliwości, choć jednocześnie Lily była boleśnie świadoma własnej naiwności. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, czego chciała ta kobieta, ale wiedziała, że to coś haniebnego.

Poza tymi parami zdecydowaną większość publiczności stanowiły kobiety, spośród których niektóre ubrały się jak mężczyźni. Żadna z nich nie odwzorowała męskiego stroju tak doskonale jak Tommy, ale niektóre miały na sobie krawaty i kamizelki, a inne marynarki i koszule z męskim kołnierzem. Kilka nosiło sukienki koktajlowe jak na wieczór na mieście, z błyszczącymi kolczykami i naszyjnikami na białych szyjach. Kilka czarnych kobiet siedziało razem i wyglądało na to, że Lily była jedyną Chinką w pomieszczeniu. To znaczyło, że w okolicy nie było nikogo z Chinatown, kto mógłby ją rozpoznać, ale sprawiało też, że bardzo się wyróżniała.

Cofnęła się najbardziej, jak tylko mogła, a gdy jej stopa natrafiła na ścianę, zrozumiała, że zostało już tylko kilka centymetrów, aż zostanie całkiem w nią wgnieciona. Kath stała tuż przed nią i zasłaniała jej częściowo widok. Teraz Lily czuła się bezpieczna. Gdy piosenka dobiegła końca i rozległy się oklaski, zdjęła kurtkę i zawiązała ją sobie na ramionach. Bluzka dziewczyny była mokra od potu na plecach, ale przynajmniej zrobiło jej się chłodniej.

Kath zerknęła na nią i zapytała:

– Wszystko w porządku?

Lily skinęła głową, ale nie miała czasu nic tłumaczyć, ponieważ Tommy właśnie rozpoczynała kolejny utwór. Ten był żywszy, dawał też okazję do zejścia ze sceny i flirtowania z kobietami siedzącymi najbliżej. Teraz Lily była nad wyraz zadowolona, że skryła się pod odległą ścianą. Śniła o Tommy podchodzącej do jej stołu, ale teraz, gdy już znalazła się w tym miejscu, możliwość zwrócenia jej uwagi brzmiała alarmująco. Wstrzymała więc oddech, a Tommy opierała się o blat każdego odwiedzanego stolika – uśmiechała do kobiet, które wybierała, i żartowała z mężczyzną nieopodal. Wydawała się być absolutnie w swoim żywiole, jakby noszenie męskiego garnituru i flirt z kobietami były najnormalniejszymi rzeczami pod słońcem.

Pochyliła się w stronę zarumienionej damy w krótkiej zielonej sukience, śpiewając *You're Getting to Be a Habit With Me* – „stajesz się moim nawykiem”. A potem odwróciła się do towarzyszącego jej mężczyzny i dodała:

– Ale nie pan.

Ta uwaga wywołała zbiorowy chichot. Lily też się nerwowo zaśmiała, chociaż się obawiała, że nie rozumiała dowcipu. Tak bardzo chciała tu przyjść, choć w rzeczywistości Telegraph Club nie był taki, jak go sobie wyobrażała. W jej fantazjach Tommy Andrews była samotną, czystą postacią, którą dało się podziwiać z bezpiecznego dystansu, a nie tym rozkołysanym stworzeniem

podchodzącym do obcych kobiet, całującym ich dłonie, wracającym na scenę i lustrującym pomieszczenie wzrokiem króla obejmującego spojrzeniem swoje włości. W jej fantazjach Tommy była kimś w rodzaju idola o uroczej twarzy i delikatnych ruchach. W rzeczywistości okazała się kobietą z krwi i kości – i to przerażało Lily najbardziej.

Tuż przed przerwą w występie Tommy publiczność wyraźnie się rozluźniła, rozpięzchła w stronę baru lub z dala od niego. Kath zauważyła grupę kobiet, które akurat opuściły pobliski stolik. Szybko go zajęła, a Lily do niej dołączyła.

Kath rozejrzała się wokół z nieskrywaną ekscytacją, po czym zapytała:

– I co sądzisz?

– Sama nie wiem – odparła Lily, słysząc we własnym głosie dziwną ostrożność. Żałowała, że nie powiedziała czegoś innego.

Kath spojrzała na nią – ale tak naprawdę – jakby starała się rozszyfrować prawdziwe znaczenie jej słów. Lily z zakłopotaniem spuściła wzrok, wbijając go w porysowane drewno blatu. Wotywna świeca pośrodku stołu migotała w czerwonym szklanym naczyniu, a Lily wyobraziła sobie, że czuje jej rozchodzące się niewidzialnymi falami ciepło.

– Jeżeli chcesz, możemy już iść – zaproponowała Kath.

Lily podniosła na koleżankę zaskoczone spojrzenie. Ta zdjęła płaszcz i Lily dopiero teraz zauważyła jej bluzkę z kołnierzykiem i rozpiętym górnym guzikiem.

– Nie chcę iść – zdołała wykrztusić. Kath skinęła głową.

Przez chwilę tak siedziały, a szum wokół nich trwał: jakieś kobiety niosły piwo przez pomieszczenie, szcękaly kieliszki wina, ktoś głośno się zastanawiał, kiedy rozpocznie się kolejna część występu.

Nagle przy ich stoliku pojawiły się dwie kobiety, a jedna z nich zapytała:

– Te dwa krzesła są zajęte? Możemy je wziąć?

– Jasne – odparła Kath, a kobiety usiadły, odsunawszy krzesła, żeby zrobić sobie nieco więcej przestrzeni.

Jedna z nich miała na sobie marynarkę i koszulę o męskim kroju, a jej włosy były ścięte na chłopięcą modłę, lecz w stylu, który dałoby się nazwać kobiecym, gdyby tylko założyła sukienkę. Druga była w bluzce i spódnicy, z włosami falującymi i przytrzymanymi srebrną wsuwką; wyglądała na niewiele starszą od uczennicy ostatniej klasy szkoły średniej.

Kath przysunęła krzesło bliżej Lily i zapytała:

– Chcesz coś do picia?

– Nie możemy – odszepnęła, odwracając głowę od towarzyszek.

– Coś ci przyniosę. To znaczy Elizabeth Flaherty przyniesie – uzupełniła Kath z uśmiechem.

– Nie chcę, żebyś miała problemy – oznajmiła zaniepokojona.

– Nic mi nie będzie – zapewniła Kath. – Wrócę za chwilę. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim rozpocznie się kolejna część występu.

A potem Kath wstała i zostawiła ją w towarzystwie dwóch nieznanym kobiet na wpół odwróconych do niej tyłem. Lily wzięła płytki oddech, starając się być cicho, jakby dzięki temu mogła stać się niewidzialna. Kobiety rozmawiały o filmie, który ostatnio oglądały – brzmiał na francuski – a Lily zaczęła się zastanawiać, gdzie mogły go widzieć. Wydawały się pochłonięte dyskusją o detalach filmu – opowiadającego, zdaje się, o uczennicy – a Lily, choć nie pozwalała sobie na spojrzenia w ich kierunku, wsłuchiwała się w tę dyskusję dość uważnie.

Kiedy Kath wróciła z dwiema szklankami piwa, kobiety zrobiły jej miejsce. Ta w marynarce wykorzystwała ten moment, by zapytać:

– Nie widziałyśmy was tu wcześniej, nieprawdaż? Mam na imię Paula, a to jest Claire.

Kath się przedstawiła i uściśniła dłoń Pauli.

– Byłam tu wcześniej z przyjaciółką, Jean Warnock. Znasz ją może? Studiuje na Kalifornijskim.

A to moja druga przyjaciółka, Lily.

Paula i Claire podały jej ręce, a Lily uściśniła je z zakłopotaniem, jakby były mężczyznami.

Tymczasem Claire oznajmiła:

– Chyba nie znam Jean. Na jakim jest kierunku? Też tam studiuje.

Lily wzięła swoją szklankę z piwem – chłodną i śliską – i uniosła ją do ust, żeby nie musieć uczestniczyć w konwersacji. Było pienne i smakowało trochę jak woda z mydlinami, ale przy tym przynosiło chłód i wchodziło łatwiej, niż sądziła. Claire, Paula i Kath rozmawiały teraz o Jean, a Lily pomyślała, że dzięki temu uda jej się uniknąć udziału w tej dyskusji. Przynajmniej dopóki Claire nie oznajmiła:

– Nie widzimy tu zbyt wielu Azjatów. Mówisz po angielsku?

Lily zamrugła.

– Oczywiście.

Claire jakby nie zauważyła urazy w jej głosie.

– Znasz Mary Lee? Zarządza Candlelight Club na sąsiedniej przecznicy.

Wszystkie wyczekująco na nią spojrzały. Lily przełknęła ślinę.

– Nie, nie znam jej. – Nazwisko Mary Lee było tak powszechne, że brzmiało równie fikcyjnie jak jej fałszywa tożsamość. – Co to takiego Candlelight Club?

– A, takie tam miejsce – odparła Claire. – Bardzo przyjemne.

– Jeżeli tu ci się podoba, to polubisz też Candlelight – dodała Paula i uniosła szklankę. Też piła piwo. – Za nowe znajomości! – rzuciła, a Kath się uśmiechnęła i stuknęła naczyniem o naczynie Pauli.

Lily też uniosła szklankę, ponieważ uznała, że tak właśnie powinna zrobić. Kiedy szkło brzęknęło o naczynie Kath, nieco piwa przelało się przez krawędź i spłynęło zimną strużką po jej palcach. Nie miała czym wytrzeć ręki, a nikt chyba nie zwracał na nią uwagi, więc odsunęła dłoń i pozwoliła, by ciecz spłynęła z jej opuszków na ciemną podłogę.

Tommy Andrews spóźniła się na drugą część występu. Po klubie zdążyła się rozejść plotka, że tej nocy już nie wróci. Scena była zaciemniona, a wszystkie damsko-męskie pary prócz jednej zniknęły. Została kobieta, która uśmiechała się podczas występu Tommy. Kath dalej rozmawiała z Paulą i Claire. Okazało się, że ten film, który oglądały, *Olivia*, był dość popularny w Europie, ale w Stanach dopiero się pojawił, i to tylko w kilku wybranych kinach. Jego akcja toczyła się w szkole z internatem dla dziewcząt, gdzie niektóre uczennice i wychowawczynie nawiązują między sobą sugestywne relacje.

– W jednej scenie nawet się całują – oznajmiła Paula. Brzmiała na zszokowaną.

– Nie do końca – odparła Claire, potrząsając głową. – Nauczycielka całuje uczennicę w oczy. W oczy! – Zaśmiała się, jakby uznała to za niedorzeczne.

Lily popijała alkohol i milczała. Nigdy wcześniej nie wypijała sama całego piwa, a w miarę jak jej szklanka się opróżniała, dziewczyna zaczęła się rozluźniać. Wypełniło ją ciepło, ale takie przyjemne. Telegraph Club stracił nieco na swej obcości, a i ciemność stała się teraz bardziej przyjazna. Claire i Paula starały się zaangażować ją w rozmowę, choć to przecież nie było ich winą, że Lily czuła się tak, jakby nie miała nic do powiedzenia. Po wyczerpaniu tematu *Olivii* rozmawiały o grze w lokalnej lidze softballa i wycieczce do Marin Coun-ty, żeby popatrzeć na sekwoje. Lily nie chciała opowiadać o swoich weekendach: pomocy matce przy załatwianiu spraw w Chinatown, niedzielnych wizytach w kościele, wyjściach od czasu do czasu na koncerty Cathay Band albo o kibicowaniu zespołowi koszykarskiemu z YMCA. Pomyślała o Shirley pracującej w Eastern Pearl, zwijającej raz po raz setki serwetek, by biali mogli sobie nimi wycierać usta.

A potem rozejrzała się po Telegraph Club i poczuła się tak, jakby poleciała na inną planetę. Wydawał jej się nagle taki obcy i odległy.

Tommy nadal nie wracała, a Kath zapytała, czy ktoś chce jeszcze jedną kolejkę. Lily poczuła, że musi iść do toalety. Wstała, żeby przeprosić, a Claire oznajmiła:

– Idziesz do klozetu? Pójdę z tobą. Tak mi się chce! Paula, przynieś mi drinka w międzyczasie, dobra?

Claire ruszyła do toalety, a Lily poszła tuż za nią. Po prawej stronie bramy Claire skręciła w słabo oświetlone przejście, które Lily przeoczyła, kiedy tu weszła. Skręcało w korytarz biegnący na tyłach budynku. Po jednej stronie znajdowały się schody oświetlone przez samotną żółtą żarówkę u ich szczytu i zdradzające ponurą wybieloną ścianę. Claire zachwiała się na schodach i musiała chwycić się poręczy. Lily poczuła, że drewniana balustrada kołysze się w jej dłoni. Na górze wąski korytarz biegł wzdłuż klatki schodowej w stronę przodu budynku, a przed drzwiami toalety stało w kolejce jakieś pół tuzina kobiet. Claire zajęła miejsce za nimi, a Lily stanęła tuż za nią. Część zgromadzonych kobiet rzuciła im przelotne spojrzenia; inne patrzyły dłużej, zwłaszcza na Lily. Dziewczyna wcisnęła się w ścianę, pragnąc stać się niewidzialna.

– Ile trzeba czekać? – zapytała Claire kobietę przed nią. – Ta kolejka w ogóle się rusza?

Nieznajoma, w spodniach i marynarce, odparła ponuro:

– Jedna z toalet się zapchała. Idzie wolno.

Claire jęknęła.

– Trzeba było przyjść tu szybciej. Te kolejki zawsze mnie dobijają. Mogliby nam dać jeszcze męską.

Męska toaleta znajdowała się za jednymi z drzwi wzdłuż korytarza. Lily nie widziała jednak, by ktokolwiek tam wchodził lub stamtąd wychodził.

– No to idź i spróbuj szczęścia. – Kobieta się uśmiechnęła. – Nikt cię nie powstrzyma.

Claire wybuchnęła śmiechem.

– Nie w tym stroju, słonko. – Odwróciła się do Lily i rzekła: – Ta twoja koleżanka z dołu... Kath? Powiedziała, że już tu była, ale ty chyba jesteś nowa, prawda?

– Tak.

Claire oparła się o ścianę i zagadnęła przyjaźnie:

– Kiedy pierwszy raz tu przyszedłam... już dwa lata temu, wyobrażasz sobie? – Zatrzymała się na chwilę, zamyślona, po czym podjęła: – Nie miałam pojęcia, co to za miejsce. Byłam w szoku. Dorastałam w San Mateo, sama rozumiesz, do San Francisco wpadaliśmy tylko na zakupy albo na specjalne okazje. A ty skąd jesteś?

– Z Chinatown.

Rozległ się dźwięk splukiwanej wody i ktoś z kolejki wydał z siebie słaby okrzyk entuzjazmu. Kobiety ruszyły naprzód.

– Chinatown, no jasne. – Claire konspiracyjnie się do niej uśmiechnęła, lecz Lily nie odwzajemniła jej uśmiechu. Uśmieszek Claire nieco zbladł, ale kontynuowała: – Chodzi mi o to, że w San Mateo nie mamy czegoś takiego. A potem odkryłam to miejsce i to było, jakby... jakby chmury się rozstały i wyjrzała zza nich ziemia obiecana.

Claire zachichotała.

Lily zauważyła jakieś poruszenie na końcu korytarza. Wyjrzała za ramię Claire, by zobaczyć, czy ktoś wyszedł z łazienki. Wtem otworzyły się drzwi innego pomieszczenia i stanęła w nich blondwłosa kobieta; miała na sobie obcisły błękitny sweter wsadzony w grafitową ołówkową spódnicę oraz czerwone szpilki. Tuż za nią pojawiła się Tommy Andrews, nadal w smokingu i muszce i z jeszcze bardziej lśnącymi włosami. Paliła papierosa, a dym ciągnął się za nią cienką białą strugą.

Minęła kolejkę, witając się z niektórymi kobietami.

– Cześć, Frannie. Jak tam Midge? Dawno cię nie widziałam, Vivian.

Blondynka nadal szła przed nią z cieniem niepokoju na twarzy, póki nie spostrzegła wołającej do niej Claire:

– Lana! Lana, jak się masz?

Zmartwienie w jednej chwili zmieniło się w radość.

– Claire! Jak dobrze cię zobaczyć!

Objęły się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od Lily. Dziewczyna poczuła zapach kwiatowych perfum Lany.

Claire i Lana poczęły rozmawiać przejętym szeptem. Tymczasem Tommy podeszła bliżej. Była niższa, niż Lily sądziła, ale swoją postawą sprawiała wrażenie wysokiej. Stanęła za Laną i czekała, ponieważ korytarz był tak wąski, że nie mogła jej wyminąć. Jej spojrzenie przemknęło po Claire, potem po Lily i za jej plecami, aż w końcu wróciło z wyraźnym zaciekawieniem. Jej wzrok był jak oddech na twarzy Lily. Pokryła ją gęsia skórka.

Wtedy odezwała się Tommy:

– Muszę iść na dół. Wybaczcie, dziewczęta.

Lana spojrzała przepraszająco na Claire, po czym zwróciła się do Tommy:

– To Claire, nie pamiętasz jej? Nie widziałyśmy się od tygodni.

Tommy skinęła głową do Claire i pospiesznie się uśmiechnęła.

– Cześć, Claire.

– Cześć, Tommy – odparła Claire, w dziwny sposób akcentując imię Tommy. Ta pochyliła się do niej i cmoknęły się w policzki jak stare przyjaciółki. Gdy Claire się odsunęła, Lily dostrzegła jej zaróżowione policzki.

– Wpadnij do mnie, Lano – odezwała się Claire. – Mam stolik na dole z Paulą. Musimy się zgadać.

– Tak zrobię – odparła Lana i ruszyła schodami na dół.

Tommy stanęła wprost przed Lily. Dziewczyna spojrzała w dół, dostrzegając zaprasowane w kancik spodnie Tommy, satynowy pasek na boku i lśniące czarne buty. Męskie buty, oxfordki.

Tommy zatrzymała się w pół kroku i oznajmiła:

– Nie widzimy tu zbyt często Azjatów. – A potem dodała: – Ona zna angielski?

Lily spojrzała jej prosto w oczy; były brązowe, a w ich kącikach czaiły się zmarszczki uśmiechu. Serce dziewczyny zabiło mocniej, ale głos nie chciał się wydobyć z jej piersi.

– Jest ze mną – powiedziała Claire. – To Lily.

Tommy skinęła z uśmiechem głową, a potem uniosła papierosa do ust i się zaciągnęła.

Koniuszek rozżarzył się czerwienią.

– Mam nadzieję, że ci się podoba, chińska laleczko – oznajmiła, a potem poszła za Laną na dół. Za nią ciągnął się zapach; nie słodka kwiatowa woń otaczająca jej towarzyszkę, lecz coś cieplejszego z korzenną nutą.

Lily aż zadzwoniło w uszach. Miała świadomość, że inne kobiety się na nią gapią – część chichotała, a inne patrzyły z wyraźnym zaciekawieniem. Wtedy usłyszała Claire:

– Rozumiecie, jest w szoku. Biedna dziewczyna.

– Wszystko w porządku – poinformowała automatycznie Lily i spróbowała się roześmiać, ale jej śmiech brzmiał fałszywie.

Reszta szybko straciła nią zainteresowanie, ponieważ kolejka w końcu ruszyła. Na dole rozległy się dźwięki pianina; zaczynała się druga część występu. W głowie Lily tak jednak huczało, że ledwie słyszała muzykę – dźwięki zdawały się stłumione, nawet odgłos spłuczki. Claire dała się wciągnąć w rozmowę z kobietą stojącą przed nią, zaintrygowaną faktem, że Claire zna Tommy.

– Cóż, tak właściwie to znam Lanę – przyznała skromnie Claire.

Wreszcie dotarły do drzwi łazienki. Claire weszła, gdy tylko wyszła z niej tamta kobieta, która musnęła ramię Lily w drodze na dół. W końcu nadeszła kolej na Lily, więc weszła do toalety, po czym odkryła, że w środku są tylko dwie kabiny, w tym jedna z naklejoną kartką i odręcznym napisem „nieczynne”. Weszła do tej, którą opuściła Claire – ta myła ręce nad umywalką – i poczuła zapach moczu; nie miała jednak wyboru, musiała skorzystać. Zawisła nad sedesem, żeby nie musieć go dotykać.

Kiedy skończyła, pociągnęła za linkę spłuczki i do muszli popłynęła woda. Lily wygładziła bluzkę, spódnicę i pończochy. Sięgając do zasuwy, zauważyła wypisane długopisem na ścianach albo wydrapane w beżowej farbie rozmaite wiadomości. „Zadzwoń do Joanie, jeśli chcesz się zabawić”, proponował ktoś, a ktoś inny dodał pod spodem: „Ale nie dzwoń przed południem”. Nad klamką ktoś wydrapał serduszek, a w środku dwa imiona: „Nancy + Carol”.

Z dołu dobiegły burzliwe oklaski. Pospiesznie umyła ręce, a potem wpadła na stojącą na korytarzu Claire, która radośnie się do niej uśmiechała.

– Nie musiałaś na mnie czekać – stwierdziła zaskoczona Lily.

– Nie zostawiłabym cię tu samej. Wyglądasz na zagubioną.

Jej głos brzmiał uprzejmie, przez co Lily poczuła się przytłoczona.

– Dziękuję – wyjąkała.

Claire wzruszyła ramionami.

– Chodźmy. Zwykle druga część jest lepsza, bo turyści pewnie zdążyli już sobie pójść.

Lily poszła za nią pod scenę, gdzie Tommy śpiewała w blasku reflektora. Kiedy dotarły do stolika, Kath nachyliła się do niej i oznajmiła:

– Już się martwiłam! Przyniosłam ci kolejne piwo.

Myśl, że miałyby wypić drugie piwo, wydała się Lily gorsząca, ale nie chciała być nieuprzejma. Niemal słyszała głos Shirley: „Nie bądź taka porządnicka”.

– Dzięki – powiedziała do Kath i uniosła szklankę.

Piwo było chłodne, a każdy łyk ułatwiał patrzenie na Tommy, śmianie się i klaskanie z innymi. Pewnie wynikało to z faktu, że mijał pierwszy szok wywołany widokiem kobiety w męskim przebraniu. Już mniej więcej wiedziała, czego się spodziewać. A może chodziło o to, że większość turystów już wyszła, tak jak wieszczyła Claire, i publiczność składała się niemal wyłącznie z kobiet. Atmosfera w klubie wyraźnie się rozluźniła, jakby Tommy znalazła się w gronie przyjaciół. Można było ominąć wzrokiem tego jednego czy dwóch mężczyzn na sali – i Tommy właśnie to robiła.

Lily pomyślała, że Claire miała rację: druga część występu była lepsza od pierwszej. Teraz

Tommy zmieniała teksty śpiewanych piosenek, a zmiany brzmiały tak bezpośrednio, że Lily z trudem wierzyła w to, co słyszy: „When a beautiful lady like you meets an irresistible gay girl like me...”. Reszta publiczności nie była jednak tak zdziwiona; a może była, ale tym zachwyconym zdumieniem – śmiała się bowiem, słysząc te słowa.

Tommy bezwstydnie flirtowała z kobietą w zielonej sukience siedzącą przy stoliku obok sceny z dwiema towarzyszkami. Wydawała się być w siódmym niebie, gdy Tommy zaprosiła ją na scenę, by wyśpiewać jej serenadę *Secret Love*. Tym razem Lily miała pewność, że zmianie nie uległo ani jedno słowo, i zszokowało ją, jak dwuznacznie może brzmieć zwykła piosenka, jakby między wersami kryły się różne języki.

Tommy zakończyła tę część odważnym wykonaniem *Keep It Gay*, a kiedy wybrzmiała ostatnia nuta, wycofała się za kulisy, a potem do baru. Z tego, jak niektóre kobiety ścisnęły jej dłoń albo klepały ją po ramieniu, wynikało jasno, że ją znają.

W końcu Lily uznała, że czas wracać. Kiedy jednak spojrzała na Kath, zobaczyła, że koleżanka wcale się nie spieszy. Dotknęła jej ręki i zapytała:

– Nie powinnyśmy już iść?

– Możemy, jeśli chcesz. Powiedz nam, jak będzie koniec. Wtedy i tak będziemy musiały wyjść.

– Która godzina?

Kath zbliżyła zegarek do świecy, manewrując nim tak, by złapać odpowiedni kąt.

– Po wpół do drugiej.

Claire wstała, gdy tylko skończył się występ, a teraz wróciła z Laną i dwiema lampkami wina. Przyniosły dodatkowe krzesło, a Claire przedstawiła zebranym Lanę:

– Kath poznałyśmy dzisiaj. Na pewno pamiętasz jej przyjaciółkę, Lily.

Sprawa powrotu przycichła.

Lily dokończyła piwo, zastanawiając się, czy Tommy do nich dołączy. Wydawało się to nieuniknione, a jej serce natychmiast przyspieszało, gdy tylko pomyślała o tym, co może się wówczas wydarzyć. Tommy przyniesie krzesło, siądzie, wyjmie paczkę papierosów, zaproponuje je zgromadzonym, a Lana weźmie od niej jednego. Poleje się więcej piwa, rozpoczną się kolejne rozmowy, których Lily do końca nie zrozumie. Cały czas będzie musiała dokładać starań, by się nie gapić, nie patrzeć zbyt nachalnie na zręcznie zaczesane do tyłu i lekko pofalowane włosy Tommy ani na to, jak kołnierzyk dyskretnie przylega jej do szyi.

Po pomieszczeniu przebiegł okrzyk: „Ostatnia kolejka”, i wiele kobiet ruszyło do baru, by kupić tej nocy ostatnie drinki, inne zaś udały się w stronę szatni.

– Czas na nas – oznajmiła Kath.

Lily skinęła głową. Z mieszanką rozczarowania i ulgi zdała sobie sprawę, że Tommy jednak się do nich nie przysiadzie. Założyła płaszcz, pożegnały się z Claire i Paulą – Lana tylko uprzejmie ścisnęła ich dłonie – po czym poczęły przechodzić przez pustoszące pomieszczenie w stronę wąskiego baru. Tommy szła w ich stronę z dwiema szklankami piwa. Przez chwilę Lily zabrakło tchu – zdawało jej się, że Tommy niesie jedno z naczyń dla niej, lecz artystka ją minęła, ciągnąc za sobą opary wody kolońskiej. Lily odwróciła głowę, spoglądając w ślad za Tommy. Jasne, szła do Lany i Claire, a Paula wstała po jedno z piw.

Lily poczuła na ręce dłoń Kath.

– Idziesz? – zapytała koleżanka.

– Tak, przepraszam.

Poszła z Kath wzdłuż baru, minęła kobiety rozkoszujące się ostatnimi drinkami, po czym czarnymi drzwiami wyszła na chodnik.

Po czasie spędzonym w dusznym, zadymionym pomieszczeniu nocne powietrze wydawało się teraz przyjemnie chłodne. Przed klubem w niedużych grupkach stały kobiety palące papierosy

i rozmawiające o tym, by przedłużyć tę noc. Ktoś rzucił, że kilka przecznic stąd znajduje się klub, który jest czynny jeszcze dłużej; ktoś inny zaproponował, by pójść do Chinatown na nocne jedzenie *chow mein*. Lily w świetle latarni zerknęła na zegarek i razem z Kath ruszyły w drogę powrotną. Była druga w nocy, lecz wszystkie neony na Broadwayu wciąż się paliły. Z innych klubów przy ulicy wysypywali się ludzie, część na wyraźnym rauszu, inni głośno się śmiejąc. Wydawało się, że całe miasto jeszcze nie śpi i żyje swoim drugim życiem, o którego istnieniu dopiero się dowiedziała.

Kiedy razem z Kath dotarły do skrzyżowania, gdzie miały się rozdzielić, przystanąły z boku chodnika, by nie wpaść na innych przechodniów.

– Do zobaczenia w poniedziałek – powiedziała z lekkim zakłopotaniem Kath.

– Do poniedziałku – odparła Lily. Przyszło jej do głowy, że powinna powiedzieć coś więcej, ale czuła się dziwnie niezręcznie, jakby wcale nie spędziła właśnie dwóch godzin z koleżanką w nocnym klubie pełnym homoseksualnych kobiet. Już sama myśl o tych słowach budziła w niej niepokój – doskonale czuła obecność ludzi wokół i fakt, że znajdowała się zaledwie przecznicę od Chinatown.

Kiedy Kath się odwróciła, by odejść, Lily w ostatniej chwili zdążyła dotknąć jej ręki.

– Dzięki, że mnie ze sobą zabrałaś – powiedziała.

– Nie ma za co – odparła Kath.

Samochody przejeżdżające ulicą przypominały rzekę czerwono-biało-żółtych świateł odbijających się w oczach Kath. Dziewczyna się uśmiechnęła, a Lily nieśmiało odwróciła wzrok. Ktoś zatrąbił kilkukrotnie, a na Columbus Avenue podjechał czarny samochód. Pobliscy przechodnie krzyknęli na kierowcę, żeby uważał.

– Dobranoc – powiedziała Lily, robiąc krok w tył.

– Dobranoc – odparła Kath.

Lily zmusiła się do odwrócenia i ruszenia prosto do domu

Trzymała się cienia Grant Avenue, na ile było to możliwe, i szybkim krokiem przechodziła przez kałuże światła wylewającego się zza drzwi nocnej restauracji Sai-Yon i Far East Cafe. Zdrętwiałymi palcami cicho otworzyła drzwi wejściowe bloku; bezszelestnie zdjęła buty i zaniósła je na górę. Mieszkanie było pogrążone w ciemności i tak niesamowitej ciszy, że gdy mijiała uchylone drzwi pokoju braci, usłyszała ich oddechy. Drzwi sypialni rodziców pozostawały zamknięte. Przemknęła obok nich na palcach.

Rozsunęła drzwi swojego pokoju, a potem zasunęła je za sobą. Nie zapalając światła, zdjęła spódnicę z myślą: *To właśnie miałam na sobie tej nocy, gdy poznałam Tommy Andrews*. Rozpięła bluzkę, czując wilgoć pod pachami, tam gdzie się spociła. W normalnych warunkach ułożyłaby ubranie na stosie do prania albo wsadziła je do balii, ale nie mogła tego zrobić w środku nocy. Zsunęła też zbyt grube pończochy, odpięła pas i rozpięła biustonosz. Palce u stóp, a także marszczenia i szwy w bieliźnie też wydawały się wilgotne. To było coś gorszącego: wydzieliny z ciała na jej ubraniach. Wiedziała, że powinna uznać ten fakt za obrzydliwy, ale tak nie było – z jakiegoś powodu czuła się zwycięska. To były dowody na to, że odwiedziła Telegraph Club i że oddychała jego ciepłym, perfumowanym powietrzem.

W ciemności poskładała ubrania i ostrożnie odłożyła je do dolnej szuflady komody. Sięgnęła po koszulę nocną, a różowy poliester wydał jej się chłodny niczym woda. Gdy się położyła i podciągnęła kołdrę pod brodę, łóżko wydało z siebie ciche skrzypnięcie.

Zamknęła oczy, ale wcale nie chciało jej się spać.

Pamiętała, jak Tommy pochylała się nad mikrofonem, a jej sygnet migotał w świetle reflektora.

Pamiętała wargi Tommy, gdy ta uśmiechała się do kobiety w zielonej sukni, śpiewając *Secret Love*. Pamiętała też dyskretną woń wody kolońskiej, która od niej biła; woń, w której było coś zaskakująco wyraźnie męskiego. Ten zapach wywoływał u niej dreszcz, zupełnie jakby Tommy przebiegła opuszką palca po jej kręgosłupie.

Przez dłuższy czas Lily leżała w łóżku, starając się przywołać tę woń, jakby mogła ją urzeczywistnić wyłącznie siłą wspomnienia.

W sobotnie popołudnie Lily niemal drzemała nad kuchennym zlewem z dłońmi zanurzonymi w ciepłej wodzie z mydlinami.

– Znowu czytałaś po nocy – zauważyła matka.

Lily drgnęła, a jej ręce wysunęły się z wody i rozchlapały ją na blacie oraz na przodzie bluzki. Jedna kropla wpadła dziewczynie do oka, więc automatycznie uniosła rękę, przez co brudny płyn pociekł po przegubie prosto do rękawa.

Matka bez słowa wręczyła jej ścierkę.

Po wytarciu twarzy i bluzki Lily wróciła do zmywania, wyławiając szmatkę spod sterty misek do ryżu. Za jej plecami przy kuchennym stole siedział Eddie, który odrabiał pracę domową. Matka odkładała resztki z obiadu, a gdzieś w korytarzu ojciec rozmawiał z Frankiem. Wyglądało na to, że nikt nie wie, gdzie była i co robiła w piątkową noc, chociaż czuła się tak, jakby miała to wypisane na czole. To wzbudzało w niej niepokój, czy aby nie wymyśliła sobie tego wszystkiego.

(Napis na drzwiach w łazience: „Nancy + Carol”. Kim one były?)

W niedzielny poranek spędzony w kościele była wyraźnie zaniepokojona tym, że ktoś na pewno zauważy, iż zeszła ze ścieżki dobrej chrześcijanki. A co, jeśli któryś z sąsiadów widział ją piątkowej nocy?

(Otwierające się czarne drzwi Telegraph Club ukazujące długi, wąski bar, lśniące światła nad głową przypominające odległe księżycy).

Jakoś przetrwała mszę i wspólny lunch – nikt nie wspomniał, że widział dziewczynę podobną do niej przechodzącą przez North Beach w środku nocy.

W poniedziałek rano Shirley zachowywała się jak wcześniej – z chłodną uprzejmością właściwą ich relacji od czasu balu. To ta ślepotą uderzała Lily najbardziej. Był czas, kiedy Shirley zauważała u przyjaciółki każdy nowy detal: wstążkę we włosach, rozdarcie na rękawie, cienie pod oczami po kiepskiej nocy. A teraz prawie na nią nie patrzyła.

Tylko Kath wiedziała. Kiedy Lily zobaczyła ją w szkole, poczuła przeszywający ją dreszcz podniecenia. Błada twarz koleżanki momentalnie się zarumieniła.

(Półprzymknięte oczy Tommy śpiewającej do mikrofonu tuż przy ustach).

Oczywiście Kath o niczym jej nie wspomniała. Siedziały w tym samym rzędzie na celach i planach i słuchały w milczeniu panny Weiland ogłaszającej, że w tym tygodniu odbędą się

ćwiczenia obrony przeciwiatomowej. Lily zerknęła na Shirley siedzącą po drugiej stronie sali obok Willa. Wyglądało na to, że ta czuje jej uwagę – uniosła głowę i skrzyżowała z nią spojrzenia. Jej brwi zeszyły się nad nosem, jakby coś ją zaskoczyło. *Może się domyśla* – przemknęło przez myśl Lily. Jak mogła się nie domyślić? Zaskoczyło ją, jak bardzo pragnęła, żeby Shirley zauważyła tę odmianę, zupełnie jakby to miało urzeczywistnić całe doświadczenie. (Tommy w korytarzu wiodącym do toalety, z papierosem w palcach, patrząca na Lily z tym swoim uśmiechem w oczach).

Shirley odwróciła wzrok. Wszystko się skończyło, a Lily poczuła, jak uchodzi z niej powietrze. Panna Weiland rozdawała na następne zajęcia z celów i planów broszury dotyczące odżywiania. Na lśniącej okładce znajdowała się ilustracja przedstawiająca typową amerykańską rodzinę: blondwłosą matkę, ciemnowłosego ojca, blond dziewczynkę i piegowatego chłopca o wielkich, niebieskich oczach. Siedzieli przy kuchennym stole nakrytym do kolacji; na paterze udekorowanej częstkami ananasa spoczywała czerwona pieczeń, a na górze ziemniaczanego puree w zielonej misce można było dostrzec żółt stopionego masła. Lily jadła pieczeń tylko w szkolnej stołówce, a myśl o jej słonym i tłustym smaku budziła w niej mdłości. Odwróciła broszurę, żeby nie musieć na to patrzeć.

Wiatr targał włosami Lily, gdy razem z Kath szły do domu. Wspólne wchodzenie po schodach Chestnut Street stało się ich tradycją, a ponieważ tę drogę wybierało niewielu uczniów, mogły rozmawiać, nie obawiając się podsłuchujących rówieśników.

– Nikt nie zauważył, że cię nie ma? – zapytała Kath.

– Chyba nie. A twoja siostra?

– Też nie. Peggy spała, kiedy wróciłam. Podobało ci się, prawda?

W tym pytaniu dało się słyszeć pewną nieśmiałość, która zaskoczyła Lily.

– Jasne.

– Nie byłam pewna. Przez cały wieczór siedziałas raczej cicho.

– Nie do końca wiedziałam, co powiedzieć – przyznała Lily.

Nic się nie zmieniło. Przez cały dzień chciała porozmawiać o tym z Kath, wrócić do tego, co się zdarzyło i co się nie zdarzyło, w taki sam sposób, w jaki omawiała z Shirley bale YWCA. Teraz jednak, gdy szły razem tego wietrznego, chmurnego popołudnia, czuła to samo dziwne zakłopotanie, które dopadło ją po wyjściu z klubu w piątkową noc.

– Kiedy poszłam tam po raz pierwszy – zaczęła Kath – byłam trochę... przytłoczona. Chyba. Jean mówiła, że miała tak samo. To trochę tak, jakbyś całe życie słyszała o czekoladzie, ale nigdy jej nie spróbowała. A potem nagle ktoś daje ci całą tabliczkę, więc zjadasz ją na raz i jest ci niedobrze. – Kath rzuciła jej przelotne spojrzenie. – Po prostu trzeba się do tego przyzwyczaić... do jedzenia czekolady.

Dotarły do stóp schodów. Gdy poczęły się wspinać, Kath umilkła. Tego ranka, ubierając się, Lily wpadła na bluzkę, którą założyła do Telegraph Club, zwiniętą w dolnej szufladzie komody. Kiedy spróbowała ją przesunąć, poczuła nikłą woń papierosów i coś jeszcze. Wyjęła ubranie, przycisnęła do niego nos i poczuła sam bar – lekko stęchły zapach alkoholu. (Stoi przy ścianie w klubie i próbuje odkleić spoconą bluzkę od pleców; powietrze jest gęste od oddechów tych wszystkich kobiet). Powinna była wyprać bluzkę, zanim matka ją odkryje, ale nie mogła się zdobyć na wrzucenie jej do kosza na pranie. Chciała ją zachować jako namacalny dowód.

Lily pomyślała, że analogia z czekoladą nie była zbyt trafna. To przypominało raczej znalezienie wody w trakcie suszy. Nie mogła jej wypić wystarczająco dużo, a pragnienie ją zawstydzało – wstyd zaś napędliał złością.

Zatrzymała się na szczycie schodów i odwróciła w stronę Kath.

– Chcę tam pójść jeszcze raz – obwieściła.

Obserwowała, jak uśmiech ogarnia najpierw usta Kath, a potem oczy. Uniosła kąciki. Jej rzęsy, zauważyła, były jasnobrązowe.

Rozkwitło między nimi coś na kształt porozumienia. Jakby wrzuciła monetę do jednej z automatycznych dioram w Musée Mécanique, a mechaniczna scenka miała się zaraz rozpocząć: miniaturowe kobiece postacie miały krążyć po swoich ścieżkach, mijając się jak w tańcu.

– No to pójdziemy jeszcze raz – oznajmiła Kath.

Lily odwzajemniła uśmiech, czując przyływ radości. Ruszyły razem w dalszą drogę po Russian Hill.

W połowie przecznicy Kath sięgnęła do tornistra.

– Byłabym zapomniała. – Wyjęła jakieś czasopismo. – Zostawiłam je dla ciebie. Należało do mojego brata, ale już go nie chce. Pomyślałam, że ty będziesz chciała przeczytać.

Trzymała w dłoni egzemplarz magazynu „Collier’s”. Na jego okładce widniał obraz przedstawiający osobliwe statki kosmiczne lecące w kluczu w stronę Czerwonej Planety. Nagłówek brzmiał: „Czy możemy dotrzeć na Marsa? Czy na Marsie jest życie?”.

Coś ścisnęło Lily w piersi. Wzięła czasopismo od Kath.

– Dziękuję. Nie mogę się doczekać lektury.

W środę kwadrans po dziesiątej zawyły syreny alarmowe. Serce podskoczyło Lily do gardła, ale panna Weiland zaczęła machać rękami, krzycząc:

– W porządku, w porządku, wiedzieliście, że tak będzie. Wszyscy po kolei na miejsca! Po kolei! Nie biegać!

To były ćwiczenia. Lily zupełnie o nich zapomniała. W ubiegłe wakacje ogarnęły całe miasto, obejmując próbną ewakuację. Po wzgórzach godzinami niosły się syreny ambulansów i straży pożarnej. Następnego dnia Lily przeczytała w gazecie, że wskutek uderzenia fikcyjnej bomby atomowej w Powell Street zginęło sto sześćdziesiąt dziewięć tysięcy fikcyjnych mieszkańców San Francisco.

Teraz wszyscy wstali, porzucając zeszyty oraz ołówki, i ruszyli na korytarz. Uczniowie szkoły średniej byli już za duzi, by chować się pod ławkami, toteż kazano im odejść od okien, najdalej jak to możliwe, i położyć się twarzą do podłogi, zakrywając głowę i szyję rękami. Nauczyciele musieli zrobić to samo. Zawsze równie niepokojące było obserwowanie ich powtarzających ruchy studentów.

Lily podążyła za kolegami i koleżankami na korytarz, znalazła miejsce na podłodze, położyła się na brzuchu i zakryła głowę rękami. Gdyby zasłoniła uszy łokciami, mogłaby nieco wygłuszyć piskliwy alarm, ale to była niewygodna pozycja, w której czoło i nos wciskały się w wypolerowany beton, utrudniając oddychanie.

Pierwsze ćwiczenia obrony przeciwoatomowej przeszła w pierwszej klasie; nadal pamiętała, jak ją przeraziły. Nauczyciel im powiedział, że muszą poćwiczyć chowanie się, na wypadek gdyby zaatakowali Japończycy. Pamiętała, jak trzęsła się pod ławką w Commodore Stockton, a część jej kolegów i koleżanek z klasy płakała za rodzicami. Potem miała koszmary, ale nie pamiętała szczegółów, jedynie to, że mama budziła ją w środku nocy i powtarzała: „To tylko sen, to tylko sen”.

Ćwiczenia powtarzały się co roku, tyle że zmieniał się wróg, który mógł potencjalnie zaatakować. Japonia została pokonana, ale mogły jeszcze napaść Korea albo Chiny, a teraz doszedł jeszcze Związek Radziecki i niebezpieczeństwo zrzucenia bomby atomowej. Po cichu cieszyła się z tych potencjalnych radzieckich najeźdźców, bo przynajmniej nikt nie wzięłby jej za Rosjanę.

Teraz odwróciła głowę, chociaż wiedziała, że to wbrew zasadom, i oparła ją na złożonej ręce.

Shirley spoczywała obok niej z twarzą przyciśniętą do podłogi. To było zaskakujące, ponieważ w sali nie znajdowały się blisko siebie, ale teraz sprawiało wrażenie czegoś zupełnie normalnego, znajomego. Lily pamiętała, jak leżały tak we dwie podczas poprzednich ćwiczeń na innych korytarzach – w pewnym sensie należało się spodziewać, że teraz również tak będzie.

Alarm wciąż wył, gdy Lily poruszyła stopą i trąciła Shirley w nogę. Przyjaciółka też odwróciła głowę. Spojrzały na siebie. Było w tej sytuacji coś zabawnego: tuliły twarze do podłogi, niezdarnie osłaniając się rękoma przed potencjalnym promieniowaniem. Wargi Shirley wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu i wypowiedziały niemal bezgłośnie: „Już po nas”. Lily zdusiła chichot, a alarm wciąż wył tak głośno, że dziewczyna pomyślała, iż niechybnie ogłuchnie. Jaki to miało sens? Zasięg potencjalnej jądrowej anihilacji był przerażający, gdy o nim myślała, ale przez lata nauczyła się nie myśleć i uznawać ćwiczenia za stratę czasu. Gdyby Sowietci naprawdę zrzucili bombę atomową na San Francisco, Lily podejrzewała, że wszyscy po prostu by zginęli – niezależnie od umiejętności chowania się na korytarzu.

Zrobiła głupią minę do Shirley, jakby znowu były dziećmi, a Shirley aż musiała się powstrzymać od śmiechu. W końcu przyjaciółka odwróciła raz jeszcze twarz do ziemi, a Lily poszła w jej ślady, ponieważ wyczuły nauczycieli nadchodzących z notesami i sprawdzających, czy wszyscy robią to, co do nich należy.

W końcu – nareszcie – syrena ucichła. Następująca po niej cisza trwała przez dłuższą chwilę i dzwoniła Lily w uszach. Wciąż nie wolno im było się poruszyć – nie, dopóki nauczyciel oznaczony jako lider Obrony Cywilnej nie przyjdzie i nie powie, że to koniec ćwiczeń. Wszyscy jednak zaczęli się ruszać – przewracać na boki i podnosić głowy, by sprawdzić, skąd to opóźnienie.

W końcu przez interkom dobiegł głos, który ogłosił:

– Koniec ćwiczeń! Koniec ćwiczeń! Wstać i pozostać na miejscu do czasu sprawdzenia obecności. Wstać i pozostać na miejscu do czasu sprawdzenia obecności.

Lily podniosła się na nogi. Ręce zdrętwiały jej w miejscach, w których trzymała je nad głową. Shirley otrzepywała spódnice, mamrocząc pod nosem, że syreny były bezsensownie głośne. Nieco dalej na korytarzu Lily zauważyła Kath rozciągającą ręce nad głową. A potem pojawiła się panna Weiland spiesząca w ich stronę z notesem:

– Pan Anthony de Vicenzi – wywołała.

– Obecny!

– Pan De Armand Evans.

– Obecny.

– Panna Lilian Hu.

– Obecna – odezwała się Lily.

– Panna Shirley Lum.

– Jestem! – oznajmiła Shirley.

– Panna Kathleen Miller.

– Obecna.

Lily spojrzała na Kath, zastanawiając się, jakim cudem znalazły się tak daleko od siebie. Przecież siedziały razem w sali przed rozpoczęciem ćwiczeń. A co, gdyby to była prawdziwa bomba, a ona podczas ewakuacji straciłaby Kath z oczu?

Ta myśl napełniła ją przerażeniem. Lily natychmiast zapragnęła podejść do koleżanki.

– Lily, wpadniesz dziś do Pearl? – zapytała Shirley.

– Dziś? – powtórzyła zaskoczona Lily.

– Tak, będę pracować. Przyjdziesz?

Wszyscy powoli wracali do sali panny Weiland. Lily wciąż czuła panikę przeszywającą ją na

myśl o byciu rozdzieloną z Kath. Shirley jednak patrzyła na nią wyczekująco, jakby nadal się przyjaźniły.

Zamotana Lily automatycznie odparła:

– Jasne.

– Świetnie. To do zobaczenia. – Shirley jej pomachała i poszła na swoje miejsce na drugim końcu sali panny Weiland.

– Co to miało być? – zapytała Kath, pojawiając się tuż za nią.

Lily poczuła ulgę na jej widok – i ta ulga ją zawstydziła. Przecież to były tylko ćwiczenia obrony przeciwartomowej. Wszystko było w porządku.

– Shirley mnie zaprosiła – wyjaśniła. – Chyba chce ze mną porozmawiać.

Razem z Kath wróciły na miejsca, tam gdzie zostawiły otwarte zeszyty z niedokończonymi zdaniami.

Wieczór w Eastern Pearl przebiegał niespiesznie, gdy zjawiała się tam Lily. Shirley zrobiła jej miejsce, by dziewczyna mogła przysunąć sobie stołek obok za kasą. Zaproponowała herbatę i *wa mooi*. To wszystko było tak zwyczajne, że Lily odniosła wrażenie, jakby trafiła do alternatywnej rzeczywistości – takiej, w której nigdy nie pokłóciła się z Shirley.

Było miło – przyznała niechętnie sama przed sobą. Brakowało jej tego kojącego, znajomego zapachu makaronu i głosu matki Shirley wydającej rozkazy w kuchni restauracji. Zapewne tęskniła też za Shirley.

– Spójrz na kobietę przy tamtym stoliku w rogu – powiedziała szeptem Shirley, kiedy Lily usadowiła się na stołku. – Pewnie jest uciekającą zakonnice.

Lily spojrzała na wspomnianą kobietę. Była ubrana całkowicie na czarno, na głowie miała kapelusik z woalką. Siedziała samotnie nad talerzem z *chow mein*.

– To nie zakonnica – zaprotestowała Lily – tylko wdowa.

– Jest za młoda na wdowę. Zapewne zakochała się w księdzu i musiała uciec z zakonu, by uniknąć skandalu.

– Gdyby chodziło tylko o zakochanie, nie musiałaby uciekać – zauważyła Lily. – Mogłaby trzymać swoje uczucia w tajemnicy. Skoro uciekła, to znaczy, że wdała się z nim w romans.

Shirley wydała się zachwycona tą myślą.

– Tak jest! Pewnie ten ksiądz jest całkiem przystojny. Taki Clark Gable wśród księży. Nie, byłby za stary dla naszej zakonnicy... Albo może Rock Hudson? Rock Hudson wśród księży. Jak sądzisz, jest przystojny?

– Naturalnie – odparła Lily. – Ale czy nie jest odrobinę zbyt przystojny jak na księdza?

Shirley uniosła brwi.

– To niemożliwe. Dlaczego? Jak sądzisz, jaki jest limit przystojności księży?

– Oj, nie wiem. Ale nie sądzę, żeby była zakonnice.

– No dalej, odpowiedz na pytanie. Kto mógłby być twoim przystojnym, ale nie za przystojnym księdzem?

Lily poczuła się tak, jakby ktoś ją sprawdzał.

– Może... Sama nie wiem, może Jimmy Stewart?

– Za stary – odparła stanowczo Shirley. – Naprawdę uważasz, że jest przystojny?

– Tak sądzę.

Shirley spojrzała na nią podejrzliwie.

– Wcale nie. No to kto?

W jej głosie było coś, co sprawiło, że Lily przybrała obronną postawę.

– Co za różnica? Moim zdaniem to wdowa. Jej mąż... pewnie był brzydki. Może go zabiła i ucieka przed wymiarem sprawiedliwości.

– No dobra – zgodziła się uprzejmie Shirley. – Dlaczego go zabiła? Był zbyt brzydki? Lily zignorowała jej uśmiezek.

– Był dla niej okropny.

– To takie oklepane.

– Wybacz – odparła Lily. – Wyszłam z wprawy.

Shirley wsadziła sobie *wa moo* do ust i milczała, przeżuując. Lily zastanawiała się, czy przyjaciółka wspomni o tym, dlaczego Lily wyszła z wprawy w ich zabawie. Kiedy jednak Shirley wypluła ogonek, oznajmiła tylko:

– Przyjaźnimy się od dawna, Lily. Nie zapominajmy o tym w ostatnim roku szkoły.

Lily nie umiała określić, czy to były przeprosiny, czy sugestia, że to Lily jest winna temu, co między nimi zaszło. Napiła się herbaty, by zyskać na czasie.

– Rozejm? – zaproponowała Shirley.

Czyli nie przeprosiny. Ale skoro proponowała rozejm, przyznawała tym samym, że to nie była wyłącznie wina Lily.

– Rozejm – zgodziła się. W nagrodę otrzymała jeden z najbardziej czarujących uśmiechów przyjaciółki.

– No dobrze. – Shirley uściśliła jej dłoń. – A teraz zróbmy coś ciekawszego. Niech ci będzie, to wdowa, ale musiała zabić męża z jakiegoś interesującego powodu. Może był radzieckim szpiegiem!

Kobieta przy stoliku w kącie podniosła do ust porcję makaronu ryżowego. Miała ponurą minę. Samotna kobieta w restauracji stanowiła niezwykły widok. Musiała przeżywać coś traumatycznego, coś, co rozdzieliło ją ze wszystkimi ukochanymi osobami. Czy zakochała się w kimś, w kim nie powinna? Może w innej kobiecie, jak dziewczyny z tego filmu, *Olivia*. Ktoś, Paula albo Claire, powiedział, że jedna z nauczycielek popełniała na końcu samobójstwo. Kobieta w restauracji wcale nie musiała nikogo zabijać, by stawać się częścią tragicznej historii miłosnej.

– Lily, co o tym sądzisz? Słuchasz mnie w ogóle?

Lily zamrużyła i napiła się herbaty.

– Tak, z pewnością był szpiegiem – odparła, choć ta zabawa nagle wydała jej się czymś niewłaściwym. Poczuli ulgę, kiedy kobieta w czerni zapłacała i wyszła.

Święto Dziękczynienia przyniosło chmury i zimny, siąpiący deszcz. Zazwyczaj Lily lubiła to święto – jedyny dzień w roku, kiedy jej mama gotowała amerykańskie potrawy, co zawsze stanowiło jakąś odmianę – ale tym razem doskwierała jej ponura pogoda. Gdy pomagała mamie obierać orzechy z łupin i siekać cebulę oraz *laap ch'eung*[19] na kleisty ryżowy farsz, jej myśli raz po raz wracały do Telegraph Club.

Razem z Kath postanowiły tam wrócić w piątek wieczorem. Jean wracała na święta do domu, a Kath chciała, żeby Lily ją poznała. Lily nie pamiętała jej zbyt dobrze ze szkoły i była ciekawa, co to za dziewczyna. Kath często opowiadała o niej z zachwytem, jakby była dzielną odkrywczynią nowych światów, ale Lily pamiętała też odrazę Shirley, kiedy opowiadała, co Jean zrobiła w sali muzycznej. Lily wiedziała, że to nie przynosi jej chluby, ale nie mogła się oprzeć myśli, że Jean musiała być jakaś głupia, skoro dała się tak przyłapać.

– Skończyłaś?

Lily niemal upuściła nóż, gdy głos matki rozdarł jej myśli.

– Uważaj – upomniała ją matka. – Muszę zacząć smażyć te *laap ch'eung*. Pospiesz się z ostatnią. Lily stłumiła westchnienie ulgi i skupiła się na wąskich czerwonych kiełbaskach. Kiedy skończyła, zaniósła matce deskę do krojenia. Ta zaczęła już podsmażać cebulkę na żeliwnej patelni. Dorzuciła tam *laap ch'eung* i zamieszała.

– Przynieś mi grzyby – poleciła, wskazując miskę na kuchennym stole.

Z przedpokoju dobiegł dzwonek telefonu. Lily usłyszała kroki jednego z braci biegnącego na dół. Potem Frankie wykrzyknął:

– Tato! To ciocia Judy!

Ciocia Judy nie planowała przyjeżdżać do San Francisco na Święto Dziękczynienia, ponieważ świąteczne wolne trwało zaledwie kilka dni, a bliżej miała do rodziny wujka Francisa w Los Angeles – zawsze jednak dzwoniła na międzystanowej. Najpierw rozmawiała z bratem – ojcem Lily – a potem słuchawka była przekazywana po kolei dzieciom. Lily, czekając na swoją kolej, umyła deskę do krojenia i nóż. Deszcz nadal kropił za kuchennym oknem. Miała nadzieję, że ustanie do piątku. Zastanawiała się, czy do Telegraph Club powinna założyć tę samą spódnicę i bluzkę. Czy ktoś by to zauważył? Marzyła o nowej sukience, tak modnej jak ta Lany Jackson. Czy miałyby dość odwagi, by włożyć na siebie coś takiego? Przyjrzała się swojemu niewyraźnemu odbiciu w kuchennym oknie, krytycznie oceniając sylwetkę. Chyba nie miała

odpowiednich krągłości.

– Znowu myślisz o niebieskich migdałach – zauważyła matka.

– Przepraszam – odparła Lily.

Dziewczyna osuszyła ręce i przyniosła kleisty ryż, który należało zmieszać na patelni z *laap ch'eung* oraz grzybami, a potem przyprawić solą i sosem sojowym. Całość stanowiła farsz do indyka czekającego już za nimi na stole w kuchni. Matka Lily posoliła skórę już wcześniej, a teraz – gdy podeszły z farszem – jej córka pomyślała, że biedny ptak wygląda na nagusieńkiego, z błyszczącą, obnażoną piersią. Kobieta zanurzyła dłoń w patelni i wsunęła pełną garść farszu do wnętrza indyka, przytrzymując ptaka drugą ręką. Było w tym coś niepokojącego. Lily poczuła ulgę, gdy w drzwiach kuchni stanął ojciec i poinformował:

– Ciotka chce z tobą rozmawiać.

Lily usiadła w przedpokoju na ławeczce obok stolika z telefonem i uniosła do ucha ciężką czarną słuchawkę.

– Tak? Tu Lily.

– Cześć, Lily – odezwała się ciocia Judy. Jej głos był nieco zniekształcony, w końcu płynął przez słuchawkę aż z Pasadeny[20]. – Jak tam w szkole?

Lily zdała dokładny raport z tego, czego się uczyła na rozszerzonej matematyce – jedynych zajęciach, o których ciocia miała ochotę słuchać.

– Ach, i chciałam ci powiedzieć – dodała – że przyjaciółka dała mi wydanie „Collier’s” z artykułem Wernhera von Brauna o podróżach na Marsa.

Nigdy wcześniej nie wspomniała o Kath nikomu z rodziny. Czują, że aż rozpiera ją radość.

– Widziałam go – odparła ciocia Judy. – Oglądaliśmy ten numer w Laboratorium. Doktora von Brauna też poznałam, był u nas ostatnio.

– Naprawdę? Co tam robił?

– Nie wiem. A nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym ci powiedzieć – przyznała żartem.

– Doktor von Braun pisał w tym artykule, że nie damy rady polecieć na Marsa przez najbliższe sto lat, gdzieś tak do połowy dwudziestego pierwszego wieku. Myślisz, że ma rację? Nie damy rady polecieć wcześniej?

– Och, polecimy wcześniej – oznajmiła stanowczo ciocia Judy.

– To kiedy? Niedługo?

– Nie polecimy tam w tych dużych statkach, które wieszczy doktor. To oczywiście znakomity naukowiec, ale zaczynanie od tak dużego przedsięwzięcia jest niepraktyczne.

Ciocia brzmiała dziwnie służbowo, gdy opisywała doktora von Brauna jako znakomitego naukowca – jakby odczytywała komunikat prasowy. Lily chciała zapytać, co naprawdę sądzi o tym człowieku, byłym naukowcu nazistów, ale zanim nadarzyła się okazja, Judy ciągnęła:

– Najpierw wyślemy misje bezzałogowe, pewnie jeszcze za twojego życia. Są też inne rzeczy, które możemy zrobić o wiele wcześniej.

– Na przykład wybrać się na Księżyc?

– Tak, ale jeszcze wcześniej musimy wylecieć na orbitę. To nastąpi, jak sądzę, bardzo szybko.

– Kiedy?

Ciocia Judy wybuchnęła śmiechem.

– Cóż, tego nie mogę powiedzieć dokładnie. Ale rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty siódmy będzie Światowym Rokiem Geofizyki. To świetna okazja do badań i eksploracji. Pokojowej oczywiście. Wiesz, że w kilku innych numerach „Collier’s” o tym wspomniano? Podobnie jak o koloniach na Księżycu i stacjach kosmicznych? Spróbuję je znaleźć i ci wysłać.

Ciocia Judy zmieniła temat na kwestię obiadu z okazji Święta Dziękczynienia (do rodziny wujka Francisa miała przynieść *hsin-jen tou-fu*[21]) i egzaminy semestralne, a potem zapytała:

– Kim jest ta przyjaciółka, od której dostałaś „Collier’s”? Nigdy nie miałaś przyjaciół zainteresowanych takimi sprawami, prawda?

Lily tak się rozpromieniła, że aż musiała opuścić głowę, by ukryć uśmiech, choć na korytarzu była przecież sama.

– Chodzi ze mną na rozszerzoną matematykę. Ma na imię Kath. Chce być pilotem. Była już nawet w samolocie.

– Jest nowa w twojej klasie?

– Nie, nie. Chodziła do mojej szkoły od początku, ale do teraz się nie przyjaźniłyśmy. – A potem dodała: – Może to dlatego, że zostałyśmy jedynymi dziewczynami na matematyce. Jesteśmy tylko my i sami chłopcy.

– Cieszę się, że masz wsparcie. Przez większość matematyki w college’u byłam jedyną dziewczyną. Będziesz musiała do tego przywyknąć, jeżeli zamierzasz studiować matematykę albo inżynierię, ale wiem, że przyjdzie ci to bez problemu.

Ciocia zawsze trzymała jej stronę, zawsze wierzyła w umiejętności i marzenia Lily, a teraz wiedziała też o Kath, jej wsparciu – jak zabawnie to brzmiało. Nagle do dziewczyny dotarło, jak niezwykła była jej ciotka. Shirley uważała te marzenia za niedorzeczne. Kath też nie powiedziała rodzicom, czego tak naprawdę pragnie, bo uznaliby ją za niespełna rozumu.

– Tak między nami mówiąc, uważam, że kobiety są lepsze od mężczyzn w matematyce – dodała Judy konspiracyjnym szeptem. – Ale nie mów tego wujkowi Francisowi.

To był taki dorosły żart. Lily rozpieła dumą, że wolno jej było usłyszeć coś takiego.

– Pewnie i tak to wie – odparła odważnie.

Ciocia Judy zachichotała.

– Pewnie masz rację. Och, chętnie porozmawiałabym dłużej, ale to będzie musiało poczekać. Zawołaj Eddiego, dobrze?

Gdy później Lily obierała w kuchni ziemniaki pod czujnym okiem matki, znowu pomyślała o tonie głosu cioci Judy, gdy ta wspominała o doktorze von Braunie. W ostatni Chiński Nowy Rok, kiedy ciocia Judy i wujek Francis wpadli w odwiedzin, do późna rozmawiali z rodzicami Lily o Chinach i komunistach. Lily zdążyła już pójść do łóżka i wszyscy musieli myśleć, że usnęła, ponieważ za nic nie omawialiby takich tematów w salonie, gdyby podejrzewali, że ich słucha. Rodzice prawie nie mówili o polityce; nawet gdy rozmawiali o Chinach, nie wspominali o ich komunistycznych przywódcach.

To wujek Francis pierwszy wspominał o von Braunie. Wydawał się wyjątkowo zde gustowany faktem, że amerykański rząd przyjął byłego nazistę.

– Był naszym wrogiem podczas wojny – poinformował szeptem pełnym napięcia. – Powinien gnić w więzieniu, a nie dostawać pieczę nad wojskowym projektem raketowym. I mimo to jest wolny! A doktor Tsien trafił do aresztu domowego.

Lily nie zrozumiała wszystkiego, co usłyszała tamtej nocy, ale później się dowiedziała, że doktor Hsue-shen Tsien był jednym z założycieli Laboratorium Napędu Odrzutowego. Pracował dla armii amerykańskiej w czasie wojny pomimo bycia obywatelem Chin. Teraz, gdy władzę w Chinach przejęli komuniści, stał się podejrzany o szpiegostwo.

– Wierzę, że rząd amerykański robi, co może – powiedział ojciec Lily.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał wujek Francis. – Doktor Tsien to dobry człowiek. Nie zasłużył na to. To nie *fair*.

– Nie chodzi o to, co jest *fair*, a co nie – dodała ciocia Judy. – Chodzi o strach. Boją się doktora Tsiena, bo komunistyczne Chiny są niepodległe i nadal mogą zaprosić go do siebie z powrotem. Trzeciej Rzeszy już nie ma. O doktora von Brauna już nikt się nie upomni.

Z początku zdawało się nieco niewiarygodne, że ciocia Judy i wujek Francis mają pracę, która

pozwała im się stykać ze słynnym niemieckim naukowcem, ale Lily szybko sobie przypomniała, że jej rodzina miała też inne koneksje z potężnymi ludźmi. Ojciec dziewczyny miał znajomego w Berkeley, który niegdyś, jeszcze przed wojną, pełnił ważną funkcję w rządzie partii Kuomintang, a teraz apelował do Kongresu o nadanie mu amerykańskiego obywatelstwa. Z kolei swoją matkę – a babcię Lily, której ta nigdy nie poznała – ciocia Judy opisywała jako wpływową członkinię szanghajskiej socjety lat dwudziestych, przyjaciółkę takich ludzi jak Soong Ching-ling – żony Suna Jat-sena[22].

Nocna rozmowa o Wernherze von Braunie i Hsue-shen Tsienie należała do tej samej kategorii: uchylania drzwi życia dorosłych, świata, który wydawał się zgoła odmienny od przyziemnej codzienności. Chwile, gdy te światy się łączyły, budziły w niej zdumienie.

Tymczasem kuchnię zaczął wypełniać zapach indyka. Lily wciąż obierała ziemniaki, a jej matka usiadła naprzeciwko z koszem zielonej fasolki i zapytała:

– Jak tam Shirley? Widziałyście się przedwczoraj, prawda?

– Tak. Cała jej rodzina przychodzi na świąteczny obiad. Muszą upiec trzy indyki.

– O, do licha! Cieszę się, że znowu ze sobą rozmawiacie. Byłyście skłócone, czyż nie?

Lily była zaskoczona.

– Skąd wiedziałaś?

Matka szybkimi ruchami odcinała ogonki fasoli. *Ciach-ciach-ciach.*

– Codziennie po szkole wracałaś od razu do domu i nie zachodziłaś do niej.

Lily wzdrygnęła się wewnątrz na myśl o tym, jak oczywiste były jej działania.

– Nic wielkiego się nie stało – oznajmiła lekceważąco. – Takie głupie nieporozumienie.

Matka skinęła głową.

– Dziewczęta się kłóca, zwłaszcza w waszym wieku. To naturalne. Cieszę się, że już wam przeszło. Shirley jest dobrą przyjaciółką.

Ten opis ich przyjaźni zirytował Lily. Zupełnie jakby powinna być wdzięczna za relację z Shirley.

– A co z tatą i jego dokumentami? – zapytała, by zmienić temat. – Oddali mu je?

Matka na moment przestała obcinać fasolkę.

– Jeszcze nie – oznajmiła. W jej głosie wybrzmiało coś kategorycznego, co kazało Lily nie ciągnąć tematu. – Nie miałaś nic więcej wspólnego z Man Ts'ing, prawda?

Lily potrząsnęła głową.

– Nie.

[19] Suche kiełbaski (przyp. aut.).

[20] Pasadena – miasto w Kalifornii (przyp. tłum.).

[21] Galaretka migdałowa; rodzaj deseru (przyp. aut.).

[22] Sun Jat-sen – jeden z wpływowych chińskich polityków lat 20. XX wieku, teoretyk chińskiego socjalizmu (przyp. tłum.).

- 1952 — Francis zaczyna pracę jako inżynier w Laboratorium Napędu Odrzutowego
- Judy dostaje pracę jako obliczeniowiec w Laboratorium Napędu Odrzutowego
- 13 lutego 1953 — **JUDY zabiera Lily do planetarium Morrisona**
- kończy się wojna koreańska
- 1954 — Departament Policji San Francisco rozpoczyna akcję przeciwko „dewiantom seksualnym”, organizując naloty na bary gejowskie i inne znane miejsca zgromadzeń osób homoseksualnych
- Senat USA potępia Josepha McCarthy'ego

JUDY

Dwadzieścia dwa miesiące wcześniej

Judy Fong wysiadła z taksówki i przytrzymała drzwiczki piętnastoletniej bratanicy. Lily wydawała się niepewna, ale często tak wyglądała; ciotka obawiała się, że dziewczyna za dużo myśli. Kobieta zamknęła drzwi pojazdu i razem weszły na chodnik, by poczekać, aż Francis, mąż Judy, zapłaci kierowcy.

Długi podjazd pod Kalifornijską Akademią Nauk był zawałony samochodami, a ich światła tworzyły ruchliwe morze jasności w mroku wczesnego wieczoru. Judy przypominała sobie inny wieczór sprzed lat w ogarniętym wojną Chong-qing. Wyszła wtedy z budynku pełniącego funkcję internatu i spostrzegła bezkresny konwój pojazdów na ciemnych ulicach. Ich światła przypominały lampiony spływające po rzece. Były to chińskie ciężarówki wojskowe wypełnione żołnierzami z karabinami. Zamarła na ganku internatu, póki nie zmarzła na kość, i w milczeniu patrzyła na młodzieńców wyglądających z ciężarówek oczami, w których odbijały się światła samochodów.

Francis pojawił się na chodniku obok nich i wziął kobietę za ramię.

– Gotowe?

Gwałtownie otrząsnęła się ze wspomnienia.

– Tak – odparła. Czasem przeszłość zdawała się przesłaniać teraźniejszość, a kiedy wracała do siebie, świat, w którym żyła, zdawał się czystą fantazją.

Cała trójka odwróciła się w stronę muzeum. Kalifornijska Akademia Nauk miała wysokie kolumny oświetlone białymi reflektorami, przez co przypominała wielką grecką świątynię wyrastającą nad parkiem Golden Gate. Z miejsca, w którym się znajdowali, Judy nie widziała kopuły planetarium Morrisona, ale wiedziała, że wyrasta ona z dachu tuż za fasadą budynku. Wszyscy o nim rozmawiali, odkąd otwarto je zeszłej jesieni. Podobno było to najnowocześniejsze planetarium w kraju, a może nawet i na całym świecie. Tego wieczoru to ono stanowiło cel ich podróży.

– Chodźmy – zaproponował Francis i ruszył przodem w górę schodów.

Wnętrze planetarium było okrągłe, a wysoko nad głową przybyłych znajdowała się jasna kopuła. Siedzenia zostały ustawione w kręgu wokół ogromnego mechanicznego projektora stojącego pośrodku pomieszczenia. Ten, wsparty na dwóch potężnych trójnogach, wyglądał jak skrzyżowanie robota z ogromnym, pozbawionym odnóży owadem. Miał na sobie dziesiątki soczewek przypominających oczy patrzące we wszystkie strony. Każda z nich miała wyświetlać na kopule konkretną gwiazdę albo ich grupę.

Francis wyjaśniał to entuzjastycznie Lily, kiedy szli na swoje miejsca po drugiej stronie planetarium.

– Wszystko to wymyślono tutaj, w Akademii. Zrobili to amerykańscy naukowcy – tłumaczył – więc nie musieli sięgać po materiały niemieckich producentów za żelazną kurtyną. Nauczyli się optyki podczas wojny, prowadząc serwis optyczny tu, w muzeum.

Judy zerknęła, by sprawdzić, czy Lily po prostu nie udaje zainteresowania. Bratanica wydawała się jednak faktycznie zaintrygowana.

– I co serwisowali? – zapytała.

Dotarli na miejsca. Judy wsunęła się do rzędu jako pierwsza, sprawdzając numery na biletach. Zarezerwowali dobre miejscówki – na tyle odległe od środka, by widzieć niemal całą kopułę bez łamania sobie karków.

– Podobno serwisowali tysiące lornetek – powiedział Francis. – Dla marynarki.

– Używałaś lornetki, wujku? – zapytała Lily.

Francis też był w Chinach podczas wojny. Judy niekiedy się zastanawiała, czy zdarzyło im się być w tym samym czasie w tym samym miejscu. Oczywiście rozmawiali o tym nie raz, ale trudno było coś ustalić z całą pewnością. Na jednej z pierwszych randek zapytała go, czy w ogóle by na nią spojrzął, gdyby zobaczył ją w Chinach. Tu, w Stanach, nie było aż tylu chińskich kobiet w jej wieku, ale w Chinach proporcje między kobietami a mężczyznami prezentowały się normalnie. Wówczas spojrzął na nią czule i oznajmił:

– Naturalnie. Dostrzegłbym cię wszędzie.

Zarumieniła się, słysząc te słowa. Wkrótce potem pocałował ją po raz pierwszy.

Francis wyjaśnił Lily, że pamiętał lornetki ze swojego oddziału – był w armii inżynierem – ale nie wie, czy którąś z nich naprawiano w San Francisco.

– Gdyby były, to byłoby coś! – rzucił, jakby przejęty tym pomysłem.

Rozpoczęcie spektaklu zasygnalizowało subtelne crescendo skrzypiec puszczone z nagrania. Zmieniło się oświetlenie. Na krawędziach kopuły pojawiły się czarne cienie dachów domów z San Francisco. Wszyscy się odchyłili, żeby spojrzeć w górę, a projektor wydał się fantastycznym obcym, którego sylwetka odznaczała się na tle ciemniejącego nieba.

Pojawiły się gwiazdy – jedna po drugiej. Judy zadrżała, gdy kolor kopuły przeszedł w czerń, a gwiazd zrobiło się tak dużo, że tworzyły nad głową lśniące, bezkresne niebo. Czuła, że zatapia się w siedzenie i wpada w grawitacyjną studnię ziemi. A potem, gdy gwiazdy się nad nią poruszyły, obrazując swą conocną wędrówkę po niebie, poczuła się tak, jakby wzrokiem wędrowała wraz z nimi. Ścisnęło ją w żołądku, więc na chwilę musiała zamknąć oczy z powodu tego ruchu, ale kusząca wizja była zbyt silna – otworzyła je zatem na powrót i zachwycała się ogarniającymi ją emocjami. Nie było już góry ani dołu. Płynęła zawieszona między niebem a ziemią.

Pojawił się nieduży biały dysk. Miał rozmiar zaledwie gumki od ołówka, ale potem zaczął rosnąć, ujawniając powoli swą prawdziwą twarz.

– Witajcie na Księżycu – odezwał się lektor, a publiczność jęknęła z zachwytu. – Tutaj

korzystamy z grafik oddających stan faktyczny. To zdjęcie, któremu za chwilę przyjrzymy się dokładniej, pochodzi wprost z Obserwatorium Lick. Zobaczycie na nim te fragmenty Księżyca, które dotąd widzieli jedynie wybrani.

Księżyc wciąż rósł. Zawisł nad nimi w postaci ogromnej czarno-białej kuli. Jego pejzaż znaczyły okrągłe kratery. Były też osłepiająco białe plamy oraz intensywnie ciemne cienie.

– Księżyc jest światem pełnym skrajności – ciągnął lektor niskim, głębokim głosem. – W ostrym słonecznym świetle temperatura łatwo może się tu podnieść do dwustu stopni Fahrenheita, czyli blisko stu stopni Celsjusza. Jednocześnie w jego najciemniejszych obszarach panuje temperatura nawet minus dwustu stopni Fahrenheita, czyli blisko minus stu trzydziestu stopni Celsjusza.

Kiedy lektor mówił, Judy spojrzała na Lily. Zawieszony nad nimi Księżyc oświetlał twarz bratanicy i odbijał się czarno-białą kulą w jej oczach. Dziewczyna miała lekko rozchylone usta i patrzyła tak, jakby właśnie objawił jej się nowy świat.

– Istnieje prawdopodobieństwo, że powierzchnię Księżyca pokrywa pył. Nie możemy być tego jednak pewni, dopóki nie wyślemy tam kogoś, kto to sprawdzi. Kiedyś człowiek zdoła polecieć na Księżyc w specjalnej kosmicznej rakiecie. Gdy dotrze na jego powierzchnię, będzie mógł jednym uderzeniem odbić piłeczkę golfową na setki kilometrów, a to z uwagi na słabą grawitację. Będzie mógł, jeśli zechce, wyskoczyć w powietrze na kilka metrów. Będzie się czuł lekki jak powietrze.

Judy wzięła męża za rękę. Splótł palce z jej palcami i siedzieli tak razem pod obrazem Księżyca. Czują się niesamowicie daleko od Ziemi, a jednocześnie niesamowicie blisko ludzi, których kochała: Francis z ciepłą dłonią w jej dłoni, Lily z zachwytem wymalowanym na twarzy.

– Jestem tu – powiedziała sobie cicho Judy. – To jest San Francisco.

Po seansie Judy lekko kręciło się w głowie i chwiała się na nogach. Wzięła Lily pod rękę i wmiszały się w tłum wychodzący z muzeum. Wszyscy wyglądali na rozchwianych po podróży na Księżyc i z powrotem.

– Myślisz, że ten pan miał rację? – zapytała Lily, gdy torowały sobie drogę przez tłum. – Że polecimy na Księżyc w rakiecie kosmicznej?

– Dużo czasu minie, zanim to zrobimy, ale tak – odparła Judy. Lily momentalnie się rozpromieniła.

– Ile?

– Lata – wyjaśniła ciotka. – Co o tym sądzisz, Francisie?

– Sam nie wiem. Może trzydzieści, czterdzieści lat? Na pewno za twojego życia, Lily.

Kiedy już wyszli, udali się przez szeroki podest w stronę schodów wiodących na ulicę, gdzie w sznureczku czekały taksówki. Na pobliskim parkingu budziły się do życia silniki samochodów, a światła aut oświetlały ludzi zmierzających przez rześkie nocne powietrze.

– Naprawdę da się tak wysoko skakać na Księżycu? – zapytała Lily.

– Wiesz, tam jest znacznie mniejsza grawitacja – stwierdziła Judy. – Z pewnością mogłabym obliczyć, jak wysoki byłby taki skok. – Zamyśliła się i roześmiała. – Zabawnie byłoby to zobaczyć!

– Moglibyśmy skakać jak wielkie króliki – dorzucił Francis. Wszedł na chodnik i począł niezdarnie podskakiwać, machając rękami niczym przerośnięta mewa.

Judy chichotała. Francis był czasem taki dziecinny... Uznawała, że to jego amerykańskość przez niego wówczas przemawia.

– To wcale nie będzie tak wyglądać! – zaprotestowała. – Z większą gracją.

– Czyli jak? – zapytał wyzywająco. – Pokaż!

Judy zauważyła, że grupka gapiów podejrzliwie im się przygląda.

– Och, Francisie... Nie mogę tak...

– A niby dlaczego? – zapytał. – No dalej, miejsca jest w bród!

Judy potrząsnęła głową, wyjęła rękę z uścisku Lily i podała bratanicy torebkę.

– Potrzyмай – przykazała. A potem, nim do niej dotarło, jakie to głupie, podniosła ręce jak balerina i z gracją podskoczyła na chodniku. – Bardzo niska grawitacja! – rzuciła przez ramię. – Lekka jak piórko!

Spostrzegła, że Lily śmieje się do rozpuku. Zobaczyła twarz Francisa, jednocześnie zaskoczoną i zachwyconą. Podskoczył za nią, a kiedy do niej dotarł, złapał ją w ramiona. Zachichotała, udając, że go odpycha, lecz chwilę później się poddała i pozwoliła mu na czuły uścisk.

Francis wykazał się odwagą i delikatnie cmoknął ją w usta.

– Moja księżycowa pani! – wyszeptał.

W Chinach byłaby zawstydzona, że mąż publicznie ją całuje. Ale to były Stany i wszystko wyglądało tu inaczej.

CZEŚĆ IV

Chinatown, My Chinatown

Grudzień 1954

Jean Warnock wynurzyła się z ciemności za plecami Kath. Paliła papierosa. Miała na sobie marynarkę i luźne spodnie o męskim kroju, włosy krótko przystrzyżone, a na ustach uśmiezek. Zlustrowała Lily od stóp do głów, najpierw raz, potem drugi, aż w końcu podała jej rękę i zapytała:

– Lily? Chyba cię nie pamiętam.

Lily poczuła się lekko urażona, ale potrząsnęła dłonią Jean. Jej uścisk był wątki, jakby nie dorastał do stroju, który miała na sobie. Lily odwzajemniła go mocniej, niż należało, jakby chciała coś w ten sposób udowodnić. Puszczając jej dłoń, oznajmiła:

– Ty musisz być Jean.

Powstrzymała się, by nie dodać: „Ja ciebie też nie pamiętam”.

– Tak jest. – Jean puściła oczko. – Chodźmy. Kath opowiadała, że ostatnio spotkałyście tam parę dziewczyn.

– To nie było tak – sprzeciwiła się Kath.

Lily trzymała się lekko z tyłu, ponieważ chodnik nie był wystarczająco szeroki dla całej ich trójki. Dziewczyna z zaskoczeniem zauważyła, że Kath ma na sobie podobne spodnie co Jean. Zastanawiała się, czy powinna była pójść ich śladem, ale jedyne tego typu ubranie w jej posiadaniu kończyło się w połowie łydki, jak na wyjście na plażę, a nie do klubu.

Kiedy Kath i Jean szły przed nią prawie jak tarcza, Lily łatwiej było się rozglądać i obserwować innych ludzi wychodzących o tej porze na miasto. W większości były to pary, ale zdarzali się też młodzi mężczyźni – samotni lub w grupkach – zmierzający w stronę światła Broadwayu oraz International Settlement. Od czasu do czasu jeden z nich mierzył wzrokiem Kath lub Jean, a raz Lily nawet zauważyła, jak jakiś mężczyzna dwuznacznie się do nich uśmiecha. Jej jednak nie zauważano. Cieszyła się, że może iść w cieniu koleżanek.

Przed budynkiem Telegraph Club jakaś para dyskutowała z panią bramkarz. Ta powiedziała coś, co dla Lily było nie do końca zrozumiałe. W efekcie rozmowy mężczyzna wyjął portfel i podał jej kilka banknotów. Kobieta wzięła pieniądze i wsunęła je do kieszeni kurtki, a potem energicznie przytrzymała parze drzwi. Z głębi klubu dobiegały odgłosy rozmów i śmiech, wylewając się na ulicę krótką, acz narastającą falą, nim zagłuszyło je trzaśnięcie drzwi. Teraz to Kath i Jean podeszły do pani bramkarz. Lily zastanawiała się, czy też będą musiały zapłacić. Sięgnęła już do torebki po pieniądze, które zamierzała oddać Kath za piwa, ale wtedy odezwała

się Jean:

– Kopę lat! Co tam, Mickey?

Ta udała, że musi jej się przyjrzeć.

– Jean Warnock! Wróciłaś na Święto Dziękczynienia?

– Tak jest. Jak przedstawienie?

– Jak każde inne – odparła Mickey. – To twoja kumpela? Hej, pamiętam cię!

– Jestem Kath, a to moja przyjaciółka Lily.

Lily niepewnie zrobiła krok naprzód. Czuła się nie na miejscu w towarzystwie trzech dziewczyn w marynarkach i spodniach jak od garnituru.

– Hej.

Mickey się do niej uśmiechnęła.

– Witamy z powrotem, laleczko.

Otworzyła drzwi i gestem zaprosiła je do środka. Lekko ukloniła się przed Lily, jakby ta była cesarzową.

– Dziękuję – odparła nieśmiało.

Za Jean i Kath przeszła przez czarne drzwi i ruszyła w stronę wąskiego, słabo oświetlonego baru. Znów uderzył ją zapach klubu: papierosy, piwo, perfumy i pot. W pomieszczeniu ze sceną stoły były niemal zapełnione, ale ponieważ przyszły nieco wcześniej niż poprzednio, Jean znalazła stolik w kącie, częściowo zasłonięty czarnym filarem. Były przy nim zaledwie dwa krzesła, ale Jean nalegała, by zajęły je Kath i Lily. Ona z kolei zamierzała iść do baru pierwsza i wrócić z czymś do picia. Lily nie miała pewności, czy powinna zaproponować, że zapłaci. Źle się czuła z tym, że Jean i Kath wszystko jej stawiały, ale byłoby jej niezręcznie się sprzeciwiać, zupełnie jakby była typową Chinką kłócącą się o rachunek w restauracji. W klubie było głośno i musiałyby przekrzykiwać muzykę. Zresztą i tak było już za późno na propozycję, ponieważ Jean zdążyła pójść do baru.

Kath ledwie usiadła, a już zerwała się na równe nogi i przebiegła przez całe pomieszczenie po trzecie krzesło. Dotarła do stolika, raz jeszcze usiadła, po czym oznajmiła:

– Mam nadzieję, że Jean wróci przed rozpoczęciem występu.

Lily miała na kolanach portmonetkę, otworzyła ją więc i wyciągnęła kilka dolarów.

– Proszę, to pieniądze. – Podała banknoty zdziwionej Kath. – Za piwo. Byłam ci winna za ostatni raz.

Kath odsunęła je od siebie.

– Wcale nie. To było na mój koszt.

Lily podejrzewała, że dostaje większe kieszonkowe niż Kath, ale w głosie koleżanki kryła się duma sugerująca, że ta chciała zapłacić. To zaskoczyło, ale i schlebiło Lily. Kiedy rozbłysnął reflektor i pianistka zaczęła akompaniować, Lily pozwoliła, by jej dłoń opadła na kolana, wciąż z zaciśniętymi w niej pieniędzmi.

Tym razem wiedziała, czego się spodziewać, ale ta wiedza nie popsuła jej oczekiwań. Wręcz przeciwnie, zdawała się je zwiększać: dziewczyna czuła narastający dreszcz, słysząc pierwsze wersy *Bewitched, Bothered and Bewildered*. Kiedy rozległy się szepty na tyłach sali, odwróciła się na krzesło, lustrując mglistą sylwetkę Tommy Andrews w ciemnym garniturze. W końcu wokalistka się pojawiła, a jej twarz na krótki moment znalazła się w świetle, co sprawiło, że Lily zabrakło tchu. A potem stanęła na scenie, tyłem do publiczności, i Lily poczuła, jak po całej jej skórze rozlewa się coś słodkiego i ciepłego, jakby wypływającego z jej własnych porów.

Ledwie zauważyła moment, gdy Jean wróciła z napojami. W przeciwieństwie do pierwszej wizyty w klubie, kiedy to cały czas drżała z niepokoju, że ktoś ją zauważy, dziś pozwoliła sobie na długie i intensywne spojrzenia, póki Tommy nie stała się jedynym widocznym punktem. Jej

ręce, gdy poprawiała czarną muszkę, a złoty sygnet połyskiwał w świetle. Jej usta, zaskakująco różowe i piękne, gdy śpiewała do mikrofonu z tym swoim uśmieszkiem. Jej oczy, przymknięte leniwie albo mrugające do jednej z dziewczyn w przednim rzędzie. Im dłużej Lily patrzyła, tym więcej kobiecych detali wyławiała – detali, które umknęły jej ostatnim razem. Twarz Tommy była gładka i delikatnie zaokrąglona, jej ręce drobne i szczupłe. A pod wykrochmaloną białą koszulą i dopasowaną marynarką od smokingu Lily spostrzegła lekką wypukłość piersi. Płonęły jej od tego policzki. Na chwilę musiała wbić wzrok w stolik, a tam zauważyła szklanę z piwem, którą przyniosła dla niej Jean. Sięgnęła po napój, z zaskoczeniem odkrywając, że nadal ściska w dłoni pieniądze, tyle że już pomięte i mokre od potu. Wygładziła zwilgotniałe banknoty pod stołem, wsadziła je do portmonetki, po czym chwyciła za piwo. Pociągnęła drżący łyk zimnej, lekko gorzkawej cieczy, a potem jeszcze jeden, aż w końcu podniosła wzrok na scenę i znowu mogła patrzeć.

Lily pochyliła się w stronę lustra w damskiej toalecie i uniosła szminkę do ust. Za jej plecami otworzyły się drzwi jednej z dwóch kabin, z której wyszła kobieta w obcisłej fioletowej sukni z wyciętym dekoltem. Ostrożnie ustawiła torebkę na skraju umywalki, po czym odkręciła kurki i zaczęła myć ręce. W lustrze złapała spojrzenie Lily i się do niej uśmiechnęła.

– Pasuje ci ten kolor – oznajmiła.

– Dziękuję – odparła nieśmiało Lily.

– Skąd ją masz?

– Z Owl Drugs na Powell Street.

Kobieta osuszyła ręce obrotowym ręcznikiem.

– Jak się nazywa ten kolor?

Lily zamknęła szminkę i zerknęła na spód.

– Czerwony goździk.

– Będę musiała poszukać. – Kobieta wzięła torebkę, wyjęła swoją szminkę, a Lily w tym czasie zawiesiła swoją torebkę na ramieniu. – Do zobaczenia na dole – dodała.

– Do zobaczenia – odparła Lily, wychodząc. Czuła się dziwnie pobudzona tym krótkim spotkaniem, jakby stała się częścią towarzystwa, z którego istnienia nie zdawała sobie dotąd sprawy. Mijając kolejkę kobiet czekających na korytarzu, nie przejmowała się, że któraś dziwnie na nią spojrzy.

Na dole, przy sali, Jean i Kath rozmawiały z dwójką kobiet w przerwie między występami Tommy. Przysunęły dwa dodatkowe krzesła i ustawiły je w szerokim kręgu wokół stolika. Miejsce Lily nadal było puste. Kiedy Kath ją zobaczyła, pomachała do niej ze słowami:

– Jean wpadła na znajome z uniwerku.

Jean przedstawiła swoje towarzyszkę. Sally okazała się dziewczyną w zielono-białej koszulowej sukni, a Rhonda miała na sobie lawendowy sweter i szarą zwężaną spódnicę. Obie były brunetkami o niemal identycznych fryzurach. Sally nie miała właściwie żadnego makijażu, a Rhonda pomalowała usta na ciemną, kuszącą czerwień. Miała też tak długie rzęsy, że Lily uznała, iż muszą być sztuczne. Jean wydawała się poświęcać Rhondzie sporo uwagi, komplementowała ją i oferowała, że kupi jej jeszcze coś do picia, chociaż ta nie dokończyła jeszcze ginu z tonikiem. Tymczasem Sally wróciła do rozmowy z Kath. Chyba dyskutowały o czymś, co widziały minionego wieczoru w programie Eda Sullivana – o jakimś skeczu z dwiema dziewczynkami i tańczącą małpką. Lily nie widziała tego programu, więc nie miała nic do powiedzenia, a jej wcześniejsza ekscytacja zaczęła przygasać. Kath wyglądała z kolei na zrelaksowaną i z łatwością nawiązującą kontakt z Sally. Była lekko pochylona i często się

uśmiechała, sącząc piwo. Kiedy Jean zaproponowała papierosa z kolejnej paczki, Kath go wzięła, ale trzymała sztywno w palcach i właściwie nie paliła. Źle obliczyła tor lotu popiołu i próbując go strzepnąć do popielniczki, obsypała szarym pyłem porysowany blat stołu. Popiół rozsypał się niczym okruszki.

Po drugiej stronie sali zapanowało jakieś poruszenie, w wyniku którego wszyscy na chwilę zwrócili swoje spojrzenia w stronę wstającej pary – chwiejącej się żony i męża, który musiał obejmować ją w talii, by była stabilna – a po jej wyjściu Rhonda odwróciła się na powrót do stołu. Jej spojrzenie padło na Lily.

– Dziewczyna z Chinatown chodzi ze mną na zajęcia z psychologii. Helen Mok. Znasz ją może? – zapytała.

– Nie. Raczej nie.

Rhonda uniosła papierosa do ust, a filtr zaczerwienił się od jej szminki. Wypuściła powietrze, dodając:

– Raz czy dwa widziałam tu nawet Helen.

Lily poczuła ucisk podniecenia na myśl, że inna dziewczyna z Chinatown mogłaby być w Telegraph Club.

– Serio?

Rhonda skinęła głową.

– Nie wiem, czy jeszcze tu chodzi. Dawno jej nie widziałam.

– Ludzie przychodzą i odchodzą, to normalne – zauważyła Sally.

– Zupełnie jak te bary – dodała Rhonda. – To miejsce istnieje już od dłuższego czasu. Ciekawe, ile właściciel płaci glinom.

Oczy Lily się rozszerzyły, ale nikt poza nią nie wyglądał na zaskoczonego słowami Rhondy, nawet Kath.

– Słyszałam, że w Five Twenty-Nine Club ma być organizowany nowy show w sobotnie wieczory z jakąś inną kobietą w męskim przebraniu – powiedziała Sally. – Byłyście tam kiedyś?

– Słyszałam, że to miejsce dla kurew i lesb i że można tam dostać amfę spod stołu – zauważyła z uśmiechem Jean.

Te słowa wstrząsnęły Lily, ale Jean wymówiła je tak zwyczajnie, jakby wymawiała słowa „chłopak”, „dziewczyna” czy „aspiryna”. Powstrzymała pragnienie spojrzenia przez ramię.

Rhonda wzruszyła tylko lekko ramionami.

– Czasem dobrze jest się trochę wieczorem rozerwać, ale niech pilnują interesu, jeżeli nie chcą, żeby im tam wpadły gliny.

Zaśmiały się, a Lily zmusiła się do pójsicia w ich ślady, chociaż nie do końca wiedziała, co w tym zabawnego. Zerknęła na Kath, która wyglądała na szczerze rozbawioną wypowiedzianymi słowami. Lily zawstydziła się swojej pruderyjnej reakcji. Ostatnim, czego chciała, było zachowywać się jak własna matka. Zadrzała wewnątrz. Chcąc się zrelaksować, napiła się jeszcze piwa.

– Co myślicie o Tommy Andrews? – zapytała Sally. – Moim zdaniem jest naprawdę niezła.

– Przynajmniej na scenie – odparła oschle Rhonda.

– A co to ma znaczyć? – zapytała Jean. – Znasz ją?

– Niezbyt. Ale słyszałam o niej. W zeszłym roku była z moją przyjaciółką, zanim pojawiła się ta *femme*, z którą jest teraz, ta... Zapomniałam, jak się nazywa.

– Lana Jackson – wtrąciła Lily i wszystkie spojrzały na nią z zaskoczeniem. Zestresowało ją ich zainteresowanie, ale mimo to starała się udawać, że to wszystko: klub, rozmowa, te dziwne kobiety i ich dziwny slang, jest całkiem normalne. – Spotkałam ją poprzednim razem w kolejce do toalety.

– Och, a co ty sądzisz o Tommy? – zapytała Rhonda, strzepując popiół z papierosa do popielniczki.

– Moim zdaniem jest... utalentowana.

Jean prychnęła, a Lily poczerwieniała.

– Zostaw ją – odparła Sally. – To jeszcze dziecko. – Spojrzała współczująco na Lily. – Nie przejmuj się, Jean sama dopiero co wyrosła z pieluch... Też byłyśmy w miejscu, w którym ty jesteś teraz.

Zmarszczyła brwi, spoglądając na Jean. Ta uniosła ręce w geście kapitulacji.

– Tak, tak, przepraszam, nie chciałam. – Jean uśmiechnęła się do Lily nieco bardziej przyjaźnie.

– Też lubię Tommy. Chętnie bym się dowiedziała, skąd bierze garnitury.

– Ewidentnie są szyte na wymiar. Nosiłabyś coś takiego? – zapytała Rhonda, przekrzywiając głowę.

Jean zaczęła się śmiać.

– Nie stać mnie na to. – Zerknęła nad stołem na Kath. – Pewnie tobie by się spodobały.

Kath wyglądała na zaskoczoną.

– Garnitury? – Potrząsnęła głową. – A gdzie ja bym je nosiła?

– Na pewno byś coś wymyśliła. – Rhonda spojrzała na nią krytycznie. – Jestem pewna.

Kath chyba było niezręcznie.

– Nie, to nie w moim stylu.

– Jeszcze nie. – Rhonda była rozbawiona. – Wyczuwam je na odległość, te małe *butches*. – Jej głos ociekał kpiącą słodyczą.

Kath trzymała w dłoni kolejnego na wpół wypalonego papierosa. Teraz uniosła go do ust i odetchnęła, wypuszczając raczej kółeczko niż linię dymu. Potrząsnęła głową, ale w jej oczach rysował się cień uśmiechu. Lily zrozumiała: koleżanka próbuje ukryć fakt, że sprawia jej to przyjemność. Wyglądało na to, że Rhonda skomplementowała Kath. Jakby prąd przebiegł w jej brzuchu, gdy rozpoznała te słowa: *butch* – niczym błękitna wstążeczka nagrody na lokalnym festynie, mała – jak obietnica.

Kath spojrzała przelotnie na Lily, a potem strzepnęła popiół do popielniczki. Tym razem trafiła.

– Lily, co robisz dzisiaj? Bo ja nie muszę iść do pracy!

Głos Shirley wibrował w słuchawce czymś, w czym Lily rozpoznała nadmiar energii jak na ledwie ósmą rano. Z salonu niosła się dramatyczna muzyka, ponieważ bracia oglądali odcinek kosmicznych przygód Toma Corbetta. Nuty w crescendo przechodziły w odgłos odpalanych rakiet. Lily zasłoniła oczy dłonią i odparła:

– Mam zadania z trygonometrii do zrobienia. A czemu pytasz?

– Zrobisz je jutro. Chodźmy gdzieś.

– Gdzie? – Lily rozciągnęła kabel, jak tylko się dało, żeby wyrzeć przez okno w pokoju braci. Ci mieli jednak zaciągnięte zasłony. – Będzie padać?

– Nie, pogoda jest idealna. Pewnie będzie słońce. No chodź, muszę się wyrwać z Chinatown. W głosie Shirley dało się słyszeć zniecierpliwienie, które zaskoczyło Lily.

– Muszę zapytać rodziców. Kiedy chcesz...?

– Spotkajmy się na rogu za godzinę.

– Ale dokąd chcesz iść? Muszę im powiedzieć...

– Powiedz, że idziemy do Aquatic Park. Do zobaczenia! – Z tymi słowy odłożyła słuchawkę.

– Wcale nie chcę iść do Aquatic Park – przyznała Shirley, kiedy szły Grant Avenue. – To za blisko szkoły. Bywamy tam codziennie.

– To dokąd chcesz iść? – zapytała Lily. – Na Embarcadero[23]?

Niebo zasnuły chmury, a w szarawym świetle zatracaly się czerwienie i złota Chinatown, naznaczone teraz nutą popiołu. Sklepiarze otwierali swoje przybytki, odblokowywali drzwi i wystawiali głowy, patrząc w niebo i zastanawiając się, czy i ono otworzy się dla nich.

– Chodźmy na termy Sutro! Możemy popatrzeć na focze skały! – Shirley wspomniała o słynnym Seal Rocks na Pacyfiku. – A teraz jest tam jeszcze muzeum, prawda? I to podobno za darmo!

– Sutro? Ale to strasznie daleko.

– Mam cały dzień – podekscytowała się Shirley. – A co, musisz jakoś szybko wracać?

– Nie.

Wiatr smagnął Lily po łydkach jej własną spódnicą. Spodziewała się, że nad oceanem będzie zimno, ale gorączkowa ekscytacja Shirley podpowiedziała jej, że przyjaciółka już podjęła decyzję

i nie ma sensu z nią dyskutować.

Pojechały tramwajem do końca trasy przez Western Addition, Fillmore i szerokimi drogami Divisadero. W dzielnicy Richmond ulice zaczynały swój zwyczajowy bieg ku Pacyfikowi, a każda przecznica ukazywała niemal identyczne domy – albo pomalowane na pastelowe kolory, albo pokryte kremowymi stiukami. Im dalej na zachód, tym więcej przestrzeni zajmował każdy z nich. Z początku przytulały się do siebie ścianami, ale stopniowo poczęły je rozdzielać coraz większe połacie ziemi – każdy domek miał swój trawnik i podjazd. Aura znad oceanu nie uniosła się tu jeszcze, a mgła wisiała nad ulicami niczym duch, jakby popychał ją wiatr.

Shirley wzięła ze sobą płócienną torbę i otworzyła ją, by pokazać Lily jej zawartość: lunchowe pudełko z Eastern Pearl z *chue yuk paau*[24] i *faat ko*[25], kilka jabłek oraz papierową torebkę ciasteczek z wróżbą. Shirley wyjęła jedno z nich i otworzyła. Na pasku białego papieru widniały słowa: „Czeka cię powodzenie i szczęście”. Shirley się skrzywiła i połamawszy ciastko na kawałki, podsunęła je też Lily.

Lily wzięła kawałek i wsadziła go do ust, przegryzając lekko słodkie ciastko. Kiedy mijaly Twentieth Avenue, oznajmiła:

– Mama chce się stąd wyprowadzić.

W szybie odbijał się zielono-różowy wzorzysty szal, który Shirley zawiązała sobie na głowie.

– Myślisz, że się przeprowadzicie?

– Nie wiem. Nie sądzę, żeby tata chciał mieszkać zbyt daleko od szpitala.

Shirley nie odpowiedziała. Wyglądała na zamyśloną. Jej wcześniejsza ekscytacja gdzieś się ulotniła, a Lily nie była pewna, o czym myśli przyjaciółka. Nie rozmawiały – tak naprawdę – od dawna. Obawiała się, że nie wie już, jak rozmawiać z Shirley.

Mijały kolejne aleje. Thirtieth Avenue, Thirty-Fifth Avenue... Wkrótce będą musiały wysiąść i pokonać resztę trasy pieszo.

– Moi rodzice chyba nigdy nie wyprowadzą się z Chinatown – powiedziała w końcu Shirley. – Nie mogą.

W jej głosie dało się słyszeć napięcie, jakby czegoś nie dopowiadała.

– Jasne, że mogą. Może po prostu nie chcą.

– I co zrobią? Otworzą restaurację gdzieś tutaj? – prychnęła Shirley.

– Nadal mogą prowadzić Pearl, a jednocześnie mieszkać tutaj.

– Nie. To za drogo. Nie stać ich. – Shirley spojrzała na Lily. – Ale twoi rodzice mogliby się przeprowadzić. Dlaczego tego nie robią?

Lily zaskoczył niemal oskarżycielski ton przyjaciółki.

– Nie wiem.

– Mogliby się wyrwać z Chinatown. Nie mam pojęcia, czemu jeszcze tego nie zrobili.

Shirley się odwróciła i wyjrzała przez okno, ale jej mina jasno wskazywała, że widoki wcale jej nie cieszą.

Point Lobos Avenue opadała dramatycznym zakrętem wprost z Forty Eighth Avenue w stronę Cliff House ulokowanego na skraju łądu, a potem skręcała na południe, w stronę rozległego Ocean Beach. Pacyfik nadal skrywał się za mgłą, ale była sobota, więc gdy Lily i Shirley szły pod wiatr w stronę term Sutro, samochody zastawiły już aleję. Budynek wyrastał tuż przed Cliff House, a na przekrzywionej wywieszce widniało słowo „SUTRO’S”. Poniżej dwa okna rozciągały się pomiędzy szeregiem szklanych drzwi. Na jednym z nich wisiało hasło: „JEŻELI NIE WIDZIAŁEŚ SUTRO... TO NIE WIDZIAŁEŚ SAN FRANCISCO”.

– Jest za duża mgła, żebyśmy mogły zobaczyć skały – powiedziała Lily. Minęły wejście do term,

by popatrzeć na sięgającą do pasa ścianę oceanu. Fale rytmicznie rozbijały się o poszarpane skały wzdłuż wybrzeża.

– Mgła się zaraz podniesie – odparła Shirley, ale w jej głosie brakowało pewności.

Gdzieś pod nimi widać było przez mgłę – jak na starej fotografii – przeszklone pawilony starego Sutro. Podmuch wiatru niemal porwał szal Shirley. Odłożyła torebkę, by mocniej go zawiązać.

Przed nimi Cliff House lśnił wśród mgły. Lily zobaczyła czteroosobową rodzinę wysiadającą z buicka i zmierzającą w stronę restauracji. Matka przytrzymała szal na włosach zupełnie tak jak Shirley. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, wiatr poderwał spódnicę Lily, szarpiąc nią dookoła nóg i wywołując na jej ciele dreszcz.

– Chodźmy do środka – powiedziała, gdy wiatr wcisnął jej włosy do oczu. – Tu jest okropnie.

– A mnie się podoba – odparła Shirley, lecz skapitulowała na widok miny Lily.

Wewnątrz Sutro wspięły się po głównych schodach na galerię nad lodowiskiem. Wszędzie wokół znajdowały się drogowaskazy zachęcające do odwiedzenia licznych atrakcji: „lalek świata”, „wiktoriańskiej sztuki” albo „zobacz Ito”. Na galerii grupka dzieci bawiła się przy automacie, podzwaniając nim raz po raz, a inne biegały w kółko, wreszcie wolne od rodziców, i szukały innych automatów na monety. Kilka stolików pokryto markizami w radosne paski, zupełnie jakby stały na zewnątrz, choć z przeszklonego dachu atrium docierało tylko słabe, szarawe światło. Na dole, na lodowisku, zapalono światła, jakby panowała noc.

– Chodźmy po gorącą czekoladę – zaproponowała Lily. – Przemarzłam na kość.

Kupiła z wózka dwie czekolady w papierowych kubkach, a potem znalazły z Shirley ławkę z widokiem na łyżwiarzy.

W całym budynku rozbrzmiewała radosna muzyka, a Lily obserwowała, jak łyżwiarze poniżej próbują utrzymać jej rytm. Tylko kilka osób było naprawdę dobrych: dziewczyna w zwiewnej spódnicy wirującej przy każdym piruecie; chłopak, który podskakiwał i lądował z wyciągniętymi dla równowagi rękami. Lily zaskakiwało, że nikt nie wpadał na siebie. Sama nigdy nie jeździła na łyżwach i była przekonana, że poszłoby jej okropnie.

– Nigdy nie chciałaś być taka jak oni? – zapytała Shirley, obracając w dłoniach wypełniony gorącym napojem kubek.

– Jak kto? łyżwiarze?

Shirley skinęła głową.

– Tak po prostu wychodzą na lód i... O rany! Przewrócił się. O, wstaje. Jest naprawdę fatalny. Wydaje mi się, że jest tu tylko po to, aby spędzić czas ze swoją dziewczyną.

Patrzyły przez dłuższą chwilę w milczeniu. Czekolada była kiepsko zmiksowana, dało się wyczuć w niej proszek. Lily próbowała wymieszać ją w kubku, ale niewiele to dało.

– Zastanawiam się, czy chciałaś kiedyś nie być Chinką. – Shirley mówiła szeptem, jakby bała się własnych słów. – Nie musiałabyś mieszkać w Chinatown i mogłabyś robić wszystko, co tylko byś chciała. Mogłabyś iść na łyżwy, kiedy tylko by ci się podobało.

Lily spojrzała na przyjaciółkę. Ta przyglądała się łyżwiarzom ze złołą miną.

– Możemy iść na łyżwy, jeśli chcesz – zaproponowała.

Shirley pociągnęła łyk czekolady.

– Nie. Nie chcę. Nie o to mi chodzi. Poza tym... łyżwy są głupie. Po co ktokolwiek na nie chodzi?

– Dla zabawy?

– No tak. Dla zabawy. – W jej głosie wybrzmiała niepodobna do niej gorycz.

– Coś cię trapi? – zapytała Lily. – Co się stało?

Shirley wzruszyła ramionami, jakby próbowała zrzucić z siebie zły humor.

– Nie, nic takiego. Po prostu jestem już zmęczona... tą ciasnotą Chinatown, wiesz? Wszyscy się

znają, zawsze wtykają nosy w nieswoje sprawy. Nie da się nic zrobić tak o, dla zabawy. Lily nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Dopięła czekoladę. Teraz napój był zbyt słodki, a cukier pokrył jej język niczym piasek. Shirley miała rację. Lily też czuła te ograniczenia. A jednocześnie coś kazało jej bronić Chinatown. Nie chciała, żeby ktokolwiek krytykował to miejsce, nawet Shirley. Kiedy były dziećmi, Chinatown wydawało się Lily niesamowicie swobodne: jak okolica pełna znajomych lub wypełniona sklepikarzami, którzy dawali jej kostki cukru i kandyzowane owoce. Jasne, że wszyscy się znali. Chinatown przypominało gęsto zaludnioną wioskę, a jej ojciec był w niej szanowanym doktorem. Było bezpiecznie. Za granicami Chinatown rozciągał się inny świat i wszyscy znali te granice. Trzeba się trzymać świata między Californią a Broadwayem, nie chodzić na zachód dalej niż na Stockton, a na wschód – nie przekraczać Portsmouth Square. Dopiero pod koniec podstawówki musiała chodzić do szkoły przez North Beach i opuszczanie Chinatown przestało być problemem. Lecz i wtedy słyszała historie o włoskich chłopakach bijących chińskie dzieci, które przez pomyłkę zawędrowały poza Columbus Avenue.

– Chciałabym pojechać do Nowego Jorku – powiedziała nagle Shirley. – Albo do Paryża. Może do Londynu... albo Honolulu! Tam mieszka mój kuzyn. Gdziekolwiek, byle nie tkwić tutaj. A ty nie chcesz się gdzieś wyrwać?

Spojrzała na Lily wyzywająco, a tej przyszło do głowy, że może Shirley skądś wie o Telegraph Club.

– Sama nie wiem. – Schyliła się, by odstawić na podłogę pusty kubek. Dzięki temu nie musiała patrzeć na Shirley.

– Przecież wiesz. Chcesz się wyrwać w kosmos. – Shirley krótko się zaśmiała, nie mogąc powstrzymać protekcyjnej nuty w głosie.

Lily się zjeżyła.

– Słuchaj, czemu chciałaś, żebym tu z tobą przyjechała? Chcesz się ze mnie ponaśmiewać?

– Ponaśmiewać się! – mruknęła Shirley i dokończyła czekoladę, z wyraźnym grymasem przełykając ziarnistą końcówkę. – Chciałam gdzieś po prostu pobyc przez kilka godzin, to wszystko. Słuchaj, przepraszam. Byłam fatalną przyjaciółką, wiem. Przepraszam. Wybaczysz mi?

Ta nagła zmiana zaskoczyła Lily. Nie była pewna, czy powinna w nią wierzyć.

– Chodź, przejdziemy się. Przecież mają tu całe muzeum, prawda? No chodź. – Shirley wstała i złapała Lily za rękę. – No dalej. Bądź dziś moją przyjaciółką, dobrze? Bardzo jej potrzebuję.

Ton miała żartobliwy, ale skrywał coś naglącego, może nawet nieco desperackiego. Lily spostrzegła, że oczy Shirley lśnią, jakby ta z trudem powstrzymywała łzy. Nagle puściła jej ramię, podniosła pusty kubek i poszła go wyrzucić do pobliskiego kosza. Kiedy wróciła, miała skruszoną minę. Lily musiała się poddać, ponieważ znała Shirley całe życie, a w dodatku to był pierwszy raz, kiedy ta poprosiła ją o wybaczenie.

[23] Dzielnica San Francisco (przyp. tłum.).

[24] Bułeczka z mięsem wieprzowym (przyp. aut.).

[25] Ciastko na parze (przyp. aut.).

Muzeum w Sutro było pełne tego, co ludzie zwykli nazywać śmieciami: szeregu bryczek ze Starego Zachodu; kolekcji egipskich mumii w rzeźbionych sarkofagach; dioram z miastami widmo, które za kilka monet budziły się do mechanicznego życia. W jednej z sal stał naturalnej wielkości manekin przedstawiający japońską kobietę, panią Ito. Wyglądała jak gorsza kopia człowieka – była przykucnięta, z na w pół obnażoną ręką wskazującą na bok, z łysiejącą głową podobną na swój sposób do głów człekokształtnych.

Lily i Shirley podeszły do niej niepewnie. Panią Ito wykonano z drewna i pomalowano, a Lily się zastanawiała, czy wzorowano ją na prawdziwej kobiecie – a jeśli tak, to czy zgodziła się ona na bycie obiektem tyłu drwin.

Na lalkę patrzyła grupa białych dzieci. Ich matki stały za nimi, pogrążone w rozmowie. Jeden z chłopców wskazał palcem na Shirley i Lily, obwieszczając:

– Mamo, patrz, one są jak pani Ito!

Jedna z matek miała dość taktu, by sprawić wrażenie zakłopotanej. Inna jednak rzuciła:

– To wspaniale. Przepraszam, dziewczęta, jesteście Japonkami? Zechciałybyście porozmawiać z moimi chłopcami?

Lily zamarła.

Shirley złapała ją za rękę i odciągnęła, wołając przez ramię z udawanym akcentem:

– My nie mówić angielski!

Kiedy znalazły się przed salą, rzuciły się do ucieczki, biegnąc przez sekcję lalek świata – Lily była pewna, że znalazłoby się tam parę okropnych chińskich laleczek – i z powrotem na galerię nad lodowiskiem. Jakby ktoś je gonił. Przez tę ucieczkę cała sytuacja przybrała raczej groteskowego niż strasznego charakteru, a kiedy dotarły do mariny, gdzie długi rząd okien wyglądał na ocean, Shirley rzuciła złośliwie:

– *Gui lao*[26].

Lily aż się zaśmiała, chociaż to wcale nie było zabawne.

W oknach co metr, dwa zamontowano teleskopy, by umożliwić odwiedzającym zbliżenie na focze skały wystające z oceanu. Morska mgła wreszcie się uniosła, dzięki czemu skały stały się lepiej widoczne. Shirley podeszła do jednego z teleskopów i przez niego zerknęła, a potem spojrzała przez ramię na Lily.

– Podejdz, zobaczysz foki.

Lily zbliżyła oko do wizjera i zmrużyła je, obracając gałką tak, by złapać ostrość. Spojrzała kilka fok leżących na skałach; ich lśniące, brązowe ciała spoczywały na stromych wysepkach. Jedna podniosła łeb. Lily ujrzała jej kocie wąsy, gdy zwierzę akurat się obracało, po czym nurkowało z powrotem do wody. Za foczymi skałami rozciągał się bezkresny szary Pacyfik upstrzony spienionymi falami, który znikał wśród chmur na horyzoncie. Zdawało się, że dotarli do kresu świata – a przynajmniej tak daleko od Chinatown, jak tylko było to możliwe bez opuszczania San Francisco – jednak mimo to wypoczywające foki pozostawały kompletnie nieporuszone drobnymi ludzkimi tragediami.

Na pomost weszła jakaś nad wyraz głośna rodzina, a Lily kątem oka dostrzegła chłopców. Pomyślała, że mogą to być ci sami, których spotkały przy pani Ito. Shirley stojąca w pobliżu przerzuciła tymczasem torbę z lunchem przez ramię i zapięła płaszcz.

– Zgłodniałam. Masz ochotę na lunch?

– Jasne.

Lily cofnęła się od teleskopu i obie odeszły z pomostu, celowo ignorując rodzinę. Kiedy szły, dziewczyna czuła na sobie spojrzenia tych ludzi.

Postanowiły zabrać lunch do parku Sutro Heights, skąd rozciągał się widok na ocean. Po drodze Lily kupiła od ulicznego sprzedawcy dwie butelki coli.

Na szczycie Point Lobos Avenue, po obu stronach głównej bramy, stały wielkie kamienne lwy. Wewnątrz zaś drogę okalały palmy, powiewając liśćmi na wietrze. Lily widziała kilka osób na ścieżkach, ale park był zasadniczo wyludniony. Spojrzała też resztki betonowych rzeźb na wpół ukrytych wśród krzewów. Znalazł się tam leżący jeleni o połamanych rogach, krągłość kobiecej piersi i wyciągnięta pulchna ręka.

Razem z Shirley przeszły się do starego murku otaczającego wiktoriańską rezydencję Adolfa Sutry i znalazły ławeczkę naprzeciwko ogrodzenia z siatki na skraju, tuż ponad Cliff House. Kilku turystów robiło zdjęcia, ale wyraźnie nie przygotowało się na chłodny dzień. Kiedy odeszli, drżąc z zimna, Lily i Shirley miały widok na ocean tylko dla siebie.

Lily otworzyła colę, a Shirley pudełko z lunchem. Lily wybrała jedno z *chue yuk paau* i wzięła kęs. Chleb gotowany na parze stanowił cudownie lekki kontrast dla słonego, wytrawnego nadzienia z wieprzowiny.

– Nie mam pojęcia, dlaczego chciałabyś być biała – stwierdziła Lily. – Musiałabyś ciągle jeść amerykańskie żarcie.

– Ale przecież biali też mogą to jeść – odparła Shirley, biorąc do ręki bułeczkę. – W końcu im je sprzedajemy.

– Nie sprzedajecie im tego. Oni jedzą tylko *ch'a shiu*[27]. A normalnie jedzą... Co oni takiego jedzą? Krem z kukurydzy czy coś, nie? Albo zapiekankę z tuńczyka!

Shirley musiała zasłonić usta dłonią, kiedy się roześmiała.

– Pieczeń mięsną!

– Kanapki z pasztetową! – skrzywiła się Lily.

– Kurczaka po królewsku! Co to w ogóle jest?

– Coś z kurczakiem, chyba w sosie śmietanowym? Wydaje mi się, że jadłam to kiedyś w stołówce.

– Raz podali krem ze szpinaku, pamiętasz? To było takie obślizgłe i ciemne, pływające w mleku.

– Shirley wydała z siebie dźwięk obrzydzenia.

– Czemu oni zawsze wsadzają warzywa do śmietany?

– Noo, ja lubię lody, a one są na śmietanie.

– To nie to samo. – Lily zjadła ostatni kawałek *chue yuk paau*, marząc o lodach imbirowych na deser. – Chcesz to drugie *baau* na spółkę?

– Chętnie. Ale pamiętaj, że mamy jeszcze *faat ko*.

– Pyszności. – Lily sięgnęła do pudełka i przełamała parzone ciasto na pół.

– Żałuję, że nie wzięłam też *taan t'aat*[28] – stwierdziła Shirley.

– Mhmmm. Albo *tau sha paau*[29].

– To ty je lubisz, ja za nimi nie przepadam. Ale lubię za to *lin yung paau*[30].

Lily pociągnęła jeszcze łyk napoju, a słodkie bąbelki przyjemnie drażniły jej język. Była najedzona i zadowolona, a gdy nie było wiatru, było tu nawet przyjemnie. Spoglądała na szary ocean o odcieniu zmieniającym się w miarę tego, jak woda się unosiła i opadała. Potężne fale wykończone koronkową pianą, białą jak śmietana, rozбивały się o skały w barwie żelaza. Wszystko stale się zmieniało, choć jednocześnie pozostawało niezmiennie.

Shirley podała jej ciasteczko z wróżbą, a Lily otworzyła je i wyjęła biały skrawek papieru. Wsadziła do ust kawałek ciastka, a potem przeczytała na głos wróżbę:

– Wytrwałość przynosi szczęście.

Shirley otworzyła swoje i odczytała:

– Kto wie, ile mu potrzeba, ten jest bogaty. Laozi.

Lily zjadła resztę ciastka, myśląc o tych dwóch przesłaniach.

– Przeczą sobie, nie sądzisz? Moje mówi o tym, żeby nie ustawać w wysiłkach, a twoje, żeby wiedzieć, kiedy odpuścić. A może się dopełniają?

– To takie teksty dla turystów. Nie mają sensu. – Shirley odrzuciła wróżbę i patrzyła, jak karteczka unosi się w powietrzu. Porwał ją wiatr i poniósł nad siatkę, po czym zapikował w stronę Pacyfiku.

Pod wpływem chwili Lily przerzuciła przez siatkę również swoją wróżbę, zupełnie jakby ocean był studnią życzeń. Oparła się o chłodny metal i patrzyła, jak kartka wiruje, opadając w stronę Cliff House, póki nie znikła jej z oczu, zbyt mała, by móc dalej śledzić jej lot.

Na południe od rezydencji coś budowano. Stały tam ciężarówki i wciągarki, a także wielkie bele drutu. Biały chłopiec, może pięcioletni, stał przed placem budowy, ściskając dłoń matki. Ta zaś przytrzymała swój kapelusz targany wiatrem.

– Lily?

Ta odwróciła się gwałtownie.

– Co takiego?

– Zamierzam wziąć udział w konkursie na Miss Chinatown.

Wiatr uniósł skraj szala Shirley z jej włosów, więc musiała go złapać i przytrzymać. Wydawała się spokojna, zupełnie jakby nie powiedziała o niczym nadzwyczajnym.

Lily wróciła na ławkę i usiadła.

– Dlaczego? Jeszcze rano mówiłaś, że chcesz się wyrwać z Chinatown, a to... to jest dokładnie coś przeciwnego.

Shirley spuściła wzrok i wpatrywała się w pudełko na kolanach.

– Nie mówiłam serio... wtedy rano. Nie tak całkiem.

– Tylko trochę.

Shirley zamknęła pudełko i odstawiła je obok siebie na ławkę.

– Po prostu nie znoszę tego tutejszego wścibstwa. Tyle. Pomyślałam, że skoro ludzie i tak będą plotkować, to niech chociaż mają o czym.

Lily spojrzała na przyjaciółkę z uwagą. Shirley skrzyżowała ręce w obronnym geście i odwróciła wzrok.

– O jakich plotkach mówisz? – zapytała Lily.

– A czy to ważne? – odparła wyzywającym tonem Shirley.

W tej samej chwili wiatr zmiotł na ziemię pustą torebkę po ciastkach z wróżbą i przetoczył ją przez chodnik w kierunku siatki. Shirley zerwała się na równe nogi i podbiegła do niej w tym samym momencie, w którym pudełko przesunęło się w stronę skraju ławki. Lily złapała je tuż przed tym, jak spadło na ziemię. Shirley po chwili wróciła ze zmiętą torebką, a potem otworzyła materiałową torbę i wrzuciła do niej śmieci.

Ściganie papieru nieco rozluźniło przyjaciółkę, która teraz wydawała się zrezygnowana albo wręcz przegrana.

– W każdym razie – kontynuowała – George Choy wpadł przedwczoraj do Eastern Pearl i zapytał tatę, czy ten zasponsoruje konkurs. Powiedział, pan Choy w sensie, że powinnam wziąć w nim udział. A mnie przyszło do głowy, że czemu nie. Jestem równie ładna co ubiegłoroczna zwyciężczyni. Zawsze brakuje im uczestniczek, a to byłoby dobre dla całego przedsięwzięcia. Jeżeli wezmę w tym udział, Eastern Pearl będzie mieć reklamę na festiwalu z okazji Nowego Roku.

Kilka lat wcześniej konkurs przeniesiono z czwartego lipca na Chiński Nowy Rok, a święto to z roku na rok stawało się coraz bardziej popularne. Zwyciężczyni miała stanąć na czele noworocznej parady.

– Uważam, że mam spore szanse na wygraną – odparła Shirley. – A ty jak myślisz?

W trakcie tego monologu wyraźnie się wyprostowała. Przebiegła dłonią po zielono-różowej chuście skrywającej włosy, przechyliła głowę i nieomal z kokieterią uśmiechnęła się do Lily.

– Też tak uważam – odparła dziewczyna. Jeżeli ktokolwiek był faworytką do tytułu Miss Chinatown, to właśnie Shirley. Mimo to pod jej pewnością siebie krył się też niezrozumiały smutek. Lily nie wiedziała, jak o niego zapytać, więc dodała: – Co musisz zrobić, żeby wystąpić?

– Wysłać zgłoszenie, no i wnieść niewielką opłatę, ale za to akurat mogę zapłacić ze swoich oszczędności. Potem będę musiała zdobyć sponsorów... Oczywiście zapytam rodziców i pewnie kilku sąsiadów. Sklep z importowanymi towarami pana Wonga byłby dobry; mogłabym nosić biżuterię od nich, co nie? Pomyślałam też, że może ty byś mi pomogła.

– Ja? Ale jak?

– Uczestniczki konkursu Miss Chinatown muszą sprzedawać losy na loterię. Sądzę, że większość dziewczyn, które wezmą w tym udział, znajdzie sobie kogoś do pomocy. Wiesz, jako taki komitet wsparcia... – Shirley uśmiechnęła się do Lily subtelnie i skromnie. – Miałam nadzieję, że staniesz na czele mojego.

Lily to zaskoczyło.

– Dlaczego nie poprosisz Flory albo Mary? Są lepsze w tych rzeczach.

– Bo odkąd pamiętam, to ty jesteś moją przyjaciółką. – Zarumieniła się, mówiąc te słowa. – Nie Flora czy Mary. Chcę, żebyś to była właśnie ty.

W duszy Lily pojawiła się ciepła tkliwość, trochę jak przy naciśnięciu świeżego siniaka. Shirley podskoczyła, wzięła ją pod rękę i oparła głowę na jej ramieniu. Lily wyczuła subtelny woń szamponu przyjaciółki.

– To pewnie nasz ostatni wspólny rok – zauważyła Shirley z nutą melancholii. – W przyszłym roku możesz być wszędzie. A co, jak dostaniesz się na uczelnię w Pensylwanii?

– Pensylwanii? – Wujek Arthur, młodszy brat taty, uczęszczał tam na medycynę, ale Lily nie wybierała się aż tak daleko od domu. – Nie zamierzam tam wyjeżdżać.

– A dlaczego nie? Jeżeli dostaniesz stypendium, a masz możliwość, to pojedziesz. Od dziecka wiedziałam, że kiedyś opuścisz San Francisco. Zawsze byłaś tą z nas, która wyjedzie. Nawet jeżeli tylko na Kalifornijski, to nie będziesz już tutaj.

Shirley brzmiała na tak zadziwiająco pewną siebie, że budziło to w Lily wyrzuty sumienia, jakby

od dzieciństwa planowała ucieczkę z Chinatown. Jakby zawsze zamierzała opuścić Shirley.

– Ciebie też może już tu nie być – odparła Lily z nadzieją, że brzmi wystarczająco pewnie. Dla lepszego efektu dodała: – Nie wybierasz się na studia?

Shirley puściła jej rękę i się poprawiła.

– Ze mną się tam chyba nie zobaczysz, zapomniałaś?

Lily poczuła wstyd.

– Przepraszam, nie chciałam, żeby...

Shirley powstrzymała ją gestem dłoni.

– Pewnie pójde do City College, ale to żadna różnica. I tak będę musiała pracować w Eastern Pearl, przynajmniej do czasu, aż nie wyjdę za mąż. Tak zrobiła Rosie. To mój ostatni rok wolności i chcę go dobrze zapamiętać. – Odwróciła się do Lily z wyrazem zawziętości na twarzy.

– Wiem, że w ostatnim czasie było między nami kilka nieporozumień, ale to nasz ostatni wspólny rok. Przejdźmy przez niego razem.

W drodze powrotnej omówiły plan. Shirley miała się zgłosić do konkursu w ciągu najbliższych dwóch tygodni, kiedy już namówi rodziców i mieszkającego po sąsiedzku pana Wonga do jej sponsorowania. Lily z kolei miała zapytać ojca, czy Chiński Szpital mógłby ją jakoś wspomóc albo chociaż pozwolić sprzedawać tam losy na loterię. Shirley potrzebowała na konkurs cheongsamu, a także sukni wieczorowej w amerykańskim stylu. Musiała też poćwiczyć przemawianie i ustalić, jaka fryzura będzie najodpowiedniejsza. W święta miały usiąść w kręgu znajomych i obrać jakąś strategię, by sprzedać jak najwięcej losów.

Shirley chciała sporządzić listę niezbędnych działań, więc Lily znalazła porzuconą gazetę na pustym siedzeniu, a Shirley pożyczyła ołówek od kobiety siedzącej naprzeciwko. Gdy przyjaciółka notowała, Lily spostrzegła krótką notkę o projekcie budowlanym przy Cliff House. Była ona okraszona ilustracją „podniebego tramwaju”, który przypominał pojedynczy wagonik kolejki linowej zawieszony na grubym drucie – miał wędrować między Cliff House a Point Lobos, mijając stare termy Sutro. Kiedy go w przyszłym roku otworzą, goście będą mogli za dwadzieścia pięć centów przejechać się do Point Lobos i z powrotem.

Lily zrozumiała, że budowa, którą widziała z Sutro Heights, wiąże się z tym podniebnym tramwajem. Zastanawiała się, czy ktokolwiek zechce zapłacić za taką krótką i bezsensowną wyprawę. Taki sam widok był dostępny z wybrzeża, w dodatku za darmo. Czy warte będzie tej ceny wiszenie nad skalistymi klifami i wśród słonej mgły, byleby tylko zbliżyć się o kilka metrów do foczych skał? Pasażerowie mieliby jedynie bujać się w tę i we w tę, aby pod koniec podróży, po opuszczeniu tramwaju, odkryć, że w sumie to nigdzie nie dotarli.

[26] „Te obce diabły”, chińskie wyzwisko, oryg. „鬼佬” (przy. aut.).

[27] Grillowana wieprzowina (przy. aut.).

[28] Tarta jajeczna (przy. aut.)

[29] Bułeczka nadziewana pastą z czerwonej fasoli (przy. aut.).

[30] Bułeczka nadziewana pastą z nasion lotosu (przy. aut.).

Lily miała wrażenie, jakby Shirley przełączyła włącznik, a ona – bach! – z powrotem znalazła się w ich paczce. W ciągu kilku tygodni po podróży do Sutro Shirley niemal całkowicie zmonopolizowała jej wolny czas. Lily musiała jej towarzyszyć przy wypełnianiu zgłoszenia do konkursu Miss Chinatown. Musiała też spotykać się z całą paczką, żeby stworzyć komitet konkursowy. Te spotkania nieuchronnie przemieniały się w zebrania w Fong Fong's, gdzie dołączali do nich chłopcy. Nawet powroty do domu zostały zagarnięte przez Shirley, która teraz niemal zawsze szukała przyjaciółki po szkole.

To oznaczało, że Lily miała znacznie mniej czasu dla Kath. Gdy dni zmieniły się w tygodnie, dziewczyna czuła narastającą irytację. Z początku powrót do łask Shirley był wygodny i znajomy, ale ten stan nie trwał długo. Ciocia Judy wysłała jej kolejny numer „Collier's”, a artykuły w czasopiśmie sprawiły, że Lily zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna iść na inżynierię kosmiczną zamiast matematyki. Rozważała, czy nie porozmawiać o tym z Shirley, ale wiedziała, że tej to nie zainteresuje. Przyjaciółka mogłaby nawet wyrzucać Lily jej aspiracje. Kiedy były młodsze, Lily akceptowała różnice między nimi, ponieważ były podobne w tym, co ważne. Teraz jednak te różnice pogłębiły się tak bardzo, że pojawiła się między nimi niemal przepaść. Nie mogła się nie zastanawiać, czy tak samo by się czuła, gdyby nie zaprzyjaźniła się z Kath.

Im bliżej było końca semestru, tym bardziej Lily martwiła się rosnącym dystansem między nią a Kath. Ta wykazała się wyrozumiałością, kiedy Lily nie mogła wracać z nią do domu, ale po tym, jak dziewczyna kilka razy zrezygnowała ze wspólnego powrotu, przestała na nią czekać pod szkołą. Oczywiście nie przyjaźniły się zbyt długo, więc może po prostu ich relacja wracała do tego, co było. Kath miała swój krąg znajomych, w tym dziewczyny z G.A.A., z którymi jadała lunch, chociaż Lily nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej przyjaciółki, takie jak Jean, skończyły szkołę przed rokiem. Zastanawiała się, czy Kath chodziła z nimi do Telegraph Club, i sama ta myśl wywołała w niej dziwne uczucie zazdrości, podczas gdy inna jej część pogrążała się w fatalistycznej melancholii. Jedyne wnioski, jakie umiała z tego wyciągnąć, był taki, że nie rozumiała, jak działa jej relacja z Kath. Cokolwiek jednak się działo – albo nie działo – było to złe.

Od początku grudnia aż do ostatniego dnia szkoły przed bożonarodzeniową przerwą Lily nie rozmawiała z Kath poza zajęciami, chociaż podczas lekcji ta wciąż była dla niej bardzo

uprzejma. Lily liczyła, że znajdzie Kath przed świątecznym apelem, ale tego ranka nie było na to czasu, a potem niemal sama się na niego spóźniła. Panna Weiland pomachała do niej, żeby się pospieszyła, kiedy dziewczyna wpadła do auli.

– Lily, tutaj!

Shirley siedziała z przodu auli, w trzecim rzędzie, mniej więcej pośrodku. Idąc między rzędami, Lily w końcu zobaczyła Kath. Wiedziała, że ona też ją widzi, ponieważ przez chwilę, niemal ukradkowo, zetknęły się spojrzeniami. Lily chciała do niej podejść, ale w tym momencie nie mogła. Musiała się precyzyjnie przemieścić przez rząd Shirley, wpadając na czyjeś kolana i przepraszając, aż dotarła do miejsca, które zajęła jej przyjaciółka. Była tam cała ich paczka: Flora siedząca z zadowoleniem po lewej stronie Shirley, Hanson obok i Mary z wyjątkowo kwaśną miną.

Kiedy Lily usiadła, Shirley poinformowała:

– Po szkole idziemy do mnie, nie do Flory. Też będziesz, prawda?

– Oczywiście – odpowiedziała Lily, chociaż wciąż myślała o Kath. Musiała ją odnaleźć po szkole, w przeciwnym razie nie zobaczyłyby się aż do końca przerwy świątecznej.

Apel zaczął się od odśpiewania przez chór kilku kolęd, po czym drugie klasy odegrały jasełka. Lily wierciła się w miejscu, zastanawiając się, czy nie zirytowała Kath powrotem do Shirley. Było jasne, że Shirley nie lubi Kath, prawdopodobnie z wzajemnością. A może Lily zrobiła coś nie tak przy poprzedniej wizycie w Telegraph Club? Pamiętała, że siedziała cicho przy stoliku, słuchając, jak Jean i ta cała Rhonda mówią niezrozumiałe dla niej rzeczy o jakichś lesbach i płaceniu glinom. Może Kath była zażenowana, że przyszła w towarzystwie kogoś tak naiwnego? Od tej myśli Lily wewnętrznie zadrżała, pewna, że zniszczyła ich relację.

Gdy jasełka dobiegły końca, na scenę wyszedł klub taneczny w różowych baletkach, by zatańczyć do muzyki z *Dziadka do orzechów*. Dziewczęta w różowych tutu wirowały z różnym stopniem zręczności, przesadnie wyrzucając nogi w powietrze podczas obrotów. Za każdym razem, kiedy to robiły, tutu odsłaniały na moment ich czarne body. Lily widywała ten konkretny taniec w wykonaniu tego konkretnego klubu co roku, ale teraz jak gdyby na nowo sobie uświadamiała, na co właściwie patrzy. Dziewczęce nogi i cienie między nimi. Krągłości bioder i łydek. Dekolty widoczne w mocno wyciętych body. Tancerki z pewnością zawsze tak wyglądały, ale Lily nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zobaczyła je po raz pierwszy: ciężar ich ciał, ich żywotność, ciepło różowej skóry. Kilku chłopaków w rzędzie przed Lily gwizdało i buczało, a kiedy jeden z nauczycieli podszedł do nich, żeby ich uciszyć, dziewczyna spuściła wzrok, jakby zawstydzona własnych myśli. Owszem, była różnica między tymi gwizdami a tym, o czym myślała, ale nie umiała określić, na czym dokładnie polegała. Wiedziała jedynie, że czuje się tak, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku. Twarz jej spąsowiała – cieszyła się, że w auli panuje ciemność.

Wróciła myślami do klubu, przypominając sobie zadowoloną minę Kath, gdy Rhonda nazwała ją małą *butch*. Lily rozumiała to słowo na poziomie intuicji. Dostrzegła jego znaczenie nie tylko w cieniu uśmiechu Kath, ale też w tym, jaką postawę przybrała. Niemal jak Tommy.

– Spotkajmy się za kilka minut przy twojej szafce – powiedziała Lily do Shirley, kiedy wyszły z apelu.

– Musimy zaraz iść – odpowiedziała. – Co masz do zrobienia?

– Muszę coś załatwić – rzuciła wymijająco Lily i odeszła, zanim Shirley zdołała zadać jej kolejne pytanie.

Widziała, że Kath idzie w stronę swojej szafki, i chciała ją złapać, zanim wyjdzie ze szkoły. Tłum zdawał się jednak celowo jej to utrudniać. Za każdym razem, gdy mijała jedną osobę,

kolejna jakby wyskakiwała tuż przed nią, a zanim dotarła do szafki, Kath nigdzie już nie było. Zdenerwowana Lily odwróciła się w poszukiwaniu tamtej i wreszcie ją dostrzegła idącą w stronę drzwi wejściowych. Pobiegła za Kath, dogoniła ją, po czym złapała za ramię.

– Kath!

Przyjaciółka się odwróciła, wyraźnie zaskoczona.

– Musimy porozmawiać. – Dłoń Lily zsunęła się po rękę Kath. Chwyciła ją za dłoń i pociągnęła w stronę końca korytarza, szukając przy tym bezpiecznego miejsca. Wokół było gwarno jak w ulu, wszyscy pakowali się w pośpiechu i opuszczali szkołę.

Wreszcie Lily zauważyła półotwarte drzwi kanciapy tuż obok sekretariatu. Pociągnęła Kath za sobą i nie zatrzymała się, póki nie znalazły się w środku i nie zamknęły za sobą drzwi. Harmider uczniowskiego chaosu urwał się jak odcięty nożem.

Pomieszczenie było tylko trochę większe od zwykłej szafy, dłuższe niż szersze, a szersze niewiele bardziej od samych drzwi. Ściany zastawiały półki pełne ryz papieru, teczek z abaki oraz pudeł wypełnionych długopisami i ołówkami. Halogenowa lampa nad ich głowami przypominała Lily miejsce na tyłach Thrifty – nie wchodziła tam, odkąd była tam z Kath – i dziewczyna zdała sobie sprawę, że nadal trzyma dłoń przyjaciółki. Puściła ją. Jej ręka była cała spocona.

Kath stanęła pod ścianą pełną segregatorów i wyglądała na zdziwioną.

– Co się dzieje?

Lily zaczęła mówić szybko:

– Chciałam cię złapać przed świętami... Przepraszam, że jestem ostatnio taka zabiegana. Shirley zajmuje mi cały czas konkursem na Miss Chinatown.

– Wiem – odparła Kath. – Mówiłaś już.

Fluorescencyjne światło sprawiało, że skóra Kath była jeszcze bledsza, a jej niebieskie oczy stały się wyblakło szare. Kath ścięła włosy – dotarło do Lily. Nie jakoś przesadnie, zaledwie je podcięła, ale teraz bardziej okalały jej głowę. Lily widziała, że Kath mogłaby je inaczej uczesać, a wówczas zaczęłaby wyglądać niemal jak chłopak. Ta myśl spłynęła na nią nagle, a Kath – jak gdyby potrafiła czytać w jej myślach – wsunęła rękę do kieszeni kurtki i wyprostowała się tak, że przypominała mężczyznę.

– Coś się zmieniło? – zapytała Kath. – Też wystąpisz w konkursie?

Lily uniosła brwi.

– Ja? Coś ty. Nie nadaję się na królową piękności.

Kath lekko się uśmiechnęła.

– Nie byłabym tego taka pewna.

Lily poczuła, jak w policzki uderza ją fala gorąca. Spojrzała ponad ramieniem Kath na teczki i przygryzła wargę. Już nie pamiętała, co chciała powiedzieć. Przez głowę przebiegały jej myśli o Rhondzie i tancerkach z *Dziadka do orzechów*. Pomyślała też o swojej niespodziewanej świadomości chłopcowości Kath – a może ta była w niej od zawsze?

– Co się dzieje? – zapytała znowu Kath. – Coś cię martwi? Wiem, że byłaś ostatnio zajęta...

Spojrzała na nią niepewnie.

– Przepraszam – powiedziała głupio Lily. – Mam wrażenie, że... coś jest nie tak. A jest? Między nami? – Splotła ręce, a jej zarumieniona twarz stała się jeszcze bardziej rozpalona.

Kath spojrzała na nią dziwnie, ostrożnie i trochę z zaskoczeniem.

– Nie rozumiem... Dlaczego myślisz, że coś jest nie tak?

– To przez Shirley? Jest bardzo wymagająca, a ja nie chcę, żebyś myślała, że nie chcę... że nie chcę być twoją przyjaciółką. – Lily drgnęła na dźwięk swoich nieporadnych słów.

Kath przestąpiła z nogi na nogę i poprawiła pasek tornistra. Była coraz bardziej ostrożna.

– Szczerze mówiąc, ona nie wydaje się najlepszą przyjaciółką, jaką mogłabym sobie wyobrazić.
– Jest mi bliska – odpowiedziała Lily i westchnęła.
– Rozumiem – odparła Kath, co zabrzmiało bardziej jak pytanie.
– Po prostu... znam ją całe życie – oznajmiła Lily, próbując wyjaśnić sytuację. – Nie chcę... nie mogę... niełatwo jest... Czasem nie jest łatwo z nią przebywać, ale nie mogę jej porzucić. To nasz ostatni rok.

Nie wiedziała, jak wyjaśnić Kath, że Shirley była przy niej od zawsze. Jak wyjaśnić, że Lily wie, iż Shirley będzie zawsze, nawet kiedy ona sama wyjedzie na uczelnię, a Shirley zostanie w Chinatown. W końcu Lily będzie musiała czasem wracać do domu.

– To nasz ostatni wspólny rok.

Lily zdała sobie sprawę, że cytuje słowa Shirley.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć? Że będziesz zajęta, póki Miss Chinatown się nie skończy? – Kath zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. – Chyba nie rozumiem. Myślałam, że... – Ucięła. Brzmiała na zirytowaną.

– Nie to mam na myśli. Tylko... – Lily urwała. Miała wrażenie, że brakuje jej angielskich słów, że nie umie znaleźć właściwego określenia dla tego powstrzymanego w głębi duszy uczucia, jakby odmawiała sobie czegoś absolutnie niezbędnego i sama nie rozumiała przyczyny takiego stanu rzeczy.

A potem nagle zdała sobie sprawę, że wcale nie chodzi o Shirley.

Tęskniła za Kath. Tęskniła za tym, jak Kath mówiła – owszem – ale tęskniła też za tym, jak jej słuchała. Rakiety latające na Księżyc nie brzmiały już jak jakaś naiwna fantazja, kiedy ta jej słuchała. Przy niej wszystkie niewyobrażalne rzeczy stawały się realne.

Chciała zapytać Kath, kiedy mogłaby pójść jeszcze raz do Telegraph Club, ale teraz czuła się tak, jakby wszystko popsukała. Wbiła żałośliwy wzrok w podłogę.

– Może powinnam sobie pójść – powiedziała cicho Kath. – Chyba cię denerwuję.

– Nie, to ja wszystko psuję – odpowiedziała Lily. Targała nią tęsknota. Musiała to naprawić. Musiała pokazać Kath to, czego nie mogła wypowiedzieć.

Pod wpływem impulsu Lily ujęła Kath za rękę. Ta zamarła, ale potem pozwoliła jej się trzymać.

Lily od razu zrozumiała, że to był inny rodzaj dotyku. To uczucie nie przypominało łapania Kath za rękę, żeby zaciągnąć ją do magazynka. Lily odruchowo pogładziła kciukiem wewnątrz dłoni Kath, czując jej nabrzmiałą skórę i delikatną linię żyły na nadgarstku, jej drżący puls pod opuszką palca.

Usłyszała, jak Kath gwałtownie łapie oddech.

– Chodźmy jeszcze raz do klubu – powiedziała miękko Lily, spoglądając na ich złączone ręce. Nigdy wcześniej nie zwracała uwagi na to, że skóra Kath była tak biała, aż jej wyglądała przy niej na złocistą.

Zapadła między nimi cisza i trwała na tyle długo, że w Lily zamarło serce. A potem Kath odezwała się z wahaniem:

– Jak myślisz, będziesz... będziesz mieć trochę czasu podczas przerwy świątecznej?

– Oczywiście, że tak! – Przejęta dziewczyna podniosła wzrok, a na jej palcach zacisnęły się palce Kath. – Kiedy chcesz tam pójść?

Kath wydawała się niedowierzać w to, co słyszy.

– Jean chciała pójść w sylwestra, ale to wyjdzie za drogo. Wtedy będzie opłata za wstęp. Zapytałam, czy nie wolałaby pójść trzydziestego.

– I co powiedziała?

– Jeszcze się nie zdecydowała. Chciałam zapytać ciebie, czy byś ze mną poszła, ale nie wiedziałam, czy... To znaczy, że chcesz iść?

Włosy Kath były na tyle krótkie, by Lily dostrzegła koniuszki jej uszu w ciemniejszym odcieniu różu, jakby nabierały koloru. Wiedziała, że też się rumieni, ale przez tę jedną chwilę wcale jej to nie obchodziło.

– Tak – odpowiedziała. – Tak.

Kiedy Lily była młodsza, uważała dom Shirley za coś w rodzaju cudownego labiryntu. Wszystkie pokoje, małe i duże, były pełne chińskich bibelotów: jadeitowych figurek we wszystkich zakamarkach, rysunków tworzonych tuszem przedstawiających zielono-brązowe pejzaże, jedwabnych baldachimów i parawanów na tyłach. Przez lata mieszkali tu różni członkowie wielopokoleniowej rodziny Shirley – wujkowie i ciotki, dziadkowie i przybywający z wizytą kuzyni – ale teraz została jedynie najbliższa rodzina przyjaciółki. Odkąd starsza siostra Shirley, Rosie, wzięła ślub i wyprowadziła się z rodzinnego domu, pozostało ich tylko sześcioro na dwóch kondygnacjach nad Eastern Pearl.

Dzisiaj Shirley przyprowadziła Lily, Florę i Mary do salonu na drugim piętrze. Z jego okien rozciągał się widok na Sacramento Street. Lily i Shirley spędziły wiele godzin, wyglądając przez nie, by obserwować życie toczące się poniżej i pilnować, kto wchodzi do restauracji. Dziś jednak było zbyt chłodno na otwarte okna, a Shirley musiała zapalić światło. Było to reprezentacyjne pomieszczenie umeblowane kompletem chińskich mebli z drewna różanego oraz wyposażone w trzy wazy z dynastii Qing na gzymsie nad wygaszonym kominkiem. W kącie ustawiono rodzinny ołtarzyk z czarno-białymi zdjęciami przywieszonymi do ściany nad misą z na wpół wypalonymi kadzidełkami. W pomieszczeniu wisiała nika, słodkawa woń kadzidła przytłumiająca zapach smażonego makaronu typowego dla Eastern Pearl.

Dzisiaj miały popracować nad przemową Shirley. Mary przeglądała notatki, a Flora z dumą poinformowała, że jej ojciec zamierza kupić kilkaset losów.

– To wspaniale! – zachwyciła się Shirley. – Masz konkurencję, Lily.

Lily popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Konkurencję?

– Jestem przekonana, że zarząd szpitala wykupi ich z tysiąc – oznajmiła lekko Flora.

Mary niemal się uśmiechnęła, ale ukryła ten uśmiech, sięgając po suszoną matwę, którą Shirley wrzuciła do misek na stoliku kawowym.

Shirley otworzyła zeszyt.

– No dobrze. Co powinnam powiedzieć jurorom? Trzeba wspomnieć coś o tym, dlaczego jestem właściwą kandydatką na Miss Chinatown.

– To dlaczego chcesz zostać Miss Chinatown? – zapytała Mary.

– Może dlatego, że jesteś ambitna? – zaproponowała Lily.

– Nie może tak powiedzieć – zaprotestowała Flora. – Musi być skromna.
– Bo jesteś piękna – dodała Mary.
– Tego też nie może powiedzieć – uznała Lily. – Co mówiły zeszłoroczne kandydatki? Miss Chinatown musi być dobra, pogodna i pracowita. Jesteś pracowita. – Wsunęła jedną mątwę do ust. Była gumowata, słona i rybna, z lekko ostrawym posmakiem.
Shirley zatrzepotała rzesami.
– Jestem też pogodna!
– No, to musisz jeszcze tylko skłamać, że jesteś równie dobra – zażartowała Lily.
– Jestem bardzo dobra! – odparowała Shirley.
– To zależy, co to znaczy „dobra” – rzuciła żartem Mary.
Lily się zaśmiała, a Shirley udała urażoną. Flora stłumiła chichot, zasłaniając usta dłonią.
– Słyszałam, że Donna Ng tańczy teraz w Forbidden City – oznajmiła Mary z wielkimi oczami, by pokazać, jak bardzo oburzyła ją ta wieść. Donna Ng zajęła drugie miejsce w ubiegłym roku.
– Podobno Miss Chinatown z Los Angeles bierze udział w przesłuchaniach do filmu – dodała Flora.
Shirley ustawiła się na krześle, odchylając głowę, jakby spoglądała w dal.
– Myślicie, że też to powinnam zrobić?
– Tak! – odparła Mary.
– Nie ma zbyt wielu filmów z chińskimi dziewczynami – zauważyła Lily. – Przynajmniej nie tutaj.
– Mogłabyś wyjechać do Hongkongu – zaproponowała Flora.
– Cóż, najpierw spróbuję z Hollywood – rzuciła Shirley z pewnością siebie w głosie. – Na pewno mnie wezmą.
Światło stojącej lampy padało idealnie na jej twarz, niemal jak blask reflektora. Lily bez trudu wyobraziła ją sobie na ekranie. Shirley uwielbiała być w centrum uwagi, wiedziała też, kiedy zrobić użytek z tego pragnienia – stać się kokietką i przyciągnąć osobę, która na nią patrzyła.
Shirley odpuściła pozowanie i zarzuciła nogę na nogę, machając stopą w kapciu.
– No dalej, dziewczyno, co ja mam powiedzieć? – zapytała, pochylając się i zgarniając kilka plasterków ryby. Przeżuwała je niczym stara Chinka, obojętna na rybny odór, którym będzie zionąć.
– Wiem – powiedziała Lily i wszystkie spojrzenia zwróciły się wprost na nią. – Chcesz zostać Miss Chinatown, bo tu jest twój dom. Tu dorastałaś, kochasz to miejsce, chcesz pokazać je całej Ameryce.
Shirley notowała słowa Lily.
– Tak, właśnie tak. Idealnie. – Uśmiechnęła się do niej i dodała: – Tak bardzo się cieszę, że tu jesteś.
Po raz pierwszy ktoś powiedział na głos, choćby nieświadomie, że przez jakiś czas Lily nie było. Flora i Mary spojrzały na nią z lekkim poczuciem skruchy, a Lily sięgnęła po rybę.

W Wigilię Frankie odgrywał pasterza w kościelnych jasełkach. Miał sztuczną brązową brodę i głowę obwiązaną kuchenną ścierką. W związku z jego rolą Lily i jej rodzina musieli przybyć do kościoła nieco wcześniej. Kiedy ona wraz z Eddiem i ojcem czekała przed wejściem – mama poszła z Frankiem – zastanawiała się, czy Kath poszła na mszę do kościoła Świętych Piotra i Pawła. Ciekawiło ją, czy Kath o niej myśli. A może myślały o sobie nawzajem w tym samym czasie? Na samą myśl o tym przyspieszył jej puls.

Nie minęło wiele czasu, a na miejscu pojawiły się inne osoby – musiała udawać, że cieszy się na

ich widok. Najpierw przyszli koledzy ojca z Chińskiego Szpitala wraz z rodzinami, potem grupa chińskich studentów z Uniwersytetu Kalifornijskiego, która chciała przedstawić się jej tacie. Musiała ścisnąć ich dłonie i mówić do nich swoim fatalnym mandaryńskim. Wreszcie wszyscy się rozpierzchli po ławkach: Lily, jej ojciec i Eddie, Shirley z rodziną po drugiej stronie nawy i chińscy studenci na tyłach. Matka przycupnęła obok Lily na chwilę przed tym, jak chór zaczął śpiewać. Dziewczyna podniosła wzrok, by popatrzeć na ołtarz.

Wierciła się, gdy młodzi odtwórcy ról Józefa i Maryi zajmowali miejsca. Płaszcz leżał jej na kolanach, przypominając koc. Próbowała go złożyć, ale tylko trąciła matkę łokciem.

– Przepraszam – szepnęła, a ta spiorunowała ją wzrokiem. Poskładała płaszcz za nią, jakby Lily była dzieckiem.

Dziewczyna zerknęła na Shirley, która obserwowała jasełka pustym wzrokiem, jakby i ona odpłynęła gdzieś myślami. Lily odkryła, że przyjaciółka zmieniła fryzurę – subtelnie, ale jakimś cudem zczesła włosy do tyłu i spięła w taki sposób, by wyglądać na starszą i dojrzałą. W jej postawie – ściągniętych łopatkach i uniesionej głowie – było coś, co przypominało Lily Lanę Jackson.

Natychmiast poczuła zapach Telegraph Club, dźwięk pianina, brzęk uderzających o stół kieliszków. Jej myśli pobiegły ku Kath i ich ostatniemu spotkaniu; ku uczuciu, jakie towarzyszyło chwili, gdy ich dłonie się stykały; ku obietnicy kolejnego spotkania w przedostatnią noc roku.

Nikt w tym kościele nie wiedział, że była w Telegraph Club i że znów zamierza tam pójść. Nikt. Ta myśl była konfundująca, zupełnie jakby miała drugie życie w innym wymiarze. Musiała zacisnąć palce na twardym skraju drewnianej ławy, by przypomnieć sobie, gdzie się znajduje.

Jedno z dzieci czytało Ewangelię według Świętego Łukasza wysokim, dziecięcym głosem:

– Powiła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie.

Młoda Maryja – chińska dziewczynka w brązowej chłopskiej sukience z kawałkiem błękitnego materiału narzuconego na włosy – ostrożnie ułożyła kołysaną w ramionach lalkę w drewnianej kołysce wyłożonej sianem. Ktoś musiał zbudować ten żłobek przed laty, ponieważ Lily kojarzyła go z wielu minionych świąt.

Któregoś roku Lily grała pasterza w jasełkach – miała wtedy dziewięć albo dziesięć lat. Była jedyną dziewczyną wśród pasterzy, a prawdę mówiąc, zażądała tej roli, ponieważ Shirley grała Maryję, a Maryja była jedyną rolą dla dziewcząt. Pamiętała, jak powiedziała nauczycielce ze szkółki niedzielnej:

– To nie fair, że Shirley jest jedyną dziewczyną w jasełkach.

Nauczycielka odpuściła i zaproponowała Lily rolę pasterki, ale ta się uparła, że chce być po prostu pasterzem, jak chłopcy. Była z siebie taka dumna.

Teraz dość nerwowo rozważała, czy to coś znaczyło. Czy Kath też odgrywała rolę pasterzy w swoim kościele? Nagle wyobraziła sobie wszystkie kobiety spotkane w Telegraph Club jako małe dziewczynki: wszystkie przebrane za pasterzy albo mędrców. Każda z nich w męskich szatach skrywających sukienki i w sztucznych brodach przysłaniających ich dziewczęce twarze.

Pasterze przemieścili się przed ołtarzem, by otoczyć Maryję, Józefa i lalkę Jezusa. Frankie gorączkowo postukiwał swoim kijem, bez reszty pochłonięty przydzieloną mu rolą. Lily zaś zauważyła, że w tym roku żaden z pasterzy nie był dziewczyną – stali tam sami chłopcy.

- 1937 — Japonia dokonuje inwazji na Chiny
- 1940 — rodzi się Edward Chen-te Hu (胡振德)
- 1941 — Stany Zjednoczone angażują się w II wojnę światową
- 1942 — Joseph trafia do amerykańskiej armii i staje się naturalizowanym obywatelem USA
- 1943 — uchylene Chinese Exclusion Act (ustawy limitującej imigrację chińską do USA)
- 25 marca 1943 — GRACE wraz z rodziną uczestniczą w paradzie na cześć wizyty Madame Czang Kaj-szek w San Francisco**
- 1944 — Legion Samobójców zostaje formalnie uznany jako Laboratorium Napędu Od-rzutowego pracującego na rzecz armii
- 1945 — kończy się II wojna światowa

GRACE

Jedenaście lat wcześniej

Chinatown było pełne flag, serpentyn i kwiatów, a także czerwono-biało-niebieskich flag Stanów Zjednoczonych i Chin, długich czerwonych wstęg zwisających z latarni, kwiatów moreli o białych płatkach i różowych środkach rumieniących się za umyтыми szybami okien. Madame Czang Kaj-szek przybywała z wizytą do San Francisco i wyglądało na to, że nawet samo słońce świeciło tego dnia szczególnie mocno, by podkreślić jej obecność – padało między budynkami i ozłacało każdą flagę i każdą serpentynę swą poświatą.

Grace Hu ogarnęła gorączka ekscytacji, która zaczęła opanowywać całe miasto. Wcześniej tego ranka znalazła miejsce na Grant Avenue między kioskiem na rogu a latarnią, skąd mogła patrzeć, jak pierwsza dama Chin kroczy przez China-town. Matka Grace postawiła na krawężniku pustą paletę i usiadła tam z dwuletnim Eddiem na kolanie, przez chwilę cudownie spokojnym. Lily, już sześćioletnia, opierała się podczas oczekiwania o Grace. Tego popołudnia dziewczynka miała dołączyć do tysięcy dzieci z Chinatown maszerujących przez Civic Center. Grace miała z kolei maszerować razem z nią jako jedna z dziesiątek matek będących ochotniczkami do przeprowadzenia dzieci przez miasto.

Grace przyszło do głowy, że to istna cisza przed burzą.

– *Keui wa keui hou heui yeuk* – powiedziała matka Grace. – *Mou leun keui jau dou bin dou, dou yau baak che gan jyu keui*[31].

– *Daan keui yat ding yiu hou gin keung sin ho yi waang kwa mei gwok yin gong*[32] – odparła Grace.

– *Wai jung gwok keui wui yan sau yat chai*[33].

Wiedza Grace na temat dialektu kantońskiego – języka jej matki – ograniczała się do tego, co mówiło się w domu. Nie zawsze w pełni rozumiała, co jej matka mówiła o polityce, ale znała ją na tyle dobrze, by usłyszeć cyniczne nuty w jej głosie. Już miała zapytać, co ma na myśli, ale wtedy przerwała im Lily:

– Mamo, kiedy ona tu będzie?

– Niedługo – odrzekła Grace.

– Mówiłaś to już dawno temu – zaczęła marudzić.

Grace się zaśmiała i przycisnęła córkę do siebie. Lily pisnęła – trochę w proteście, a trochę ze śmiechem. Grace ukucnęła i zapewniła:

– Za chwilę. Dosłownie za chwilę.

Eddie usłyszał wyczekiwanie w jej głosie i wyciągnął ku niej rączki z rozcapierzonymi palcami. Połaskotała paznokciem wnętrze jego dłoni i się uśmiechnęła, słysząc chichot syna. Kiedy patrzyła, jak mały się śmieje, siedząc na kolanach jej matki, zrozumiała, że nie chce się z nią kłócić o Madame. Chciała się rozkoszować tym dniem.

Rok temu jej mąż dołączył do amerykańskiej armii, a dziś po raz pierwszy z optymizmem spojrzęła w wojenną przyszłość. Była pewna, że podróż Madame po Stanach tylko zwiększy amerykańskie wsparcie dla Chin przeciwko imperialistycznej Japonii. Poczula wyraźną dumę, że jej małżonek bierze w tym udział. Nie mógł jej zbyt opowiedzieć, co tam właściwie robi, ale wiedziała, że został wysłany do Chin i ratuje życia mężczyzn z obu swych ojczyzn: tej rodzonyj i tej nowej – adoptowanej.

Wreszcie Grace usłyszała narastający tumult obwieszczający nadejście Madame Czang Kaj-szek do bram Chinatown. Matka Grace wstała, trzymając Eddiego w ramionach, by i on mógł spojrzeć na nadciągającą kawalkadę. Ludzie zebrani w tłumie z podnieceniem wymachiwali flagami. Ich krzyki zagłuszały ryk silników pojazdów z kawalkady. Wszyscy jak jeden mąż pochylili się przed siebie, pragnąc choć przez chwilę ujrzeć kobietę, która uosabiała całe Chiny.

Krażyły pogłoski, że być może Madame wysiadzie z limuzyny i przejdzie się Grant Avenue, a gdy jej auto przemierzało ulicę, wszyscy oczekiwali, że tak właśnie robi. Nie zatrzymała się jednak. Tylko agenci służb specjalnych w ciemnych garniturach, idący wzdłuż kawalkady, zerknęli za siebie ponuro, na gapiów, spod rond swych fedor.

W końcu pojawiła się i ona. Limuzyna z flagami, wypolerowanymi błotnikami i oknami lśniącymi w słońcu. Grace zachęciła córkę, by ta stanęła na palcach, aby mogła zobaczyć chińską pierwszą damę.

Grace zobaczyła, że na tylnym siedzeniu powiewa biała chusteczka. To Madame do nich machała, choć ostatecznie nie wysiadła z samochodu. Wszyscy powtarzali, że musi być wykończona, a poza tym miała się zaraz spotkać z przywódcami Chinatown w siedzibie Six Companies. Nie miała kiedy się zatrzymać i pozdrowić zwykłych chińskich Amerykanów. Powinni krzyżeć głośniej, by wiedziała, że ma ich poparcie. Grace zmitygowała się, nie po raz pierwszy, że przecież Madame to właściwie pół-Amerykanka, skoro kształciła się w Stanach. Trzymała się tej myśli, gdy kawalkada zniknęła, odprowadzana przez korpus bębnow Najświętszej Maryi Panny wybijających radosny rytm, jakby już nastał chiński Nowy Rok.

– Mamo, myślałam, że parada jest dziś po południu – mruknęła Lily.

– Po południu będzie kolejna. W tej witamy Madame Czang Kaj-szek w Chinatown.

– Dwie parady jednego dnia?

– Tak, dwie parady.

– Ta Madame musi być kimś bardzo ważnym.

Grace uśmiechnęła się do córki.

– Tak, kochanie. Jest bardzo ważną Chinką.

Grace rozumiała, że minusem bycia uczestniczką parady jest fakt, że nie widzi się jej reszty. Chodząc w tę i w tę i pilnując dwudziestki ruchliwych dzieciaków, które jej powierzono pod opiekę, powtarzała sobie jednak, że trzeba się cieszyć tą historyczną chwilą. Jej grupa była jedną z dziesiątek, co dawało razem, jak podsłyszęła, tysiące dzieci. Wszystkie ubrano w chińskie stroje ludowe, od kolorowych czapek obszytych na złoto po białe jedwabne piżamy wyszywane

różowymi kwiatami. Lily i jej przyjaciółka, Shirley, miały na sobie identyczne błękitne jedwabne spodnie oraz kurtki ze stójkami zapinane na żółte haftki. Były równie zachwycone swoimi strojami, co wagą zadania: reprezentowaniem młodego pokolenia Chińczyków w Stanach. Obowiązek kładziony im do głowy przez Grace i inne matki zdawał się nie ciążyć na ich wątłych barkach. Po prostu się cieszyły, że są razem z przyjaciółmi pod bezchmurnym popołudniowym niebem tego dnia, który w przeciwnym razie spędzałyby w szkole.

Kiedy nadszedł ich czas, by dołączyć do parady, Grace ustawiła swoich podopiecznych w szeregu i poprowadziła ich ku Civic Center. Tłumy na Polk Street obejmowały trzydzieści, może czterdzieści rzędów. Grace nie widziała, gdzie się kończą.

Kiedy zbliżali się do ratusza, owacja stała się dużo bardziej burzliwa, a ona poczuła taką ekscytację w kościach, jakby ulicami pokrytymi konfetti targało trzęsienie ziemi.

Mówiło się, że Madame Czang Kaj-szek obserwuje paradę z balkonu nad wejściem do ratusza. Grace patrzyła w górę między kolumny i widziała tam małe ludzkie sylwetki, ale nie była w stanie rozpoznać żadnej z nich. Nie widziała nawet białej chusteczki Madame, którą ta z pewnością machała zebranemu na dole tłumowi.

Grace zauważyła lecący nad jej głową samolot, którego ryk silnika zagłuszał wiwatujący tłum. Za samolotem powiewał szeroki biały baner z wymalowanym na nim ciemnym kołem. Na jego widok Grace poczuła się gorzej. To był myśliwiec lecący z tarczą nad ocean, gdzie miał być używany przez pilotów trenujących ataki na Japończyków w celu przeprowadzania ćwiczeń strzelania z karabinów maszynowych. Zastanawiała się, czy Madame też go widzi.

Kiedy po paradzie Lumowie zaprosili rodzinę Hu do siebie na kolację, Grace przyjęła to z wdzięcznością. Dzień był cudowny, ale bardzo męczący. Nie chciała, by kończył się powrotem do małego, ciemnego mieszkania.

Grace często potajemnie zazdrościła Lumom. Było coś pociągającego w ich dużej, rozgadanej rodzinie, w wielu pokoleniach i kuzynach mieszkających razem nad swoją restauracją. Podziwiała łatwość, z jaką Ruby Lum, matka Shirley, radziła sobie z całym domem. Był taki czas, jeszcze zanim urodziła się Lily, kiedy Grace sądziła, że przeniesie się do Chin razem z Josephem i zostanie członkiem jego rodziny, jak wypadało chińskiej żonie. Japońska inwazja na Szanghaj zniweczyła jednak ich plany. Czasem wciąż była zła na los. Zamiast zająć należne jej miejsce w rodzinie Josepha, miejsce żony najstarszego syna, została samotnie zesłana do odległego miasta. Wiedziała, że powinna być matce wdzięczna za to, że ta się do niej wprowadziła i pomagała jej przy dzieciach, gdy Joseph był w armii, lecz nie umiała wzbudzić w sobie tej wdzięczności. Czuli się tak, jakby wróciła do rodzinnego domu niczym owdowiała córka bez grosza przy duszy, choć w rzeczywistości było przecież dokładnie na odwrót.

Nie mogła pozwolić sobie na to, by Joseph zdał sobie sprawę z jej uczuć. Pomyśleć tylko, że mogłaby zazdrościć żonie właściciela restauracji – nawet prowadzącego biznes z powodzeniem! – będąc sama żoną lekarza po Stanford. W Chinach rodzina Josepha byłaby stawiana o wiele wyżej w hierarchii niż Lumowie, ale Grace nie miała pewności, czy ta sama zasada obowiązuje również w Stanach. Ludzie traktowali Josepha z szacunkiem, ale Grace wiedziała, że wielu mieszkańców Chinatown – tych starych kawalerów gnieźdzących się po sześciu w jednym pokoju – uważało doktora Josepha Hu za zarozumiałego szanghajczyka niemówiącego ich językiem.

Wszystko to przemknęło jej przez myśl, kiedy szła za matką po schodach do salonu Lumów. Zastanawiała się, co Madame Czang Kaj-szek powiedziałyby o tej rodzinie. Ich dom zagracony był chińskimi meblami i obrazami, ale ten bałagan miał przyjemny wydzźwięk i wyrażał sukces

Lumów. Lily wraz z Shirley biegły już do pokoju, który Shirley dzieliła z siostrami, i chociaż Grace kazała im być cicho, wiedziała, że nie posłuchają. Eddie z kolei kaprysił i trzeba było poświęcić sporo czasu, zanim w końcu pogrążył się w potrzebnej mu drzemce. Kiedy Grace wróciła do salonu, Ruby już jadła to, co przyniosła z restauracji na dole. Na stole stały talerze ze smażonym makaronem, szpinakiem wodnym i duszoną rybą. Rosie, najstarsza córka Lumów, podała im stos misek, dziesięć płaskich łyżek i pudełko z pałeczkami, a Ruby dołożyła wagę z zupą z kości wieprzowych przyniesioną z małej domowej kuchni.

Kolacja była głośna i swobodna. Lało się sake, a starsi mężczyźni z rodziny (młodszy trafili do armii) zaczęli bezceremonialnie dyskutować o wojnie – o tym, że Ameryka przyśle samoloty, broń, żołnierzy i bomby, a także o tym, iż Japończycy zostaną wybici równie bezlitośnie, jak ci wymordowali wcześniej Chińczyków.

Ruby i Grace wymieniały w tym czasie sceptyczne spojrzenia, które w końcu zamieniły się w uśmiechy. Potem Ruby gestem pokazała Grace, aby ta przeniosła się do niej na kanapę. Jeden z kelnerów przyniósł z restauracji kosz bułeczek z parzonego ciasta i z kremem jajecznym. Obie kobiety wzięły po jednej wraz z kubkiem herbaty, po czym przeniosły się do cichszej części salonu, w pobliże matki Grace.

– Jak sądzisz, mają rację? – zapytała Grace, spoglądając na mężczyzn. – Ameryka przyśle Chinom pomoc?

Ruby wzruszyła ramionami.

– Któż to wie? Ich prezydent mówił, że tak zrobią, ale jak dotąd Ameryka tylko obiecuje.

– Jeżeli ktokolwiek jest w stanie namówić prezydenta Roosevelta do pomocy Chinom, to tylko Madame – zapewniła Grace. – Widziałas, jak o niej piszą w gazetach? Ludzie ją kochają.

– Kochają kobietę, którą przed nimi odgrywa.

– Twierdzisz, że udaje?

Ruby potrząsnęła głową.

– Nie to, żeby udawała. Po prostu jest przygotowana. Sprawia takie amerykańskie wrażenie i właśnie dlatego ją kochają.

– Kochają ją za jej urodę – wtrąciła matka Grace.

Mężczyźni wybuchli śmiechem z jakiegoś dowcipu, którego Grace nie dosłyszała. W kontekście stwierdzenia matki ten śmiech brzmiał niemal niestosownie.

– Jest też inteligentna – dodała Grace.

– Oczywiście – odparła Ruby. – Jest dość inteligentna, by dbać o swoją urodę. Wiem, że ją lubisz, Grace. Też ją lubię. Ale to nadal kobieta. Czy naprawdę jest w stanie namówić tych białych mężczyzn, żeby pomogli Chinom? Mogą ją uwielbiać, ale nie sądzę, by uwielbiali Chiny.

– Na pewno uwielbiają je bardziej niż Japonię – wytknęła Grace. Kątem oka zobaczyła, jak Lily wpada niczym burza do salonu, i krzyknęła: – Lily! Nie biegaj!

Lily zwolniła. Shirley uchwyciła ją za rękę i pociągnęła w stronę okien z przodu salonu. Kotary nadal były zaciągnięte, a przez szybę prześwitywał czerwono-biały neon Eastern Pearl. Shirley przysunęła do okna niską otomanę, po czym się na nią wspięła. Grace już miała ostrzec córkę, by ta uważała, ale wtedy nagle do niej dotarło, co one robią.

Stały na otomanie z parapetem na wysokości pasa i opierały się na nim jak na balkonie. Każda z nich ścisnęła w dłoni białą restauracyjną serwetkę i machała nią w stronę ciemnej ulicy.

[31] „Podobno jest bardzo krucha [...] Gdziekolwiek idzie, podąża za nią ambulans”, oryg. „佢

話佢好虛弱 [...] 無論佢走到邊度, 都有白車跟住佢” (przyp. aut.).

[32] „Musi być też bardzo silna, skoro wytrzymuje podróż po Ameryce”, oryg. „但佢一定要好堅強先可以橫跨美國演講” (przyp. aut.).

[33] „Zniesie wszystko, co musi, dla Chin”, oryg. „為中國佢會忍受一切” (przyp. aut.).

CZEŚĆ V

Lush life

Grudzień 1954–Styczeń 1955

Kiedy wieczorem trzydziestego grudnia Lily przysła pod wskazany róg ulicy, Kath stała tam sama.

– Jean nie przyjdzie – wyjaśniła na widok Lily. – Oszczędza energię na jutro. Chyba będzie się dużo działo.

– Szkoda, że tego nie zobaczymy – odparła, chociaż czuła ulgę z powodu nieobecności Jean.

– W porządku – powiedziała Kath. – I tak wolałam iść dzisiaj.

Lily zastanawiała się, czy to oznacza, że Kath woli wyjścia do klubu z nią niż z Jean. Poczowała przypływ podniecenia. Przez chwilę bawiła się szalem, poprawiając go na szyi. Wieczór był mglisty i naprawdę chłodny, a wiatr wciąż jej go rozwijał.

– Jak minęły święta? – zapytała Kath, gdy szły w stronę Telegraph Club.

– Dostałam torebkę – powiedziała Lily. Wcale nie chciała brzmieć ponuro, ale tak się stało i było to tak zabawne, że obie wybuchnęły śmiechem.

– Nie chciałaś jej? – zapytała Kath.

– Chyba nie – mruknęła Lily. – A ty co dostałaś?

Przez jakiś czas rozmawiały o świętach, ale po chwili musiały przestać, ponieważ dotarły na Broadway, gdzie należało wymijać grupy mężczyzn zmierzających w przeciwnym kierunku. Kiedy przeszły na drugą stronę, Lily oznajmiła:

– Zastanawiałam się nad tym, jakie to dziwne, że nigdy wcześniej tego nie robiłam, a teraz właściwie wydaje mi się to normalne. – Urwała na chwilę. – No, może nie do końca normalne, ale rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Tak.

– Czy to nie dziwne, że nikt w naszym zwyczajnym życiu o tym nie wie? Że wszyscy myślą, że śpimy smacznie w naszych łóżkach?

– Ale chyba nie chcesz, żeby się dowiedzieli?

– Nie – odparła szybko Lily. Oczywiście, że nie chciała, by ktokolwiek z jej normalnego życia dowiedział się o tych eskapadach. Sama myśl o tym ją przerażała. Nie, lepiej było to trzymać w tajemnicy.

Przed klubem stała krótka kolejka. Zmianę znowu miała Mickey, ale z początku nie rozpoznała Lily. Dziewczyna musiała zdjąć szal i powiedzieć:

– Byłam tu już.

– To ty, Lily? – zapytał ktoś za nią. Odwróciła się zaskoczona i spostrzegła niewysoką kobietę w płaszczu z paskiem, która właśnie robiła krok do przodu. – Claire. Pamiętasz mnie?

Lily uściśniła jej dłoń, a potem Kath zrobiła to samo. Claire znowu była w towarzystwie Pauli – Lily ją zapamiętała – więc weszły do klubu we cztery i znalazły stolik na tyłach po lewej stronie sali.

Tym razem między stolikami przemykała kelnerka w czarnej koktajlowej sukience i białym fartuszkowi zawiązanym w talii, przyjmując zamówienia i przynosząc tace pełne napojów.

– Dzień dobry, dziewczęta. Dziś w ofercie specjalnej mamy szampana – zaproponowała, podchodząc do ich stolika.

– Wypijmy po kolejce – rzuciła Paula. – Ja stawiam.

Kelnerka wróciła dopiero kilkanaście minut później. Czekać, rozmawiały o nadchodzącym występie. Zastanawiały się, czy Tommy wykona jakiś nowy numer, czy może jednak zaśpiewa któryś ze swoich standardowych utworów.

– Jest tu już jakiś czas... To znaczy w Telegraph Club – stwierdziła Claire. – Co najmniej kilka miesięcy.

– To aż dziwne, że Joyce ją tak długo trzyma – zauważyła Paula.

– Pewnie przyciąga klientów – dodała Claire. – Ile razy już tu byliśmy? Będzie z pół tuzina...

– Kto to taki ta Joyce? – zapytała Kath.

– Joyce Morgan. Właścicielka – wyjaśniła Paula. – Zazwyczaj stoi za barem.

– A gdzie wcześniej była Tommy?

– Chyba w Paper Doll? – zamyśliła się Claire. – Nigdy jej tam nie widziałam.

– Pracowała, parkując samochody – dodała Paula. – Na parkingu przy Columbus Avenue.

– Wyobrażacie sobie? – zaśmiała się Claire. – Wasz samochód parkuje ktoś taki jak Tommy Andrews.

– Wtedy raczej nie używała tego nazwiska – mruknęła Paula.

Kelnerka wróciła z czterema kieliszkami szampana na niewielkiej okrągłej tacce.

– Wszystkiego najlepszego z okazji jeszcze nie Nowego Roku! – wzniosła toast Paula, a pozostałe uniosły kieliszki i ostrożnie się nimi stuknęły, by nie rozlać alkoholu.

Lily niepewnie pociągnęła łyk. Szampan miał kwaśny i nieco mdły smak.

Paula aż się skrzywiła.

– Chyba nie jest francuski, ale robi swoje.

– Och, Paula – westchnęła Claire.

Na scenę wyszła pianistka i rozbłysnął reflektor, a wszyscy umilkli w oczekiwaniu na początek spektaklu. Lily zbyt szybko wypija swojego taniego szampana, więc gdy na scenę wyszła Tommy Andrews, dziewczynie lekko szumiało już w głowie i było jej nieco zbyt ciepło, jakby w środku klubu rozkwitło lato i otuliło ją swoim leniwym żarem. To jednak wcale jej nie przeszkadzało.

Podczas przerwy Claire i Paula poszły do łazienki, a kiedy wróciły, towarzyszyła im Lana Jackson. Ta wypija już wcześniej martini, a kiedy kelnerka przyszła zebrać kolejne zamówienia, Lana zwróciła się do niej po imieniu słowami: „Jak leci, Betty?”, po czym poprosiła o to samo. Paula i Claire też zamówiły martini, a Lana zaproponowała, żeby Betty przyniosła im do stolika cały dzbanek.

– Ja wezmę piwo, dzięki – wtrąciła Kath.

– A panienka? – zapytała Betty, zwracając się do Lily.

– Też tylko piwo. Dziękuję.

– Nie wyglądasz na amatorkę piwa – zauważyła Lana, zapalając papierosa. – Na pewno nie chcesz martini?

– Nigdy go nie piłam.

Podkreślone ciemnym ołówkiem brwi Lany aż się uniosły ze zdziwienia. Posłała Lily uśmiech, po czym powiedziała do Betty:

– Chińska laleczka też poprosi martini.

Lily nie wiedziała, czy to był komplement, czy raczej obelga.

Lana puściła srebrną papierośnicę w obieg po stoliku, a Claire oznajmiła:

– Ja się skuszę. Słyszeliście o Ruth Schmidt?

– O tej Ruth z San Mateo? – zapytała Lana.

– Tak. Słyszeliście?

– Nie. A co się stało?

Claire nachyliła się do zapalanej zapalniczki wyciągniętej przez Paulę i szybko się zaciągnęła.

– Mówiła mi, że paru smutnych panów zaproponowało jej bycie informatorką.

Lily, a razem z nią wszystkie inne, patrzyła na Claire z zaskoczeniem.

– Informatorką! – wykrzyknęła Lana. – Myślałam, że pracuje w stoczni.

– Tak, jako stenotypistka. Ale federalni chyba myślą, że jej nowy facet jest komuchem.

Lana znowu uniosła brwi.

– Serio? Ten mały Marty Coleman? Sprzedawca samochodów?

Claire zaczęła się śmiać.

– Sprzedawca butów. Właśnie on. Zdaniem federalnych jest w jakimś komunistycznym ugrupowaniu i chcą, żeby go szpiegowała. Mówiłam jej, że powinna go rzucić dla jakiejś prawdziwej kobiety.

Słowo „komunistyczny” dotknęło Lily do żywego, jakby ktoś rzucał kamieniem w szyby, choć kobiety przy stole dalej rozmawiały i paliły papierosy, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

– Myślałam, że dadzą sobie spokój z tym polowaniem po wywaleniu McCarthy’ego – stwierdziła Paula.

– Najwyraźniej sobie nie dali – odparła Lana.

Claire niecierpliwie wypuściła strużkę dymu.

– Można by pomyśleć, że odpuszczą werbowanie Ruthie, biorąc pod uwagę jej dawne kontakty z homoseksualistami[34]. – Wypowiedziała to ostatnie słowo, „homoseksualiści”, sarkastycznie, jakby to był żart, ale w uszach Lily i tak zabrzmiało ono wulgarnie.

– Sądziś, że federalni o tym wiedzą? – zapytała z powątpiewaniem Lana.

– Wiedzą, wiedzą – odpowiedziała Claire. – Ruthie mówiła, żebym się miała na baczności, bo do mnie też mogą przyjść. Wspominali jej, że o nas wiedzą.

– Tego mi nie powiedziałaś – wtrąciła zaniepokojona Paula.

– To bez znaczenia. – Ton Claire był spokojny, ale gdy podnosiła do ust papierosa i głęboko się nim zaciągała, w jej ruchach kryło się napięcie. – Ja nie jestem nikim ważnym. Ot, asystentka stomatologa. Żadni Ruscy nie zainteresowaliby się tym, co robię.

Lily była coraz bardziej zaskoczona tą rozmową. Kobiety rozmawiały o tym jak o dobrym żarcie, ale pod powierzchnią ich głosów kryła się sugestia czegoś ponurego. Chciała dopytać o szczegóły, ale czuła, że nie ma do tego prawa. Ledwie znała Claire, ledwie znała wszystkie te kobiety.

Zerknęła na Kath. Ta wyglądała na lekko skonfundowaną, jakby też niewiele z tego rozumiała.

Kelnerka wróciła z napojami, a Lana odsunęła swoje krzesło, żeby ułatwić Betty postawienie dzbanka martini, czterech kieliszków do drinków oraz piwa.

– Na koszt firmy – powiedziała Betty.

– Dzięki – odparła Lana. – Słuchaj, co robisz dziś po występie? Urządzamy u nas małą imprezkę, więc może miałabyś ochotę wpaść?

– Miałam iść na randkę z Cheryl – zaczęła Betty.

– Weź ją ze sobą. – Lana się uśmiechnęła. – Tommy uwielbia Cheryl.

Betty potrząsnęła ze śmiechem głową.

– Jeżeli przez „uwielbia” rozumiesz „nie znosi”, to i owszem. Nie, dziękuję, laleczko. Przekażę Cheryl pozdrowienia.

– Przekaż – odparła Lana, a Betty musiała pójść obsłużyć kolejny stół.

Lana polala martini i uniosła swój kieliszek w geście toastu.

– Na zdrowie! – zawołała, stukając kieliszkiem o kieliszek Claire. Lily zrobiła to samo, ostrożnie trzymając naczynie, by nie rozlać trunku. Drink pachniał sterylnie, niemal medycznie, a kiedy wzięła mały łyk, poczuła na języku jego ostry smak. Po przełknięciu przypominał zimny ogień spływający w dół przełyku. Nie wiedziała nawet, czy jej zasmakował.

– Ty też powinnaś wpaść, Claire – stwierdziła Lana. – Wszystkie powinnyście przyjść do nas po występie. Byłoby miło zobaczyć nowe twarze. Przyjaciele Tommy już mnie trochę męczą. – Słowo „przyjaciele” wymówiła sucho, rzucając Claire wymowne spojrzenie.

Lily się zastanawiała, o co chodzi Lanie. Nie wiedziała, czy zaproszenie na imprezę dotyczy też jej i Kath, ale po cichu liczyła, że owszem.

[34] Obecnie słowo „homoseksualista” uznaje się za niewłaściwe, w niektórych kręgach obraźliwe. Neutralnym terminem jest „osoba homoseksualna” (przyp. red.).

Po drugiej części występu Tommy przeszła przez zatłoczoną salę z całą butelką taniego szampana i zajęła puste krzesło między Laną a Claire, które bez pytania zrobiły jej miejsce. Lily przyłapała Claire na niepewnym rozglądaniu się dookoła, jakby dziewczyna wiedziała, że inni w klubie będą bacznie obserwować, jak blisko niej siedzi Tommy, i zastanawiać się, kim ona jest. Lana poprosiła Betty o posprzątanie pustych kieliszków i przyniesienie nowych. Kiedy Tommy się nachyliła, by pobrać każdemu szampana, do Lily dotarła woń jej wody kolońskiej. Zapach był ciężki, kojarzył jej się z alkoholowym upojeniem na skórzanej kanapie. Rozgrzewał.

Tommy znów usiadła na krześle, zapaliła papierosa i jednym haustem wychyliła cały kieliszek.

– Ohyda – rzuciła z odrazą. – Muszę powiedzieć Joyce, żeby nie podawała tego jutro.

– Jest w promocji – wyjaśniła znudzonym głosem Lana. – Pewnie próbuje się go pozbyć.

– Aha, czyli przeznaczona go dla mnie i moich fanek? Jasne, najlepsze dla panny Rity Rogers. – W jej głosie rozległ się cień zazdrości. Lily zastanawiała się, kim jest ta Rita Rogers.

Kath pochyliła się do niej i rzuciła:

– Idę do toalety. Wybierasz się ze mną?

Lily nie chciała odchodzić od stołu – teraz, gdy przysiadła się do nich Tommy – ale coś w spojrzeniu dziewczyny sprawiło, że jednak wstała. Kiedy dotarły do przyciemnionego korytarza ze schodami prowadzącymi w górę, do łazienki, Lily dostrzegła jakąś kobietę znikającą w mroku pod schodami. Przez chwilę patrzyła w tę stronę z zaskoczeniem. Jej ciało poruszało się jakoś dziwnie – ramiona wyginały się do przodu, a głowa unosiła i opadała – aż nagle do Lily dotarło, że nieznajoma nie jest sama. Pod schodami była też inna kobieta, a skraj jej spódnicy płątał się wokół nóg tej drugiej. Ich ciała wyglądały na splecione, a głowy jak gdyby pozostawały blisko siebie. Lily nie wiedziała, co właściwie robią, ale miała pewną myśl.

Pospieszyła za Kath, która stała już w nadzwyczaj krótkiej kolejce do toalety. Przyjaciółka musiała zauważyć rumieniec na jej policzkach, ponieważ zapytała:

– Co się stało?

– Nic – odparła zakłopotana Lily.

W postawie Kath dało się wyczuć napięcie.

– Chcesz potem iść do Lany z resztą?

Lily próbowała wyrzucić z głowy obraz tych dwóch kobiet.

– Myślisz, że nas też faktycznie zaprosiły?

– Nie wiem. Może tak. – Kath zmarszczyła czoło, gdy spojrzała na kolejkę, a potem znów zerknęła na Lily. – Jeżeli tam pójdziemy, będzie już późno. Kiedy powinnaś wrócić?

Kath nigdy wcześniej nie przejmowała się tym, że będą w domu późnym wieczorem. Lily uważnie jej się przyjrzała, ale nie umiała nic wyczytać z jej twarzy.

– Już i tak jest późno – stwierdziła więc. – Kto by zauważył, jeśli wrócę kilka godzin później... Ale co z tobą? Chcesz tam iść?

Kath nieznacznie się zgarbiła.

– Tylko jeśli ty też chcesz.

– Chcę. Nie mam ochoty wracać do domu. A ty?

Kath wyglądała tak, jakby czegoś jej nie mówiła.

– Chyba też nie.

Lily już miała zapytać, czy wszystko jest w porządku, ale dotarły do drzwi łazienki i nadeszła kolej Kath. Dziewczyna została więc sama na korytarzu. Kiedy obie wyszły z toalety, nie było już szans na swobodną rozmowę, więc dziewczyna nic nie powiedziała.

Razem wróciły na dół, a u stóp schodów Lily zerknęła na znajdującą się pod nimi wnękę – nikogo tam jednak nie było.

Tommy, Lana i reszta zakładały już płaszcze, szykując się do wyjścia. Na widok jej i Kath Lana oznajmiła:

– Idziemy na Telegraph Hill. Też się wybieracie?

Kath zgarnęła ich okrycia z oparcí pustych krzeseł i wręczyła Lily jej kurtkę.

– Jasne. Dzięki.

Wyszły na chodnik sześciuosobową grupą. Lily trzymała się blisko Kath i szły zaraz za pozostałymi boczną uliczką, tak stromą, że pociętą schodami. Z klubu wyszły, radośnie rozmawiając, śmiejąc się i żartując, ale w miarę zmierzania przez North Beach ich głosy stopniowo cichły. Lily straciła orientację w terenie. Okolica była pogrążona we śnie, znikły wszystkie jej dźwięki i muzyka dochodząca z klubów znajdujących się kilka przecznic dalej.

W końcu dotarły do bloku tuż przy Coit Tower, rozjaśnionej światłami na szczycie Telegraph Hill niczym latarnia morska. Ktoś wyjął pęk kluczy, a Lily usłyszała zgrzyt, gdy klucz przekręcał się w zamku trzykondygnacyjnego budynku. Ktoś zapalił światło i żółtawy blask rozlał się po ganku.

– Wchodźcie! – zaprosiła wszystkich Tommy i cała grupa przecisnęła się przez próg na klatkę schodową, a potem wprost do mieszkania na parterze.

Z początku Lily odniosła wrażenie, że to przestrzeń pełna ciemnych kształtów, ale gdy Tommy i Lana zapalały kolejne lampy, z mroku wyłaniały się meble: kanapa w rdzawym kolorze i zestaw lakierowanych na czarno chińskich krzeseł z rodzaju tych, które sprzedawano turystom w sklepach przy Grant Avenue. Był też stół do kawy w stylu misyjnym, ośmiokątny stoliczek przy kanapie przypominający coś jak gdyby z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, a także tchnąca średniowieczem ława przy drzwiach, na której Lana kazała zostawić wszystkim płaszcze. Za salonem znajdowała się niewielka jadalnia z białym chromowanym zestawem stołu i krzeseł z plastiku oraz zabytkowym barkiem z lustrem, na którego górnej półce upchnięto szereg butelek i kieliszków. Lana poszła do kuchni, informując głośno, że przyniesie wiadro z lodem. Tommy zaś, luzując muszkę, znikła w korytarzu.

Lily odłożyła płaszcz na ławę, tam gdzie reszta, i podeszła do kanapy. Nad nią wisiało kilka fotografii w ramkach, ułożonych dość chaotycznie: kilka zdjęć Tommy stojącej na zatłoczonej ulicy w towarzystwie innych kobiet w męskich przebraniach. Lily pomyślała, że mogły zostać wykonane przed Telegraph Club. Znalazła się tam również fotografia przedstawiająca Tommy obejmującą Lanę na tle mostu Golden Gate. Tommy miała na sobie sweter skryty pod rozpiętą

kurtką, a z ust wystawał jej koniuszek papierosa. Lana nosiła chustę w grochy zawiązaną na blond włosach, trenaż i okulary przeciwsłoneczne. Obie się sztucznie uśmiechały, jakby wymuszały to na nich fotograf.

Pośrodku ściany nad kanapą wisiało też duże błyszczące zdjęcie Tommy Andrews, które Lily rozpoznała jako to wydrukowane w „Chronicle”. Widok tej fotografii na ścianie był dla niej wręcz szokujący: naprawdę była w mieszkaniu Tommy Andrews. Samej Tommy Andrews! Spoglądała na jej zdjęcie w gazecie – to samo zdjęcie – nieskończenie wiele razy, a teraz była w domu tej kobiety. Zupełnie jakby czas się cofnął i wróciła do Eastern Pearl, ukradkiem wydzierając reklamę z gazety. Znowu usłyszała ten dźwięk rwanego papieru i chrzęst, gdy go składała. Jak gdyby wyszła z ciała. Kiedy na chwilę zamknęła oczy, mogła poszybować przed siebie, daleko poza ziemską grawitację.

Usłyszała odgłos płyty wkładanej do odtwarzacza, zgrzyt igły muskającej winyl i... rozbrzmiała piosenka *Black Magic*. Lily poczuła, że jej kolano wciska się w krawędź kanapy Tommy. Otworzyła oczy i odwróciła się z uczuciem lekkich zawrotów głowy. Nie dokończyła martini – było za mocne – ale chyba wciąż czuła w sobie szampana, który wypija wcześniej. Nie wiedziała, jak się zachowywać w takim miejscu... No i gdzie była Kath?

Lily nigdzie jej nie widziała.

Z jadalni dobiegł głos Lany obwieszczającej, że zrobiła hiszpańską sangrię, i pytającej, kto ma ochotę na drinka. W jej zachowaniu było coś tak władczego, że Lily zrozumiała, iż to nie mieszkanie Tommy – należało do Tommy oraz Lany. Mieszkały tu razem.

Usiadła na kanapie, czując się jak idiotka. Poduszka była zbyt miękka i wciągnęła ją w zbyt bliskie objęcia. Przybyli nowi goście – głównie kobiety, część z nich w dzinsach z podwiniętymi nogawkami – a Lily znów zaniepokoiła się nieobecnością Kath. Na szczęście ta w końcu pojawiła się w progu kuchni z dwiema lampkami wina. Lily pomachała do niej z ulgą, a Kath z alkoholem w ręku podeszła do kanapy.

– To sangria – wyjaśniła, wręczając jej kieliszek z czerwonym trunkiem. – Owocowa. Pomyślałam, że nie chcesz kolejnego martini.

– Dzięki – odparła Lily.

Kath usiadła obok niej, a miękkość kanapy sprawiła, że znalazły się bliżej siebie. Kath omal nie wylała wina; przeprosiła, ale zanim zdążyła się przesunąć, wróciła Claire z martini. Usiadła, poduszki również ją wchłonęły, a zaraz potem przyszła Paula. Wszystkie musiały się mocno ścisnąć, by pomieścić się na kanapie. Wreszcie cała czwórka znalazła właściwe pozycje. Lily przyciskała prawą nogę, biodro i ramię do ciepłej lewej strony Kath.

Dziewczyna napiła się sangrii, która była słodka, z dużą dozą cukru, pełna kawałków ananasa z puszek i klementynek.

Jedna z kobiet w dzinsach usiadła na chińskim krześle obok krańca kanapy zajmowanego przez Lily. Była ubrana jak Marlon Brando w *Dzikim* – w skórzaną kurtkę i czarne botki na grubej podeszwie. Krótkie, ciemne włosy ułożyła w lśniący od pomady pompadour. Miała okrągłą twarz i brązowe oczy. Spojrzała z zaciekawieniem na Kath oraz Lily, po czym się odezwała:

– Jesteście nowe, prawda? Mam na imię Sal.

Stuknęła się z nimi kieliszkiem.

– Lily.

– Kath.

– Jesteście z klubu? – zapytała Sal. – Jak się udał dzisiejszy występ? Nie było mnie na nim.

Przez kilka minut rozmawiały o Telegraph Club, a właściwie Sal rozmawiała z Kath, za to Lily sączyła napój i starała się sprawiać wrażenie, że stale bywa na podobnych przyjęciach. W rogu obok odtwarzacza spostrzegła dwie roześmiane kobiety. Jedna z nich obejmowała drugą za szyję,

jakby zaraz miały rozpocząć wspólny taniec.

– Nie mamy tu za wielu Azjatek – powiedziała Sal do Lily. – Znasz angielski? Skąd jesteś?

Lily zeszywniała.

– Z Chinatown. Tutaj się urodziłam.

– Nawet nie masz akcentu. – Sal była pod wrażeniem. – Niesamowite.

– Urodziłam się tutaj – powtórzyła Lily nieco ostrzejszym tonem.

– Myślałam, że wszyscy Azjaci z Chinatown mówią tylko po chińsku.

– Nie. – Miała nadzieję, że jej ton zniechęci Sal do drążenia tematu.

Tymczasem ta zawołała na drugi koniec pokoju:

– Hej, Patsy! Mamy tu Azjatkę. Gdzie spotkałaś tę drugą? W Blanco?

Lily cieszyła się, że może się zapaść w kanapę. Gdyby tylko mogła się znaleźć na jej drugiej stronie i schować przed tą lustracją...

Patsy okazała się rudzielcem w kraciastej biało-czerwonej sukience przypominającej Lily piknikowy koc. Podeszła i przycupnęła na podłokietniku krzesła Sal, a ta objęła ją w wąskiej talii.

– Cześć, jestem Patsy – oznajmiła, podając rękę.

Lily usiadła nie bez trudu i niechętnie uścisnęła dłoń nowej znajomej.

– Gdzie to było? – ciągnęła Sal. – W Blanco? To tam widziałas tę dziewczynę?

Patsy oparła się o ramię Sal.

– Nigdy nie byłam w Blanco. To miejscówka dla filipińskich lesb. Wyglądam na taką?

Sal się zaśmiała i mocniej ścisnęła Patsy, która aż pisnęła.

– No to gdzie? To było jakoś niedawno. Mówiłaś, że były tam homodziejczynki.

– W Forbidden City – powiedziała nagle Sal. – Byłaś tam kiedyś, słonko? – zapytała, patrząc na Lily.

– Nie – poinformowała po raz kolejny.

W jadalni ktoś się krzątał, a chwilę później w drzwiach salonu pojawiła się Tommy z martini w dłoni, przyglądając się ich twarzom, jakby kogoś szukała. Zdjęła już smoking; miała na sobie szare flanelowe spodnie i niebieską koszulę z kołnierzykiem. Rozpięła górny guzik.

Lily zdawała sobie oczywiście sprawę, że smoking był tylko kostiumem, a teraz Tommy była po prostu u siebie. Mimo to wciąż zachowywała się jak tamta osoba ze sceny, jakby przed wyjściem na nią musiała tylko lekko przypudrować swoją zwykłą siebie.

– Terry! – zawołała Sal. – Chodź tu!

Lily nie wiedziała, kim jest Terry, ale kiedy Tommy spostrzegła Sal, podeszła do nich i usiadła na sąsiednim krześle. Patsy się do niej uśmiechnęła i nadstawiła do pocałunku, a Tommy cmoknęła ją w policzek.

– Dobrze wyglądasz, Pat – stwierdziła, a potem uścisnęła dłoń Sal. – Kopę lat! Cieszę się, że przyszedłaś.

– Dzięki za zaproszenie – odparła. – Wybacz, że nie dotarłam na występ. Kiepsko stoję z pieniędzmi.

Tommy wzruszyła ramionami, po czym usiadła, odstawiając martini na stolik. Wyciągnęła paczkę papierosów i zapaliła jednego.

– Mam podobnie.

– Mogłabyś zbić trochę kasy na swoich fanach – zauważyła Sal z uśmiechem. – Pamiętasz tę pannę, która poszła za tobą do garderoby?

Tommy się skrzywiła.

– Gdyby odkryła, że tak naprawdę jestem kobietą, wezwałaby gliny. – Potrząsnęła głową. – Co tam u ciebie?

– W porządku. Właśnie rozmawialiśmy o Zakazanym Mieście, bo masz azjatyckiego gościa. Lily uznała, że wtopić się w kanapę to za mało. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię tak głęboko, aż dotarłaby do Chin. Przynajmniej wtedy nie wyróżniałaby się z tłumu.

Wzrok Tommy powędrował od Sal do Lily.

– Tak, chińska laleczka była kilka razy na moich występach. Podobają ci się, skarbie?

Twarz Lily zapłonęła żywym ogniem. Obok poczuła naprężające się mięśnie Kath.

– Jasne – wykrztusiła uprzejmie, przypominając sobie, że jest gościem Tommy. – Są wspaniałe. Tommy szeroko się uśmiechnęła.

– Wspaniałe. – Usiadła wygodnie, krzyżując nogi, i zaciągnęła się głęboko papierosem. – Słyszałam, że w Zakazanym Mieście też była kiedyś kobieta w męskim przebraniu.

– Naprawdę? – zapytała ostrożnie Lily, chociaż mimo zakłopotania poczuła zainteresowanie. – Kiedy?

– Kilka lat temu – odparła Tommy. – Chyba podczas wojny? Nie pamiętam dokładnie, to było jeszcze przed moimi czasami. Ale słyszałam o niej. Przebierała się w garnitury jak Marlene Dietrich czy Gladys Bentley. To nie do końca moja bajka, ale jestem ciekawa, co się z nią stało. Słyszałam, że była naprawdę dobra.

Ta bezceremonialna pochwała brzmiała, jakby Tommy skomplementowała samą Lily. Nie wyobrażała sobie Chinki występującej tak jak Tommy, ale z miejsca poczuła dumę. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej na jej temat, ale w tym samym momencie do salonu przyszła Lana, szukając Tommy.

– O, tu jesteś... Wymknęłaś mi się – zauważyła. – Gdzie jest tonik?

Tommy musiała wstać i wrócić do kuchni, a Patsy i Sal przez dłuższą chwilę siedzieli cicho, bezustannie uśmiechając się do Lily i Kath. Wreszcie Patsy wstała i zajęła zwolnione przez Tommy krzesło. Lily uniosła do ust kieliszek i z zaskoczeniem odkryła, że w środku już nic nie ma.

– Przyniosę ci jeszcze jedną – zaproponowała Kath.

– Nie, dziękuję – odparła Lily, ale Kath chyba jej nie słuchała. Gwałtownie wstała, wywołując falowanie kanapy, a ponieważ jej kieliszek też opustoszał, wzięła oba i poszła do kuchni. Lily wyraźnie czuła jej nieobecność, jakby właśnie straciła część własnego ciała.

– Jak długo jesteście razem? – zapytała Patsy, gdy Kath wyszła z salonu. Tego akurat Lily się nie spodziewała.

– Kath i ja? My... nie jesteśmy.

Patsy znacząco się do niej uśmiechnęła.

– Ups, wybacz.

Zażenowana Lily rozejrzała się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby jej przekierować swoją uwagę. Dostrzegła wciąż siedzącą przy odtwarzaczu parę patrzącą sobie w oczy, kolejną obok dzielącą jedno krzesło i przeglądającą płyty. Zdała sobie sprawę, że pokój wypełniają wyłącznie pary. Jak mogła być tak naiwna i nie zauważyć tego wcześniej? Nic dziwnego, że Patsy pomyślała, że ona i Kath...

W osłupieniu spuściła wzrok na kolana. Może Patsy zobaczyła w nich coś, co Lily widziała też w innych parach, i od razu rozpoznawała, że to nie tylko zwykła przyjaźń.

Na samą tę myśl serce zabiło jej szybciej.

Ktoś puścił *Shake, Rattle and Roll* i Patsy zerwała się na równe nogi, oznajmiając:

– Uwielbiam tę piosenkę! Sal, zatańcz ze mną!

Sal przez chwilę się sprzeciwiała, ale widać było, że chce się zgodzić. Wreszcie dała się zaciągnąć Patsy w wąską przestrzeń między stolikiem kawowym a drzwiami kuchni, gdzie zaczęły tańczyć. Chwilę później Claire i Paula wstały z kanapy i do nich dołączyły, a Lily

ostatecznie została sama.

Jak długo jesteście razem?

Piekły ją policzki. Kątem oka widziała dłonie Pauli trzymające Claire w pasie i palce Claire ześlizgujące się po rękach Pauli. Obie kobiety się śmiały, poruszając biodrami w rytm muzyki. Widziała Patsy w ramionach Sal. Widziała Sal obracającą Patsy, której spódnica aż wirowała. Nigdy wcześniej nie widziała dwóch kobiet tańczących ze sobą w taki sposób, jakby jedna z nich była mężczyzną.

A potem Kath stanęła w progu za plecami tańczących par z dwoma kolejnymi kieliszkami sangrii. Choć Lily nie była w stanie spojrzeć jej w oczy, doskonale czuła, jak Kath się zbliża. Po tym, jak Claire i Paula wstały, na kanapie było więcej miejsca, toteż Kath nie musiała siadać już tak blisko niej. Zajęła miejsce kilkadziesiąt centymetrów dalej i wręczyła Lily sangrię. Siedzisko ugięło się pod jej ciężarem i Lily musiała się trzymać, by nie zjechać bliżej Kath, kiedy brała od niej kieliszek.

Pytanie Patsy odbijało się echem w jej głowie, jakby ktoś raz po raz dzwonił dzwonkiem do drzwi.

Jak długo?

Lily czuła, że powinna coś powiedzieć Kath, ale jakkolwiek nie zaczęłaby teraz rozmowy, brzmiałoby niebywale ważko. W głowie miała chaos, mieszanek zachwytu i paniki. Kanapa była pułapką, a ona musiała uciec.

– Muszę pójść do toalety – powiedziała nagle. Odstawiła kieliszek na stolik i powoli wstała. Pokój lekko się zakołysał.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kath, chcąc jej pomóc.

Poczuła palce Kath muskające jej rękę i pospiesznie się odsunęła.

– Tak, w porządku – odparła, po czym wybiegła z salonu, omal nie wpadając na łokieć Pauli, która akurat okręcała Claire.

Kuchnię wypełniali ludzie, których nie знаła. Tommy ani Lany nigdzie nie było.

– Gdzie jest łazienka? – zapytała jedną z kobiet, a ta wskazała na drzwi za kuchnią.

Lily weszła na ciemny, pusty korytarz, gdzie spostrzegła drzwi, spod których biła smużka jasności – domniemana łazienka. Kiedy zapukała, czyjś głos zawołał:

– Chwileczkę!

Lily cofnęła się i oparła o ścianę. Tutaj dźwięki gramofonu i śmiech z salonu dobiegały w stłumionej formie, a dzięki ciemności czuła się wreszcie tak, jakby była niewidzialna. Po jej prawej stronie znajdował się jeszcze fragment korytarza kończący się przymkniętymi drzwiami. Z pokoju rozlewała się złotawa poświata, a na podłodze, przed komodą, Lily spostrzegła parę porzuconych oxfordek.

Pokój znajdował się zaledwie kilka kroków od niej – nie musiała się więc zbliżać, by zajrzeć do środka. Znajdowało się tam podwójne łóżko ze sztywnym zielonym kocem i nocny stolik z żółtą lampką. Obok komody stała szafa z półotwartymi drzwiami; na zawieszonym na nich wieszaku spoczywał smoking Tommy. W szafie ujrzała szereg innych garniturów gnieźdzących się obok sukienek – pewnie należących do Lany. Na komodzie zaś znajdowała się metalowa tacka z rączkami i rozłożonym na niej zestawem kosmetyków. Po sąsiedzku beładnie leżały czarne muszki.

Zdażyła się zorientować, że to jedyna sypialnia w mieszkaniu, toteż Lana i Tommy musiały ją dzielić. Przez ramię zerknęła na drzwi łazienki, te jednak nadal były zamknięte. Doskonale zdawała sobie sprawę z obecności podwójnego łóżka, gdy przesunęła się w kierunku komody. Za satynowymi muszkami opartymi o upstrzone plamkami lustro znajdowała się staromodna pocztówka w sepii przedstawiająca mężczyznę w smokingu. Dziewczyna nachyliła się ku niej.

Osobę z pocztówki podpisano jako pannę Vestę Tilley. Miała cylinder, papierosa w ustach, a do tego figlarny błysk w oczach.

Lily wyciągnęła rękę do pocztówki, lecz nim zdążyła jej dotknąć, skrzypnęły drzwi i usłyszała miękkie kroki kroczące po drewnianej podłodze.

– No hej.

Dziewczyna odwróciła się w stronę wejścia. Stała tam Tommy z rękami w kieszeniach, która uważnie jej się przyglądała.

– Przepraszam... N-nie chciałam...

Tommy weszła do pokoju.

– Szukałaś łazienki? Jest kawałek dalej.

– Tak, wiem... Przepraszam. – Wystrzeżliła w stronę drzwi, ale Tommy stanęła jej na drodze i nie zamierzała się ruszyć. Lily znieruchomiała. Tommy wyglądała na rozbawioną, lecz to wrażenie szybko zamieniło się w zaciekawienie.

– Ile masz lat? – zapytała.

Lily zadrżała.

– Dwadzieścia jeden.

Tommy do niej podeszła. Dzieliło je tylko kilka kroków, ponieważ pokój nie był zbyt duży. Lily znowu poczuła zapach jej wody kolońskiej i coś ścisnęło ją w żołądku, z niecierpliwości albo ze strachu – nie była tego pewna. Tommy łagodnie się do niej uśmiechnęła, uśmiechem zarezerwowanym do uspokajania zestresowanych dzieci, i stwierdziła:

– To dwadzieścia jeden pewnie oznacza szesnaście.

Podeszła jeszcze bliżej i ujęła w palce jej policzek, by odwrócić do siebie twarz dziewczyny.

Wszystkie zmysły Lily skupiły się na tym jednym miejscu, w którym Tommy ją dotykała. Opuszki palców muskały jej skórę, kciuk zaś ostrożnie – choć celowo – przebiegał po jej palcach.

– Uroczą małolata. – Głos Tommy ociekał słodyczą, ale coś w nim wybrzmiewało tajemnicą.

Lily miała wrażenie, że Tommy znów weszła na scenę. Ten głos, ten dotyk, to, jak na nią patrzyła, było występem, który bez trudu rozpoczęła. Wślizgnęła się w swoją postać jak w drugą skórę.

Przez chwilę – nieznośnie długą – Lily była przekonana, że Tommy chce ją pocałować. Wstrząsały nią fale gorąca. Zachwiała się na nogach, jakby stała na pokładzie promu w zatoce, a Tommy krótko, wręcz ochryple, się do niej zaśmiała.

– Jesteś pijana, słoneczko.

– Nie – szepnęła. Na ustach wciąż miała palec Tommy.

– Ależ tak. – Tommy cofnęła dłoń, choć sprawiała wrażenie, jakby robiła to niechętnie.

– Nie mam szesnastu lat. – Lily jak przez mgłę czuła, że musi doprecyzować ten fakt.

– Jesteś pewna? – Tommy nieznacznie się uśmiechnęła, wręcz figlarnie. – Nie powinno cię tu być, lalczko – dodała łagodnie. – Wracaj lepiej do swojej dziewczyny.

Lily czuła się tak, jakby właśnie tonęła, a podłoga pod jej stopami niebezpiecznie się chwiała. Mimo to nawet w tym stanie wiedziała, o kim mówi Tommy.

– To nie moja... To nie tak... – zaczęła i natychmiast poczuła się tak, jakby zdradziła Kath.

Tommy uniosła brwi.

– A ona o tym wie, słoneczko?

Zrobiła krok w stronę drzwi i wykonała gest pełen galanterii, jakby wypraszała Lily z pokoju.

– Panie przodem.

Kath nadal siedziała na kanapie. Miała w dłoni kieliszek do połowy wypełniony sangrią; drugą rękę oparła o udo. Jej palce były skurczone, jakby ktoś wyjął jej coś z dłoni, choć ona jeszcze tego nie zauważyła.

Na jej widok Lily poczuła nagły przypływ zakłopotania. Była taka głupia! Jeżeli wszyscy czytali w niej jak w otwartej księdze, Kath też z pewnością o tym wiedziała – wiedziała, ale nic nie powiedziała. To mogło znaczyć jedynie, że Kath...

Nawet nie umiała o tym pomyśleć. Musiała wyjść. Musiała wrócić do domu.

Lily zaczęła okrążać salon, omijając tańczące pary. Po drodze poczuła na sobie wzrok Kath, która zaraz wstała z kanapy, omal nie rozlewając sangrii. W ostatniej chwili przytrzymała kieliszek i odstawiła go na stolik, a potem ruszyła w stronę Lily. Spotkały się przy ławie, na której płaszcze wszystkich obecnych układały się w wielobarwny stos.

– Co się dzieje? – zapytała Kath.

– Muszę iść – powiedziała od razu Lily.

– Coś nie tak?

– Po prostu muszę wracać do domu – odparła z naciskiem Lily. Zerknęła na zegarek, dzięki czemu nie musiała patrzeć w oczy Kath. – Już trzecia w nocy.

– Jasne. Pójdę z tobą.

– Nie musisz.

– Nie możesz wracać sama.

– Nie chcę, żebyś robiła coś wbrew sobie.

– Nie robię.

– Naprawdę nie musisz się przejmować – powiedziała Lily, przekopując się przez stos okryć.

– Na pewno wszystko w porządku?

Jedno z nich – niebieski wełniany płaszcz z dwoma rzędami guzików – spadło na podłogę, a za nim podążyła kaskada innych.

– W najlepszym – zapewniła Lily, po czym się schyliła, by podnieść płaszcze. Wciąż była wstrząśnięta spotkaniem z Tommy, ale nie zamierzała nikomu o tym mówić. Zwłaszcza Kath. – Jak chcesz pójść ze mną, nie ma sprawy. Po prostu nie mogę zostać dłużej.

Wyszło niezręcznie, ale Kath nie pozwoliłaby jej wracać do domu samej. Pomogła znaleźć ich płaszcze, które znajdowały się na dole stosu, a kiedy Lily w końcu założyła swój, na podłogę

spadła jakaś koperta. Schyliła się, by ją podnieść. Była zaadresowana do niejakiej Theresy Scafani. Lily upchnęła ją na powrót pod płaszczami, a Kath odciągnęła Lanę od tańczących, by się pożegnać. Lily wolałaby, aby przyjaciółka tego nie robiła, ale Lana już stanęła przed nimi z twarzą zarumienioną od tańca.

– Dziękuję, że wpadłyście – powiedziała, biorąc dłoń Lily w swoje ręce.

– Dzięki, że mnie... nas zaprosiłaś – odparła Lily.

– Dotrzecie bezpiecznie do domu?

– Tak, pójdziemy razem – wyjaśniła Kath.

– To dobrze. Bezpiecznej drogi, dziewczęta.

Kiedy Lana wróciła do tańca, Lily spostrzegła, jak Tommy wychodzi z kuchni z papierosem w ustach i kieliszkiem w dłoni. Ich spojrzenia się spotkały, a przez twarz Tommy przemknął uśmiech – równie figlarny co ten w sypialni. Lily odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Spieszyła się tak bardzo, że Kath musiała za nią biec.

– Co w ciebie wstąpiło? – zapytała, gdy Lily wypadła na ulicę.

– Jestem zmęczona, to wszystko. – Lily skrzyżowała ręce, czując przenikliwy chłód nocy, i ruszyła jak najdalej od domu Lany i Tommy.

Kath chwyciła ją za łokieć.

– Idziesz w złą stronę.

Lily zatrzymała się i uniosła wzrok. Szła w stronę Coit Tower, wciąż rozświetlonej pośród mroku. Rozejrzała się wokół, zagubiona, i odkryła, że nie ma pojęcia, gdzie się właściwie znajduje.

– Tędy. – Kath wskazała drogę w drugą stronę.

Minęły blok Lany i Tommy. Okna salonu były zasłonięte, ale Lily przez szczeliny dostrzegła światło i ruch. Noc wypełniał odległy dźwięk muzyki.

Na końcu przecznicy Lily zauważyła nazwę ulicy – Castle Street – a potem skręciła gwałtownie w dół. Nie uszły jednak zbyt daleko, gdy Kath złapała ją za rękę.

– Czekaj... czekaj.

Lily poczuła, jak dłoń Kath zsuwa się po jej rękę i zaciska na przegubie, zmuszając ją, by się zatrzymała.

– Co się stało? – zapytała Kath. – Wiem, że coś zaszło.

Tuż za nią świeciło światło latarni, więc Lily nie widziała twarzy przyjaciółki, ale słyszała troskę w jej głosie – to i jeszcze urazę, że Lily nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Nie była pewna, czy sama to rozumie: tę mieszaninę palącego wstydu i najczystszej strachu. Te dziwne kobiety na przyjęciu wydawały się rozumieć ją znacznie lepiej niż ona sama. To ją zmyliło; miała poczucie, że jej ciało nie należy już do niej, że działa bez świadomych nakazów umysłu. Rozum kazał jej natychmiast puścić rękę Kath, wracać do domu najszybciej, jak się da, wślizgnąć się do łóżka i naciągnąć kołdrę aż na głowę, żeby zapomnieć o całej tej nocy, o Tommy Andrews, Telegraph Club i tych wszystkich kobietach, które patrzyły na nią i widziały, że ona wraz z Kath... Co właściwie?

– Tommy coś ci zrobiła? – zapytała nieco bardziej stanowczo Kath.

– Uważa mnie za dziecko – odparła Lily. Te słowa wymuskiły się jej, zanim zdołała je powstrzymać. Oczy dziewczyny napełniły się łzami. – Jestem taka głupia...

– Nie – odparła Kath, podchodząc bliżej i wciąż trzymając ją za rękę. – Wcale nie jesteś głupia. Lily, czy ty... coś do niej czujesz? – zapytała szeptem.

– Do Tommy? – Lily zaczęła się śmiać, ale że już płakała, jej śmiech zabrzmiał jak zdławiony szloch. – Nie, czuję coś do ciebie. – Te słowa okazały się zbyt głośne. Zdawało się, że rozbrzmiewają echem po pustej ulicy. Musiała się zmusić do szeptu, by powiedzieć: – Wszyscy

to widzą. Nawet Tommy! Jestem taka głupia. Taka głupia.

Kath gwałtownie odetchnęła.

– Muszę iść do domu – powtórzyła z naciskiem Lily. Próbowwała się wyrwać, ale Kath nie chciała jej puścić.

– Zaczekaj – powiedziała. – Proszę.

Niepewnie rozejrzała się dookoła. Stroma ulica wydawała się pusta, ale światła i odgłosy miasta brzmiały jak ostrzeżenie – w oddali ryczał silnik jakiegoś samochodu, latarnie migotały, a gdzieś na końcu ulicy w wykuszowych oknach zapaliło się światło.

Kath pociągnęła Lily na bok chodnika, w cień budynku. Była tam wąska brama, w którą Kath ją zaciągnęła, z dała od światła ulicy. Budynki po obu stronach wznosiły się na wiele pięter, a wszystkie okna były ciemne. Nie dało się słyszeć żadnego dźwięku, więc obie znalazły się w aksamitnej, ciemnej ciszy.

– Nie byłam pewna, czy to czujesz – powiedziała Kath i zbliżyła się do Lily. – Ale liczyłam na to.

Serce Lily gwałtownie przyspieszyło, gdy zdała sobie sprawę, co to znaczy.

– Naprawdę?

Zażenowanie własną ślepotą nagle zniknęło i zostało zastąpione zdumieniem. Zakręciło jej się w głowie od tego wszystkiego: tego, jak to wszystko szybko się działo, jak nagłe były jej uczucia, jak jedna emocja zastępowała kolejną, a trzecia czekała już w kolejce.

– Myślałam... że po prostu jesteś dla mnie miła. Przecież to niemożliwe, żebyś... Jestem taka głupia! Przecież wolałabyś kogoś... Kogoś takiego jak Rhonda, prawda?

– Rhonda? – powtórzyła zdumiona Kath. – Nie. Dlaczego tak myślisz?

– Sama nie wiem. Może dlatego, że ona chociaż coś wie. A ja... nawet nie wiem, jak to wszystko działa.

Kath jeszcze raz westchnęła. W jej oddechu drżał śmiech.

– Ja też nie wiem. Ale wiem, że...

Nie dokończyła. Zamiast tego zrobiła kolejny krok w stronę Lily, zmniejszając odległość między nimi. Lily czuła bijące od Kath ciepło, wspomnienie papierosowego dymu, piwa w jej oddechu i nowe perfumy, których nie poznawała – coś lekkiego, jasnego. Od tego zapachu miała gęsią skórkę.

– Lily – odezwała się miękko Kath.

– Nic nie mów – wyszeptala Lily. Czuła, że słowa tylko wszystko zepsują, że wtedy będą musiały jakoś nazwać to, co było między nimi, to narastające gwałtownie ciepło i tęsknotę, przez które powietrze między nimi zdawało się naładowane elektrycznością. Mogłaby przysiąc, że słyszy jego bzyczenie.

Wcześniej nie zauważyła, że były z Kath tego samego wzrostu. Gdyby jeszcze odrobinę się pochyliła, jej nos dotknąłby nosa Kath... Nagle delikatnie się nimi zetknęły, wręcz muskały, co było tak dziwne i zabawne, że Lily nerwowo zachichotała. Kath puściła jej rękę i z namysłem dotknęła jej talii. Muśnięcie dłoni Kath na jej ciele uciszyło śmiech. Wstrzymała oddech, a usta Kath dotknęły jej ust – jakoś bowiem odnalazły drogę w ciemności. Jej wargi były z początku chłodne i suche, ale szybko stały się cieplejsze i miękkie. Ich ciała znalazły się blisko siebie – figura Kath była jak piorun, jej piersi, jej biodra, jej kości, jej dłoń wciąż przyciągała ją bliżej i bliżej...

Lily nigdy nie myślała i nie wyobrażała sobie, że pierwszy pocałunek tak płynnie może przejść w drugi, potem trzeci, a potem całą serię dotyków i uścisków. Nagle koniuszek jej języka dotykał języka Kath – smakował ciepłe wnętrze jej ust i to ciepło rozchodziło się po całym ciele, po czym wywoływało nieznośny ból między nogami. Musiała się przysunąć jeszcze bliżej; tylko to miała

w głowie. Położyła ręce na ciele Kath, wsunęła pod jej kurtkę, objęła jej plecy, a potem doszło między nimi do trochę niezręcznej miotaniny, gdy razem przesunęły się głębiej w alejkę, szukając czegoś, o co mogłyby się oprzeć, aż plecy Lily odnalazły ścianę jakiegoś budynku i dziewczyna mogła pociągnąć Kath do siebie.

Nie miała pojęcia, jak długo się całowały – z pewnością zbyt krótko – ale w pewnym momencie Kath musiała się odsunąć, by wziąć oddech. Lily otworzyła oczy i spojrzała w prawo, na przydymiony blask ulicy za pogrążonym w mroku przejściem. Z przejściem zdała sobie sprawę, co wyprawia, gdzie i z kim i wiedziała, że powinna czuć wstyd, ale czuła na sobie tylko ciężar piersi Kath i miękkość jej ust – wszędzie tam, gdzie Kath ją całowała.

– Nie wiem, czemu się w ogóle przejmujesz tą suknią wieczorową – przyznała Lily, przeglądając jeden z numerów „Seventeen”. – Regulamin wymaga tylko cheongsamu. Kiedy w ogóle miałybyś czas się przebrać?

Siedziały razem z Shirley i Florą przy stole na tyłach sklepu ojca Flory, czekając na spóźniającą się Mary. Miały iść na Union Square i kupić suknię dla Shirley na konkurs Miss Chinatown. Lily nie miała ochoty tam iść. Wolałyby być teraz z Kath, a jeżeli było to niemożliwe, wolałyby się zamknąć sama w swoim pokoju i wspominać. (Dotyk ust Kath na jej ustach, jej dłonie na talii Lily).

– Chodzi o to, żebym się wyróżniała – wyjaśniła Shirley. – Nie zamierzam wygłaszać przemówienia w cheong-samie. Będę go nosić przez większość konkursu, ale nie chcę wyglądać jak reszta dziewczyn, kiedy będę przemawiać. Chcę pokazać, że jestem też Amerykanką.

Lily słuchała jednym uchem. Jej wzrok skupił się na felietonie jednego z czasopism, zatytułowanym: *Spojrzenie w przyszłość: wyzwanie planet*. Ku jej zaskoczeniu był autorstwa Arthura C. Clarke’a i dotyczył problemów związanych z podróżami kosmicznymi.

– Daj mi to. – Flora sięgnęła po jej czasopismo.

– Czekaj, właśnie czytam...

Flora spojrzała na nią karcąco – Lily była pewna, że koleżanka nie doszła jeszcze do siebie po tym, jak Shirley przyjęła Lily z powrotem do swojej paczki – i wyrwała jej czasopismo z rąk, przerzucając strony aż do artykułu o sukniach wieczorowych.

– W tej wyglądałabyś pięknie – oznajmiła, wskazując na zdjęcie białej sukni balowej z tiulu. Shirley, widząc drobny druk, aż się zmarszczyła.

– Czemu ona tyle kosztuje?

– Możemy coś przerobić, żeby tak wyglądało – zapewniła Flora.

– Gdzie jest Mary? – zastanawiała się Shirley, spoglądając na wejście do sklepu. – Nie możemy iść bez niej. To ona zna się na poprawkach.

– Pójdę sprawdzić, czy idzie – zaferowała Lily.

Wyszła z zaplecza i weszła na teren sklepu, mijając półki pełne wazonów, figurek, biało-niebieskiej porcelany i pudełek z jedwabnymi wachlarzami. W sklepie kręciło się kilku klientów, ale wciąż była wczesna niedzielna pora, toteż nie było ich zbyt wielu. Otworzyła drzwi wejściowe i wyjrzała na deszczowy poranek, licząc na to, że zobaczy idącą chodnikiem Mary.

Tej jednak nigdzie nie było.

Niechętnie wróciła do środka, ale zamiast pójść od razu do Flory i Shirley, poczęła krążyć między alejkami, przeciągając w czasie tę chwilę, kiedy będzie musiała wygłosić kolejną konstruktywną opinię na temat sukien. W sklepie ojca Flory można było znaleźć zarówno dzieła sztuki, jak i bibeloty dla turystów. Zawsze dało się tam wygrzebać coś ciekawego albo zabawnego. Kiedy była młodsza, przy okazji Bożego Narodzenia pozwalał jej wybierać sobie jakąś drobną zabawkę z gabloty na tyłach – teraz odkryła, że zmierza w kierunku tego miejsca. Wciąż stała tam obrotowa gablotka i Lily poczęła nią powoli kręcić, przyglądając się zabawkom. Były tam samochodziki wielkości pudełka zapalek, pomalowane na jaskrawe odcienie czerwieni i żółci; lalki-niemowlęta, których oczy się otwierały, gdy się je podnosiło; małe pudełka z hacelami i kośćmi grzechoczące przy każdym ruchu; i jeszcze rząd zielonych żołnierzyków. Na najniższej półce, w ostatniej części gabloty, znajdował się szereg miniaturowych samolotów z plastikowymi bańkami kokpitów, przez które widać było hełmy maleńkich pilotów. Zachwycona Lily wzięła jedną z zabawek; samolocik pomalowano srebrną i białą farbą, a na jego ogonie znalazła się flaga Stanów Zjednoczonych. Do podwozia przymocowano czarne kółka, które faktycznie się obracały.

Zabawkowe samoloty zwróciły jej myśli ku Kath. Minęły trzy dni – a właściwie trzy noce – odkąd rozstały się w ciemnym zaułku na rogu Columbus Avenue i Broadway. Szybko się wtedy objęły, a do Lily dotarło, że już nigdy nie zdołają się publicznie pocałować na do widzenia. (Ucisk w piersi, gdy odwracała się z ociąganiem).

Od tamtej pory się nie widziały ani do siebie nie dzwoniły, ale nie było w tym nic dziwnego. Lily nadal nie знаła adresu i numeru telefonu Kath. Widywały się tylko w szkole – i w te wieczory, gdy szły do Telegraph Club. Z perspektywy czasu wydawało się oczywiste, że na ich przyjaźni od zawsze spoczywał dodatkowy ciężar czegoś, czego żadna z nich nie umiała nazwać wprost. Łatwiej i bezpieczniej było udawać, że są zwykłymi koleżankami. Ale teraz skończył się ten czas i Lily miała dojmującą świadomość odpowiedzialności związanej z przyznaniem się do swoich uczuć. Taką tajemnicą lepiej było się nie dzielić.

Obróciła w dłoniach samolocik. Naklejka na jego podwoziu głosiła: „Wyprodukowano w Japonii”. Podważyła ją paznokciem i bez trudu odkleiła, jakby tej naklejki nigdy tam nie było. Pozostał jednak kleisty ślad, wspomnienie ukrytego pochodzenia zabawki.

Z zaplecza dobiegł ją wybuch śmiechu Shirley i Flory. Odłożyła samolocik na półkę i ruszyła do swojej paczki. Po drodze minęła Amerykankę w beżowym płaszczu przyglądającą się wystawie precenionych jadeitowych figurek.

– Przepraszam – odezwała się kobieta – mogłabyś mi w czymś pomóc?

– Nie pracuję tutaj – odparła Lily.

Kobieta była w średnim wieku i nosiła okulary w rogowych oprawkach, zza których rzuciła Lily zniecierpliwione spojrzenie.

– A możesz znaleźć kogoś, kto pracuje?

Owe żądanie tak zaskoczyło Lily, że odparła:

– Naturalnie.

Poszła poszukać ojca Flory, który odnalazł się na drugim końcu sklepu, za gablotą z biżuterią, gdzie spisywał niesprzedane w czasie świąt towary.

– Panie Soo, jakaś pani potrzebuje pańskiej pomocy – poinformowała Lily.

Pan Soo spojrział na Lily znad okularów w czarnych oprawkach.

– Gdzie?

Wskazała kierunek, a on z westchnięciem ruszył na poszukiwanie klientki. Lily zatrzymała się na chwilę przed pozostałościami produktów z Bożego Narodzenia, a jej wzrok przykuła ściana

widoczna za gablotką. Znajdowała się tam tablica, do której przypinano ogłoszenia o wydarzeniach w Chinatown. Widniała na niej mieszanina plakatów z informacjami o koncertach, charytatywnych loteriach YWCA oraz świątecznych posiłkach dla potrzebujących. Po prawej stronie Lily zauważyła plakat, którego wcześniej nie widziała, opatrzony dużym, ciemnym nagłówkiem: DEKLARACJA WIERNOŚCI. Minęła ladę z biżuterią, by odczytać wydrukowany tekst:

1. My, chińscy obywatele Stanów Zjednoczonych, deklarujemy wierność wobec USA.
2. Wspieramy nacjonalistyczny rząd wolnych Chin oraz ich wielkiego przywódcę, prezydenta Czanga Kaj-szeka.
3. Popieramy kartę Organizacji Narodów Zjednoczonych i jej starania w walce o zjednoczoną, wolną i suwerenną Koreę.
4. Chińscy komuniści są marionetkami Związku Radzieckiego. Ci, którzy napadają na Koreę, to chińscy komuniści, a nie Chińczycy, nie pokojowo nastawiony naród chiński.

Papier był lekko pożółkły, a dziurki po pinezkach podpowiedziały Lily, że ten plakat musi tu wisieć już od dłuższego czasu, ukryty pod pozostałymi. Z dołu w jakiejś jednej trzeciej był zasłonięty reklamą sylwestrowego koncertu. Zaintrygowana, odpięła reklamę i przeczytała umieszczone pod spodem: „Deklaracja sporządzona przez patriotów, członków chińskiego oddziału YMCA i YWCA, rok 1951”.

Kończyła wtedy podstawówkę. To było raptem kilka lat temu, a wydawało się okresem znacznie dłuższym, zupełnie jakby była wtedy całkiem inną osobą niż teraz. Wtedy ledwie знаła Kath, i to tylko jako jedną z kilku dziewczyn na lekcjach matematyki. Wtedy jeszcze nie знаła uczucia potajemnego przeglądania tamtej książki na tyłach Thrifty. Nie bywała jeszcze w Telegraph Club ani w mieszkaniu Lany i Tommy – i nie przystawała w drodze do domu w ciemnej alejce, żeby całować się z dziewczyną. (To, jak jej ciało pasowało do ciała Kath; cudowny ból).

Za nią otworzyły się drzwi sklepu, brzęknął dzwonek i rozbrzmiał głos Mary:

– Shirley? Przepraszam za spóźnienie!

Lily odwróciła się, irracjonalnie pewna, że ktoś czytał jej w myślach, ale była całkiem sama. Mary spieszyła przez sklep z potarganymi przez wiatr włosami i mokrą od deszczu parasolką. Z zaplecza wyłoniły się Shirley i Flora zakładające płaszcze. Lily zmusiła się do podejścia w ich stronę i powstrzymania tego gorącego, niespokojnego poczucia, które w niej kipiało, jakby coś brudnego w każdej chwili mogło się z niej wylać.

– Co tak długo? – zapytała Shirley, zwracając się do Mary.

– Mój brat się rano rozchorował, a rodzice... Ech, nie mówmy o tym – powiedziała Mary. – Po prostu chodźmy.

Shirley wyciągnęła sukienkę z przeładowanego wieszaka w dziale dziewczęcym piwnicznej sekcji wyprzedażowej Macy's.

– To jest to! – oznajmiła. Lily podeszła bliżej, przyglądając się, jak Shirley przykłada do siebie suknię. – Co o tym sądzisz?

Tak naprawdę strój był dwuczęściowy: błękitna bluzka z odkrytymi plecami i zapięciem na karku wsadzona w długą spódnicę o identycznym odcieniu, podkreślona przez ciemniejszy pasek.

– Jest naprawdę ładna – stwierdziła Lily. – Ale myślałam, że chcesz sukienkę bez ramiączek.

Flora podeszła z naręczem pakunków.

– Musisz to przymierzyć. Jest absolutnie hollywoodzkie.

Shirley rzuciła okiem.

– Mój rozmiar. Gdzie są przymierzalnie?

Duże i pozbawione okien pomieszczenie było pełne łowców okazji wędrujących między koszami z przecenionymi swetrami i wieszakami pełnymi sukienek w dziwnych rozmiarach. Lily nigdzie nie widziała przymierzalni, spostrzegła za to pracownicę Macy's składającą bluzki w jednym z pobliskich koszów.

Shirley też ją zauważyła i rzuciła:

– Lily, zapytasz tę panią?

Lily wiedziała, że Shirley wysłała właśnie ją, ponieważ nie chce iść sama i narażać się na spotkanie z niemiłą sprzedawczynią; te często zachowywały się tak, jakby sądziły, że wszyscy Chińczycy są bez grosza przy duszy. Sama Lily też nie chciała podchodzić do pracownicy, ale jeszcze bardziej nie chciała się pokłócić z Shirley, więc wyprostowała się i poszła.

– Przepraszam panią, gdzie są przymierzalnie? – zapytała grzecznie.

Kobieta się do niej odwróciła.

– Po drugiej stronie. Zaraz panią zaprowadzę...

Lily zamarła, widząc Paulę. Nie taką, jaką ją widziała w Telegraph Club, w marynarce i spodniach o męskim kroju, ale mimo wszystko Paulę. Krótkie włosy miała ułożone w bardziej kobiecą fryzurę, a na sobie koszulową sukienkę w bursztynowym odcieniu brązu połączoną z pracowniczym fartuszkim oraz identyfikatorem, na którym napisano „Panna Webster”. Lily spostrzegła, że Paula również ją rozpoznała; zobaczyła to w jej rozszerzających się oczach. Zaraz potem zmienił się wyraz jej twarzy, jakby założyła maskę. Sama myśl, że Paula z Telegraph Club

mogłaby pracować jako sprzedawczyni w Macy's, była szokująca. Czy Lily powinna pokazać, że ją zna? A jeśli to zrobi, czy Paula pokaże, że zna Lily?

Dziewczyna z miejsca nabrała pewności, że to byłoby ryzykowne. Nocny świat, w którym się poznały, nie przepadał za światłem jasnego popołudnia w miejscu publicznym.

Patrzyły na siebie przez bardzo długą chwilę, która w rzeczywistości nie trwała jednak dłużej niż kilka sekund. Potem Paula opuściła wzrok na bluzkę, którą składała, i oficjalnym tonem oznajmiła:

– Pokażę pani, gdzie mamy przymierzalnie.

– To nie dla mnie, tylko dla... – Lily wskazała Shirley, wciąż stojącą przy wieszakach z Mary i Florą.

Paula skinęła głową. Dokończyła składanie bluzki i skierowała się do Shirley, nawet nie patrząc na Lily.

– Czy to pani potrzebuje przymierzalni, panienko?

– Tak – odparła Shirley. – Gdzie się znajduje?

– Proszę za mną.

Shirley, Flora i Mary ruszyły z Paulą, a Lily nerwowym krokiem poszła za nimi. Zaczęła się już niepokoić, że Paula coś powie, zapyta o Kath albo o to, dlaczego tak nagle wyszły z przyjęcia. Na wszelki wypadek oddaliła się od grupy, a kiedy dotarły do przymierzalni, odsunęła się. Nie było tu tak przyjemnie, jak w przymierzalniach w dziale dziewczęcym. Nie było dywanu na podłodze, a lustra okazały się mniejsze i nadtłuczone w rogach.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc? – zapytała Paula, kiedy Shirley rozgościła się już w małej kabinie.

– Nie, dziękuję – odparła. Spostrzegła Lily stojącą przed kabiną, za plecami Pauli, i dodała: – Lily, chodź z nami, potrzebuję rady was wszystkich.

Paula odsunęła się bez słowa, robiąc jej miejsce. W tej chwili Lily pojęła, iż ta żadnym słowem nie zdradzi, że się znają – i że ona sama też tego nie robi. Niewidzialny mur oddzielający ich dwa różne światy wróci na miejsce, a one powrócą do swoich żyć bez komentarza. Wciskając się do przymierzalni, Lily zobaczyła, jak Paula wraca do strefy wyprzedaży, nie oglądając się za siebie.

To spotkanie sprawiło, że Lily poczuła się obnażona, jakby jej najskrytsze tajemnice w każdej chwili mogły wyjść na światło dzienne. Na tak małej przestrzeni nie było gdzie się ukryć. Cała czwórka ledwie się mieściła wewnątrz, a Lily musiała stać przyciśnięta plecami do drzwi. Shirley się rozbierała, wręczając Florze kolejne części garderoby, która ostrożnie je trzymała. Najwyraźniej zadaniem Mary była pomoc Shirley w założeniu sukni. To z kolei oznaczało, że Lily nie miała pojęcia, jaka jest jej rola w kabinie, ponieważ mogła się jedynie temu wszystkiemu przyglądać.

Wraz z Shirley wiele razy rozbierały się przed sobą w przebieralniach i sypialniach – nigdy nie było w tym nic niewłaściwego. Czasem Lily wstydziła się swojego ciała, ale Shirley zawsze podchodziła do sprawy ze spokojem, otwarcie porównując ich wymiary, gdy dorastały, i z przejściem dzieląc się każdym nowym szczegółem ze swojego życia osobistego – pierwszym kupionym stanikiem czy pierwszą miesiączką. Prawdę mówiąc, kiedy Lily dostała pierwszego okresu, ponad rok po Shirley, to właśnie przyjaciółkę zapytała, jak używać podpaski. Owszem, mama dała jej niezbędne przybory, ale Lily nie zrozumiała jej instrukcji – natomiast mniej się wstydziła zapytać Shirley, jak poradzić sobie z zapięciami, gazą i paskiem. Shirley uklękła przed nią na podłodze łazienki i właściwie wsadziła rękę między jej nogi, żeby pokazać co i jak. To było dziwne, choć zarazem ekscytujące, bo to znaczyło, że Lily wreszcie dogoniła przyjaciółkę.

Wszystko razem świadczyło o tym, że Lily nie powinna się wstydzić widoku rozbierającej się

Shirley. Teraz jednak miała świadomość ciała – ich kształtów i możliwości – w sposób, jakiego wcześniej nie doświadczała. (Ciało Kath przytulone do jej ciała, napięte i miękkie zarazem).

Nie mogła patrzeć na Shirley, póki ta nie założyła sukienki. A potem i tak nie mogła się powstrzymać przed dostrzeżeniem miękkiej wypukłości piersi przyjaciółki nad miseczkami bielizny – tego, jak się poruszały, gdy się odwracała i oglądała z każdej strony. Tył sukienki lekko opadał, ujawniając fragment stanika; gdyby założyła tę suknię na konkurs, miałyby na sobie inny. Dekolt zdradzał też obnażony fragment jej pleców, kości kręgosłupa przypominające mapę dla czyichś palców. (Dotyk pleców Kath pod jej palcami, przez materiał koszuli. Tak bardzo chciała dotknąć jej nagiej skóry).

– Sama nie wiem – przyznała Shirley. – To chyba zbyt... wyzywające, nie sądzicie?

Mary zachichotała, Flora zrobiła to samo.

– A ty jak myślisz, Lily? – zapytała Shirley.

Lily przełknęła ślinę.

– Pewnie masz rację. Może przymierz tę dwuczęściową?

Shirley skinęła głową.

– Tak jest. Mary, pomożesz mi to zdjąć?

Suknia zeszła z niej, gdy Shirley uniosła ręce, a Mary pociągnęła materiał nad jej głowę. Lily spuściła wzrok na podłogę i dostrzegła stopy Shirley w pończochach. Czarne szwy wykręcały się pośrodku łydek, ale nie zaproponowała, że je wyprostuje.

Kiedy Lily wracała do domu z Union Square, zastanawiała się, czy znowu wpadnie na Paulę – albo na Claire, a może nawet Sal. Wstrząsnęła nią świadomość, że miasto jest pełne kobiet odwiedzających Telegraph Club i inne podobne lokale; kobiet oglądających występy takich Tommy Andrews, przyjaźniących się ze sobą i znajdujących sobie tam dziewczyny. Na każdym skrzyżowaniu Lily rzucała niepewne spojrzenia w stronę kobiet czekających na zielone światło, zastanawiając się, czy ta do nich należy. A może ta? Albo tamta?

Wreszcie nastał pierwszy poświęcony szkolny poniedziałek. Lily czuła niezwykle niepokój na myśl o ponownym spotkaniu z Kath, ale kiedy nadeszła ta chwila – a Kath stała przy szafce w zwyczajnej spódnicy i bluzce – okazała się rozczarowująco pozbawiona napięcia. Korytarz wypełniali uczniowie i nauczyciele, a światła halogenów lśniły tak jasno, że wybijały z głowy jakąkolwiek romantyczną myśl.

Potem z odległości kilku metrów ich spojrzenia w końcu się skrzyżowały – na policzki Kath wstąpił rumieniec, a skóra Lily zrobiła się gorąca, gdy tylko dziewczyna sobie przypomniała, jak Kath obejmowała ją w cieniu tamtego zaułka.

Oczywiście nie mogły o tym porozmawiać w szkole, chyba że szyfrem. Kiedy Kath się z nią przywitała, zapytała:

– Wszystko... w porządku?

W tych słowach kryło się tysiące pytań. Lily mocniej przycisnęła książki do piersi, jakby próbowała się nimi ochronić, i odpowiedziała:

– Tak. Jest dobrze. A u ciebie?

Przez twarz Kath przemknął uśmiech, a jej wzrok na moment powędrował za Lily. Ta wiedziała, że gdzieś za jej plecami czai się Shirley. Kath jak gdyby przełknęła uśmiech, po czym odparła oficjalnym tonem:

– U mnie też w porządku.

Potem musiały się rozstać.

– Do zobaczenia na zajęciach – powiedziała Lily. Kath skinęła głową i rozstały się w ostatniej możliwej chwili.

Po szkole wracały razem do domu, ale ta przechadzka nie przypominała poprzednich. Lily świadomie odnotowywała każdy dotyk między nimi: łokieć Kath muskający jej łokieć, kiedy wychodziły z Galileo; wierzch jej dłoni dotykający biodra Kath, kiedy zatrzymały się na skrzyżowaniu. A jeszcze bardziej zdawała sobie sprawę z ruchomej przestrzeni między nimi, podobnej do niewidzialnej bariery, której nie można było przeskoczyć – przynajmniej nie publicznie.

– Wciąż o tym myślę – powiedziała nerwowo Lily. – O tym, co zaszło.

Kath niepewnie na nią spojrzała.

– Ja też. Wciąż myślę o tobie.

Lily się rozejrzała, by sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy.

– Od jak dawna... wiesz o tym... O tym, jaka jesteś?

– Nie wiem. Chyba od zawsze czułam, że jestem... inna. To nie było zaskoczenie, kiedy odkryłam, co i jak.

Przeszły przez skrzyżowanie Polk i Chestnut Street, po czym ruszyły w stronę stopni wiodących na Russian Hill. Powietrze przesyciła wilgoć, a wiatr bezustannie targał włosy Lily.

– A ty? – zapytała Kath. – Od jak dawna wiesz?

– Trudno powiedzieć. W pewnym sensie od dawna. Ale tak naprawdę to niezbyt długo. Na pewno... od czasu, gdy ty się pojawiłaś. – Uśmiechnęła się z ukosa do Kath.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – odparła również z uśmiechem.

Lily zaśmiała się i... zdrząła. Nie była pewna, czy powodem tego był wiatr, czy uśmiech Kath.

– Pamiętasz tamten dzień, kiedy na Planach i Celach powiedziałaś, że to wcale nie dziwne, że chcę polecieć na Księżyc?

– Pamiętam.

– Chyba wtedy po raz pierwszy cię dostrzegłam.

– Aż tyle czasu potrzebowałaś? – zakpiła Kath.

– Może długo do tego dojrzewałam – odparła cierpko Lily. – A ty kiedy mnie dostrzegłaś?

Kath uśmiechnęła się szeroko.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Ależ tak!

– No to tak... W zeszłym roku pomogłaś mi z jednym twierdzeniem geometrycznym. Pewnie nawet nie pamiętasz. I masz coś takiego... – Kath urwała, chyba zakłopotana.

– Co mam? Co takiego?

– Przygryzasz wargę, kiedy rozwiązujesz trudne zadania z matematyki – dokończyła Kath. – To urocze.

Lily poczerwieniała i zaczęła się śmiać.

– Muszę przestać tak robić na studiach, bo inaczej nikt nie będzie mnie traktował poważnie.

Dotarły do stopni i zaczęły się wspinać, jedna przy drugiej, a od czasu do czasu się o siebie ocierały – nie zawsze przypadkowo. Ich ręce się stykały, dłonie dyskretnie na siebie wpadały, a palce niemal się muskały.

Tuż przed szczytem Kath miękko oznajmiła:

– Chciałabym cię jeszcze raz pocałować.

Ciało Lily przeszył prąd. Musiała się zatrzymać, by złapać oddech. Kath też przystanęła, po czym spojrzały na siebie. Wiatr ucichł, ale zdążył rozwiać włosy Kath na boki jej czoła, zupełnie jakby ktoś potargał je palcami. Lily mogła na nią patrzeć do końca świata – ale samo patrenie nie wystarczało. Niczego nie pragnęła bardziej, niż móc ją teraz dotknąć, ale przestrzeń między nimi zdawała się ostrzegawczo drżeć. Stały na szczycie Russian Hill, na dachu całego miasta, widoczne dla wszystkich.

– Dokąd? – zapytała Lily. – Dokąd możemy iść?

Ostatnia kabina w damskiej toalecie na pierwszym piętrze miała pełnowymiarowe drzwi, ale wiedziały o tym wszystkie dziewczyny i chciały z niej korzystać, kiedy dostawały okresu. Był też ciemny kąt pod schodami do sali gimnastycznej, przy szafkach, ale każdy mógł tamtędy przejść i je zauważyć. A potem Lily przypomniała sobie o magazynku zajęć gospodarczych na drugim

piętrze, zamykanym na klucz, o którym Lily wiedziała, odkąd trafiła do komitetu balowego. Minęło kilka dni, nim udało jej się zdobyć ten klucz. Przygotowania do konkursu Miss Chinatown wchodziły w decydującą fazę (zostały zaledwie trzy tygodnie), toteż po szkole Lily musiała pomagać w sprzedaży losów w Chińskim Szpitalu albo w sklepie ojca Flory czy w Eastern Pearl. Wymyślanie wymówek, by nie realizować kolejnych kaprysów Shirley, przypominało tor przeszkód, ale Lily bała się odmawiać jej zbyt otwarcie, by nie wzbudzać podejrzeń.

W końcu w czwartek po szkole Lily spotkała się z Kath przed kuchnią zajęć gospodarczych i zdjęła klucz z tabliczki nad zlewem, po czym poprowadziła ją do nieoznaczonych drzwi na korytarzu. Upewniła się, że nie ma na nim nikogo oprócz nich, po czym otworzyła drzwi magazynka i razem z Kath wpadła do środka, starannie zamykając je od wewnątrz.

Przestrzeń była zagracona, zakurzona i pogrążona w mroku. Jedynym źródłem światła była szczelina pod drzwiami, a Lily od razu wpadła na stos metalowych misek, które wydały z siebie ogłuszający brzęk.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Ostrożnie. – Kath złapała ją za rękę i odciągnęła od miski. Był to pierwszy raz, kiedy faktycznie się dotknęły od czasu tamtej nocy.

Nagle Lily poczuła dziwne zakłopotanie. Kath była tak blisko. Widziała zaledwie zarys jej głowy i ramion. Magazyn wydierał nikłą woń soku ananasowego, a Lily słyszała w tle odgłosy szkolnego życia. Gdzieś w oddali ktoś trzasnął głośno drzwiami; głosy to narastały, to cichły; czyjeś kroki gwałtownie się do nich zbliżyły, a potem, na szczęście, oddaliły. Magazyn nie zamykał się jednak od środka; każdy mógł tu wejść i odkryć je w środku.

Czuła całą sobą, jak jej dłoń spleciona z dłonią Kath staje się śliska.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kath. – Wydajesz się jakaś... spięta.

– Nie, tylko... – „Spięta” nie było słowem oddającym istotę rzeczy. Prędeż „prerażona”.

Minął niemal tydzień od ich pierwszego pocałunku, tak niespodziewanego, że zdawał się niemal przypadkowy. Dzisiaj miało być inaczej. Planowały się tu spotkać, w tym magazynku, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Wiedziały, co może się zdarzyć, jeśli ktoś je nakryje. Jean już przez to przeszła.

Przez jedną okropną chwilę Lily zapragnęła uciec. Mogłaby przecież po prostu otworzyć drzwi, powiedzieć, że to błąd – właściwie czuła już ulgę czekającą ją na korytarzu. Kath chyba to wyczuła, ponieważ zapytała:

– Zmieniłaś zdanie?

Jej głos był piskliwy i smutny, co sprawiło, że Lily poczuła wstyd.

– Nie – wyszeptała i zrobiła krok w stronę Kath. Ich usta niemal się stykały. Czuła żar oddechu Kath na wargach. Czuła perfumy na jej skórze, aż dostawała od tej woni gęsiej skórki. Ostrożnie wyjęła rękę z dłoni Kath i z rozmysłem, chociaż delikatnie, położyła ręce na szyi Kath, jakby miały rozpocząć wspólny taniec. W ciemności usłyszała wdech i wydech, a potem Kath splotła ręce w jej talii i się pochyliła, by ją pocałować.

Teraz ich pocałunek miał inny, cięższy smak. Wspólnie podjęły tę decyzję, a Lily czuła, z jaką powagą Kath jej dotyka. Przy każdym pocałunku jej usta zdawały się pytać: „Tego właśnie chcesz?”. A Lily starała się potwierdzać – tym, jak przyciągała Kath do siebie, jak pieściła jej miękkie włosy na karku, jak przyciskała swoje piersi do jej ciała.

Tak, właśnie tego.

W piątek po zajęciach z matematyki Kath wzięła Lily na bok, a jej palce przelotnie – wręcz elektryzująco – dotknęły jej ramienia. Gdy inni uczniowie mijali je na korytarzu, Kath powiedziała:

- Panna Weiland zabiera w środę G.A.A. na kręgle.
- Znowu chcesz tam iść? – zapytała zaskoczona Lily.
- Nie. Jej klasa będzie pusta. – Kath zerknęła Lily przez ramię i przysunęła się bliżej, by wyszeptać: – Spotkamy się tam w środę? Kwadrans po zakończeniu lekcji. W drzwiach jest zamek.

W sobotę Shirley zadzwoniła do Lily.

- Zamierzasz dzisiaj sprzedawać losy w szpitalu? – zapytała.
- Tak, a co?

Shirley ciężko westchnęła.

– Już nie musisz. Jedna z innych uczestniczek namówiła kilku członków zarządu Six Companies, żeby kupili ich tysiąc naraz. W życiu jej nie pokonam.

– Co? Ale to nie *fair* – zauważyła Lily.

– Flora powiedziała, że wygram przemówieniem – mruknęła ponuro Shirley. Lily w to wątpiła, ale nie zamierzała jeszcze bardziej psuć humoru przyjaciółki.

– Będzie dobrze – powiedziała, starając się brzmieć przekonująco. – I tak mogę pójść do szpitala. Może tata pomoże mi namówić ordynatorów, żeby też ich trochę kupili.

– Dwa tysiące? – rzuciła z powątpiewaniem Shirley.

Lily się skrzywiła.

– Chyba nie aż tyle. Ale nie dowiemy się, póki nie spróbujemy. Chcesz pójść ze mną?

– Nie mogę. Dzięki za to, co robisz, naprawdę, ale wiem, że nie wygram sprzedażą losów.

Kiedy skończyły rozmawiać, Lily przez dłuższą chwilę stała na klatce schodowej, zastanawiając się, czy powinna zadzwonić do Kath. Skoro nie musiała iść do szpitala w sprawie Shirley, miała wolne popołudnie. Zanim straciła odwagę, wróciła do siebie po zeszyt od matematyki, gdzie Kath kilka dni wcześniej zapisała jej swój numer. Lily zrobiła to samo w zeszycie Kath, ale dotąd żadna z nich nie zadzwoniła.

Pobiegła z powrotem do telefonu i nerwowymi ruchami wybrała numer. Każdy obrót tarczy wydawał się trwać wieki, ale wreszcie usłyszała sygnał połączenia. Wyobraziła sobie, jak budzi się do życia telefon w domu Kath, ale on dzwonił i dzwonił, a nikt nie odbierał. Wreszcie Lily odłożyła słuchawkę.

– Do kogo dzwoniłaś?

Lily zamarła i się odwróciła, widząc matkę w progu kuchni.

– Do koleżanki... do Mary – powiedziała i zaraz pomyślała, że trzeba było nie wymieniać jej imienia.

– Planujesz jeszcze sprzedawać losy po południu? – zapytała matka.

– Tak – skłamała Lily.

– Zaszłabyś przy okazji do Dupont Market, jak będziesz wracać? Potrzebuję imbiru, a ojcu kończy się kawa.

Matka podała jej banknot pięciodolarowy, który Lily wzięła bez słowa. Bała się, że matka jakoś się zorientuje, że skłamała. Ta jednak po prostu wróciła do kuchni. Lily została sama przy telefonie.

Po zjedzeniu lunchu dziewczyna ruszyła przez Grant Avenue w stronę North Beach. Skręciła w Jackson Street i weszła do kilku sklepów, gdzie bezmyślnie przyglądała się wystawom pełnym taniej biżuterii. Teraz, kiedy nie musiała już iść do szpitala, nie miała konkretnych planów na popołudnie, ale z jakiegoś powodu nie mogła usiedzieć na miejscu – była nerwowa i niespokojna. W jednym ze sklepów zobaczyła niedrogi grzebień z kryształkami i spontanicznie go kupiła na następną wizytę w Telegraph Club, żeby ładnie wyglądać dla Kath.

Ta myśl nie dawała Lily spokoju. Zastanawiała się, co jeszcze może kupić. Być może nową sukienkę. I pończochy – takie dla dorosłych. Nowy biustonosz – wyobraziła sobie, jak Kath go widzi, i od tej myśli zrobiło jej się gorąco.

Poszła na północ, zajrzała do kilku sklepów z ubraniami w Chinatown, ale nie znalazła nic, co by jej się spodobało – ruszyła więc dalej wzdłuż Broadwayu i Columbus Avenue, aż na North Beach. Po południu kawiarnie tętniły życiem, a ona mijając wielkie witryny i zaglądała do środka, zerkając na pary pijące espresso i jedzące włoskie łakocie. Chłopcy i dziewczęta, mężczyźni i kobiety uśmiechali się do siebie albo rozmawiali z ożywieniem, dotykali się, nie bojąc się, że ktoś ich zobaczy razem. Poczwała narastającą w brzuchu zazdrość z powodu tej niesprawiedliwości.

Zanim się obejrzała, była już w parku Washington Square, przeszła przez Columbus Avenue i znalazła się na skraju zielonej połaci. Było chłodno, niewiele osób wybrało więc spędzanie czasu na zewnątrz. Katalogowała je uważnie: biała para – kobieta i mężczyzna; trójka białych mężczyzn – być może włoskiego pochodzenia – palących papierosy na ławce; dwie starsze czarne kobiety idące gdzieś razem powoli; chińska dziewczynka – na oko dziesięcioletnia – z kobietą, która prawdopodobnie była jej matką, ściskającą jej rękę. Lily liczyła, że zobaczy gdzieś Kath – nigdzie jednak nie było po niej śladu.

Spojrzała na zegarek. Nadszedł czas, by udać się do Dupont Market, a potem wracać do domu. Zawróciła w stronę China-town i postanowiła pójść Powell Street, po czym skrócić do sklepu. Na skrzyżowaniu między Powell i Green Street zatrzymała się, czekając na zielone światło. Na rogu naprzeciwko niej zatrzymał się samochód. Wyglądał znajomo, ale nie była pewna, dlaczego tak uważa – póki nie otworzyły się drzwi od strony pasażera i ze środka nie wysiadła Shirley.

Lily już-już miała jej pomachać, ale coś ją powstrzymało. Może to, w jak dyskretny sposób się przemieszczała i jak opuszczała kapelusz, jakby chciała zakryć swoją twarz. Lily jednak

rozpoznałaby ją wszędzie; przecież pomagała jej wybrać ten błękitny płaszcz, który przyjaciółka miała na sobie. To był jej ulubiony zakup w ubiegłym roku.

Shirley okrążyła samochód, podeszła do drzwi kierowcy, a szyba się opuściła, ujawniając twarz mężczyzny. Lily z lekkim zaskoczeniem odkryła, że to Calvin Chan.

Shirley nachyliła się do Calvina i pocałowała go. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wysiadł z samochodu, położył dłoń na jej talii i zainicjował kolejny pocałunek. To, jak jej dotykał – jak przedłużali pieszczotę – sprawiło, że Lily zadrżała, uświadamiając sobie, co widzi. (Zanim Kath i ona wyszły z magazynka, ich palce złączyły się i trzymały aż do ostatniej chwili).

Kiedy Shirley się cofnęła, też się uśmiechała.

Ulica zdążyła opustoszeć, ale Lily ani drgnęła. Stała nadal na rogu, obserwując, jak Shirley żegna się z Calvinem i biegnie przez Powell Street w stronę Chinatown. Calvin zawrócił autem na Columbus Avenue. Shirley nie spojrzała w kierunku Lily; wcale jej nie widziała, za to ta dostrzegła, z jaką pewnością przyjaciółka się porusza – wyprostowana, z uniesionym podbródkiem i wolna od wszelkich trosk.

W poniedziałek Lily bacznie obserwowała Shirley, która zachowywała się tak jak zawsze, może poza tym, że wróciła jej motywacja do zwycięstwa w konkursie Miss Chinatown. Wyzaczyła Lily i reszcie zadanie polegające na przerobieniu jej przemówienia, które miała przećwiczyć podczas próby kostiumowej w piątkowy wieczór. Lily i Kath planowały pójść wtedy do Telegraph Club, ale mimo to Lily zgodziła się na próbę – powinna była się skończyć do czasu spotkania z Kath.

We wtorek Kath zostawiła w szafce Lily karteczkę. Zaczęły to robić po przerwie świątecznej, pisząc do siebie krótkie, niepodpisane wiadomości. Lily wiedziała, że powinna ją odczytać na osobności, ale zawsze zbyt szybko się niecierpliwiła – i dziś było podobnie. Rozłożyła karteczkę w szafce, otworzywszy metalowe drzwiczki, by mieć trochę prywatności. Pismo Kath było nieduże i schludne, a tekst krótki i treściwy: „Nie mogę się doczekać jutra”.

Lily się uśmiechnęła, wyjęła ołówek i napisała poniżej: „Ja też”. Starannie złożyła karteczkę, a na matematyce wsunęła ją Kath do ręki. Jej palce niczym piórka otarły się o wnętrze dłoni Kath.

W środę padało. Przez cały dzień deszcz bębnił miarowo o szybę, jakby wygrywał rytm na perkusji. Po szkole Lily krzątała się przy szafce, starannie układając książki, zakładając i zdejmując płaszcz, spoglądając niecierpliwie na zegarek.

Wreszcie nadszedł ten moment. Poszła do sali panny Wei-land, a kiedy dotarła na miejsce, klasa była otwarta i pusta. Blask deszczowego popołudnia wpadał przez na wpół zaciągnięte rolety, zdobiąc podłogę bladymi pasami. Podeszła do jednego z okien i wyjrzała na zewnątrz – rozciągał się z niego widok na podwórze. Stała tam może z minutę, kiedy usłyszała kroki. Odwróciwszy się, ujrzała Kath zamykającą drzwi sali.

Przeszła przez pomieszczenie i z bijącym mocno sercem wyciągnęła dłoń do Kath.

– Zaczekaj – odparła tamta i najpierw zamknęła drzwi od wewnątrz, a potem zaciągnęła rolety.

Lily jej pomogła, a kiedy skończyły, w sali panowała niemal całkowita ciemność. Tylko wąskie, prostokątne okienko w drzwiach wpuszczało trochę światła z korytarza. Gdyby ktoś stanął przy nim i zajrzał do środka, zobaczyłby większość klasy. Lily i Kath wybrały odległy kąt, gdzie widok z okienka zasłaniał wysoki metalowy regał. Nad nim wisiał plakat przedstawiający palmy i plażę ze słowami LOS ANGELES wypisanymi na niebie.

Lily wzięła Kath za rękę i z sercem walącym szybko od podniecenia przyciągnęła ją do siebie. Za

półtorej godziny musiała odebrać Frankiego w Commodore Stockton, co oznaczało, że miały dla siebie raptem godzinę. Już czuła, że czas płynie za szybko, ale coś w niej zdawało sobie sprawę, jak słodkie jest przeciąganie tej chwili, tego nieznośnego momentu tuż przed pocałunkiem. Teraz wszystko mogło się zdarzyć.

W słabym świetle pomieszczenia twarz Kath kryła się w cieniu. Była już tak blisko, że Lily czuła dyskretną woń mięty w jej oddechu i ciepły aromat jej skóry. Potarła nosem szyję Kath, jakby pragnęła ten zapach zatrzymać na zawsze. Pod wargami czuła jej puls, a dłonie Kath gładziły jej głowę. Wreszcie ich usta się zetknęły.

To uczucie nadal było wstrząsające: połączenie ciał, płynące jakby ze szpiku kości, gęste, elektryzujące, słodkie. Wcześniej bała się, że ktoś je nakryje albo że ona sama się odkryje, ale im dłużej się całowały, tym bardziej strach niknął, aż pochłonęły go uczucia o wiele potężniejsze.

Chciała dotknąć skóry Kath. Wyciągnęła skrawek jej bluzki ze spódnicy i wcisnęła pod nią rękę, czując wreszcie ciepło pleców i drżenie ciała Kath, gdy ją dotykała. Kath na moment się odsunęła, sięgając guzików bluzki Lily z cichym: „Mogę?”. Lily pomogła jej rozpiąć ubranie, a potem Kath położyła dłoń na obnażonej talii Lily.

Dziewczyna zamknęła oczy. Dłoń Kath przebiegła po jej żebrach i otoczyła wypukłość piersi, kciuk zaś elektryzującym ruchem nakreślił okrąg wokół sutka przez biustonosz. Następnie Kath wsunęła nogę między uda Lily, która aż jęknęła na to uczucie – ucisk i ruch w tym miejscu. Właśnie tego pragnęła. Zachwycano ją i zdumiewało, jak intuicyjnie współpracowały, jakby od zawsze były stworzone do robienia tego razem.

Lily wtedy poczuła, że brak im czasu. Nie mogła zapomnieć, że mają dla siebie zaledwie godzinę. W miarę jak Kath jej dotykała, a ich spódnice podnosiły się pod wpływem ocierania ciał, pęczniało w niej pragnienie czegoś więcej. Coś pulsowało, jak tykający zegar odmierzający czas do wybuchu bomby. Nie miały czasu, musiały to zrobić teraz.

Wzięła skraj spódnicy, zadarła go aż na biodra i poprowadziła dłoń Kath do szczeliny własnego ciała.

Kath się zawahała.

– Jesteś pewna? – zapytała szeptem.

– Proszę – odparła przejęta Lily.

Kath wsunęła dłoń między jej nogi, a Lily pomagała jej z bielizną. To było dziwne, nieudolne, ale kiedy palce Kath jej dotknęły, obie jęknęły.

– Jestem w dobrym miejscu? – zapytała Kath.

– Tak – odparła Lily.

To z pewnością było dobre miejsce. Palce Kath pocierały ją bez końca, co było cudowne i hipnotyzujące – sama nigdy dotąd tak się nie dotykała – aż w końcu przywarła do boku regału, ten zaś wydał głuchy metaliczny odgłos, gdy uderzyła w niego dłonią.

– Przepraszam – westchnęła, choć tak naprawdę nie żałowała. Wszystko działo się tak szybko, tak niespodziewanie. Przyciskała Kath do siebie, a doznania brały górę. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Wciskała twarz w szyję Kath aż do ostatniej chwili.

Przez jakąś minutę oddychała szybko i głęboko, a Kath ostrożnie trzymała ją w objęciach, przycisnąwszy głowę do regału. Potem pocałowała ją w kark, a następnie się przesunęła, ocierając o udo Lily, i wyszeptwała:

– Mogę... W porządku?

– Tak – odparła Lily, po czym się pochyliła, przytrzymując Kath. Czuła, jak coś wilgotnego ociera się o jej nogę.

To było niesamowite. Lily pomyślała, że to coś absolutnie wyjątkowego. Tak różnego od tych chwil, gdy była sama w swoim pokoju. Tak różnego i tak potężniejszego, nieskończenie

potężniejszego. Kath ocierała się o jej udo, a jej płytki, rwany oddech ogrzewał policzek Lily. Tymczasem ta czule gładziła jej włosy i czuła niebywałą bliskość. Kath była bezcenna. Była cudowna.

Przez cały ten czas Shirley słowem nie wspomniała o Calvinie. Wcześniej Lily byłaby zła albo nawet zazdrosna, ale teraz jej własna tajemnica stała się o wiele ważniejsza.

W piątkowy wieczór Lily przyszła do Lumów, gdzie natknęła się na Shirley oraz Florę w salonie. Shirley miała już na sobie sukienkę od Macy's, a kiedy Lily weszła, przyjaciółka zapytała:

– Patrz, co mam... Ładne klipsy?

– Ze sklepu pana Wonga – dodała Flora.

Lily zdjęła płaszcz i podeszła bliżej, by przyjrzeć się niebieskim łożkom przyczepionym do uszu Shirley. Wyglądały jak małe szafiry.

– Śliczne – przyznała Lily.

– Naprawdę pasują do tej sukni – stwierdziła Flora.

– Lily, a ty jak myślisz? – zapytała Shirley i okręciła się dookoła własnej osi. Sukienka dobrze na niej leżała. Wybrała ażurowy fason w kolorze pastelowego niebieskiego, z długą spódnicą i marszczonym dekoltem. Miała też lakierowane skórzane szpilki w białym kolorze i pełny makijaż, z karmazynową szminką na ustach i kącikami oczu podkreślonymi pociągnięciem eyelinera. Włosy zakręciła na lokówce i spięła grzebieniem z kryształkami.

– Wyglądam jak grzeczna Chinka? – Zatrzepotała rękami.

Lily usiadła na kanapie i ostrożnie dobrała słowa.

– Wyglądasz jak królowa piękności – oznajmiła.

Shirley zacisnęła usta w wąską linię i podeszła do stolika, gdzie spoczywał szkic jej przemówienia.

– Lepiej, żeby jurorzy też tak uznali – stwierdziła.

– Na pewno uznają – powiedziała Flora.

Na schodach rozległy się kroki, a chwilę później w mieszkaniu zjawiała się Mary, niosąc cheongsam Shirley w pokrowcu.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuciła, wpadając do salonu. Odłożyła pokrowiec na oparcie kanapy i rozpięła go, by pokazać suknię, którą jej matka, krawcowa, przerobiła dla Shirley.

– Powinnaś przymierzyć i sprawdzić, czy pasuje.

Cheongsam był lazuroniebieski, jedwabny, ozdobiony haftem w białe kwiaty, by komponować się z suknią od Macy's.

– Ojej, jest piękny! Ale i tak będę przemawiać w tej sukni. – Shirley wskazała ubranie, które

miała na sobie. – Pozwól, że najpierw to przećwiczę. Próba kostiumowa! A potem przymierzę też cheongsam. Dobrze, siadźcie i bądźcie moją publicznością... i jurorami.

Shirley przełożyła cheongsam na jeden z pustych foteli, a Mary dosiadła się do Lily i Flory na kanapie.

Shirley stanęła naprzeciwko nich, oświetlona blaskiem padającym z okien, i ujęła w dłonie kartkę z przemówieniem, po czym się ukloniła.

– Dobry wieczór, panowie – zaczęła.

Flora i Mary zachichotały, bo oczywiście nie były żadnymi panami. Lily wymusiła uśmiech.

– *Gung hei faat choi*[35]. Jestem wdzięczna za tę zaszczytną możliwość przemawiania dziś do państwa. Dogłębnie rozmyślałam nad tym, co to znaczy być Miss Chinatown, i pokornie liczę, iż uznacie mnie za najodpowiedniejszą kandydatkę do objęcia tej roli. Jednym z najważniejszych obowiązków Miss Chinatown, jako przedstawicielki naszej społeczności, jest sprawowanie opieki nad noworocznymi uroczystościami. Święto Nowego Roku to stara tradycja, licząca sobie tysiące lat, ale jest to też możliwość nowego otwarcia w kolejnym roku. Co roku oddajemy cześć naszym przodkom i dziękujemy im za błogosławieństwo. Co roku też przygotowujemy nasze domy i rodziny na to święto, spłacając długi i wymiatając zeszłoroczne kurze.

My, chińscy Amerykanie, przybyliśmy do nowego świata Stanów Zjednoczonych, by wraz z naszymi rodzinami rozpocząć nowe życie. Miss Chinatown powinna reprezentować to, co najlepsze w obu tych tradycjach, dawnej i nowej. Powinna uosabiać siłę chińskiej rodziny i chińskiej tradycji, ale hołdując przy tym najlepszym elementom amerykańskiego stylu życia.

Jestem córką pracowitych imigrantów z Kantonu. Urodziłam się tu, w Kau Kam Shaan[36], a dorastałam, pomagając rodzicom w ich restauracji. Tam zobaczyłam, jak chińska tradycja może się łączyć z amerykańską. Jestem córką starego i nowego świata, dzięki czemu jestem gotowa reprezentować Chinatown u progu Roku Owcy. Pokornie przedstawiam się państwu, drodzy jurorzy, jako posłuszna i odpowiedzialna córka Chinatown. Dziękuję.

Shirley się ukloniła, delikatnie unosząc skraje sukni niczym księżniczka. Lily, Flora i Mary zaczęły klaskać.

– Było naprawdę dobrze – przyznała Flora. – Bardzo skromnie.

– I godnie – dodała Mary.

Lily nie była pewna, czy to przemówienie jej się spodobało. Przypominało oszustwo, manipulowanie sędziami, by na nią zagłosowali.

– Bardzo mi się podobał ten ukłon na koniec – oznajmiła.

– Myślicie, że to wystarczy, żeby wygrać? – zapytała Shirley. – Nie sprzedawałam dość losów.

– I tak możesz wygrać – zapewniła Flora. – Jesteś o wiele ładniejsza niż pozostałe. Widziałam tę, która sprzedawała te wszystkie losy Six Companies. Miała twarz jak krowa.

– Floro! – upomniała ją Mary. – To paskudne.

– Ale to prawda – upierała się Flora. – Jeżeli Miss Chinatown ma być królową piękności, to Shirley powinna wygrać.

– A ty co sądzisz, Lily? – zapytała Shirley. – Nic nie mówisz.

Jej ton uległ subtelnej zmianie. Lily wiedziała, że powinna powiedzieć coś budującego – że Shirley jest najpiękniejsza, że na pewno wygra albo że jurorzy to banda ślepych idiotów. Taka była cena uczestnictwa w paczce Shirley i Lily już ją płaciła. Łatwo było robić to nadal – ale Lily już nie chciała. Dotarło do niej, że już dawno chciała odpuścić. Teraz marzyła już tylko o tym, żeby próba się skończyła i żeby mogła pójść z Kath do Telegraph Club.

– W Miss Chinatown chodzi o wsparcie biznesów w mieście – powiedziała w końcu Lily. – Jurorzy mają w nosie twoją urodę. Wszystkie dziewczyny są wystarczająco ładne. Chodzi tylko o to, ile pieniędzy im dasz. Przecież wiecie, jak to działa.

Flora wzięła gwałtowny wdech, a Mary zmarszczyła brwi. Shirley natomiast popatrzyła na Lily z niechętnym szacunkiem.

[35] „Gratulacje, życzę wszystkiego dobrego”, typowe chińskie życzenia noworoczne, oryg. „恭喜發財” (przyp. aut.)

[36] San Francisco, dosłownie „stara złota góra” (przyp. aut.).

Kiedy Lily wróciła po próbie do domu, okazało się, że Frankie ma problemy żołądkowe. Czekając, aż zrobi mu się lepiej, a rodzice pójdą spać, obserwowała wskazówki zegarka nieuchronnie przesuwające się w stronę godziny, o której miała się spotkać z Kath – i po niej. Kiedy w mieszkaniu w końcu zrobiło się cicho, Lily zdążyła wyruszyć na miejsce spotkania. Miała nadzieję, że Kath poszła do klubu i tam na nią czekała.

Ulice wypełniała gęsta mgła. Lily mocniej otuliła szyję szalikiem. Wokół każdego światła, każdej latarni pojawiała się łuna nieziemskiego blasku, jakby samo powietrze naciskało na Lily. Przyczepiało się do niej jak dym, jak peleryna, a ona czuła, że musi być niewidzialna. Zupełnie jakby samo miasto pomagało jej się ukryć.

W oddali majaczył neon Telegraph Club. Przez Broadway niosła się muzyka, a w powietrzu drżał urywany śmiech. Czuła się jak zjawą sunąca nad ulicami, jak ryba płynąca przez ciemne głębiny. W końcu dotarła na próg klubu, a tam stała Mickey, która powiedziała:

– Twoja przyjaciółka jest już w środku.

– Dziękuję – odparła Lily, po czym przekroczyła próg.

Wewnątrz było ciepło i głośno. Pachniało, jak zwykle, perfumami i papierosami, a w dodatku piwem. Lily słyszała, jak Tommy nuci coś przez mikrofon. Przy barze, koło którego nigdy dotąd nie przechodziła sama, ustawiała się już długa kolejka kobiet – wszystkie się odwróciły, by na nią spojrzeć. Czuła się wystawiona na te spojrzenia. Coś chciało się w niej schować, choć jednocześnie coś innego było zachwycone – tym, że wszyscy na nią patrzyli i każde spojrzenie jak gdyby tworzyło ją na nowo.

Zatrzymała się w przejściu między barem a salą, poluzowała szal w ciepłej przestrzeni i rozejrzała się w poszukiwaniu Kath. Wszystkie zgromadzone w sali osoby patrzyły na scenę, gdzie Tommy w świetle reflektora śpiewała *Secret Love*. Podobnie jak wcześniej, również teraz w tłumie znajdowały się i pary – kobiety i mężczyźni – siedzące blisko sceny. Kobiety były w pół drogi między fascynacją i wstydem, a mężczyźni wymieniali znaczące uśmiechy. Lily zastanawiała się, co takiego myślała. Miała niemal pewność, że cokolwiek to było – ci mężczyźni się mylili.

Zauważyła Kath w towarzystwie Jean i jej znajomych z uczelni stojących w kącie pod ścianą po lewej stronie, na tyłach sali. Lily mogłaby wcale nie dostrzec Kath, ponieważ ta skrywała się w cieniu, ale akurat się pochyliła, by zapalić papierosa, a światło zapalniczki przykuło uwagę

Lily. Płomień na krótko rozjaśnił twarz dziewczyny; jej włosy były zaczesane do tyłu i z przedziałkiem na boku, jak u mężczyzny. Lily zaskoczył ten wygląd, przez co nagle poczuła się niepewnie. Miała na sobie nową sukienkę, tę, którą – jak powiedziała matce – kupiła na konkurs, ale którą tak naprawdę wybrała na dzisiejszy wieczór. Była bardziej obcisła niż jej zwykłe sukienki, z głębszym dekoltem w kształcie litery V, chociaż wciąż dość skromnym. Lecz w tym pomieszczeniu, wśród tych kobiet, nowa sukienka stanowiła deklarację. Jeżeli podejdzie teraz do Kath i usiądzie obok niej, wszyscy będą wiedzieć, co to oznacza.

Tommy rozpoczęła kolejny utwór – żywiołową piosenkę, podczas której flirtowała z kobietami siedzącymi przy scenie. Lily przypomniała sobie, jak fantazjowała, że Tommy śpiewa specjalnie dla niej; teraz ta fantazja wydawała się głupia i naiwna. Marzenie uczennicy.

Rozpoznała uśmiech Tommy, gdy ta się pochyliła, śpiewając do brunetki w kasztanowej koktajlowej sukience. Adresatka piosenki wyglądała na zachwyconą uwagą artystki.

Lily odwróciła wzrok i poczęła przeciskać się przez tłum w stronę Kath. Ta chyba się rozglądała. Lily zdało się, że widzi, jak Kath odkłada papierosa; wydawało jej się też, że dostrzega, jak jaśniejszy kontur twarzy Kath przemieszcza się wyżej, jakby właśnie wstawała.

– Przepraszam – szeptała, wpadając na czyjeś krzesła i przemykając między kobietami stojącymi z tyłu sali. Kiedy to niewielkie pomieszczenie zmieniło się w tak ogromne i wypełnione przeszkodami? Nie zwracała już nawet uwagi na występ Tommy.

W końcu dotarła na miejsce i spostrzegła zarys ramion Kath, choć nie widziała jej twarzy – rozmazanej plamy w zadymionej ciemności.

– Kath – wyszeptała z ulgą. Minęło zaledwie kilka godzin, odkąd widziały się w szkole, ale Lily czuła się tak, jakby upłynęło wiele dni.

– Co się stało? – odszepnęła Kath. – Czekałam, a potem zrobiło się późno.

Ktoś je uciszył. Lily złapała Kath za rękę i pociągnęła na tyły, a potem na korytarz wiodący do schodów. Wnęka pod nimi była pusta, więc Lily wciągnęła Kath w jej cień. Jej skóra zdążyła się zaróżowić z przejęcia.

– Przepraszam, że się spóźniłam – powiedziała. – Frankie się rozchorował i musiałam czekać, aż wszyscy pójdą spać.

Pod schodami ustawiono beczki po piwie i drewniane palety, ale było też dość miejsca dla nich obu. Nad ich głowami szczeliny w stopniach wpuszczały wąziutkie smugi przydymionego, żółtawego światła. Padały na twarz Kath, gdy ta zbliżyła się do Lily, by powiedzieć:

– Cieszę się, że przyszaś.

A potem ją pocałowała.

– Ja też – odparła Lily i odwzajemniła pocałunek.

Kiedy się rozdzieliły, Lily sobie przypomniała, że ma prezent dla Kath. Wyjęła z kieszeni zabawkowy samolot.

– To dla ciebie – powiedziała.

Kath uniosła samolocik i obejrzała go w lepszym świetle.

– Co to? – zapytała. Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Gdy tylko go zobaczyłam, od razu pomyślałam o tobie.

Ojciec Flory założył, że Lily kupiła zabawkę dla najmłodszego brata, a ona nie wyprowadzała go z błędu. Chciała wsadzić samolocik do pudełka i opakować papierem, ale nie miała opakowania w odpowiednim rozmiarze. Jedynym ozdobnym papierem w domu były resztki z prezentów kupionych na święta. Teraz, gdy widziała, jak Kath trzyma ogołocony samolocik, poczuła wstyd.

– To nic takiego – szepnęła Lily. – To nic, jeśli ci się nie podoba.

Kath pokręciła kółkami i się uśmiechnęła.

– Podoba mi się.

Wsunęła samolot do kieszeni i znowu objęła Lily w pasie.

– Chcesz iść na występ?

– Za minutkę.

– Tylko minutkę? – zakpiła Kath.

Lily zachichotała i przyciągnęła Kath do siebie; czuła, że się uśmiecha. Przypomniała sobie, jak zobaczyła tę inną parę pod schodami, i miała wrażenie, że czasoprzestrzeń się zagięła, a ona nie umie stwierdzić, czy widziała wtedy siebie, czy kogoś innego. Ile dziewczyn stało pod tymi schodami, by zatopić się w pocałunku? Lily wyobraziła sobie całą kolejkę takich dziewczyn jak one, otulonych ciemnością i zapachem piwa.

Od strony baru nagle dobiegł krzyk, a na korytarzu zapaliły się światła, dopadając je zniecka.

Tommy nagle przestała śpiewać. Pianistka urwała w pół taktu, a potem z głośników rozbrzmiał głos Tommy:

– Moi drodzy, z przykrością informuję, że musimy dziś szybciej zakończyć wieczór.

Wokół słychać było zaskoczone, zagubione głosy. Światła wciąż i wciąż mrugały.

– Co się dzieje? – zapytała Lily. Wyjrzała na korytarz ciągnący się obok wnęki pod schodami, zakończony zamkniętymi drzwiami.

Ktoś wybiegł z baru i przemknął obok nich, uderzając Lily w ramię. Otworzył drzwi na końcu korytarza i przez nie wypadł, a gdy tylko Lily wyłoniła się spod schodów, pojawiły się też inne kobiety – chyba z kilkadziesiąt – pędzące na złamanie karku w stronę wyjścia.

Kath złapała za rękę jedną z obcych kobiet i zapytała:

– Co się stało?

Kobieta miała na sobie garnitur. Wyrwała się z uścisku i zawołała przez ramię:

– Gliny! Zrobili nalot!

Lily nadal trzymała Kath. Ta ścisnęła jej palce i spojrzała na korytarz. Drzwi okazały się tylnym wyjściem.

– Chodź – powiedziała. Pociągnęła Lily przed siebie, dołączając do tłumu. Lily czuła, jak do wnętrza pomieszczenia wkrada się mgła.

Kath gwałtownie się zatrzymała i odciągnęła Lily na bok.

– Zaczekaj... zostawiłam płaszcz.

Panika była zaraźliwa. Lily myślała tylko o ucieczce.

– Nie możesz wyjść bez niego?

– W kieszeni jest mój dowód. Idź. Dołączę do ciebie.

– Chyba jest fałszywy, prawda? Zostaw go! – Lily nie chciała jej puścić.

– Zapomniałam zostawić w domu prawdziwy. Muszę go odzyskać. Idź... Spotkamy się na rogu, dobrze? – Kath po raz kolejny ścisnęła jej rękę, a potem pobiegła korytarzem, pod prąd względem tłumu. Lily została sama.

Jakaś kobieta precyzyjnie przycisnęła się obok niej, doradzając:

– Lepiej stąd spadaj, zanim cię złapią.

Z bijącym szybko sercem Lily ruszyła za tłumem na zewnątrz, a potem w wąską uliczkę. Było całkiem ciemno, śmierdziało moczem. Budynek wznosiły się po obu stronach, czarne na tle zachmurzonego nocnego nieba. Światło paliło się zaledwie w kilku oknach, co przypominało Lily, jak bardzo jest już późno. Wszyscy wybiegający z Telegraph Club wydawali się zmierzać albo w jeden, albo w drugi koniec alejki. Lily poszła w lewo – sądząc, że zmierza w stronę Columbus Avenue – lecz kiedy dotarła do bocznej uliczki, której nijak nie rozpoznawała, zatrzymała się. Spojrzała za siebie, na ulicę. Otwarte drzwi rzucały na chodnik kwadratową połąkę żółtego światła, oświetlając kałużę jakiejś cieczy, którą wybiegające z budynku kobiety coraz bardziej rozchlapwały.

Nigdzie nie było śladu Kath.

Usłyszała głosy, donośne i natarczywe. Były to męskie głosy – należy do mundurowych z latarkami.

Lily uciekła na drugą stronę nieznaną sobie ulicy. Tam też znajdowała się grupa mężczyzn stojących i palących papierosy w cieniu budynku. Ich rozżarzone koniuszki zdawały się unosić w powietrzu niczym czerwone oczy. Mężczyźni zapewne ją dostrzegli w zaułku ciemnej ulicy, zarzuciła więc gwałtownie głową, po czym dotarło do niej, że zgubiła szal.

Szła dalej, nie mając pojęcia, dokąd idzie. Zmierzała w stronę światła i hałasu, a jej wzrok był nieustannie skupiony na nierównościach chodnika. Ciemniejsze cienie rynien ciągnęły się wzdłuż niego niczym rzeka.

Ulica była krótka i wpadała w większą. Udało jej się na nowo namierzyć Broadway. Po lewej mijąca kalejdoskop białych i niebieskich świateł, obracających się jak karuzela. Z boku budynku, blisko świateł, zwiisał biały neon z napisem „Telegraph Club”.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że przed klubem stoi kilkanaście radiowozów. Obok banneru stała grupa kobiet, stłoczonych jakby dla bezpieczeństwa. Jakiś policjant zrobił krok, oddalając się od jednej z nich, a Lily z początku nie rozumiała, na co właściwie patrzy. Dopiero gdy kobieta się odwróciła z nienaturalnie ułożonymi rękami, dotarło do niej, że policjant zakuł ją w kajdanki.

Lily natychmiast się odwróciła i ruszyła w stronę Columbus Avenue. Z krótkiego spojrzenia na kobietę w kajdankach nie wywnioskowała, by była to Kath. Może poszła w innym kierunku albo dotarła już na Columbus. Dziewczyna przyspieszyła kroku. Zewsząd mijali ją ludzie: ktoś się zbyt głośno śmiał, a jacyś mężczyźni rzucali na chodnik niedopałki, jak gdyby były pociskami, które należało wyminąć. Ktoś inny za nią zawołał:

– Zwolnij, uśmiechnij się, kochanieńka!

Zignorowała ten głos. Była już prawie na miejscu. Widziała w oddali róg, na którym zawsze na siebie czekały. Gdy jednak do niego dotarła, nikogo tam nie było. Światło latarni padało na pusty chodnik.

Nie wiedziała, jak długo tam stoi i drży. Wydawało jej się, że minęły całe godziny. Kiedy zobaczyła radiowóz przejeżdżający ulicą, cofnęła się w mrok. Miała jednak świadomość, że nie może tam czekać całą noc. Z rozpaczą wymieszaną z poczuciem winy odwróciła się i ruszyła do domu, postanawiając, że z samego rana zadzwoni do Kath. Powinna zrozumieć, dlaczego Lily nie mogła czekać na ich rogu.

Dotarła do domu, starając się zachowywać jak najciszej, ale drętwiała z zimna tak bardzo, że potknęła się na schodach. Na dodatek drzwi jej pokoju się zacięły i musiała je otwierać siłą, z gruchotem.

Cisza, która potem nastąpiła, była nie do zniesienia. Lily słyszała odgłos sprężyn i skrzypienie drzwi prowadzących do sypialni rodziców.

Pospiesznie się rozebrała, po czym wcisnęła ubrania pod łóżko i naciągnęła na siebie koszulę nocną. Zrobiła to tak szybko, że niemal zaplątała się w rękawy. Przypadkiem uderzyła palcem u nogi w jedną z nóg łóżka i nie zdołała stłumić bolesnego jęku. Powstrzymując łzy, wsunęła się do łóżka i w ostatniej chwili naciągnęła na siebie kołdrę – ojciec już otwierał drzwi sypialni i pytał:

– Li-li, wszystko w porządku?

Odwróciła się na bok, udając zasnęłą.

– Tak, tato.

– Nie możesz spać?

– Nie.

Wszedł do jej pokoju i usiadł na skraju łóżka. Włączył nocną lampkę, więc Lily musiała się odwrócić do niego twarzą, przywołując nieobecny minę. Położył ciepłą dłoń na jej czole.

– Jesteś rozgrzana.

– Dobrze się czuję. Po prostu nie mogłam zasnąć.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a ona za wszelką cenę starała się wyglądać normalnie – na zmęczoną, ale nic poza tym – i chyba jej się udało, bo koniec końców cofnął rękę.

– No dobrze. Gdybyś rano się kiepsko czuła, po prostu powiedz.

– Powiem.

– Dobranoc.

Wyłączył lampkę i wyszedł, zasuwając za sobą drzwi pokoju.

- 1950 — Judy Hu wychodzi za Francisa Fonga
- Lily uczestniczy w trzecim dorocznym pikniku z okazji Dnia Niepodległości organizowanym przez Związek Chińskich Amerykanów i w konkursie Miss Chinatown
- 1951 — doktor Hsue-shen Tsien trafia do aresztu domowego pod zarzutem bycia komunistą i sympatyzowania z Chińską Republiką Ludową
- 12 sierpnia 1951 — **JUDY zabiera Lily do Playlandu**
- Kalifornijski Sąd Najwyższy wydaje wyrok w sprawie Stoumen przeciw Reilly, w którym stwierdza, że osoby homoseksualne mają prawo do publicznych zgromadzeń, na przykład w barach
- 1952 — Francis rozpoczyna pracę jako inżynier w Laboratorium Napędu Odrzutowego
- 1953 — Judy zostaje zatrudniona jako obliczeniowiec w Laboratorium Napędu Odrzutowego
- Judy zabiera Lily do Planetarium Morrisona w Kalifornijskiej Akademii Nauk w parku Golden Gate

JUDY

Trzy i pół roku wcześniej

Diorama Palarni Opium znajdowała się na lewo od Musée Mécanique w Playlandzie, tuż obok jednej z mechanicznych wrózek, których oczy się przewracały, ilekroć ktoś wrzucił monetę do szczeliny. Judy widziała Palarnię Opium już wcześniej i chociaż za pierwszym razem była nią wstrząśnięta, instalacja ta nie budziła w niej szczególnego obrzydzenia – aż do dzisiaj.

Tego ranka, gdy razem z Francisem szykowali się do odebrania Lily, Frankiego i Eddiego z domu na zaplanowaną od dawna sobotnią wycieczkę, próbowała wyjaśnić Francisowi, że jest za zimno na wypad do wesołego miasteczka.

– Będzie wiatr i mgła – powiedziała. – Zabierzmy je gdzieś pod dach.

Francis jednak oponował.

– Chłopcy chcą iść do Domu Śmiechów, a Frankie miał się pierwszy raz przejechać kolejką górską. Obiecałem im to już w zeszłym miesiącu.

Zapakowali się więc do mercury’ego Francis’a i pojechali do parku rozrywki Playland at the Beach. Judy obserwowała, jak Francis zabiera Eddiego i Frankiego na drewnianą kolejkę górską, a Lily rusza do Musée Mécanique, by karmić monetami mechaniczne dioramy. Nawet jako dziecko Lily szczególnie przepadała za przejażdżkami, za to mogła bez końca oglądać, jak miniaturowe postacie przemierzają swoje malowane drewniane światy i zachwycać się drobnymi, doskonale oddanymi szczegółami. Teraz Lily miała już czternaście lat, a Judy podejrzewała, że jej zainteresowanie mechanicznymi cudami mogło osłabnąć, toteż podążyła za bratanicą.

Jakieś dwa metry od Palarni Opium znajdowała się ławka. Judy usiadła na niej i wyciągnęła z torebki książkę do czytania. Były to *Kroniki marsjańskie* Raya Bradbury’ego, pożyczone od rozmówanego w science fiction Francis’a. Niektóre z jego ulubionych książek uważała za okropne, ale ta konkretna jej się spodobała. Nie mogła jednak skupić się na historii. Z tego miejsca trudno było nie zauważyć, jak Palarnia Opium budzi się do życia, dzieci zaś zdawały się wrzucać monety bez końca.

Diorama nie należała do dużych, miała może kilkadziesiąt centymetrów długości i dwa razy mniej szerokości, lecz zawierała szereg dziwnych stworzeń, które gdy tylko zostały wprawione w ruch, poruszały się albo podskakiwały. Ruchoma makieta przedstawiała palarnię opium

zamieszkałą przez figurki o skośnych oczach, cienkiej jak papier skórze i twarzach pozbawionych jakiegokolwiek wyrazu, mających prawdopodobnie oddawać opiumowy haj. Na jej tyłach, we wnęce, leżała postać Chińczyka, który miotał się i padał raz za razem. Po prawej stronie niepokojąca figurka o twarzy przypominającej czaszkę spadała do palarni ze schodów. Po lewej otwierały się natomiast drzwi, ujawniając wiszący za nimi szkielet. Co zaś najdziwniejsze, zza zaciągniętej kotary na tyłach stale wyskakiwała ogromna kobra.

Dzieci uwielbiały Palarnię – a szczególnie lubiły się śmiać, wskazując na kobrę – ale im więcej razy Judy ją widziała, tym bardziej ją od niej odrzucało. Rzucający się gad o bulwiastej głowie wydawał jej się wulgarny. Z kolei opiumista na tyłach, we wnęce, wyglądał upokarzająco – sprawiał wrażenie bezsilnego i niemogącego opuścić mechanicznego przedstawienia prawdziwej tragedii.

– Jak długo jeszcze tu będziemy? – zapytała Lily, siadając obok niej na ławce.

– Lily! Już skończyłaś? – zdziwiła się Judy. Tak ją przejęła irytacja dioramą, że nawet nie zauważyła zbliżającej się bratanicy.

Lily podążyła za wzrokiem Judy do Palarni i zmarszczyła brwi, patrząc na powtarzający się upokarzający obrazek.

– Nie znoszę tej dioramy – oznajmiła.

– Ja też – przyznała Judy. – Chodźmy. Nie musimy tu być.

Czasem Judy czuła palący, dogłębny gniew na kraj, który ją przyjął, i nie wiedziała, co z nim zrobić. Przybyła do Ameryki, by zdobyć wykształcenie, po czym miała wrócić do domu, ale najpierw poznała Francisa, a potem władzę przejęli komuniści – nie mogła więc niestety wrócić do Chin. Przez te cztery lata Stany dały jej naprawdę dużo, ale niestety regularnie przypominały też, jak postrzega się tu takich ludzi jak ona.

– Dokąd idziemy? – zapytała Lily, biegnąc za nią.

– Chodźmy na plażę – zaproponowała Judy i otworzyła drzwi.

– A co z Eddiem, Frankiem i wujkiem Francisem?

Judy zerknęła na zegarek.

– Umówiliśmy się przed Domem Śmiechów o trzeciej. Mamy trzy kwadransy. Chodź... Chciałabym zobaczyć ocean.

Judy zakochała się w Ocean Beach od pierwszego wejrzenia, czyli blisko cztery lata temu – tuż po tym, jak przyjechała do San Francisco. Wtedy też było chłodno. Pamiętała, jak wiatr smagał jej włosami twarz, gdy wspinała się po wydmach.

To nie była ciepła, słoneczna plaża, jak te z przewodników. Była chłodna i niezmierna niczym sam Pacyfik ryczący dzikimi, spienionymi falami. Kochała Ocean Beach, bo kiedy tu stała, wreszcie czuła w kościach, jak wielki jest ocean. Niemal widziała łuk kuli ziemskiej na horyzoncie – a może tylko go sobie wyobrażała – i to dawało jej fizyczne poczucie tego, jak daleko od domu zawędrowała.

Tak, naprawdę przebyła ogromną odległość. Nie, nie mogła wrócić do domu w najbliższym czasie.

Te myśli dawały jej dziwne poczucie wolności. Była to wolność do przebywania tu, w tym miejscu, właśnie teraz.

Dziś ocean był szary i niemal stapiał się w jedno z niebem. Pamiętała, jak go przepływała, spędzając szesnaście dni na przerobionym amerykańskim statku transportowym w kabine drugiej klasy z szeregiem innych młodych Chinek. Spędziły razem tyle czasu, a teraz ledwie je pamiętała. Zastanawiała się, czy one też czasem o niej myślą – cichej, zamyślanej, przez całą

drogę pochłoniętej przez książki od matematyki i angielskiego. Na pewno uważały ją za dziwaczkę.

Teraz Judy obserwowała Lily, która oddaliła się od niej ku ubitemu piaskowi nieopodal miejsca, gdzie rozbijały się fale, i szukała muszelek. Minęła kupkę wodorostów wyrzuconych na brzeg, wyglądającą jak splątane ze sobą zielone węże. Kiedy woda znowu je zakryła, jeden z ogonów wyskoczył ponad tafłę, poruszając się w przód i w tył niczym kobra w ohydnej Palarni Opium.

I nagle Judy przypomniała sobie wężowatą masę z krwi i tkanek w toalecie w kwietniu, kiedy poroniła. Cięża była na tak wczesnym etapie, że sama dopiero co zaczęła ją tolerować. Wyszła za Francisa dziesięć miesięcy wcześniej i nadszedł czas, żeby ich rodzina się powiększyła – wszyscy tak mówili – ale ona sama niechętnie poszła do lekarza, by potwierdzić swoje przypuszczenia.

Potem zastanawiała się potajemnie, czy to ta niechęć wydała wyrok na jej nienarodzone dziecko. Judy chciała się zapisać na studia doktoranckie z matematyki, ale zaszła w ciążę. Marzyła o kolejnym etapie nauki, nie o potomstwie.

Szarpały nią wyrzuty sumienia. Nawet teraz. Jak mogła być tak bezmyślna? Mogła wcześniej iść do lekarza. Powinna była się domyślić – jakoś – że coś jest nie tak. Pewnie sama sobie była winna, bo nie zwracała baczniejszej uwagi na własne ciało. Zawsze pochłaniały ją myśli o liczbach, wzorach, twierdzeniach. Zawsze była wyjątkiem od reguły, inna od normalnych dziewczyn, które zachwycały się niemowlętami i w całości angażowały w planowanie, szykowanie, oczekiwanie potomstwa. Ona nie lubiła tej ckliwości – nigdy. Być może to znaczyło, że coś jest z nią nie tak, a jej ciało o tym wiedziało i dlatego odrzuciło szansę na macierzyństwo.

W jakimś sensie poczucie winy bolało ją bardziej niż samo poronienie.

Uniosła wzrok znad wężowych wodorostów i odszukała Lily. Kiedy zobaczyła ją na plaży, ruszyła w stronę bratanicy. Czowała się niepewnie, jak zawsze, gdy przypominała sobie straszne wydarzenia minionej wiosny. Zastanawiała się, kiedy to minie. Czasem łapała się na strachu, że nigdy, ale wtedy mitygowała się za dramatyzowanie. W czasie wojny przeżyła koszmary, o których nauczyła się zapominać.

(Ta rozerwana przez bombę kobieta na drodze; lśniące wnętrze).

– Lily! – zawołała, stanowczo odsuwając od siebie te myśli.

(Jej ojciec przybijający gwoździami deski do okien, by odciąć dopływ światła).

Lily usłyszała ją i się odwróciła, czekając, aż Judy do niej dołączy.

Dziewczynka była szczęściarą. Mieszkała w kraju, w którym się urodziła, i nigdy nie doświadczyła wojny u progu domu.

– Co tam znalazłaś? – zapytała Judy.

Bratanica wyciągnęła rękę, pokazując jej fioletowo-czarną muszlę, idealnie pustą i o wnętrzu białym niczym kość.

– Wszystkie ładne muszelki są dziś połamane – przyznała. – Tylko taką znalazłam.

Podniosła rękę i wrzuciła ją z powrotem do oceanu. Ta jednak wylądowała miękko na spienionej fali zmierzającej w stronę brzegu. Woda przywiodła muszlę z powrotem wprost do ich stóp.

Wracały do Playlandu, idąc ramię w ramię po zbitym piasku tak długo, jak tylko się dało, póki nie musiały przejść na ruchome wydmy. Judy po raz ostatni zerknęła na horyzont, wyobrażając sobie, że może powędrować wzrokiem poza kraj – przez te wszystkie kilometry otwartej wody – aż na wybrzeże w Szanghaju.

Dotarli do parku rozrywki, zauważyły Francisa, zanim ten spostrzegł je. Stał przed Domem

Śmiechów, śmiejąc się, a Frankie i Eddie wyciągali długie pasy waty cukrowej z trzymanego przez niego kłębu. Skądś Judy wiedziała, że Eddie zaraz się odwróci i weźmie garść jasnoróżowej waty, machając nią do Lily na jej widok, na co Lily z uśmiechem mu odmacha.

I tak właśnie było.

Si ceng xiang shi[37] – pomyślała Judy. To uczucie, że kogoś już się spotkało, albo to, które Francuzi nazywali *déjà vu*, że coś już się widziało. Prawdopodobnie istniało jakieś naukowe wyjaśnienie tego zjawiska, ale im była starsza, tym bardziej skłaniała się ku wersji, że takie chwile świadczą o istnieniu świata potężniejszego niż ten fizyczny. Jak gdyby istniały stale powtarzające się cykle, których powtórek większość ludzi nie widziała, zbyt pochłonięta swoimi własnymi ścieżkami.

W jednym z cykli doświadczyła już tego dnia w wesołym miasteczku i jakaś część jej mózgu to zapamiętała. Czy to znaczyło, że przeznaczenie chciało, by tu przybyła – do tego miasta w tym kraju – tak daleko od domu? Wsunęła rękę do kieszeni, by dotknąć muszelki, którą wzięła ze sobą z powodu czegoś na kształt przesądu. Skoro ocean im ją oddał – myślała – to znaczyło, że powinny ją wziąć. Te wszystkie znaki wskazywały na tę konkretną chwilę, a potem na kolejną – i tak bez końca.

[37] Oryg. „似曾相識” (przyp. tłum.).

CZEŚĆ VI

Secret Love

Styczeń 1955

Nagłówek na pierwszej stronie zajmował całą szerokość czytanej przez ojca Lily gazety: *Nastoletnie dziewczęta werbowane w barze dla dewiantów*. Lily, gdy tylko to zobaczyła, od razu poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Tost, który akurat przeżuwała, stał się suchy jak popiół i musiała go popić kawą, by się nie zakrztusić.

Artykuł chyba nie zrobił na jej ojcu zbyt wielkiego wrażenia. Dokończył lekturę i z powrotem złożył gazetę, zakrywając pierwszą stronę, po czym zerknął na zegar nad kuchenką. Był sobotni poranek, godzina ósma dwadzieścia sześć, a on miał tego dnia dyżur w Chińskim Szpitalu.

Lily w nocy niemal nie zmrużyła oka. Leżała i czekała na nadejście dnia, by zadzwonić do Kath. W końcu nadchodziła odpowiednia godzina, ale im bardziej zbliżała się do chwili wykręcenia numeru, tym większy niepokój ją opanowywał.

Matka Lily pakowała ojcu lunch, mówiąc:

– Na pewno dasz radę odebrać tę pieczoną kaczkę? Ja nie mam czasu. Musimy posprzątać mieszkanie.

– Mówiłem ci przecież, że tak.

– I wrócisz, zanim przyjadą Judy i Francis?

– Naturalnie. Mają być najwcześniej o dwudziestej.

– Mamo, kiedy będą fajerwerki? – zapytał Frankie.

– O północy, ale ty będziesz już wtedy w łóżku.

– Czemu nie mogę ich zobaczyć?

– Jutro będzie ich więcej. Będą trwały cały tydzień.

Eddie przestał jeść płatki i zapytał:

– Lily, co jest?

Lily przestała jeść. W kółko skubała tylko tost i zmuszała się do kolejnych kęsów.

– Nic.

Ojciec spojrzał na nią zza gazety.

– Żle się czujesz?

– Nie.

– To dobrze. – Odłożył gazetę na stół i wstał. – Muszę iść.

– Dlaczego ją pytasz o samopoczucie? Żle się czujesz, Lily? – zapytała matka.

– Nie.

– Nie spała w nocy – wyjaśnił ojciec. – Pomyślałem, że może zaraziła się od Frankiego.

– Wszystko jest dobrze – zapewniła Lily.

Ojciec wziął z blatu przygotowany dla niego lunch.

– Do zobaczenia wieczorem.

Lily wstała i wyrzuciła do śmieci niedojedzony tost, żeby matka nie zauważyła, że go nie zjadła.

– Lily, musisz dziś zostać z Frankiem – powiedziała matka. – Mam dużo pracy.

– Przecież nie musi ze mną zostawać – zaproponował Frankie. – Eddie też może.

– Eddie ma pracę domową, a ty jeszcze nie wyzdrowiałaś. Lily z tobą posiedzi. Moment...

O której masz się spotkać z Shirley?

– Najwcześniej o szóstej. Jurorzy pojawią się dopiero o siódmej, ale musimy być tam godzinę wcześniej.

– To dobrze. Ale zjedz coś, zanim wyjdiesz. Nie będę miała czasu zrobić wam kolacji.

– Wiem.

– Mogę cię prosić o zdjęcie pościeli? I wstawiłabyś pranie, póki jest jeszcze rano?

– Tak, mamo.

Zanim Lily wyszła z kuchni, zawahała się, ponieważ w rogu stołu leżała porzucona gazeta. Chciała ją wziąć, ale nim zdołała po nią sięgnąć – matka usiadła przy stole, wzięła ją i przekartkowała do działu społecznego na końcu. Lily przez chwilę ją obserwowała, zastanawiając się, czy wróci do pierwszej strony. Tak się jednak nie stało.

Musiała zaczekać do wyjścia matki, by skorzystać z telefonu. Zdążył nastać późny poranek, a ona z trudem skrywała zdenerwowanie. Kiedy już się upewniła, że Eddie i Frankie są w salonie, podeszła do telefonu i nerwowym ruchem uniosła ciężką czarną słuchawkę, po czym wybrała z pamięci numer Kath. Coś kliknęła i rozpoczęła połączenie. Kiedy tak stała i czekała, aż ktoś odbierze, dzwoniący sygnał powtórzył się kilkakrotnie. Nikt jednak nie odebrał. Po dziesięciu sygnałach odłożyła słuchawkę z bijącym szybko sercem.

Wybrała numer ponownie.

Znowu policzyła do dziesięciu sygnałów. I znowu nikt nie odebrał. Tym razem, kiedy się rozłączyła, opadła na ławkę. Głowa ciążyła jej ze zdenerwowania. Powtarzała sobie, że brak odpowiedzi jeszcze niczego nie oznacza. Może gdzieś wyszły – tak jak zrobiła to jej matka – może po prostu cała rodzina Kath jest poza domem. Wyobraziła sobie ich wszystkich na rynku albo w parku, albo...

Nagle przypomniała sobie o artykule w gazecie, zerwała się na równe nogi i wróciła do kuchni. Znalazła „Chronicle” w koszu na śmieci. Papier nasiąkł już fusami od kawy. Strząsnęła je, na ile się dało, i rozłożyła. Pierwsza strona była mokra na dole, z prawej strony, ale nagłówek wciąż wyglądał świeżo – był zaskakująco wielki.

NASTOLETNI DZIEWCZĘTA WERBOWANE W BARZE DLA DEWANTÓW

W piątkowy wieczór policja dokonała przeszukania baru w North Beach, znanego jako Telegraph Club, po tym jak funkcjonariusze otrzymali informacje, że miejsce to od dawna służyło do „gejowskich” polowań mających na celu werbowanie nieletnich dziewcząt do nierzędu. Mieszczący się przy Broadway 462 klub od kilku miesięcy znajdował się pod obserwacją. Jak donosi inspektor J. L. Herington z policji San Francisco, starsze kobiety zmusiły co najmniej tuzin nastoletnich dziewcząt do uczestnictwa w niemoralnym szkoleniu obejmującym między

innymi zażywanie marihuany i benzedryny, a także zachęcały do uczestnictwa w tajnych zgromadzeniach w domach seksualnych dewiantów.

Na podstawie zeznań wielu nastoletnich dziewcząt przesłuchanych w Centrum Pomocy Młodzieży zostały wystawione zarzuty wobec właścicielki Telegraph Club, Joyce Morgan, oraz Theresy Scafani występującej w klubie jako kobieta w męskim przebraniu pod pseudonimem Tommy Andrews. Obie aresztowano. Są oskarżane o demoralizację nieletnich, a Scafani dodatkowo o nieobyczajność.

Inspektor Herington opowiedział nam potworną historię o odrażających czynach, spośród których wiele nie nadaje się do zacytowania w prasie, z udziałem uczennic w wieku od 16 do 18 lat, w tym z dobrych domów.

– Istniał tam pewien wzorzec postępowania – wyjaśnia inspektor Herington. – Dziewczeta szły do Telegraph Club na występ, a potem były pojone alkoholem i zapraszane na randki przez starsze kobiety, seksualne dewiantki. Kiedy któraś z dziewcząt łapała haczyk, werbowała także swoje szkolne koleżanki.

Z początku ofiary sądziły, że to żart, jak wytłumaczył nam inspektor. Lecz szybko część z nich zaczęła nosić męskie ubrania i zachowywać się jak tak zwane „butches”, powtarzając zachowania starszych kobiet, przez które zostały uwiedzione. Dewiantki zapraszały niczego niepodejrzewające nieletnie do swoich mieszkań w North Beach i na Telegraph Hill, gdzie częstowały je papierosami zawierającymi marihuanę oraz oferowały sprzedaż benzedryny, znanej także jako amfetamina.

Artykuł ciągnął się na stronie piątej i zawierał sensacyjne fotografie mieszkania w North Beach, które miało należeć do właścicielki Telegraph Club, Joyce Morgan, gdzie znaleziono torebkę z marihuaną. W tekście wspomniano o „wielu nastoletnich dziewczętach”, ale nie wymieniono żadnych nazwisk. Lily przeczytała go kilkakrotnie, z nadzieją i obawą, że umknęło jej nazwisko Kath, którego tam jednak nie było. Przy każdej kolejnej lekturze artykuł wydawał się coraz dziwniejszy. Jakby autor wziął nieco prawdy i nadał jej charakter taniej powieści kryminalnej. Kiedy go czytała, czuła się brudna.

Zgniotła gazetę i wsadziła ją z powrotem do śmietnika, czując mdłości. Nalała sobie wody, ale nie mogła jej wypić. Zamarła, patrząc w okno niemym wzrokiem, a w środku narastała w niej panika. Nie była w stanie myśleć o niczym oprócz Kath. Pamiętała, jak stały pod schodami w Telegraph Club, otulone kokonem ciemności, i całowały się przy akompaniamencie śpiewu Tommy, który brzmiał niczym zapętlona stara płyta. Musiała ustalić, co się stało z Kath.

Pobiegła na korytarz, podniosła słuchawkę i ponownie wybrała numer, ale znowu nikt nie odebrał. Zdenerwowana, odłożyła słuchawkę, nie wiedząc, co robić dalej. Żałowała, że nie zna adresu Kath – mogłaby pójść pod jej dom i zaczekać, aż wróci... A potem spostrzegła skraj książki telefonicznej na półce pod telefonem. Wyjęła ją i uklękła na podłodze, przerzucając kartki, póki nie dotarła do nazwiska Miller. Oznaczała palcem kolejne numery, szukając tego należącego do Kath. Znalazła go w połowie strony. Wzięła ołówek i wydarła kartkę z notesu leżącego obok telefonu, po czym zapisała adres z North Beach.

Nagle rozbrzmiał dzwonek do drzwi. Lily zamarła i odłożyła ołówek, który natychmiast stoczył się pod stolik. Schyliła się, żeby go podnieść, ale wtedy ktoś znowu zadzwonił – kilkakrotnie, natarczywie.

Eddie wystawił głowę z salonu na końcu korytarza.

– Lily? Otworzysz?

Odłożyła ołówek, po czym wstała – napięta i niepewna – irracjonalnie myśląc, że to na pewno policja.

– Zostań z Frankiem – przykazała bratu.

– Dlaczego?

– No, idź!

Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, ale cofnął się, tylko niepewnie na nią spoglądając. Dzwonek zadzwonił ponownie, a Lily zeszła po schodach. Na dole położyła rękę na zamku, pytając:

– Kto tam?

– Lily? To ja, Shirley. Wpuść mnie.

Zaskoczona otworzyła drzwi. Shirley stała na progu z torebką i pokrowcem.

– Co ty tu robisz? – zapytała Lily. – Coś nie tak z sukienką? Myślałam, że spotykamy się na miejscu.

– Dopiero odebrałam suknię z pralni. Musimy pogadać.

W wyrazie jej twarzy można było dostrzec coś dziwnego.

– O czym? – zapytała Lily, zastanawiając się, czy rodzice przyjaciółki dowiedzieli się o Calvinie.

– Mogę wejść?

Lily zaprosiła ją do środka, a Shirley od razu wbiegła w głąb mieszkania. Zamknąwszy drzwi na klucz, Lily podażyła za nią.

– Coś się stało?

Lily usłyszała, jak Eddie wita się z Shirley i jak ta krótko odpowiada. Shirley zzuła buty i odłożyła torby.

– Twoi rodzice są w domu? – zapytała.

– Nie.

– Chodźmy do kuchni.

– Czemu? Co jest?

Poszły do kuchni, a Shirley zamknęła drzwi, stanęła przy stole, jakby miała usiąść, ale ostatecznie zrezygnowała i ze skrzyżowanymi rękami podeszła do zlewu.

– Nie wiem, jak mam to powiedzieć – zaczęła.

– Ale co? Chodzi o twoją rodzinę?

– Z moją rodziną wszystko gra. Chodzi... o ciebie. – Shirley spuściła wzrok, jakby patrzenie na Lily sprawiało jej ból. – Ktoś cię widział wczoraj wieczorem... a właściwie w nocy... jak wychodziłaś z jednego klubu w North Beach. Ubiegłej nocy była tam policja, bo... Naprawdę, nie jestem w stanie nawet o tym mówić. Powiedziałam, że to pomyłka, bo co miałabyś robić w takim miejscu? Ale ta osoba uparcie twierdzi, że widziała właśnie ciebie. To nieprawda, tak? Powiedz, że to nieprawda.

Lily musiała usiąść. Z początku nie mogła uwierzyć w to, co mówi Shirley, ale powoli – zbyt powoli, a potem gwałtownie, jakby doszło do wybuchu, który tylko ona była w stanie usłyszeć – zaczęło do niej docierać.

Shirley wiedziała.

– ...mówiłam, że to nie w twoim stylu. Znam cię od dziecka. Wiedziałabym, gdybyś taka była, ale nie jesteś. Lily, czemu nic nie mówisz? To nie byłaś ty, prawda? Nie ty.

W tej jednej chwili Lily pojęła, przytłaczająco i z całą mocą, jak niewiarygodnie głupia była, jak naiwna, jak straszliwie bezmyślna, sądząc, że może chodzić do Telegraph Club raz za razem bez żadnych konsekwencji. Może raz by się udało, gdyby była bardzo ostrożna. Ale ona była tam kilka razy. Wychodziła z domu w środku nocy i przechodziła przez Grant Avenue – samo Grant Avenue! – gdzie mijają sklepy i restauracje należące do ludzi, którzy znali ją od dnia narodzin, i nawet nie zakrywała twarzy. Odważnie zakładała, że w North Beach nikt jej na pewno nie rozpozna. Bezmyślnie przeoczyła fakt, że będzie samotną młodą Chinką na Broadwayu o drugiej

w nocy i że to samo w sobie wzbudza najwyższą podejrzliwość. Niebezpieczeństwo istniało zawsze, ale ona wolała je ignorować, a teraz Shirley tu była, patrzyła na nią i błagała, by Lily skłamała co do tego, gdzie była.

Lily wiedziała, że nie powinna mówić jej prawdy. Powinna powiedzieć Shirley to, co ta chciała usłyszeć. Może ten, kto powiedział o tym Shirley, wspomniał o tym tylko jej, a jeżeli Lily zaprzeczy, Shirley położy plotce kres. Zaledwie jednak pojawiła się ta myśl, gdy do Lily dotarło, że jest już za późno. Plotki obiegały Chinatown lotem błyskawicy.

– Kto mnie widział? – zapytała.

Shirley wyraźnie się zmieszała.

– Jakże to ma znaczenie?

– Chcę wiedzieć. Kto mnie widział?

Shirley zmarszczyła brwi.

– Wallace Lai. Jeden z kolegów Calvina.

Jakżeby inaczej!

– Chcesz powiedzieć, że się nie pomylił? – zapytała Shirley.

Lily nie odpowiedziała. Wcale nie musiała. Widziała, że Shirley już o wszystkim wie – ta wiedza przepływała przez jej twarz niczym fala po powierzchni stawu. Jej oblicze stężało, stało się chłodne, a w końcu odwróciła wzrok, jakby nie mogła znieść patrzenia na Lily.

– Po co miałabyś chodzić w takie miejsca? Byłaś tam z Kathleen Miller? – zapytała, cierpko wymawiając nazwisko Kath.

Lily się nastroszyła.

– Co cię to obchodzi?

– Aresztowali ją w nocy.

Lily poczuła się tak, jakby zabrakło jej tchu.

– Co? Skąd wiesz?

– Jedna z sąsiadek Kathleen jest w komitecie balowym. Zadzwoiła i mi powiedziała. Rano policja przysłała do domu Kathleen. Wszyscy sąsiedzi już wiedzieli.

– Jest już w domu? Wszystko z nią w porządku? – Lily chciała wydobyć z Shirley jakiegokolwiek informacje.

– Nie wiem. Czy ty i Kathleen... – Spojrzała przelotnie na Lily, a ta ujrzała w jej szybkim spojrzeniu odrazę. – Nieważne, nie chcę tego wiedzieć. Przyszłam ci to powiedzieć, bo się przyjaźnimy... A przynajmniej tak sądziłam, dopóki nie odkryłam, że mnie okłamujesz. I to w kwestii czegoś tak... nienaturalnego. Nie wierzę, że mogłabyś coś takiego zrobić. Kathleen ci to zrobiła?

Ton miała oskarżycielski, ale z cieniem nadziei, jakby była gotowa wybaczyć Lily wszystko, jeśli ta zapewni, że to Kath ją do tego zmusiła. To bolało. Teraz to Lily odwróciła wzrok. Shirley nigdy nie wierzyła, że Lily mogłaby coś zrobić sama z siebie. Zawsze uważała ją za naśladowczynię, ale być może Lily nigdy nie dała jej powodu, by sądzić inaczej – aż do teraz.

– Kath nic mi nie zrobiła – oznajmiła.

– Ależ oczywiście, że tak. To... To *kwai lo*[38]. Chińczycy nie chodzą w takie miejsca. Chińczycy tacy nie są. Widzę, że jesteś zagubiona. Musieli ci tyle zrobić... Och, jestem na nich wściekła za to, że cię skrzywdzili!

– Nikt mnie nie skrzywdził – powiedziała z naciskiem Lily.

– Nie rozumiesz? – Shirley podeszła do stołu, usiadła i spojrzała jej w oczy. – Lily, musisz się ocknąć. Oczywiście, że ktoś cię tam zaciągnął wbrew twojej woli, uwiódł albo... Nie chcę nawet myśleć, co oni mogliby chcieć zrobić z chińską dziewczyną. To ohydne. Ale możesz się z tego otrząsnąć. Nie pozwól, żeby to zniszczyło twoje życie. Kathleen Miller, dzięki Bogu, została

aresztowana i nic ci już nie zrobi, ale musisz się przyznać do błędów. Może nie jest jeszcze za późno dla ciebie i Willa. Mogę z nim porozmawiać.

Shirley mówiła dalej o tym, jak to Will nadal coś czuje do Lily i że to tylko taka faza, na co serce Lily biło coraz szybciej. Musiała się pochylić i skryć twarz w dłoniach, głęboko oddychając. Pod sobą miała drewnianą podłogę pokrytą okruszkami, które spadły jej zapewne z tostów całe godziny temu. Bezsensownie przyszło jej do głowy, że musi posprzątać, zanim wróci matka.

– Z Wallace’em Laiem też rozmawiam – ciągnęła Shirley. – Powiem mu, że się pomylił i że komu by czego nie powiedział, musi przyznać, że nie miał racji.

– Przestań – powiedziała Lily, ale dłonie stłumiły jej głos.

– Niestety, nie był sam, kiedy cię widział. Ktoś już mógł się o tym dowiedzieć, ale mówiłam Calvinowi, aby powiedział Wallace’owi że ty taka nie jesteś. Powiedziałam mu, że...

– Przestań! – Lily wstała, gwałtownie odsuwając krzesło, aż jego nogi zaskrzypiały o podłogę.

– Lily...

– Nikt mnie nie zmuszał, żebym tam chodziła – powiedziała ze złością Lily. – Nikt mnie w ogóle do niczego nie zmuszał. Poszłam tam, bo chciałam. Nie chcę chodzić na randki z Willem Chanem, a ty dobrze wiesz, że on nie chce mieć ze mną nic wspólnego! Nie będziemy urządzić podwójnych randek z Calvinem i Willem... Bo tego chcesz, prawda? Wiem, że spotykasz się z Calvinem. Widziałam, jak podrzucił cię na North Beach.

Shirley zbladła jak papier.

– A co ma piernik do wiatraka?

– Powiedziałaś, że cię okłamywałam. Ty mnie też okłamywałaś.

Shirley, dotąd patrząca tylko na Lily, nagle wstała.

– Skoro tak wszystko wiesz, to wiesz też, czemu o tym nie mówiłam!

– Bo jest komunistą.

– Wcale nie! Nie bądź dziecinna. Nie jest komunistą, tylko Amerykaninem, który ma prawo chodzić na takie zgromadzenia, na jakie chce. Z Calvinem wszystko jest w porządku. Kocham go. – Zacerwieniła się, mówiąc to i coraz bardziej podnosząc głos. – Ale z tym klubem nic nie jest w porządku. Ani z Kathleen Miller. Przynosisz rodzinie wstyd, który...

– Wstyd? – przerwała jej Lily. – A wiesz, co jest gorsze od wstydu? Deportacja.

Shirley zamarła.

– Możesz sobie wierzyć we wszystko, co mówi ci Calvin, ale to bez znaczenia, czy faktycznie jest komunistą, jeżeli rząd go za takiego uważa. Wiesz, że FBI przesłuchiwało mojego ojca w jego sprawie? Calvin ci o tym opowiadał? Chcieli, aby mój tata powiedział, że Calvin to znany komunist, a on tego nie zrobił, więc zabrali mu papiery. Mój tata jest w niebezpieczeństwie, bo bronił twojego chłopaka! Jeżeli go deportują, bo twój chłopak chce być Amerykaninem i chodzić, gdzie chce... Jesteś taka głupia!

Z wściekłości zabrakło jej tchu. Słowa wylały się z niej potokiem.

Shirley momentalnie zamilkła, a z jej twarzy zniknęły wszelkie emocje, jakby zmieniła się w manekina. Nawet czerwone plamy na policzkach wyglądały jak namalowane. Wzięła szybki, gwałtowny oddech.

– Skoro tak uważasz, to w sumie nie mamy o czym rozmawiać. Chyba nie ma sensu, żebyś szła ze mną na konkurs Miss Chinatown. Nie mogę się pokazywać w towarzystwie kogoś takiego jak ty. Powinnaś wiedzieć, że twoi rodzice i tak się o tym dowiedzą. Wszyscy się dowiedzą, bo usłyszą plotkę od Wallace’a Laia, a jeżeli nie zamierzasz nawet zaprzeczać, to ja nie mogę ci pomóc. Próbowalam. Mówiłam ci przecież jesienią, nie pamiętasz już? O Kathleen Miller. Ostrzegałam cię, ale ty mnie nie słuchałaś. Staralam się cię pilnować. – Głos Shirley zdradziecko się łamał, a jej oczy aż się zaszklily i musiała częściej mrugać. – Ale ty tego nawet

nie doceniłaś – dodała i skierowała się w stronę drzwi.

Kiedyś Lily podziwiała to, z jak niezachwianą pewnością Shirley zmierza przez życie, jakby nosiła nienaruszalną zbroję chroniącą ją przed wszelkimi złymi językami, prawdziwymi czy urojonymi. Zazdrościła jej tej zbroi, choć teraz widziała, że to tylko iluzja. Ci, którzy mieli odpowiednią wiedzę, mogli ją podziurawić jak sito. Lily znała Shirley lepiej niż ktokolwiek; mogła ją bezmyślnie zranić – i właśnie to zrobiła.

„Kocham go” – przyznała Shirley. Miłość miała być usprawiedliwieniem wszystkich jej sekretów, ale była też jej słabością. Lily to rozumiała.

Nagle poczuła się paskudnie.

– Shirley, zaczekaj! – powiedziała. Dotknęła jej ręki i spróbowała ją zatrzymać.

Mina Shirley ją powstrzymała. Na jej twarzy malował się wyraz najczystszej wstrętu. Wzrok Shirley opadł na rękę Lily. Wyrwała się.

Lily, przerażona i upokorzona, zaczęła:

– Nie możesz myśleć...

Shirley nawet na nią nie spojrzała.

– Sądzę, że odtąd powinnaś się trzymać ode mnie z daleka.

Lily prawie się zaśmiała.

– Dobry Boże. Sądziś, że... Ja przecież nigdy... – Umilkła, a twarz paliła ją nieznośnie.

Shirley pomaszerowała do kuchennych drzwi i gwałtownie je otworzyła, gotowa zebrać swoje rzeczy z ławki na korytarzu. Lily ani drgnęła; nie wierzyła w to, co Shirley sugerowała. Cisza między nimi żyła jak gdyby własnym życiem. Lily zbyt głośno słyszała, jak Shirley zakłada buty, szelest, gdy przewieszała pokrowiec przez ramię.

A potem nagle wróciła za próg. Wyjęła coś z torebki i podała Lily.

Jej szal. Zwisał z ręki Shirley niczym brązowy wełniany wąż. Jeden z jego końców był pozbawiony kolorów, jakby przeciągnięto go przez rynsztok.

– To twoje, czyż nie? – rzuciła.

Na końcu szalika znajdowała się naszywka przyszyta do wełny z wyhaftowanym białą nicią inicjałem „L. Hu”. Lily sama ją zrobiła. Pamiętała, że po wyjściu z klubu zgubiła szal, ale nie wiedziała, kiedy dokładnie.

Zrobiło jej się słabo.

– Wallace znalazł go na ulicy – wyjaśniła Shirley. – Przyniósł go rano Calvinowi. Mówiłam im, że to pomyłka, że może ktoś go ukraść, ale... – Shirley potrząsnęła głową. – Pomyślałam, że powinnam ci go przynieść, żeby przynajmniej oni go nie mieli.

Lily nie odpowiedziała, więc Shirley rzuciła szal na najbliższe krzesło i wyszła.

Kiedy schodziła po schodach, Lily wyraźnie usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Zawiasy skrzypnęły, a drzwi wejściowe się otworzyły. Potem rozbrzmiał głos jej matki:

– Shirley! Co cię tu sprowadza?

Przez tę chwilę, nim Shirley odpowiedziała, Lily była ponuro pewna, że przyjaciółka zaraz ją wyda, ale ta po prostu oznajmiła:

– Rozmawiałam z Lily o dzisiejszym konkursie Miss Chinatown. Nie przyjdzie.

– Ale myślałam, że... Co się stało?

– Tak będzie lepiej. Pójdę już.

Lily wyobraziła sobie zaskoczone spojrzenie matki. Wyobraziła sobie też, jak Shirley ucieka od tego spojrzenia, schodzi po ostatnich stopniach, a chwilę później zamykają się za nią drzwi. Lily pospiesznie zdjęła szal z krzesła i odwiesiła go na wieszak w przedpokoju. Słyszała, jak matka powoli wchodzi po schodach, a potem pojawiła się w polu widzenia z dwoma pułkami z piekarni. Odłożyła je na ławę, po czym zdjęła płaszcz i buty.

Lily stała nerwowo przed kuchnią. Ogarnął ją paraliżujący strach, a w jej głowie aż huczało.

– Co się dzieje? – zapytała spokojnie matka. – Znowu pokłóciłaś się z Shirley?

Lily pamiętała, że wieczorem przyjadą ciocia Judy i wujek Francis, a wujek Sam z całą rodziną wpadną rano. Myśl, że wszyscy zbiorą się w jednym mieszkaniu – i zostaną tam przez cały tydzień noworocznych uroczystości – sprawiała, że pulsowanie w głowie narastało. Musiała złapać się framugi, żeby nie stracić równowagi.

– Dobrze się czujesz? – zapytała matka.

Lily zamknęła na moment oczy i wzięła płytki oddech w bezowocnej próbie uspokojenia narastającej paniki. *Plotka Wallace'a Laia*. W słowach Shirley kryła się oczywista groźba. Lily wiedziała, że ma dwie opcje: albo zaczeka, aż plotka obiegnie całe Chinatown i dotrze do jej rodziców, albo sama im teraz powie. Nie wiedziała, ile czasu potrwa, nim usłyszą to od kogoś, ale ponieważ był noworoczny tydzień, plotka powinna się rozprzestrzenić szybko – i prawdopodobnie usłyszą ją w obecności całej rodziny. Myśl, że miałyby spojrzeć w oczy wujkom i... O Boże, babcia też przyjeżdżała...

Ciężko jej było oddychać. Czuła mdłości, a matka zapytała:

– Jest ci niedobrze? Może zaraziłaś się od Frankiego?

– Nie – odpowiedziała Lily, ale nie opierała się, kiedy matka do niej podeszła i zaprowadziła z powrotem do kuchni, przechodząc obok miejsca, z którego Shirley patrzyła na nią jak na zboczoną.

– Usiądź – powiedziała matka, a Lily nie protestowała.

Kobieta położyła chłodną dłoń na jej rozgrzanym czole i poszła po szklankę wody, tę samą, którą Lily wcześniej próbowała wypić. Ten widok paradoksalnie ją uspokoił – był tak niedorzeczny. Wszystko się powtarzało. Nie mogła się wydostać z kuchni; zmieniała się tylko jej rozmówczyni. Oto jej matka siedziała naprzeciwko niej, brała ją za ręce, pocierała je, jakby Lily zmarzła. Dziewczyna czuła matczyną obrączkę ocierającą się o jej skórę, ale twarz matki jak gdyby się rozplýwała, traciła ostrość. Tylko oczy patrzyły na nią z kochającą troską, a Lily pomyślała: *Już nigdy tak na mnie nie spojrzysz.*

[38] „Obcy diabeł”, por. przypis 23.

Lily podeszła do śmietnika i wyjęła z niego pomiętą gazetę. Przyniosła ją do kuchni i rozłożyła na kuchennym stole, wygładzając pomarszczone, wilgotne rogi. Prawa połowa pierwszej strony była podarta, a litery nagłówek rozmazane, ale wciąż dało się odczytać artykuł.

– O co chodzi? – zapytała matka.

– Byłam tam ubiegłej nocy. W Telegraph Club. Shirley przyszła, aby mi powiedzieć, że ktoś mnie widział.

Lily ponownie usiadła i czekała, spoglądając na swoje dłonie. Farba drukarska odcisnęła się szarością na jej opuszkach.

– Nie rozumiem. Ten artykuł nie ma z tobą nic wspólnego.

– Byłam tam – powtórzyła Lily. – Nie wiem, jak mam ci to inaczej wytłumaczyć – dodała z cieniem rozpacz.

Matka wzięła gazetę i zaczęła czytać. Kiedy odwróciła stronę, by przeczytać drugą część, Lily zamknęła oczy. Tykanie zegara nad kuchenką brzmiało jak odliczanie. Czuła się niemal tak, jakby dryfowała poza ciałem. Nie było jej w tym miejscu. Nie mogło być.

– Nie piszą tu o tobie – powiedziała matka, ale brzmiała na nieobecna.

– Nie, ale byłam w tym klubie – powiedziała Lily. – Wallace Lai mnie przed nim widział.

Gdzie dokładnie ją widział? Przypomniała sobie o mężczyznach po drugiej stronie ulicy i ich rozżarzonych papierosach.

– Nie mogłaś być w tamtej okolicy – powtórzyła matka. – Byłaś w domu. Spałaś.

Lily otworzyła oczy. Matka była blada jak ściana, wyglądała wręcz nienaturalnie białą.

– Wysłałam – powiedziała Lily. Była pewna, że jej twarz jest czerwona, bo gdy to mówiła, czuła, jak krew uderza jej do głowy. – Poszłam do klubu. Wallace Lai mnie tam zobaczył, a Shirley przyszła, żeby mi o tym powiedzieć. Wszyscy się niedługo dowiedzą. Uznałam, że powinnaś to usłyszeć ode mnie.

Wzrok matki znów opadł na gazetę. Na stronie sąsiadującej z drugą częścią artykułu widniała reklama damskich wyrobów pończosznicy, ilustrowana kobiecymi nogami w samych pończochach. Wydała się Lily celowo wulgarna, a matka, jak gdyby podzielała to zdanie, zamknęła gazetę i ją odwróciła.

– To musiała być pomyłka – powiedziała spiętym głosem. – Jesteś grzeczną, małą Chinką. Kogokolwiek by Wallace Lai nie widział, to nie byłaś ty.

Lily czuła się tak, jakby utknęła na popsutej trasie dioramy, jakby była nie sobą, a jedynie figurką chińskiej dziewczynki stale wracającej na początek, zamiast iść dalej przez miniaturowy świat. Było jasne, że gdyby zgodziła się z matką – i Shirley – i gdyby powiedziała im to, co chcą usłyszeć, mogłaby ruszyć naprzód po ustalonej trasie. Ale musiałyby tym samym wymazać wszystkie wizyty w Telegraph Club; musiałyby zaprzeczyć samemu pragnieniu, by tam iść. Musiałyby zagłuszyć uczucia wobec Kath, a one zdawały się tak ogromne, że bała się, iż dłużej tego nie wytrzyma. Czy to właśnie znaczyło „kochać kogoś”? Żałowała, że nie zapytała Shirley, jakie to uczucie.

Matka czekała, aż Lily powie, że to była pomyłka, ale Lily nie mogła tego zrobić.

– Nie – odpowiedziała. Jej głos brzmiał okropnie, ale pozwalał częściowo rozładować napięcie. – Nie pomylił się. Byłam tam.

– Lily, nie wiesz, co mówisz.

– Wiem bardzo dobrze – odparła ze złością.

– Chcesz powiedzieć, że byłaś w tym... klubie dla homo-seksualistów?

Matka podniosła głos przy ostatnim, szokującym słowie. Lily nigdy nie słyszała u niej takiego tonu. Mogła jedynie skinąć głową, a wtedy twarz matki zbladła jeszcze bardziej.

– Dlaczego? – zapytała z naciskiem.

– Chciałam tam iść – odparła Lily. To wyznanie brzmiało w jej ustach nad wyraz wulgarnie.

Matka potrząsnęła głową.

– To czyjś zły wpływ... Ale czyj? Przecież nie Shirley. Nie wpadłabyś na coś takiego sama.

– Wpadłam – zapewniła Lily. Piekło ją pod powiekami.

– Jesteś grzeczną małą Chinką, Lily. Nie rozumiem. Dlaczego miałabyś chcieć pójść w takie miejsce? – Matka zdawała się zagubiona.

Lily z drżeniem wzięła oddech.

– Bo... bo chyba jestem taka jak one.

Oczy matki gwałtownie się rozszerzyły.

– Myślisz, że... Nie. Nie jesteś taka jak one. Nigdy nawet nie miałaś chłopaka! Dorośniesz, wyjdiesz za męża, zrozumiesz, że to wszystko była pomyłka, taka tymczasowa...

– To nie pomyłka – zaprotestowała Lily.

– Lily, Hu Li-li! – wykrzyknęła matka, wyrzucając z siebie jej pełne imię i nazwisko po mandaryńsku, jak to miał w zwyczaju ojciec. – Co w ciebie wstąpiło? Jeżeli tylko jedna osoba widziała cię przed tym klubem, poradzimy sobie z tym. Jesteś młoda. Znajdziesz chłopaka na studiach. Nie pójdziesz więcej w to miejsce i natychmiast o wszystkim zapomnisz. Zrozumiałaś?

– Nie słuchasz mnie! – krzyknęła Lily. – Jestem taka jak one!

To nie Lily była figurką z dioramy. To jej matka nią była. To ona krążyła wciąż po tych samych torach, dopuszczając do siebie tylko to, co chciała usłyszeć.

Matka wstała, gwałtownym ruchem zgarnęła gazetę ze stołu i zmięła ją w rękach, po czym wrzuciła z powrotem do śmietnika.

– W tej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów – powiedziała głosem pełnym odrazy.

Jej klatka piersiowa unosiła się i ciężko opadała, a jej ręka była poplamiona farbą drukarską, podobnie jak dłoń Lily. Leżąca w koszu gazeta powoli samoistnie się rozprostowywała, jakby była żywym bytem, a słowa „dewiantki seksualne” aż z niej krzyczały.

– Jesteś młoda – powiedziała ostro matka. – Nie masz jeszcze nawet osiemnastu lat. Czasem dziewczęta miewają takie pomysły w tym wieku, zanim jeszcze poznają przyszłych mężów. Bardzo lubią swoje przyjaciółki i myślą to z miłością, którą później obdarzą małżonków. To staje się chorobą dopiero wtedy, kiedy nie można się pozbyć takiej myśli. Powiemy o tym twojemu tacie. On ci pomoże. Nie wspomnimy o tym wujkom ani ciociom. Ani słowem nie piśniesz babci.

Rozumiesz? Wszyscy wiedzą, że jesteś grzeczną małą Chinką. To zwykła pomyłka. Im bardziej uparcie matka twierdziła, że to tylko wymysł, tym Lily zyskiwała większą pewność, że tak nie jest. Może to był właśnie najbardziej przewrotny aspekt tego wszystkiego: zamiana czerni i bieli, jakby zaprzeczanie mogło wszystko rozmyć, podczas gdy tak naprawdę natężyło tylko ból w piersi i sprawiało, że emocje stawały się wyraźniejsze.

– To żadna pomyłka – jęknęła rozpaczliwie Lily.

Wtedy matka przeszła przez kuchnię i uderzyła ją w twarz.

Wstrząśniętą Lily odrzuciło w tył. Matka nie uderzyła jej od lat – odkąd była ośmio- czy dziewięcioletką – i z miejsca poczuła się tak, jakby znowu była dzieckiem. Instynktownie zakryła twarz w obawie przed kolejnym ciosem. Wraz z przestrawieniem przyszły wyrzuty sumienia oraz poczucie, że musiała zrobić coś naprawdę okropnego, skoro zasłużyła na tę karę.

Uniosła rękę do piekącego policzka. Jej oczy napełniły się łzami. Matka patrzyła na nią, przerażona i przerażająca zarazem. Na jej bladej twarzy nagle wykwitły czerwone plamy, a brązowe oczy zapłonęły gniewem.

– W tej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów – wyrzuciła z siebie ponownie. – Jesteś moją córką?

Z oczu Lily popłynęły gorzkie łzy. Odwróciła się i pędem wybiegła z kuchni. Na korytarzu zobaczyła Eddiego i Frankiego stojących niepewnie przed salonem.

– Lily? – zapytał Eddie.

Nie odpowiedziała. Założyła buty, ale palce nie mogły zawiązać sznurówek. Słyszała, jak matka ją woła – nie, wołała Eddiego, żeby ją zatrzymał – a potem nagle była już przy drzwiach wejściowych. Otworzyła je, wyszła na zewnątrz i na chodnik. Teraz mogła płakać bez ogródek wśród mglistego, wilgotnego powietrza. Nie wiedziała nawet, dokąd idzie; wiedziała tylko, że musi odejść jak najdalej stąd.

W tej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów.

Mokre czerwono-złote banery smętnie zwisały nad Grant Avenue z okazji Roku Owcy, a deszcz kapał z nich wprost na idącą ulicą Lily. Minęła ją grupa chłopaków z fajerwerkami w dłoniach, śmiejąc się i pokrzykując.

W tej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów.

Portsmouth Square był pusty. Żałowała, że nie ma na sobie płaszcza, a jej płócienne buty z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej namakały. Nie mogła jednak zawrócić.

Kath aresztowali. Lily ścisnęło w żołądku.

W tej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów.

Szła przed siebie. Minęła International Hotel i pstrokate światła International Settlement. W półmroku świecił neon klubu Barbary Coast. Miał kształt nagiej kobiecej nogi i zapraszał na „tańczące dziewczęta”.

Jesteś moją córką?

Lily skręciła w lewo, na Columbus Avenue, i przyspieszyła kroku, by się rozgrzać. A potem dotarła do Broadwayu. Na końcu ulicy dostrzegła podświetlony znak. Litera „l” w słowie „Club” psuła się i migała tak szybko, jakby wystukiwała wiadomość alfabetem Morse’a.

Jak w malignie przeszła przez Broadway, omal nie wpadając pod trąbiącą taksówkę. Zatrzymała się przed klubem. Po raz pierwszy zauważyła okienko po lewej stronie, pełne szklanych bloczków, przez co nie mogła zajrzeć do środka. Musiało być przy barze. Zaczęła dostrzegać również inne szczegóły: zbrojony beton pod stopami znaczone czarnymi plamkami, jakby ktoś gasił na nim masę papierosów. Słabą woń alkoholu i dymu, wiszącą w rześkim powietrzu niczym gorzkie perfumy. Warstwa brudu sprawiała wrażenie wkomponowanej w dolną część ściany, pokrytej brudnym stiukiem – musiał być niegdyś biały, ale z biegiem czasu poszarzał. Wyjątkowo odrażająca plama w kolorze purpury rozciągała się na ścianie tuż pod okienkiem. Same czarne drzwi wyglądały jak po pożarze – były pocięte i pokryte sadzą. Ktoś przymocował na nich niewielką tabliczkę.

Musiała do nich podejść, by w szarawym świetle odczytać: „Zamknięte na mocy nakazu policji San Francisco”.

Taka adnotacja nie powinna jej zdziwić – ale to zrobiła. Lily zrozumiała, że żywiła głupią nadzieję, jakoby mogła pójść do klubu. Wyobrażała sobie, że Mickey otworzy przed nią drzwi,

ktoś jej pomoże albo chociaż pozwoli posiedzieć, póki nie wymyśli, co zrobi dalej. Nagle dotarło do niej jednak, że stoi na widoku przed drzwiami klubu. Znowu narażała się na niebezpieczeństwo.

Odwróciła się, spanikowana. Nie obchodziło jej, dokąd zmierza, dopóki trzymała się z dala od kogokolwiek, kto mógł ją znać. Wspięła się na wzgórze, przebiegła po stromej ulicy i dopiero na szczycie musiała się zatrzymać, by złapać oddech. Kiedy podniosła wzrok, po czym spojrzała na najbliższą tabliczkę z nazwą ulicy, z zaskoczeniem zauważyła, że jest blisko okolic, w których mieszka Kath.

Zupełnie zapomniała o kartce z jej adresem, ale na szczęście go pamiętała: Union Street 453. To nie mogło być daleko.

Kath mieszkała w dwupiętrowym budynku z głównym wejściem i wykuszowymi oknami po obu stronach. Podczas tego pochmurnego popołudnia światło świeciło się w oknie na parterze, ale wyższe piętra były pograżone w ciemnościach. Weszła po schodach do drzwi i spojrzała na ich trzy pary, przyglądając się tabliczkom przy każdym dzwonku. Znalazła je po prawej stronie: nazwisko Miller. Uniosła palec i nacisnęła dzwonek.

Rozbrzmiał gdzieś w głębi budynku – zbyt daleko, by dało się go powiązać z parterem i oświetlonym oknem.

Nikt nie otworzył.

Nacisnęła jeszcze raz i przyłgnęła do drzwi, nasłuchując, ale nikt nie zmierzał w jej stronę.

Cofnęła się na schody i patrzyła intensywnie na dom Kath, jakby to miało zmaterializować ją z rozrzedzonego powietrza, co się oczywiście nie stało. W oknie na parterze zauważyła starszą panią przyglądającą jej się podejrzliwie. Nie mogła tu stać w nieskończoność, inaczej ta kobieta mogłaby zadzwonić po policję.

Lily odwróciła się tyłem do budynku i ruszyła w dół, bez celu podążając w stronę serca North Beach. Okolica zdawała się labiryntem; część ulic kończyła się ślepyimi zaułkami, a inne wiodły do drewnianych schodów na Telegraph Hill. W końcu dotarła do Coit Tower i wmieszała się w tłum turystów podziwiających widoki. Stopy jej zdrętwiały, podobnie zresztą jak umysł. W końcu weszła do jednego ze sklepów z pamiątkami, by choć trochę się ogrzać. Skorzystała z publicznej toalety, po czym poudawała, że rozważa kupno miniaturowej Coit Tower. Jednak gdy sprzedawca zaczął przechodzić obok niej w tę i we w tę, wyszła.

Może powinnaś wrócić do domu – przyszło jej do głowy, ale zaraz odrzuciła tę myśl. Nie mogłaby spojrzeć w oczy matce, ojcu... całej rodzinie. *W tej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów.*

Skierowała się w dół, wybierając przypadkowe ulice, aż dotarła do parku Washington Square. Przypomniała sobie tamto słoneczne wrześniowe popołudnie: nogi Kath wyciągnięte na trawie, słodycz chłodnego sorbetu, dotyk drewnianej łyżeczki na języku.

To wspomnienie bolało ją niemal fizycznie. Podeszła do najbliższej ławki na skraju parku i usiadła.

Czuła, jak ogarnia ją poczucie beznadziei. Na miasto opadała mgła, przesączała się przez cienki sweter i bluzkę, wpełzała pod bawełnianą spódnicę, aż w końcu osiadała na skórze. Ilekroć by nie pocierała rąk, wciąż było jej zimno. W parku panowała cisza. Powoli nastawał zmierzch, więc na zewnątrz było niewiele osób – stopniowo jednak coraz bardziej zdawała sobie sprawę z ich obecności. Jakiś nieregularny kształt pozwalał przypuszczać, że na ławce w pobliżu ktoś się wyciągnął; pozostawał nieruchomy, odkąd przyszła, ale po jakimś czasie się poruszył, zaskakując ją i niepokojąc. A potem kształt się obrócił i Lily zdała sobie sprawę, że to przewracający się na

plecy mężczyzna. Spał tu wystawiony na zimne powietrze. Nie miał nawet koca. Dźwięk szkła obijającego się o metal sprawił, że spojrzała w prawo. Ktoś przekopywał się przez zawartość śmietnika. Była to osoba w długim wełnianym płaszczu skrytym pod stale zsuwającym się kocem, którego skraj ciągnął się po mokrej ziemi. Skrzyżowała ręce i nogi, otulając samą siebie i próbując ignorować narastający w niej strach. Przywołała wspomnienie ust Kath na swoich ustach, gdy całowały się pod schodami klubu. Ostatniej nocy. Gdy zamykała oczy, wciąż ją czuła. Z lewej strony dobiegły ją odgłosy kroków. Zwolniły, a potem ktoś usiadł obok niej. Zamrugowała, a jakiś mężczyzna powiedział:

– *Nay ho*, mała.

Był chudy i zaniedbany – nieogolony, śmierdzący. Zdała sobie sprawę, że próbuje do niej mówić po chińsku, zniekształcając *Ni hao*, proste „dzień dobry”.

Strach, który próbowała stłumić w zarodku, teraz zalał ją falą. Zerwała się na równe nogi i uciekła, a on śmiał się, krzycząc za nią:

– Nie zrobię ci krzywdy, chińska laleczko. Chciałem się tylko przywitać. *Nay ho! Nay ho!*

Czując przesywające ją dreszcze, przyspieszyła kroku i pobiegła na wzgórze, zostawiwszy park w tyle. W oddali majaczyła Coit Tower. Pamiętała, że gdy tamtej nocy wychodziły z Kath z przyjęcia u Tommy, Coit Tower lśniła za ich plecami jak świeczka, gdy przybywały z Castle Street.

Castle Street. Lana i Tommy tam mieszkali, pod numerem czterdzieści coś.

Ten pomysł ją zaskoczył, ale wydawał się tak oczywisty, że niemal się roześmiała. Ulga nie trwała jednak zbyt długo, ponieważ nagle sobie przypomniała, że w „Chronicle” napisano, iż Tommy została aresztowana. Pewnie siedziała w więzieniu.

Ale Lana mogła być na miejscu. Lana będzie wiedziała, co robić.

Lily spojrzała na Coit Tower, próbując sobie przypomnieć, gdzie znajdowała się względem mieszkania Lany. North Beach nie było aż tak rozległe, ale to na pewno nie było w okolicy. Weszła do kolejnego sklepu na rogu i zapytała człowieka za ladą, gdzie jest Castle Street. Mężczyzna jakoś dziwnie na nią spojrzał, ale mimo to wskazał jej drogę. Ruszyła więc w górę najbardziej stromej części Green Street, minęła ciemne alejki po lewej – w jedną z nich mogła ją wtedy zaciągnąć Kath – i znalazła się na miejscu.

Zaczęła się przyglądać numerom budynków. Obawiała się, że nie rozpozna domu Lany, ale kiedy do niego dotarła, była pewna, że to on. Pamiętała ten ganek i to, jak w oknach wisiały zasłonki. Między nimi sączyło się światło. Ktoś był w środku.

Zawahała się. Istniało wiele powodów, dla których nie powinna była pukać do drzwi. Lana ledwie ją znała. Pewnie będzie sprawiała wrażenie żebraczki wędrującej od drzwi do drzwi. A skoro Tommy była w więzieniu, to musiał być paskudny czas dla Lany. Wiatr smagnął ją, pchając do oczu mokre od mgły włosy. Musiała je rozgarniać skostniałymi z zimna palcami. Nie miała dokąd pójść.

Pokonała trzy stopnie, znalazła przycisk z nazwiskiem Jackson i nacisnęła go. Usłyszała dźwięk dzwonka. I kiedy już zamierzała zajrzeć przez szparę między zasłonami, drzwi się otworzyły.

W progu stanęła Lana. Blond włosy spięła w kucyk, na sobie miała wąskie niebieskie spodnie w kratkę, różowy sweter i parę czerwono-złotych chińskich pantofli.

Jej podkreślone brwi uniosły się w zaskoczeniu.

– To ty, dziewczyna z klubu... Lily, dobrze pamiętam? Do licha, wyglądasz jak zmokły kotek! – Lana spojrzała za nią, na pustą ulicę. – Chodź do środka.

– Zdejmij ten sweter, zanim się przeziębisz – powiedziała Lana. – A buty postaw tam. Przyniosę ci koc.

W Lanie było coś przyjemnie stanowczego, a Lily z ulgą poddała się jej rozkazom. Zdjęła kardigan, a potem mokre buty i skarpety, po czym postawiła je przed elektrycznym grzejnikiem. Lana wróciła z sypialni z wyszydełkowanym biało-fioletowym kocem, którym otuliła ramiona dziewczyny. Cofnęła się i spojrzała na nią z aprobatą, jakby oglądała smutne dzieło sztuki. Wreszcie oznajmiła:

– Ty sobie usiądź, a ja zrobię coś ciepłego do picia.

– Nie musisz – zaczęła Lily.

– Odgrzeję kawę, to wszystko.

Lily, będąc sama w salonie, usiadła na znajomej sobie kanapie i wcisnęła zmarznięte stopy pod koc.

– Śmietanki? Cukru? – zawołała z kuchni Lana.

– Poproszę.

Na stoliku leżała sterta nieotwartych kopert, stykając się z talerzem upstrzonym resztkami czegoś, co wyglądało na jajecznicę. Nieopodal wałała się na wpół pełna popielniczka, razem z pomazanym kieliszkiem, półpustą butelką po winie, zapalniczką w kształcie nagiej kobiety oraz paczką papierosów Lucky Strike. W rogu, na ośmiokątnym stoliczku, stał otwarty gramofon, a na podłodze znajdowało się kilka płyt. Tylko jedna lampka była zapalona, zatapiając salon w ciepłym, złotawym blasku. Było tu inaczej niż tamtej nocy podczas imprezy – bardziej przytulnie i domowo – a kiedy przypomniwała sobie Sal i Patsy tańczące w objęciach w niewielkiej przestrzeni między ławą a kuchennymi drzwiami, zdawało jej się to tylko dziwnym złudzeniem.

Lana wróciła z kuchni z kubkiem kawy. Wręczyła go Lily ze słowami:

– Dodałam odrobinę whisky. Uznałam, że tego ci trzeba.

– Dziękuję. – Lily ostrożnie upiła łyk. Kawa była gorąca, słodka i pozostawiała przyjemne ciepło w żołądku.

Lana zajęła miejsce naprzeciwko. Sięgnęła po papierosy, wyjęła jednego i przytrzymała go ustami, biorąc w ręce zapalniczkę. Z głowy nagiej kobiety wystrzelił płomień.

– To prezent od jednej z przyjaciółek Tommy – wyjaśniła Lana. – Okropna, nie sądzisz? Ale

przynajmniej nie włączasz jej ściskaniem piersi. Taką też widziałam. – Odłożyła zapalniczkę na stolik i przysunęła popielniczkę bliżej siebie. – Wybacz ten bałagan. To był trudny dzień. Ale dla ciebie chyba też...

Lily otoczyła dłońmi ciepły kubek.

– Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi.

Lana machnęła ręką, znacząc powietrze strużką dymu.

– Czuję, że nie przyszłabyś tu, gdybyś nie musiała. – Nachyliła się, nalała wina do brudnego kieliszka, a potem wyprostowała plecy i zdjęła pantofle, podciągając nogi pod siebie. Pociągnęła łyk. – Chciałabyś mi opowiedzieć, co się stało?

Ku zaskoczeniu Lily okazało się, że owszem, chce. W salonie czuła się bardzo bezpiecznie, a Lana wydawała się osobą, która słyszała już wszystko, więc zapewne nic ją już nie zdziwi. Zanim się obejrzała, Lily o wszystkim jej opowiedziała: od chwili gdy zostawiła Kath w Telegraph Club, przez konfrontację z Shirley i matką, aż po wędrowanie przez zimne miasto pod drzwi Lany.

– Myślisz, że powinnam zrobić to, czego oczekuje moja matka? – zapytała, kiedy skończyła. – Ciągłe powtarzała, że to pomyłka, jakby wszystko było w porządku, dopóki ja również nazywam to błędem. Ale to byłoby kłamstwo. Nie chcę kłamać na ten temat, chociaż cały czas myślę, że gdybym to zrobiła, byłoby prościej.

Lana słuchała jej bez słowa, paląc przy tym papierosa. Teraz zgasila go w popielniczce i oznajmiła:

– Jeżeli skłamię, na początku będzie prościej, ale wtedy matka już nigdy ci nie zaufa. Będzie wiedziała, że ją okłamałaś. Za każdym razem, gdy będziecie rozmawiać, będzie się zastanawiać, czy kłamiesz. Nawet jeśli rozmowa będzie o tym, co jadłaś na kolację, a już zwłaszcza, z kim na niej byłaś. Lepiej być sobą, niż dawać komukolwiek powody do tego, aby ci nie ufał.

Lily wypila jeszcze trochę kawy. Może to whisky sprawiła, że czuła się nieco lepiej, jakby zaciśnięte wewnątrz niej pięści się rozluźniły.

– I tak mi nie ufa – stwierdziła.

– Nie, ufa ci. Teraz jest jej trudno, bo okazałaś się inna, niż się spodziewała. Ale nigdy nie jesteśmy tacy, jak spodziewają się nasi rodzice. Muszą się tego nauczyć. – Lana zaśmiała się krótko. – Oboje z bratem nauczyliśmy tego rodziców, a im się to w żadnym przypadku nie podobało. On miał zostać prawnikiem jak tata, a zamiast tego wyjechał do Nowego Jorku i został aktorem. Byli pewni, że Russ, mój brat, jest homoseksualny, a okazało się, że to ja jestem. To też nie przypadło im do gustu.

– A teraz... wciąż tego nie akceptują?

– Ach, nie, powoli się z tym godzą. Pomogło im to, że Russ poślubił wspaniałą kobietę i mają uroczego synka. A mnie nadal próbują zaakceptować. Przynajmniej już do mnie piszą. Przez kilka lat tego nie robili.

– Piszą do ciebie... Czyli ich tu nie ma? – zapytała Lily.

– Nie, mieszkają w Detroit. Stamtąd pochodzę. Przeprowadziłam się tu, jak miałam siedemnaście lat, bo usłyszałam, że San Francisco jest przyjazne takim ludziom jak ja. Russ mówił, że rodzice się bali, że zostanę bez grosza przy duszy i skończę na ulicy. – Lana mówiła oschle, ale gdy sięgnęła po kolejnego papierosa, w jej ruchach można było dostrzec pewną nerwowość. – Cieszę się, że mam teraz stałą pracę. Pewnie gdybym wyglądała jak Tommy, to by odpuścili, ale oni wciąż wierzą, że znajdę tego jedyne. Mama próbowała umówić mnie w zeszłym tygodniu na randkę z bankierem, który jest kuzynem jednej z jej koleżanek od brydża. Nie dają mi spokoju.

Lily wbiła wzrok w kawę.

– Moja mama powiedziała, że w naszej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów.

– Homoseksualistów może nie, ale lesbijka może być.

Dowcip był tragiczny, ale wydał się w tej chwili boleśnie zabawny. Pomyśleć tylko! Siedziała w salonie dziewczyny Tommy Andrews i słuchała historii jej życia!

A potem dotarła do niej świadomość własnej sytuacji i przestało być zabawnie. Siedziała w domu niemal obcej osoby i nie miała dokąd pójść.

Zapewne dało się z niej czytać jak z otwartej książki, ponieważ Lana spozjrzała na nią współczująco i oznajmiła:

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie wiem, co mam zrobić – przyznała Lily. Słowa wypłynęły z niej samej niczym żenujące błaganie o pomoc. Lana nie odpowiedziała, zaciągnęła się tylko głęboko papierosem i popatrzyła na nią tym samym spojrzeniem co wtedy, gdy Lily stanęła na jej progu. Teraz jednak Lily wydało się, że Lana próbuje ustalić, co z nią zrobić: jakby była niespodziewanym prezentem, z początku interesującym, ale szybko zamieniającym się w brzemię.

Rozległ się dzwonek do drzwi i Lana wstała.

– To na pewno Claire. Zapomniałam, że miała przyjść. Zostań tu.

Lana poszła otworzyć, a Lily odstawiła na wpół wypitą kawę na stół i podniosła się z kanapy. Chwilę później do pokoju weszła Claire z brązową papierową torbą i z butelką wina pod pachą.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – W sklepie była straszna kolejka.

– W porządku. Zobacz, mamy niespodziewanego gościa. – Lana odebrała torbę i skinęła w stronę Lily.

– Cześć! – wykrzyknęła Claire. – Lily, dobrze pamiętam?

Zdjęła chustę z głowy. Lily dopiero teraz zauważyła, że ma rude włosy, a jej twarz jest usiana jasnobrązowymi piegami.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam – odezwała się Lily, zbierając koc i próbując go poskładać. – Mogę już sobie pójść.

– Nie żartuj. – Claire zdjęła kalosze i płaszcz. – Kanapki są ogromne. Zostań z nami.

Lily zaprotestowała, ale bez przekonania. Kolejne minuty wypełniły przyziemne czynności: zabieranie jedzenia i wina do jadalni, zapalanie świec, wyciąganie talerzy i sztuców, i jeszcze kieliszków. Claire otworzyła wino i nalała do pełna, nie pytając nawet, czy Lily chce, a Lana odpakowała dwie kanapki na desce do krojenia. Naprawdę były duże. Claire kupiła je we włoskich delikatesach i oznajmiła, że zawierają salami, mortadelę, fontinę i coś jeszcze, o czym zapomniała, a wszystkie te składniki ułożono na chlebie z zakwasu posmarowanym musztardą i poprzyetykanym ogórkami konserwowymi. Lana pocięła każdą z kanapek na trzy części, a z kuchni przyniosła paczkę chipsów i stosik serwetek wyjętych z zabytkowego kredensu. Kiedy usiadły przy stole, Lily czuła się już niemal normalnie, a nie jak intruz na czyimś przyjęciu. Uwaga Lany skupiła się na Claire. Rozmawiały szyfrem, jak stare dobre przyjaciółki, co oznaczało, że Lily nie rozumiała połowy rozmowy i mogła jeść kanapkę bez odzywania się.

– ...nawet Sandy zadzwoniła, żeby mi o tym powiedzieć! – oznajmiła Lana między kęsami.

– Sandy! O rany, myślałam, że już przepadła – odparła Claire.

– Przeprowadziła się tylko do San Jose.

– Mam nadzieję, że nadal robi swoje.

– Pewnie tak, ale nie ma jak nam pomóc. Chce tylko plotek. Parker też dzwonił.

– To akurat dobrze. Może coś zrobić?

– Spotkamy się jutro. Mam nadzieję, że coś wymyśli.

Claire napiła się wina, odstawiła kieliszek na stół, po czym zwróciła się do Lily, która już zjadła prawie całą kanapkę.

– Co cię dziś do nas sprowadza?

- Nie wiem, czy chce o tym mówić – wtrąciła Lana.
 - Oj, przepraszam – odparła Claire. – Poruszyłam drażliwy temat.
 - Nie, to nic takiego – zapewniła Lily. Wyjaśniła w skrócie, co zaszło, a Claire patrzyła na nią z narastającym współczuciem.
 - Przykro mi, słonko – odezwała się. – Ostatnia noc była najwyraźniej trudna dla wielu z nas. – Uścisnęła dłoń Lily. Jej dotyk jak gdyby uwolnił cały niepokój o Kath, wstrzymywany, odkąd dotarła do Lany.
 - Muszę znaleźć Kath – powiedziała Lily. – Jak mogę ustalić, gdzie jest?
- Claire i Lana wymieniły spojrzenia, a potem Lana zapytała:
- Ile ma lat? I ile lat masz ty?
 - Siedemnaście. – Lily przypomniała sobie, jak Tommy zadawała jej to samo pytanie; pomyślała też o jej kciuku na swoich ustach i zaraz się zaczerwieniła. – Obie mamy po siedemnaście lat.
 - Jesteście trochę za młode na Telegraph Club – zauważyła ostrożnie Claire.

Rumieniec przybrał na sile.

- Ja miałam szesnaście lat, jak pierwszy raz poszłam do gejowskiego baru – przyznała Lana. – Do teraz nie mogę w to uwierzyć! Byłam taka młoda! Ale to dobra wiadomość. Jeżeli Kath ma tylko siedemnaście lat, to nie mogła zostać aresztowana. W świetle prawa nie jest dorosła. Pewnie zabrali ją na izbę dziecka.
- Ale jak mogę się tego dowiedzieć? Próbowałam się do niej dodzwonić. Nawet tam poszłam, ale nikogo nie było w domu...
- Powinnaś zapytać Parkera – powiedziała Claire, zwracając się do Lany. – On powinien kogoś znać.

Lana powoli skinęła głową.

- Tak. Może Parkerowi uda się coś załatwić. Postaram się go jutro zapytać.

– Kim jest Parker? – zapytała Lily.

– Mój znajomy prawnik – odparła Lana.

– Jest jednym z nas – dodała znacząco Claire.

Lily skinęła, nie chcąc zdradzać, że nie do końca rozumie.

– Będzie wiedział, gdzie jest Kath? – zapytała z naciskiem.

– Być może – odparła Lana. – A na pewno będzie wiedział, jak się tego dowiedzieć.

– Myślisz, że Joyce zabiorą licencję na alkohol? – zapytała Claire.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała Lana.

Nastrój nieco się zepsuł, a Lana poszła do salonu po papierosy i wulgarną zapalniczkę, z której Claire się śmiała, a potem obie – Lana i Claire – zapaliły papierosy i nalały sobie więcej wina. Rozmowa powoli zaczęła odbiegać od tematu nalotu na bar, ale koniec końców wróciła, jakby nie dało się uciec od tej sprawy. Do Lily stopniowo coraz bardziej docierało, że Claire przyszła, by dotrzymać Lanie towarzystwa, ponieważ Tommy, rzecz jasna, była w więzieniu. Parker był zaprzyjaźnionym prawnikiem – Lana piastowała stanowisko sekretarki w jego kancelarii – który próbował wydobyć stamtąd Tommy, ale dotąd mu nie wyszło. Chodziło o pieniądze, ale Lana nie lubiła o tym rozmawiać. Chodziło też o jakąś inną kobietę – bezimienną – związaną niegdyś z Tommy, za którą Lana nie przepadała. Lily czuła się tak, jakby znalazła się w powieści detektywistycznej i układała historię z małych kawałków zaszyfrowanej rozmowy.

W pewnym momencie Lana stwierdziła:

- Rany, a jakie to ma znaczenie? Znowu wpadnie w kłopoty. Powinnam ją zostawić. – Dostrzegła Lily, wciąż siedzącą w milczeniu przy stole, i wydała się poirytowana. – Chyba dzisiaj usłyszysz wszystkie nasze tajemnice.

– Przepraszam. Pójdę sobie – odparła Lily i odsunęła krzesło.

– I dokąd pójdziesz? – zapytała ostro Lana.

– Eee... nie wiem. Dokądś.

Nie mogła wrócić do domu. Myśl o tym, jak rodzice będą na nią patrzeć – z dezaprobatą i obrzydzeniem – wywoływała w niej mdłości. Stała tak rozchwiana i rozgrzana winem, po czym wróciła do salonu, gdzie został jej sweter, buty i skarpetki, nie do końca jeszcze wyschnięte. Mimo to usiadła na ławie, by je założyć.

Lana przyszyła za nią.

– Lily.

– Dzięki, że mnie wpuściłaś... i nakarmiłaś – powiedziała Lily, wsuwając stopy do mokrych butów.

– Przestań. Zostań.

Za plecami Lany Lily dostrzegła stojącą w progu Claire. Miała zaniepokojoną minę.

– Możesz tu zostać na noc, dobrze? – odezwała się Lana. – Na zewnątrz jest zimno i mokro. Wiem, że nie wrócisz do domu.

Lily wytarła kąciki niespodziewanie mokrych oczu.

– Przepraszam.

– Przestań przeproszać. Nie zrobiłaś nic złego.

– To fatalny moment na moją wizytę.

Lana uniosła papierosa do ust i się zaciągnęła, a potem powoli wypuściła powietrze.

– Chcesz jeszcze wina?

Salon wypełniał dym; unosił się w żółtym świetle lampy jak mgła, a Claire wstała ze swojego miejsca przy podłokietniku kanapy, by otworzyć okno.

– Wypuszczasz całe ciepło! – zaprotestowała Lana. Leżała teraz na podłodze z głową opartą o kasztanową poduszkę wyglądającą jak żywcem wyjęta z tureckiego haremu.

– Mam nadzieję, że też trochę dymu – odparła Claire. – W przeciwnym razie się podusimy.

Nie wróciła na kanapę, na której drugim końcu Lily zwinęła się w kłębek. Zamiast tego podeszła do gramofonu i zaczęła przeglądać płyty oparte o stół.

– O, uwielbiam tę!

– Co tam masz? – zapytała Lana.

– *The Lady Is a Tramp*.

– Puść ją. Nie mogłam namówić Tommy, żeby to zaśpiewała.

Claire włączyła muzykę i opadła z powrotem na kanapę, po czym sięgnęła po wino. Otworzyły już drugą butelkę, a Lily obserwowała, jak kobietom zaczyna się plątać język i kończyny, a śmiech łatwiej wydobywa się z ust. Sama też wypila lampkę lub dwie, nie była już pewna. Miała wrażenie, że w pewnym momencie noc skręciła w zupełnie nowym kierunku; nie wiedziała, kiedy dokładnie, ale gdy w piosence rozbrzmiały trąbki, zdawało się całkiem naturalne, że Claire i Lana zaczęły śpiewać razem z wykonawcą.

Po wszystkim Claire zapytała:

– Czemu Tommy nie chce tego śpiewać? Publiczność byłaby zachwycona.

– Och, to nie jest jej piosenka – odparła Lana. – Ale słyszałam, jak śpiewa to pod prysznicem. Mówiła, że zwykła to śpiewać przed laty, kiedy jeszcze była Theresą Scafani, Pierwszą Naiwną North Beach.

– Pierwsza Naiwna North Beach! – Claire zachichotała. – Chciałabym ją wtedy zobaczyć!

– Theresa Scafani była zaledwie przeciętną szansonistką śpiewającą do kotleta – wyjaśniła Lana.

– No wiesz, taką jakich tysiące. Tommy Andrews ma mniejszą konkurencję.

- Zawsze się zastanawiałam, jak wpadła na ten pseudonim.
- Jak mówiła, uważała się za zaginioną siostrę Andrews. Śmieszne, prawda? Chciała śpiewać w mundurze, jakby była żołnierzem.
- Dziewczyny byłyby zachwycone. Może mogłaby czasem wystąpić w mundurze.
- Nadal znasz tę żołnierz?
- Barbarę Hawkins? Nie, już się ze sobą nie kontaktujemy. Ostatnio słyszałam, że spiknęła się z jakąś pielęgniarką.

Lana zachichotała, opierając się na łokciu tak, by mogła spojrzeć na Claire.

- Była twoją pierwszą, prawda? Pamiętam, jak za nią tęskniłaś. Barbara Hawkins... Jakie to zabawne.

Claire uśmiechnęła się do Lily.

- O tej pierwszej nigdy się do końca nie zapomina. Szczerze mówiąc, gdyby Barb nagle stanęła na mojej drodze i gdybym mogła znowu z nią być, Paula z miejsca poszłaby w odstawkę.

Lana usiadła i oparła się o stolik.

- Paula naprawdę ci się podoba? Ale tak serio? Jest taka...
- Sztywna? – podsunęła Claire i wybuchnęła śmiechem. – Jest dla mnie dobra. Nie należy do drapieżnych, które ci się podobają...
- Wcale mi się nie podobają!
- Była Nicky, a potem Kate, a teraz jest Tommy Andrews. Zawsze ją tak nazywałeś?
- Jasne.

- Ale to pseudonim sceniczny, prawda? Zawsze mi się to wydawało trochę dziwne, tak do niej mówić.

- Nigdy jej nie znałam jako Theresy. Niektórzy mówią na nią Terry, na przykład Sal. Pamiętasz Sal?

- Tę lesbę w kurtce motocyklowej?

- Tak. Ale ja nigdy nie poznałam Terry. Znam tylko Tommy, więc tak ją nazywam. I tak sądzę, że teraz jest już bardziej Tommy niż kimkolwiek innym. – Jej wzrok przeskoczył do Lily, która słuchała w milczeniu, po czym rzuciła do niej: – Chyba chce ci się spać.

- Chyba za dużo wypiałam.

- A twoją pierwszą, Lily, kto jest? – zapytała Claire, spoglądając jej w oczy. – Kto jest twoją pierwszą miłością?

Kath. Nie mogła tego powiedzieć. Pomyślała o Shirley i o tym, jak pewnie by na to zareagowała.

- Skąd mam wiedzieć? – zapytała zatem. – Jakie to uczucie?

Lana i Claire wymieniły uśmiechy, a potem Claire ostrożnie zapytała:

- Jakie uczucie?

Lily oparła się mocniej na kanapie, czując zmęczenie i słabość.

- Zakochanie. Tak sądzę.

- Wyczujesz to – zapewniła Claire. – Nie da się go z niczym pomylić.

(To jak rozpoznawała Kath na drugim końcu zatłoczonego szkolnego korytarza tylko po jej chodzie).

- To... To jak spadanie – dodała Lana. – Spadanie albo dryfowanie, ewentualnie tonięcie.

(Każdy pocałunek).

- Zgubisz się w przestrzeni.

- To jak gorączka.

(Świat zamykający się w koniuszkach palców Kath).

- To jakbyś się upiła i chodziła pijana przez wiele dni...

- Ale to wszystko brzmi tak... niekonkretnie – powiedziała Lily. – Skąd wiedziałyście, że

jesteście zakochane... w Barbarze Hawkins albo w Tommy?

Wiedziała, że brzmi kapryśnie, jak dziecko, ale szumiało jej już w głowie. Pokój wypełniał dym i płynął ku oknu. Było jej wszystko jedno. Pod wpływem impulsu sięgnęła po paczkę papierosów. Była niemal pusta, ale Lana odwróciła ją i wytrząsnęła jednego, po czym wsunęła go Lily między usta. Claire podała zapalniczkę, a jej kciuk musnął nagie piersi kobiety, gdy naciskała na przycisk. Wskoczył gorący, jasny płomień, który rozżarzył koniuszek papierosa. Lily niezdarnie nabrała powietrza i rozkaszała się na dobre.

– Zobacz, tak trzeba oddychać – powiedziała Claire i zademonstrowała. Lily poszła w jej ślady. Dym przedostający się do płuc był ohydny, ale czuła, że go potrzebuje, jakby miał wypalić rausz i cały paskudny dzień. Wypuściła powietrze, a z jej ust popłynęła strużka dymu, która przypomniała jej o Tommy palącej w tym samym pokoju w noc przyjęcia. A teraz była tu ona i wszystko, co ważne, zdążyło się zmienić.

Lana też sięgnęła po papierosa, a kiedy go zapaliła, zaczęła:

– Gdy pierwszy raz się zakochałam... nie wiedziałam, że to właśnie to uczucie. Wiedziałam tylko tyle, że chcę z nią być. – Spojrzała na Claire. – To nie była Nicky, tylko ktoś, kogo nie znasz, jeszcze w Detroit. Wymyślałam się z domu, żeby z nią pobyc, a kiedy moi rodzice się dowiedzieli... – Lana przerwała i spojrzała otwarcie na Lily. – Nie spodobało im się to, więc się tu przeprowadziłam. Kiedy się zakochujesz, robisz rzeczy, których inaczej nigdy byś nie zrobiła. Papieros palił Lily w gardło. Wzięła kieliszek i pociągnęła łyk wina; alkohol nie ukoił tego uczucia, ale sprawił, że poczuła się bardziej dojrzała.

– Żałujesz tego? – zapytała.

Lana zgasiła papierosa w popielniczce.

– Nie. I zawsze będę ją kochać, chociaż nie jesteśmy już ze sobą, bo przecież to ona w jakiś sposób mnie tu sprowadziła. A ty, Claire? Opowiedz Lily o Barbarze.

Claire westchnęła.

– Na pewno chcesz to wiedzieć? Barbara złamała mi serce. Była moją pierwszą miłością, ale ja nie byłam jej miłością. Zrozumienie tego zajęło mi sporo czasu. Ale zanim to do mnie dotarło, było cudownie. Czułam się przy niej... jakbym mogła wszystko. – Spojrzała na Lily. – Rozumiesz, o czym mówię?

Tak. Ale nie mogła tego powiedzieć. Ku jej przerażeniu oczy zaczęły ją piec, a twarz, zaróżowiona już od wina, paliła jeszcze bardziej. Pochyliła się, by zgnieść papierosa w popielniczce.

(Pochylająca się Kath w ciemności Telegraph Club, popiół z jej papierosa spadający na blat).

– Och, słoneczko – westchnęła Claire. Pogładziła ją po plecach uspokajającym gestem. – Wszystko będzie dobrze.

Lana wzięła butelkę i naląła resztkę wina do kieliszka Lily.

Lily zbudził odgłos kościelnych dzwonów. Były niesamowicie głośne, a ona próbowała stłumić ten dźwięk poduszką. Ta jednak miała dziwny kształt. Wtedy Lily na dobre się rozbudziła i przypomniała sobie, że leży na kanapie Lany. Głowę miała opartą na tureckiej poduszce, na sobie koc, a przez zasłony przebijało się światło.

Był niedzielny poranek. To dlatego były dzwony.

Kiedy dźwięk umilkł, mieszkanie stało się nienaturalnie ciche. Nie pamiętała, o której się kładły. W pewnym momencie Claire postanowiła wrócić do domu, a Lana zamówiła jej taksówkę. Zanim przyjechała, minęło tyle czasu, że Lily zaczęła przysypiać na kanapie. W końcu Claire wyszła, a Lana przyniosła Lily koc, po czym sama poszła spać.

Teraz dziewczyna gwałtownie sobie przypomniała, że poprzedniego wieczoru przyjechali ciocia Judy i wujek Francis – wtedy, kiedy ona jadła kanapki od Lany i Claire, piła wino i paliła papierosa. Ona – paliła papierosa!

Wstała zbyt gwałtownie i zakręciło jej się w głowie, a w żołądku zaburczało. Umierała z głodu.

Zdała sobie sprawę z innej, bardziej palącej potrzeby. Zdjęła z siebie koce i wstała, żeby pójść do łazienki. Potem spuściła wodę, a odgłos spluczki brzmiał niczym eksplozja. Zamarła na chwilę, przerażona, że obudziła Lanę. Od strony sypialni nic jednak nie było słychać.

Ochlapała twarz wodą z umywalki i wytarła ją ręcznikiem znalezionym na sznurku, gdzie się suszył. Jej oblicze było lekko pobladłe, a na lewym policzku odcisnął się guzik poduszki. Gdy jednak przeczesła włosy palcami i związała je w koński ogon, wyglądała normalnie. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto nie spał przez pół nocy, a wcześniej uciekł z domu. Niedowierzała, że w ogóle to zrobiła. W świetle łazienki w tym dziwnym mieszkaniu zdawało się to absurdalne.

Spostrzegła za sobą odbijającą się w lustrze niewielką białą wnękę. Na dole miała szafkę, u góry dwie otwarte półeczki, na których upchnięto mnóstwo butelek i pojemniczków. Lily wiedziała, że nie powinna myszkować po mieszkaniu Lany, ale nie mogła się powstrzymać. Na półce było pudełko ze szminkami, koszyczek pełen cieni do powiek, sporo balsamów do ciała i szklany słoiczek z płatkami kosmetycznymi. Na posrebrzanej tacy spoczywała kolekcja perfum: Tabu, Shali-mar, Knize Ten. Shalimar pachniał Laną. Lily otworzyła flakon Knize Ten i jego zapach – ostry, nierozcieńczony – przeniknął ją niczym prąd. To była Tommy.

Lily pospiesznie odstawiała perfumy, z brzękiem uderzając nimi o tackę.

W poczuciu winy zgasła światło i otworzyła drzwi, zaniepokojona, że tuż za nimi spotka Lanę. Przedpokój był jednak pusty. Na palcach wróciła do salonu, starając się ignorować pusty żołądek. Żeby czymś się zająć, zanim gospodyni wstanie, Lily poskładała koce, rozsunęła kotary i posortowała pocztę na dwie kupki: jedną zaadresowaną do Lany Jackson, drugą – do Theresy Scafani. Pozbierała brudne kieliszki i talerze – najciszej jak umiała – poskładała je na blacie obok zlewu, a potem spojrzała tęsknie na misę z owocami, w której spoczywały dwa obtłuczone jabłka i zbrązowiała gruszka. W nieskończoność wpatrywała się w przesuwającą się powoli wskazówkę zegarka, która najpierw zbliżała się do dziesiątej, a potem ją przekroczyła. Wreszcie rozległ się odgłos otwieranych drzwi sypialni – lekko zacinających się i skrzypiących.

Gwałtownie wstała z kanapy. Zdażyła już przygotować całą przemowę, w której zapewniała, jaka jest wdzięczna Lanie za to, że ta pozwoliła jej zostać na noc, ale na widok Lany w progu, zawiązującej w talii szlafrok ze sztucznego jedwabiu w różany wzór, słowa utknęły jej w gardle. Kiedy czekała, aż Lana wstanie, dotarło do niej, że wyszła z domu w China-town bez niczego: bez płaszcza, grosza przy duszy, nawet kluczy do domu. Była całkowicie zdana na łaskę Lany, a ta wyglądała na wykończoną i nieco zdziwioną, że ktoś wciąż jest w jej mieszkaniu. Wyglądało na to, że to kiepski moment na proszenie o cokolwiek więcej niż już dostała.

– Dzień dobry – odezwała się Lana nieobecny głosem. – Która godzina?

– Tuż po dziesiątej.

Lana ziewnęła.

– Boże, głowa mi pęka. A ty jak się czujesz? Potrzebujesz aspiryny?

– Nie, nic mi nie jest.

Odpowiedział jej słaby uśmiech.

– Szczęściara. Chodź, zrobię nam kawy.

Krótko po jedenastej Lana wyszła na spotkanie ze swoim znajomym, Parkerem. Dała Lily zapasowy klucz, na wypadek gdyby ta chciała wyjść.

– Kiedy wrócę – zaczęła, zakładając kapelusz – możemy porozmawiać o tym, co zamierzasz zrobić.

Gdy została sama, Lily posprzątała pozostałości po śniadaniu. Lana zjadła jedynie tost, ale dała dziewczynie jajka do zrobienia jajecznicy – zjadła ją, głodna i wdzięczna, czując się jak żebraczka przyjęta z litości pod czyjś dach. Teraz starannie myła naczynia, wiedzona poczuciem, że nie powinna zostawić żadnego śladu swojej obecności. Kiedy skończyła, poszła do salonu i przycupnęła w napięciu na krańcu kanapy. Przez okno wpadało szarawe, mętne światło, sprawiając, że eklektycznie dobrane meble wyglądały jak mydło i powidło – którym w sumie były. Kanapa była wyraźnie zużyta i gdzieś tam poprzecierana. Ośmiokątny stolik miał uszkodzone niektóre kąty, a wykończenie krzesel, ewidentnie tanich, było pozbawione połysku. Jej matka nigdy nie kupiłaby takich krzesel.

Myśli dziewczyny nieuchronnie wracały do Kath. Wyobrażała ją sobie w zimnej, wylanej betonem więziennej celi albo prowadzoną przed oblicze sądu, albo zamkniętą w pokoju bez klamek.

Podeszła do okna i wyjrzała na cichą ulicę, jakby zniecka mogła się na niej zjawić Kath. Co oczywiście nie nastąpiło.

Musiała wrócić do jej domu. Ktoś musiał się tam w końcu pojawić – i ten ktoś będzie wiedział, co się stało z Kath. Lily robi, co w jej mocy, by też się tego dowiedzieć.

Pospiesznie zawiązała buty, wzięła klucz, który dostała od Lany, i wyszła z mieszkania, starannie zamykając za sobą drzwi.

Powietrze było chłodne i wilgotne; żałowała, że nie pożyczyła żadnej z kurtek Lany. North Beach wyglądało obco i w przeciwieństwie do Chinatown było praktycznie opuszczone, a panująca w nim cisza tylko wzmacniała w Lily poczucie, że się wyróżnia. Spozrzała grupkę ludzi wchodzących do sklepu na rogu. Wyglądali konspiracyjnie, jakby wiedzieli, że nie powinni się włóczyć na zewnątrz.

W oddali rozległ się huk fajerwerków. Lily widziała je oczyma wyobraźni: białe rozbłyski i strugi dymu lecące w górę, a do tego papierowe opakowania przecinające powietrze niczym konfetti.

Nie była zbyt daleko od Chinatown. Przez chwilę zastanawiała się nad powrotem. Matka przygotowywała dziś świąteczną kolację z okazji Nowego Roku, a ona miała jej w tym pomóc. Potem jednak wyobraziła sobie swój powrót do domu: zmuszenie się do zadzwonienia do drzwi (w końcu nie miała kluczy), czekanie, aż ktoś otworzy i ją wpuści. Wyobraziła sobie też rozczarowanie i odrzę na twarzy ojca. Zrozumiała, że nie może wrócić.

Kiedy dotarła na ulicę Kath, zbliżając się do budynku, zwolniła. Wszystkie zasłony były zaciągnięte; w żadnym oknie nie widziała znaku życia. Może dlatego, że był niedzielny poranek. Okolica wyglądała na opuszczoną, ponieważ ludzie zapewne poszli do kościoła. Serce w niej zamarło, gdy to sobie uświadomiła – już była gotowa się odwrócić, ale myśl o powrocie z pustymi rękami do Lany wydała się jeszcze gorsza niż puste mieszkanie Kath.

Weszła na ganek i zadzwoniła do drzwi. W budynku panowała cisza. Po dłuższej chwili zadzwoniła ponownie. Już miała się odwrócić i odejść, gdy drzwi niespodziewanie się uchyliły. Wyrzała przez nie dziewczynka o wielkich niebieskich oczach, identycznych jak oczy Kath.

– Jesteś siostrą Kath? – zapytała Lily. – Peggy?

Dziewczynka otworzyła drzwi szerzej. Miała jakieś dwanaście lat i jasnobrązowe włosy spięte w dwa kucyki. Spojrzała niepewnie, ale skinęła głową.

– Kim jesteś?

– Mam na imię Lily, jestem jej przyjaciółką. Ze szkoły. Kath jest w domu?

Peggy potrząsnęła głową.

– Masz na imię Lily?

– Tak.

– Opowiadała mi o tobie.

Lily była zaskoczona.

– Naprawdę?

– Tak. Ale nie ma jej tu.

– A gdzie jest? Tak się martwiłam... Dzwoniłam wczoraj... – Lily urwała, widząc, jak Peggy wygląda za jej ramię. Odwróciła się i popatrzyła na ulicę, ale w zasięgu wzroku nikogo nie było.

– Co się dzieje?

– Nie wolno mi nikomu o tym mówić.

– Mnie możesz powiedzieć – zapewniła Lily, starając się brzmieć przekonująco. – Mówiłaś, że opowiadała ci o mnie. Wiesz, że jestem jej przyjaciółką. Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku.

– Nie wolno mi nikomu nic mówić – przyznała niechętnie Peggy.

– Czy Kath wkrótce wróci do domu?

– Nie wiem – powiedziała dziewczynka i cofnęła się w głąb mieszkania. – Przepraszam.

– Zaczekaj. Zaczekaj! Skoro nie możesz mi nic powiedzieć, to może mogłabyś chociaż wspomnieć Kath, że przyszedłam?

Peggy wyraźnie się zawahała.

– Możesz jej powiedzieć, gdzie jestem? Nie ma mnie w domu. Jestem teraz... Jestem

w mieszkaniu Lany. Powiedz, że jestem na Castle Street czterdzieści osiem.

Peggy znowu się cofnęła, a Lily się wystraszyła, że dziewczynka zamknie jej drzwi przed nosem, ale w końcu wróciła z niewielkim notesem i ołówkiem.

– Proszę – powiedziała, podając je Lily.

Lily wzięła notes i zapisała adres Lany. Napisała też: „Jestem u Lany. Lily”, po czym oddała całość Peggy, która przeczytała wiadomość i ponuro skinęła głową.

– Dam jej to, jeśli wróci do domu.

A potem zamknęła drzwi.

Lana wróciła z dwiema torbami zakupów, a Lily zeskoczyła z kanapy, żeby jej pomóc.

– Dzięki. Weź to do kuchni – powiedziała Lana i wręczyła jej jedną z siatek, zamykając drzwi łokciem.

Kiedy zakupy zostały rozpakowane, Lana usiadła na kanapie i zapaliła papierosa, po czym bez żadnych wstępów oświadczyła:

– Widziałam się z Parkerem. Pytałam, czy twoja Kath mogła zostać aresztowana, ale on uważa, że nie, bo nie ma skończonych osiemnastu lat.

Lily usiadła na jednym z krzeseł.

– Domyśla się, dokąd mogli ją zabrać?

– Nie, ale twierdzi, że powinni już ją wypuścić. Nie mogą jej zatrzymać, o ile nie figuruje w kartotece. A nie figuruje, prawda?

– Nie.

– Pewnie wróciła do domu, o ile rodzice jej na to pozwolili. Oto prawdziwy problem.

Lily przypomniała sobie spotkanie z siostrą Kath i pomyślała, że jej rodzice mogli się na to nie zgodzić.

Lana obserwowała ją w zadumie z drugiego końca stolika kawowego, nie przestając palić papierosa.

– Tommy chyba wyjdzie jutro rano – oznajmiła, strzepując dym do przepelnionej popielniczki. – Wiem, że masz trudną sytuację, słonko, ale lepiej by było, gdyby już cię tu wtedy nie było. Ale dziś możesz jeszcze zostać na noc, jeśli chcesz. Masz dokąd jutro pójść?

Lily zatopiła się w krzesło.

– Yyy... Tak, jasne – wykrztusiła w końcu. – Mogę pójść... gdzieś.

– Jeżeli nie masz dokąd, Parker poradził, żebyś się udała do Donaldina Cameron House w Chinatown. Znasz to miejsce?

Lily miała bolesną świadomość, że Lana przygląda jej się z czymś na kształt litości, a to sprawiało, że drżała ze wstydu.

– Tak, znam – odparła, starając się brzmieć pewnie. – Poradzę sobie. Dzięki, że mogłam się u ciebie na trochę zatrzymać.

– Żaden problem. Przykro mi z powodu tego, co się stało. – Lana dogasiła papierosa, po czym wstała i się przeciągnęła. – Teraz idę się przespać. Wciąż mam kaca po wczorajszym. Poradzisz

sobie? Chcesz książkę czy coś? – Podeszła do stoliczka i otworzywszy szafkę pod nim, wyciągnęła kilka powieści w tanich okładkach. – Proszę. Są tandetne, ale przy kilku można się naprawdę dobrze bawić.

Ich okładki były równie absurdalne jak okładki powieści na tyłach Thrifty. Kobieta ze spuszczonej oczami, w kusej sukni, ścigana przez mężczyznę z fedorą na głowie i z bronią w dłoni. *Ostatnia kochanka*. Dwóch mężczyzn podczas bijatyki w ciemnym zaułku i kobieta w podartej sukni w rogu. *Nocny zew*.

– Dzięki – mruknęła z zakłopotaniem Lily.

Lana ziewnęła.

– O rany, zaraz padnę. Do zobaczenia.

Lily nasłuchiwała, jak Lana idzie z powrotem do sypialni, po czym zamyka po cichu drzwi. Jej palce zastygły na oparciu krzesła. Cameron House! Przed kilku dekadami to miejsce przyjmowało upadłe chińskie kobiety – prostytutki – ale obecnie był rodzajem ośrodka zajęć pozaszkolnych dla dzieciaków z Chinatown. Wyobraziła sobie, jak staje na progu tego miejsca, podchodzi do lady w hallu obitym boazerią i prosi o nocleg. Oczywiście wyobraźni widziała, jak dyżurna rzuca jej zdziwione spojrzenie, podnosi słuchawkę, żeby zadzwonić po kogoś z pracowników, i mówi: „Mam tu dziewczynkę bez grosza przy duszy”. Nie, to nie było dobre rozwiązanie.

Wiedziała, że musi wpaść na jakiś plan, ale w głowie miała absolutną pustkę. Poszła więc na kanapę i uniosła *Ostatnią kochankę*. Pod nią, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, leżała *Dziwna pora*. Nie widziała tej książki, odkąd podczytywała ją w sklepie.

Wzięła ją ze sobą na kanapę i otworzyła. Grzbiet był uszkodzony, a kilka stron miało pozaginane rogi. Przekartkowała sceny, które już czytała, i szybko dała się pochłonąć melodramatycznemu życiu miłosnemu Patrice. Bohaterka nie była w stanie się pogodzić ze swoimi uczuciami wobec Maxine; ta nazywała ją nieznośną i rzucała w nią wazonami, a potem wylewnie przeproszała i kochała się z nią w przedpokoju swojego mieszkania (czytając tę scenę, Lily uniosła wzrok i upewniła się, że Lana nadal jest w sypialni). Był chłopak Patrice – ten, który zostawił ją na początku książki – wrócił i błagał o przebaczenie. Patrice zeszała się z nim i powiedziała, że zrobiła coś szalonego, a potem wyznała mu, że miała romans z Maxine.

Lily miała złe przecucie co do tego wyznania, a scenę czytała z narastającym niepokojem. Chłopak Patrice wydawał się zbyt wyrozumiały. „Po prostu popełniłaś błąd” – mówił do niej kojącym głosem. *Wcale nie!* – zaprotestowała w myślach Lily. Ale nawet ona nie była w stanie przewidzieć finalnego zwrotu akcji. Pod pretekstem wspólnego lunchu chłopak Patrice zawiózł ją do ośrodka dla obłąkanych. Powieść kończyła się sceną, w której Patrice, odurzona lekami uspokajającymi, leży na szpitalnym łóżku, szepcząc imię Maxine.

Lily miała ochotę cisnąć książką przez pokój. Była tak zdenerwowana jej zakończeniem, że kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, oniemiała. Spojrzała w stronę kuchni, zastanawiając się, czy jego dźwięk zbudził Lanę, ale kiedy zadzwonił ponownie, uznała, że powinna otworzyć i przekazać ewentualną wiadomość gospodyni.

Wyszła na korytarz i otworzyła drzwi wejściowe. Ku jej wielkiemu zdumieniu na ganku stała ciocia Judy.

– Naprawdę tu jesteś! – wykrzyknęła ciocia i w jednej chwili zamknęła Lily w objęciach.

Pachniała szarym mydłem z łazienki domu rodzinnego Lily, a także nutą imbiru i czosnku, jakby przysłała tu prosto z kuchni. Ten zapach był dziewczynie tak znajomy, że ta przez moment się w nią wtulała, jakby znów była małą dziewczynką. Ciocia Judy ścisnęła ją, mówiąc:

– Tak bardzo się martwiliśmy. Coś ty sobie myślała? Nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz! – A potem odsunęła bratanicę na długość wyciągniętych rąk i uważnie jej się przyjrzała. – Wyglądasz dobrze. Jadłaś coś.

Oczy Lily piekły ją od łez. Ciocia Judy wyglądała jak zwykle: była drobną, filigranową kobietą w okularach z grubymi oprawkami, co nazywała efektem zbyt wielu godzin spędzonych przy kiepskim świetle nad matematycznymi książkami.

– Jak mnie tu znalazłaś? – zapytała Lily.

Ciocia Judy bez słowa wyjęła z torebki dwa świstki papieru. Na jednym był zapisany adres Kath. Drugi okazał się notatką, którą zostawiła w jej domu – z adresem Lany. Do Lily dotarło, że ciocia wysledziła ją niczym rasowy detektyw, a teraz – serce w niej zamarło – wiadomość nigdy nie dotrze do Kath.

– Mogę wejść? Co to za miejsce? – zapytała tymczasem ciocia. Lily cofnęła się i wpuściła ją do środka.

– Zatrzymałam się u... u koleżanki.

Ciocia Judy wyglądała tak, jakby zastanawiała się nad zdjęciem płaszcza i butów – musnęła nawet palcami guzik peleryny przeciwdeszczowej – ale potem chyba uznała, że nie spędzi tu zbyt wiele czasu. Odwróciła się do Lily, mówiąc:

– Musisz wrócić do domu.

– Nie mogę – odparła przerażona dziewczyna.

Ciocia weszła do salonu i zrobiła kilka kroków, przyglądając się meblom, książkom (Lily z ulgą zauważyła, że *Dziwna pora* leżała okładką do dołu) oraz oprawionym zdjęciom Tommy Andrews. Usiadła na kanapie, a Lily spostrzegła, że jej wzrok zatrzymuje się na obsceniczej zapalniczce. Lecz ciocia Judy zapytała tylko:

– Dlaczego nie?

Lily usiadła naprzeciwko niej, sztywna z przejęcia.

– Mama powiedziała... Pokłóciłyśmy się. Nie chce mnie tam.

– Twoja mama mówiła, że się posprzeczałyście, ale nic nie wspominała o tym, żeby wyrzuciła cię z domu.

Lily zastanawiała się, czy matka była w stanie wyjaśnić ciotce, co faktycznie zaszło.

– Co to za koleżanka, u której mieszkasz? – zapytała ciocia Judy.

Oto nadeszła kolejna szansa na kłamstwo. „Koleżanka ze szkoły” – mogła powiedzieć. „Skończyła w zeszłym roku. Mieszka z bratem, ale jego teraz nie ma”. Spojrzała na tył mieszkania, zastanawiając się, czy Lana je słyszała i czy obudzi się z drzemki.

Nie. Nie mogła kłamać na temat Lany bez pozwolenia samej zainteresowanej.

– To Lana Jackson – powiedziała w końcu. – Mieszka tu z... Tommy Andrews. Na zdjęciach jest właśnie Tommy. Śpiewa w Telegraph Club, w którym w piątek zorganizowano policyjny nalot. To bar dla... homoseksualistów. Wallace Lai widział mnie przed nim w noc nalotu. Byłam tam.

Ciotka patrzyła na nią z kamienną twarzą, choć brew jej drgnęła, gdy Lily potknęła się na słowie „homoseksualiści”. Dlaczego musi brzmieć ono aż tak wulgarnie? – pomyślała, gdy cząstka „seks” utknęła w jej gardle.

– Rozumiem – powiedziała ciocia Judy. Wyglądało na to, że zabrakło jej słów. Opuściła wzrok na swoje złożone razem ręce.

W tej ciszy Lily słyszała tykanie zegara gdzieś w mieszkaniu. Wzrok dziewczyny padł na Lucky Striki, a przez głowę przemknęła jej szalona myśl, że może gdyby zapaliła teraz papierosa, ciocia byłaby tak zszokowana, że zaraz by zapomniała, co przed chwilą powiedziała.

Rozległo się znajome skrzypnięcie drzwi sypialni, a Lily zerwała się na równe nogi. Chwilę później w progu salonu pojawiła się Lana zawiązująca sobie kwiecisty szlafrok – była boso i sprawiała wrażenie kogoś, kto właśnie wstał z łóżka.

– Dzień dobry – powiedziała, patrząc to na Lily, to na Judy. – Usłyszałam jakieś głosy.

Ciotka wstała i przeszła przez pokój z wyciągniętą ręką.

– Nazywam się Judy Fong. Jestem ciotką Lily.

Lana zamrugła, ściskając jej rękę.

– Aha. Ja się nazywam Lana Jackson.

– Dziękuję, że Lily mogła u pani nocować.

Była niższa od Lany, ale pewność w zachowaniu dodawała jej centymetrów. Kiedy zobaczyła je razem, Lily pomyślała, że Lanie bliżej wiekiem do niej niż do jej cioci. Wcześniej sądziła, że Lana jest taka dojrzała i wyrafinowana, ale w porównaniu z ciocią Judy zdawała się młodzieńka i chyba trochę naiwna.

– Było mi bardzo miło – powiedziała Lana, ale w jej głosie można było wyczuć nutę fałszu. Poruszyła się niepewnie, po czym spojrzała na Lily. – Czyli wracasz?

– Nie mogę...

– Tak – przerwała ciocia Judy. – Przyszłam tu, żeby zabrać ją do domu.

Lily się zawahała.

– Mówiłam ci, że...

– Wrócimy do domu i porozmawiamy o tym z twoim ojcem.

Lily zbladła.

– To nie jest najlepszy pomysł.

Lana przyglądała się tej wymianie zdań z uniesionymi brwiami.

– Chyba nie powinnam wam przeszkadzać – oznajmiła i poczęła się wycofywać do jadalni. – Omówcie to sobie na spokojnie same.

– Nie, nie, wychodzimy – odparła ciocia Judy. – Nie chcemy nadużywać pani gościnności. Raz jeszcze dziękuję, panno Jackson. Lily, jesteś gotowa? Masz płaszcz?

W jej głosie wybrzmiewało coś niepokojącego, jakby próbowała wyciągnąć Lily z opresji. Do

dziewczyny dotarło, jak Lana z pewnością wygląda w oczach ciotki: w tym obcisłym szlafroku z dekoltem nieprzystającym do tej godziny, z potarganymi po drzemce blond włosami i na wpół startą szminką, jakby się z kimś całowała. Lily poczuła potrzebę ochrony Lany, która przyjęła ją do siebie, chociaż prawie jej nie знаła, i ogromną złość na ciotkę.

– Nie słuchasz mnie – powiedziała poirytowana.

Wyraz twarzy ciotki nieco złagodniał.

– Bardzo się o ciebie martwiliśmy, Lily. Jest Nowy Rok. Twoja mama przez cały dzień się uwijała, żeby przygotować dla nas kolację. Wróć do domu. Proszę.

Pieszko ruszyły z powrotem do Chinatown. Nadal było chłodno, a Lily miała na sobie tylko cienki kardigan. Kiedy zatrzymały się na przejściu kilka przecznic od mieszkania Lany, ciocia Judy zdjęła płaszcz i przekazała go Lily. Dziewczyna założyła go, czując się przy tym jak dziecko.

Ulice Chinatown były zaślane pozostałościami po fajerwerkach. Większość sklepów pozostała dziś zamknięta, ale turyści i tak krążyli po okolicy, przyglądając się wykaligrafowanym znakom, których nie umieli odczytać, i spoglądając przez witryny na suszone zioła czy kiczowate pamiątki. Wielu Chińczyków spacerowało w odświętnych strojach, odwiedzało rodzinę i znajomych albo zmierzało na noworoczne bankiety organizowane w ich małych społecznościach.

W czasie wojny matka Lily zabierała ich na takie noworoczne przyjęcia, ale gdy ojciec zakończył służbę w armii, przestali na nie chodzić. On wolał jeść szanghajskie potrawy, a przyjęcie było organizowane dla Kantonczyków z prowincji Guangdong.

– Nie umięją poprawnie gotować – narzekał, więc matka Lily nauczyła się przyrządzać jego ulubione noworoczne potrawy, a odkąd w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku przybyła tu ciocia Judy, ona również zaczęła jej pomagać.

Lily z reguły nie mogła się doczekać świątecznej kolacji, ale w tym roku wolałyby być gdziekolwiek indziej. Wiedziała, że gdy tylko wróci do domu, będzie musiała się przywitać z babcią, wujkami i kuzynostwem, udając, że wszystko jest w porządku. Będzie musiała słuchać rodziców, a zwłaszcza matki – tej, która powiedziała jej: „Nie powiemy o tym wujkom ani ciociom. Nawet słowem nie piśniesz o tym babci”.

Lily czuła, że znajduje się w pułapce, z której nie ma drogi ucieczki.

Kilka kroków przed drzwiami wejściowymi rozważyła ponowną ucieczkę – ale dokąd miałyby pójść? Tak właściwie to nie miała wyboru. Mogłaby spędzić jeszcze jedną noc na kanapie u Lany, ale co potem?

Ciocia Judy wyciągnęła klucz do drzwi, a potem przekręciła gałkę i spojrzała na Lily, gestem zachęcając, by ta weszła jako pierwsza.

W przedpokoju było ciemno. W całym domu pachniało imbirem i zalewą do ryby po szanghajsku, którą matka przyrządzała dla nich co roku. Słysząc było już dobiegające z góry głosy braci i młodszych kuzynów. Nie wiedzieli, że ona jest już na dole – wahała się, czy do nich dołączyć i jak gdyby nigdy nic dać się pochłonać rodzinie. Wszystko, co działo się z nią przez ostatnich czterdzieści osiem godzin, zostanie zignorowane. Celowo.

– Lily – odezwała się ciocia Judy.

Dziewczyna ruszyła po schodach na górę ze ściśniętym sercem.

Na korytarzu u góry nie było nikogo, ale o ścianę naprzeciwko stolika z telefonem oparto szereg toreb i walizek.

– Idź się przywitać z babcią – powiedziała ciocia Judy. – Jest w salonie.

Lily zzuła buty i poszła tam, gdzie skierowała ją ciotka. Bracia i kuzynostwo – jedenastoletni Jack i dziewięcioletnia Minnie – leżeli na podłodze i grali w kulki. Wujkowie Francis i Sam palili przy oknie, a A P’oh[39] siedziała na krańcu kanapy, obserwując bieg wydarzeń. Ujrzała Lily, gdy tylko ta weszła do pokoju.

– A Lai[40] – odezwała się A P’oh, gestem zapraszając Lily obok siebie na kanapę.

– Lily! – zawołał Eddie. – Wróciłaś?!

– Wszyscy byli wściekli – dodał Frankie, nim Eddie zgromił go spojrzeniem.

– Przepraszam – powiedziała do braci, a właściwie do wszystkich, po czym usiadła obok babci. Ta wzięła ją za rękę. Jej skóra luźno opasała kości, sucha jak papier, choć jej uścisk wciąż był dość mocny.

– *A P’oh hou* – przywitała się Lily. – *Gei si dou ga*[41].

– *Ngo gam jou dou ga* – odparła A P’oh, po czym znacząco na nią spojrzała, a Lily zaczęła się zastanawiać, ile babcia wie o tym, co zaszło. – *Daai ga hou daam sam nei ho. Chin kei mou joi gam jou*[42].

Ton jej głosu był miękki, lecz kryło się w nim oczywiste ostrzeżenie. Lily spłoszowała.

– *Deui m jyu, A P’oh*[43] – odparła, spuszczać wzrok. Wcześniej powtórzyła sobie kilkakrotnie, że nie zrobiła nic złego, ale i tak czuła się winna.

Zdjęła ubrania, w których spędziła ostatnią noc, i się przebrała. Umyła twarz i zęby, uczesała się i spięła włosy. W łazienkowym lustrze znów ujrzała grzeczną małą Chinkę.

W kuchni ciocia Judy i ciocia May kroili warzywa przy stole, a matka smażyła *nien-kaao*[44] na piecu. Ojciec parzył herbatę w czajniku. To on zobaczył ją pierwszy, a jego twarz przeszła wyraźna ulga.

Matka się odwróciła. Jej twarz się rozluźniła, ale tylko na chwilę.

– Chodź tu i pomóż ciotkom – powiedziała.

Lily wzięła krzesło i usiadła przy stole obok cioci May, a ciocia Judy, która już miała zacząć

mieścić imbir, podsunęła jej deskę do krojenia i powyginany korzeń.

Ojciec ustawił dzbanek na niedużej okrągłej tacce obok stosów filiżanek, po czym skierował się do kuchni. Lily poczuła, że chce jej coś powiedzieć – zawahał się nawet, stanąwszy obok jej krzesła – ale ten tylko milczał. Narastał w niej palący wstyd. Nie była pewna, ile informacji dotarło do jej rodziny, ale cisza odpowiedziała jej, że wiedzą wystarczająco dużo.

Skupiła się na imbirze, krojąc go najstaranniej, jak tylko umiała. W końcu ciotki i matka podjęły rozmowę. Za każdym razem, gdy Lily kończyła jakieś zadanie, dostawała od ciotki Judy kolejne: obierała i kroїła czosnek, następnie cebulki, a potem jeszcze ponikła[45]. Wszystkie płaskie powierzchnie w kuchni były zavalone składnikami kolejnych serwowanych dań: dwoma rodzajami suszonych grzybów, suszonymi kwiatami lili, strąkami fasoli – wszystko nasiąkało w osobnych miseczkach wypełnionych jakąś cieczą. Do tego jeszcze sterta umytej sałaty suszącej się w zniszczonym metalowym durszlaku, butelki sosu sojowego i ostrygowego, a także wina do gotowania. Garnek z zupą z korzeni lotosu pykał na kuchence, a matka Lily wykładała *nien-kao* na półmisek. Tymczasem ciocia May wyjęła z lodówki całą rybę.

Było dokładnie tak jak zawsze w Nowy Rok – ta powtarzalność sprawiła, że Lily odpłynęła gdzieś myślami. Jej palce robiły swoje, ale tak naprawdę warzywa mogłaby przyrządzić nawet przez sen. Jej umysł raz po raz gdzieś błędził, po czym powracał do ostatnich chwil spędzonych z Kath w Telegraph Club. Wspominała moment, kiedy przejęte przebiegały przez korytarz na tyłach wśród migających świateł, a kobiety krzyczały, żeby się ruszyła. Myślała o dłoni Kath ściskającej jej rękę, a potem ją puszczającej.

Oczy Lily zrobiły się szkliste. Musiała siłą się powstrzymać od płaczu. Nie powinna była przenigdy puszczać jej dłoni. Powinna była ją trzymać i wyciągnąć Kath tylnymi drzwiami.

Ręce Lily tak bardzo drżały, że nożyk się ześlizgnął, a ostrze musnęło czubek jej palca wskazującego u lewej dłoni. W jednej chwili pojawiła się na nim jaskrawoczerwona kropla krwi. Patrzyła wstrząśnięta na palec, a krew kapnęła na deskę do krojenia.

Ciocia Judy ostrożnie wyjęła nożyk z jej dłoni, a potem powiedziała cicho:

– Wszystko jest w porządku. To tylko małe draśnięcie. Idź to sobie opatrzeć.

Nie licząc zupy lotosowej oraz ryżu, na kolację podano osiem dań: gotowanego w całości kurczaka z sosem imbirowym, pieczoną kaczkę z delikatesów w Chinatown, *lo-han chai*, wegetariańskie danie spożywane tradycyjnie przez mnichów, *hsün yü*, rybę na zimno po szanghajsku, rybę na parze po kantońsku, *nien-kao*, sałatę w sosie ostrygowym, a na deser *pa pao fan*, czyli kleisty ryż na parze faszerowany pastą ze słodkiej fasoli.

Lily umierała z głodu przez całe popołudnie – miała wrażenie, że minęła cała wieczność, odkąd jadła jajecznicę u Lany – bo chociaż jedzenie było przepyszne, straciła na cokolwiek apetyt. Ciocia Judy, siedząca obok niej przy zaimprovizowanym stole na dwanaście osób, od razu to zauważyła. Wybrała kilka sztuk *hsün yü* i położyła je w misce Lily, by bratanica zaczęła jeść.

Przynajmniej nikt nie próbował z nią rozmawiać. Matka Lily, wujek Sam, ciocia May i babcia dyskutowali po kantońsku na jednym końcu stołu, a ojciec Lily i ciocia Judy przeszli na szanghajski. Wujek Francis, który dorastał w Los Angeles, pozostał przy angielskim, w którym rozmawiał z dziećmi. Od czasu do czasu Lily spostrzegała, że matka i ojciec spoglądają na nią, ale żadne się do niej nie odezwało.

Poczuła się tak, jakby podzieliła się na dwie osoby, ale tylko jedna pozostawała w tym salonie. Dziś była grzeczną chińską córką starannie obgryzającą kości *hsün yü*, ostrożnie wyjmującą je z ust i odkładającą pałeczkami nieduże białe kawałki na skraj talerza. Tę drugą pozostawiła na chodniku, zanim Lily weszła do środka. To ta dziewczyna spędziła minioną noc na North Beach,

w mieszkaniu ledwie znanej sobie białej kobiety. Lily wiedziała, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko uda jej się utrzymać tamtą dziewczynę z dala od tej chińskiej rodziny.

Może kiedyś przywyknie do tego uczucia: rozbicia, niepewności, braku gwarancji, że ta druga ona pozostanie w cieniu, gdy tylko jej się to rozkaże. Dzisiaj jednak czuła się tak, jakby była o krok od powiedzenia albo zrobienia czegoś niepożądanego, a od prób zatykania ust tej drugiej sobie robiło jej się niedobrze. Żołądek Lily ewidentnie się buntował przeciwko tej sytuacji, bolała ją również głowa i dziewczyna czuła się tak zmęczona, że była przekonana, iż jeszcze chwila, a padnie bez świadomości na stół, głową prosto w miskę z ryżem. Uderzyła ją ta wizja jako nedorzecznie śmieszna. Musiała przełknąć gwałtownie ślinę, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

Wreszcie kolacja dobiegła końca, a A P'oh nakazała rozdanie *lei shi*[46]. Wujek Sam poszedł do przedpokoju, a potem wrócił z rękoma pełnymi czerwonych kopert. Minnie i Frankie pisnęli z radości, a dorośli pobłażliwie się zaśmiali. Ojciec Lily wyjął kilka kopert z kieszeni kurtki, a wujek Francis udał się po swoje do płaszcza. A P'oh poinstruowała z kolei Frankiego, by przyniósł jej torebkę z sypialni Lily.

Czerwone koperty przekazano wszystkim dzieciom, w tym Lily. Każde dostało cztery, pełne sztywnych, nowiutkich banknotów. Najmłodszy dostał tylko po dolarze w każdej kopercie, ale Lily otrzymała w tym roku trzydzieści pięć dolarów, łącznie z dwudziestoma od rodziców. Pieniądze stanowiły prezent, ale zdawały się też ostrzeżeniem. Oznaczały oczekiwanie, że Lily zrobi to, co do niej należy.

Rozdanie *lei shi* oznaczało zakończenie kolacji, toteż Lily poszła pomóc matce uprzątnąć naczynia ze stołu. Potem mężczyźni go złożyli i zapalili papierosy. Ciocia Judy otworzyła okna w salonie, by wypuścić dym. Z Grant Avenue niósł się dźwięk fajerwerków wybuchających w powietrzu.

Frankie pobiegł do okna, by wyrzucić na zewnątrz, a brat i kuzynostwo podążyli w ślad za nim.

– Tato, możemy iść pooglądać fajerwerki? – zapytał Frankie.

Koniec końców był Nowy Rok, więc dorośli bez problemu się zgodzili, a wujek Sam, wujek Francis i ojciec Lily założyli kurtki, by ruszyć wraz z dziećmi na koniec osiedla. Zapytali Lily, czy chce pójść z nimi, ale ona tylko pokręciła głową i poszła pomóc matce oraz ciotkom pozmywać naczynia.

Kiedy skończyły, wstawiły wodę na herbatę, a Lily obwieściła wszystkim, że idzie spać. Matka spojrzała na nią – tak naprawdę po raz pierwszy od początku dnia – a dziewczyna odwróciła wzrok.

– Weź koce z mojego pokoju, żebyś mogła spać na podłodze u braci – powiedziała matka.

– Pomogę ci – zdecydowała ciocia Judy, wstając pospiesznie.

Znalazły kołdrę i stary koc wojskowy, a do tego wzięły jedną z poduszek z łóżka Lily, po czym ułożyły to wszystko na podłodze między łózkami braci. Dziewczyna życzyła dobrej nocy babci, która w trakcie pobytu tutaj zawsze spała w jej pokoju. Następnie umyła zęby, przebrała się w koszulę nocną, zaniósła do pokoju rodzeństwa czyste ubrania na kolejny dzień, aż w końcu zamknęła drzwi. Podłoga pod jej ciałem była twarda, co szybko przypomniało jej o miękkiej kanapie u Lany.

Zamknęła oczy. Pomyślała o pierwszym razie, kiedy widziała Lanę na korytarzu w Telegraph Club, przed toaletą... Wspomnienie było jednak chaotyczne i rozmyte, pełne barwnych plam i głosów pozbawionych właścicieli. Teraz zdawało się ono niewiarygodne – ta myśl, że ona, Lily Hu, wymykała się z domu w środku nocy i chodziła do klubu dla homoseksualistów. Jak mogła

zrobić coś takiego? Wystarczyło kilka godzin spędzonych w domu, a Telegraph Club już zdawał się bardziej fantazją niż czymś prawdziwym. To ją martwiło. Czuła się tak, jakby ktoś próbował wymazać jej wspomnienia – ją samą – przy użyciu niewidzialnej gumki, przez co wszystko znikało coraz bardziej i bardziej.

Próbowała pomyśleć o tym, co zdarzyło się na pewno. Niepewna mina Kath, gdy ta dawała jej numer „Collier’s” na szczycie Russian Hill. Kusząca miękkość ust Kath podczas pierwszego pocałunku. Gorący oddech Kath na jej szyi, gdy wciskały się w kącie sali panny Weiland. Lily nigdy w życiu nie była z nikim tak blisko.

Wspomnienia bolały, przypominając jej o Kath i lęku o to, co mogło się z nią stać. Ale ten ból był prawdziwy – o wiele prawdziwszy niż całe popołudnie milczenia. Leżała więc na twardej drewnianej podłodze między łózkami braci i pozwalała, by ból wypełnił ją w całości.

[39] Babcia (matka matki) (przyp. aut.).

[40] Zdrobnienie dla Lily (przyp. aut.).

[41] „Dzień dobry, babciu [...] Kiedy przyjechałaś?”, oryg. „阿婆好 [...] 幾時到咖” (przyp. aut.).

[42] „Przyjechałam dziś rano [...]. Wszyscy się o ciebie martwili. Nigdy więcej tak nie rób”, oryg. „我今早到咖 [...] 大家好擔心你啊. 千其无再咁做” (przyp. aut.).

[43] „Przepraszam, babciu”, oryg. „對唔住, 阿婆” (przyp. aut.).

[44] Ciasteczka ryżowe (przyp. aut.).

[45] Ponikło słodkie to charakterystyczna chińska roślina, nazywana niekiedy kasztanem wodnym (przyp. tłum.).

[46] Czerwone koperty z pieniędzmi dawane dzieciom z okazji Nowego Roku (przyp. aut.).

Lily zbudziła się jeszcze przed świtem. W pokoju panowała ciemność. Słyszała, jak bracia po obu jej stronach oddychają – ich klatki piersiowe się unosiły i opadały niemal w jednym rytmie. Kiedy poprzedniego wieczoru przyszli do pokoju, stanęli nad nią – słyszała ich, ale udawała, że śpi – szepcząc: „Wszystko z nią w porządku? Dlaczego mama była na nią taka wściekła? Zrobiła coś nie tak? Cśśś, nie budź jej”. A potem Eddie podciągnął kołdrę aż pod jej brodę i pogładził ją po czole, jakby był ojcem sprawdzającym temperaturę. Od tego dotyku oczy wypełniły jej się łzami, które następnie spłynęły bezgłośnie po skroniach, gdy Eddie i Frankie pakowali się do łóżek, szeleszcząc kołdrami i szykując się do snu.

Nie chciała ich budzić, ale pamiętała, że w mieszkaniu jest teraz o pięć osób więcej, a ona nie chciała być ostatnia w kolejce do łazienki. Wstała najciszej jak umiała i wyślizgnęła się z pokoju. Przy odrobinie wysiłku mogła udać, że to dzień jak co dzień. Umyła się szybko i ubrała. W kuchni matka parzyła już kawę i robiła kleik z resztek ryżu.

– Nakryjesz do stołu? – zapytała.

Lily poszła do kredensu, zastanawiając się, czy od teraz wszystkie ich rozmowy będą się sprowadzały do spraw funkcjonalnych. Czuła się pusta w środku, niczym zmatowiała srebrna miseczka.

Gdy wszyscy poczuli się budzić, usłyszała na drugim końcu mieszkania świergot małej Minnie, więc po chwili kuchnia też się zatłoczyła. Był poniedziałek, ale z racji noworocznego tygodnia i rodzinnego spotkania rodzice Lily wzięli kilka dni wolnego. Eddie i Frankie nadal chodzili jednak do szkoły, ma się rozumieć, a Lily... Ta myśl zatrzymała ją tuż przed posmarowaniem chleba masłem. Zaniepokoiła ją myśl o powrocie do szkoły, do Shirley, do wszystkich, którzy na pewno wiedzieli już o niej i Kath.

Śniadanie pozwoliło jej rozproszyć złe myśli. Eddie i Frankie próbowali się jakoś wymigać od szkoły, ale ponieśli porażkę. Minnie i Jack starali się nie okazywać nazbyt mocno radości z tego, że oni nie muszą nigdzie iść, ale ostatecznie nie byli w stanie się powstrzymać. Gdy tylko A P'oh się obudziła, Lily otrzymała polecenie zanieśienia jej tacy z kleikiem i herbatą. Kiedy zaś dziewczyna wróciła na korytarz i już-już miała podnieść tornister, pojawiła się przy niej matka, zupełnie jakby na nią czekała, i oznajmiła:

– Nie idziesz dziś do szkoły.

Ulgę Lily szybko zastąpił niepokój.

– Dlaczego?

Z kuchni wyszedł ojciec z filiżanką kawy w dłoni.

– Musimy porozmawiać.

Nie doszło do tego od razu. Najpierw trzeba było odprowadzić do szkoły Eddiego i Frankiego, a wszyscy inni musieli dokończyć śniadanie. Wujek Sam i ciocia May postanowili wziąć Minnie i Jacka na chiński plac zabaw. A P'oh z kolei oznajmiła, że zamierza się wybrać do świątyni Tin How. Gdy wszyscy wychodzili, pojawiła się również ciocia Judy i oznajmiła, że wujek Francis poszedł na spotkanie ze znajomym.

Lily była pewna, że wszystko to zostało starannie zaplanowane.

Ostatecznie cała czwórka – Lily, jej rodzice i ciocia Judy – zajęła miejsca przy kuchennym stole. Matka była jeszcze bez makijażu, a jej twarz w blasku lampy wydawała się pozbawiona kolorów. Usta zacisnęła w wąską linię. Ojciec wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego niż zwykle, a do tego palił papierosa za papierosem zamiast zwyczajowej fajki. Brwi cioci Judy, gdy spoglądała na stół, stykały się w wyrazie nieustającej troski.

– Nie wrócisz do szkoły – poinformowała matka. – Nie chcę, żebyś w jakikolwiek sposób stykała się z tą dziewczyną.

Lily udała, że nie zrozumiała.

– Jaką dziewczyną? Chodzi ci o Shirley?

Nozdrza matki zadrzały.

– Wiesz, o kim mówię. Rozmawiałam wczoraj z Shirley...

– Że co?

– Shirley o wszystkim mi powiedziała. O tym, jak ta cała Kathleen Miller cię omotała. Przyznała też, że ta dziewczyna jest homoseksualistką i że to ona zabierała cię w tamto miejsce. Powiedziała też, że próbowała cię z nią rozdzielić, ale zaprotestowałaś.

– To wcale nie było tak! Shirley kłamie!

– Jeżeli tak nie było, to powiedz, co się zdarzyło. Tylko nie kłam!

– Grace – odezwał się ojciec Lily – daj jej szansę. Czy coś z tego, co powiedziała Shirley, to prawda?

Wyglądało na to, że patrzeć na nią sprawia mu problem. To, jak unikał jej wzroku, było w tym wszystkim najgorsze.

– Shirley nie chce, żebym przyjaźniła się z kimkolwiek innym oprócz niej.

Powiedziała to. Powiedziała na głos to, o czym myślała niemal przez całe życie.

– Co za głupoty! – prychnęła matka.

– To prawda. Wszyscy wiemy, że to prawda. Nie spodobało jej się, że zaprzyjaźniłam się z Kath.

– Czyli znasz tamtą dziewczynę – zauważyła matka.

– Tak, znam ją, ale ona nie... Nie zrobiła tych wszystkich okropnych rzeczy, o które oskarża ją Shirley. Wcale mnie nie omotała. Chodziłyśmy... razem na matematykę, od kilku lat. – Lily spojrzała błagalnie na ciotkę. – Opowiadałam jej o twojej pracy, bardzo ją to zainteresowało. Chciałaby latać samolotami. Jest bardzo mądra. To ona dała mi to czasopismo, o którym ci opowiadałam.

Ciocia Judy łagodnie na nią spojrzała, a do Lily dotarło, jak niedorzecznie właśnie brzmiała. Jakby była po szczenięcemu zauroczona Kath. Myśl, że rodzice i ciocia mogliby tak uznać, śmiertelnie ją przerażała. Nie chciała, żeby sądzili, że kogokolwiek darzy takim uczuciem – czy to chłopaka, czy dziewczynę – a jednocześnie określenie jej uczuć wobec Kath jako zauroczenia nijak nie odzwierciedlało faktycznego stanu rzeczy. Czuła o wiele więcej i żałowała, że wcześniej tego nie pojęła.

– Dziewczęta nie latają samolotami – warknęła matka. – W jaki sposób zmusiła cię do pójścia do

tego klubu?

Lily potarła rozgrzane czoło chłodnymi palcami, starając się rozluźnić napięcie, które coraz bardziej w niej narastało. Każde wypowiedziane zdanie było wyborem. Miała niezliczone możliwości wycofania się ze wszystkiego – ale nie zamierzała zdradzać Kath.

– Sama chciałam tam iść – oznajmiła wreszcie. Jej głos był wyraźnie stanowczy. – Nie zmuszała mnie. To ja ją poprosiłam.

Ciszę panującą w kuchni przerywało tylko tykanie zegara. Ojciec patrzył na płonącego między palcami papierosa. Ciocia Judy patrzyła na nią, wciąż z tą samą zatroskaną miną.

Matka zaczęła kręcić głową, jakby chciała wyrzucić z niej słowa córki.

– Nie. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Ależ mam.

– Nie! To tylko dowodzi, że nie możesz wrócić do Galileo. Nie możesz się zbliżyć do tej dziewczyny. Tego właśnie się obawiałam. Lily, gdybyś tylko przyznała, że popełniłaś błąd, moglibyśmy ci pomóc się z tym uporać. Nie możesz zmarnować życia w ten sposób.

– Są badania na ten temat – dodał ojciec. – Jesteś na to za młoda. To tylko taka faza.

– O, właśnie, słuchaj ojca. To minie. Teraz wydaje ci się, że tak nie będzie, ale zrozumiesz to, gdy będziesz starsza. Lily, spójrz na mnie. Przeoczyliśmy sprawę z tym całym piknikiem Man Ts'ing. Wiemy, że nie chciałaś źle, ale to... Na to nie ma wymówki. Jesteś już na cenzurowanym z powodu sympatyzowania z Man Ts'ing. Jeżeli rozejdą się plotki, że dobrowolnie pokazywałaś się w towarzystwie homo-seksualistów...

Matka sprawiała wrażenie przerażonej. Splotła ręce na brzuchu i lekko się pochyliła, by jej słowa wybrzmiały z jeszcze większą siłą. Jej czoło przecięły bruzdy.

– Twojemu ojcu nadal nie zwrócono dokumentów. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Lily zrozumiała i aż ścisnęło ją w żołądku. Samo bycie kojarzoną z Man Ts'ing było wystarczającym problemem, ale gdyby nigdy więcej nie miała z nimi nic wspólnego, dałoby się z tego wybrnąć. Jednak demoralizujący wpływ homoseksualistów jeszcze bardziej pogarszał sytuację – nie tylko jej samej, ale też ojca. Jej zachowanie mogło zagrozić poprawności jego stosunków z urzędem imigracyjnym, ponieważ rzucało cień na jego reputację.

Dziewczyna spojrzała na ojca. Zaciągnął się papierosem tak mocno, że w jednej chwili spalił spory fragment gilzy. Miał ciemne wory pod oczami. Nadal na nią nie patrzył.

– Po prostu przyznaj, że rozumiesz swój błąd, a my ci pomożemy – powiedziała matka. Właściwie błagała, by Lily skłamała. Dziewczyna czuła pokusę poddania się tej prośbie. Tak byłoby o wiele łatwiej, bo przecież nie chciała narażać ojca na niebezpieczeństwo. Coś jednak uparcie nie pozwalało jej ulec tym słowom.

Kochała Kath.

Teraz wiedziała to na pewno. To było niesamowite i cudowne, jak gdyby wywracało świat do góry nogami – nie dało się bowiem pogodzić jej miłości wobec Kath z żądaniem matki. Gdyby skłamała, zdradziłaby Kath, a tego nie zamierzała robić. A gdyby nawet była w stanie żyć w kłamstwie, czy to jakkolwiek zmieniliby sytuację jej ojca? Skoro nie oddano mu dokumentów, powodem prawdopodobnie był fakt, że to on nie zamierzał kłamać w sprawie Calvina, a nie to, że Wallace Lai widział ją wychodzącą z Telegraph Club. A skoro jej ojciec nie chciał kłamać, dlaczego ona by miała?

Lily odetchnęła głęboko.

– To nie była pomyłka. Możecie mnie o to pytać, ile tylko razy chcecie, ale ja nie będę kłamać. – Im dłużej mówiła, tym bardziej odważna się czuła.

Matka gwałtownie wstała, odsuwając krzesło ze zgrzytem. Lily aż się wzdrygnęła.

– Uciekłaś! – krzyknęła matka. – Wyszłaś z tego domu i nikomu nie powiedziałaś, dokąd idziesz!

Mogło ci się coś stać!

Ojciec Lily uspokajającym gestem położył dłoń na rękę żony. Wyglądała na kogoś, kto zaraz powie w gniewie o kilka słów za dużo – jej twarz aż poczerwieniała – ale potem, chyba nadludzkim wysiłkiem, utrzymała się w ryzach, straciła dłoń męża i wypadła z kuchni. Lily usłyszała, jak biegnie przez przedpokój, a potem trzaska drzwiami.

Wstrząśnięta Lily odwróciła się do ojca. Wyglądał na równie zaskoczonego jak ona, ale przynajmniej spojrzął jej w oczy. Skrzywił się, a potem pochylił, by zgasić papierosa. Na dłuższą chwilę zapadła między nimi krępująca cisza. Lily spojrzała na ciocię Judy, a ta z niepokojem spoglądała na brata, ale nie odezwała się ani słowem.

W końcu ojciec Lily przetarł dłonią twarz i oznajmił:

– Zatem nie mamy wyboru. Pojedziesz z ciotką do Pasadeny i tam dokończysz szkołę.

Lily wbiła w niego wzrok, niedowierzając temu, co słyszy.

– Słucham?

– Ciotka i wuj zaproponowali, że zabiorą cię stąd, dopóki... dopóki sytuacja się nie uspokoi – wyjaśnił ojciec. – To wielkie poświęcenie z ich strony. Zaproponowali nawet, że od razu zabiorą cię do Pasadeny... Już jutro. Nie ma na co czekać. Dzisiaj powinnaś się spakować, a jutro pojedziesz pociągiem do Pasadeny. Zdaniem Judy będziesz mogła się zapisać do tamtejszej szkoły, czy tak?

– Owszem – odparła ciocia. – Wiem, że to spora niespodzianka.

Lily spojrzała na ojca, a potem na ciotkę. W jej głowie coś boleśnie pulsowało – i ten ból zdawał się jedynym rzeczywistym doznaniem. Wszystkie słowa wypowiedziane przez jej rodzinę brzmiały zbyt niewiarygodnie.

– Naszym zdaniem to będzie dla ciebie najlepsze – wyjaśniła ciocia Judy. – To ci pozwoli się zdystansować od... tutejszych komplikacji.

Zdystansować się od Kath. Zrozumiała to natychmiast i odczuła jako cios prosto w splot słoneczny.

– To dla twojego dobra – powiedział ojciec. – W Pasadenie będziesz bezpieczna.

Do Lily dotarło, że oni po prostu się boją – boją się, że jeżeli zostanie w San Francisco, to sprawi więcej kłopotów zarówno sobie, jak i ojcu. Chcieli zadbać o to, by wyjechała z Chinatown, przynajmniej do czasu, aż ucichną plotki. Woleli ją schować i sprawić, aby wszyscy zapomnieli o tym zdarzeniu.

– Nie chcę nigdzie jechać – oznajmiła, kręcąc głową.

Ojciec spojrzął na nią zmęczonym wzrokiem.

– Musisz się nauczyć, że czasem musimy robić rzeczy, na które nie mamy ochoty.

Lily patrzyła na niego z niedowierzaniem, które powoli zmieniało się w narastający gniew.

– Mieszkamy w Pasadenie bardzo blisko szkoły średniej – powiedziała ciocia Judy. – Będziesz mogła do niej chodzić na piechotę. Jak tylko dojedziemy, przejdziemy się tam i dowiemy, czy możesz się zapisać. Jeżeli nie, twój tata powiedział, że być może będziesz mogła dokończyć ten rok korespondencyjnie. A poza tym może uda nam się załatwić ci pracę dorywczą w laboratorium. Spodobałoby ci się, prawda?

Lily z trudem przyjmowała słowa ciotki. Chcieli ją rozdzielić z Kath.

– Chcemy, żebyś była szczęśliwa – powiedział ojciec. – W Pasadenie nic nie będzie cię rozpraszać.

Nie wiedziała wprawdzie, gdzie jest Kath i czy wszystko z nią w porządku, ale wierzyła, że w końcu się dowie i znowu będą razem. Myśl, że mogłaby już nigdy więcej jej nie zobaczyć, odbierała Lily dech. Zrobiło jej się słabo; miała wrażenie, że jeszcze chwila, a rozplynie się w powietrzu.

– Zadzwoń do Galileo i ustalę, czy potrzebujemy jakichś dokumentów, żeby cię przenieść – podsumował ojciec.

Raz po raz czuła wyslizgującą się z jej uścisku dłoń Kath, palce Kath prześlizgujące się między jej palcami – w kółko na nowo. Tak łatwo można było wymazać wszystko, co razem zrobiły. Mogła to wymazać jej rodzina i udawać, że nic się między nimi nie wydarzyło. Mogli to wymazać jej rodzice i wysłać ją z dala od domu, by Kath nie wiedziała, gdzie jest. Mogli to wymazać, bo byli jej rodzicami, a ona była ich córką – oni ją kochali, a ona nie mogła okazać im nieposłuszeństwa, nawet wtedy, gdy to łamało jej serce.

– Powinnaś się spakować – powiedział ojciec. – Przygotuj się na wyjazd jutro rano.

Ojciec Lily wyciągnął starą brązową walizkę i dał ją córce. Z rączki zwisała karteczka z adresem napisanym po chińsku – Lily zdołała z niej odczytać nazwisko ojca i ideogramy odpowiadające słowom „Szanghaj” oraz „Chiny”.

Otworzyła walizkę na łóżku. Na pościeli wciąż czuła pudrowy zapach babcinych perfum; pokój nie należał już do niej. Szybko spakowała ubrania, nie patrząc nawet na nie. Wcisnęła do walizki nową sukienkę, którą przed dwoma dniami miała na sobie w Telegraph Club, nie zwracając sobie głowy jej składaniem. Dorzuciła też czarne pantofle i szczotkę do włosów.

W drzwiach stanął jej ojciec, który wyglądał na niespokojnego. Pakowała się dalej, nie zwracając na niego uwagi. Nie chciała z nim rozmawiać; z żadnym z nich nie chciała rozmawiać.

– Znałem kiedyś doktorkę, która była lesbijką – oznajmił.

Dźwięk tego słowa był zaskakujący. Lily zamarła na chwilę, ale nie zamierzała odpowiadać.

– Była naprawdę dobra w swoim fachu – ciągnął. – Też była Chinką, tak jak ty.

Zwolniła nieco tempo pakowania – ale tylko na chwilę.

– Podziwiałem jej umiejętności zawodowe. Wszyscy wiedzieli o jej życiu prywatnym, a mimo to ona nigdy się z nikim nie związała. Owszem, krążyły o tym plotki, ale przez cały czas mieszkała sama. Chyba nadal tak zresztą jest. Właśnie dlatego mama i ja się o ciebie martwimy. Chcemy, żebyś kogoś poślubiła i miała dzieci. Chcemy, żebyś miała pełnowartościowe życie, a nie namiastkę, samotność, w której nikt się tobą nie zajmie. Pamiętaj o tym.

Wyobrażał sobie jej tragiczną przyszłość, zupełnie jakby była jedną z nieznajomych w Eastern Pearl, dla których wymyślały z Shirley historie. To tylko rozzłościło ją jeszcze bardziej.

Kiedy nie odpowiedziała, westchnął z rezygnacją, po czym wyszedł.

Nadal bezładnie wrzucała rzeczy do walizki. Myślała o Lanie i Tommy, o ich przytulnym, choć urządzonym tanimi meblami mieszkaniu na North Beach. One nie prowadziły tylko „namiastki życia”. Myślała o Claire i Pauli, o pobłażliwości w głosie Claire, gdy określała Paulę jako sztywną. One też żyły pełnią życia. Pomyślała o Kath i wtedy poczuła w sobie pustkę. Pustka miała swoje własne pole grawitacyjne i działała na Lily tak, że dziewczyna zachwiała się na nogach. Musiała przysiąść na skraju łóżka, a wtedy nagle sobie przypomniała o numerze „Collier’s”, który dostała od Kath. Nie było go jednak na szczycie stosiku z książkami, który zastępował jej nocną szafkę.

Zaczęła je rozkładać, szukając czasopisma; znalazła wprawdzie numer, który dała jej ciotka, ale

tego od Kath nigdzie nie było. Odsunęła na bok wszystkie książki, sądząc, że może wpadło między stos a ścianę, ale tam też niczego nie znalazła. W narastającym przerażeniu rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czy ktoś nie ukradł jej „Collier’s” albo czy matka nie weszła do pokoju i nie wyrzuciła go. To było tylko czasopismo, ale musiała je wziąć ze sobą. Dostała je od Kath.

Tornister. Odwróciła się na pięcie i szybko wybiegła z pokoju, zmierzając korytarzem w stronę tornistra, który leżał na podłodze przy ławie. Uklękła i go otworzyła. Było tam, wciśnięte za książkę Clarke’a. Odetchnęła z ulgą.

Z kuchni dobiegły zbliżające się kroki i ciocia Judy stanęła jakieś dwa metry od niej.

– Coś się stało?

Znowu narósł w niej gniew. Gdyby ciocia nie bawiła się w detektywa i nie znalazła Lily w North Beach... Gdyby nie zaproponowała, że weźmie ją ze sobą do Pasadeny...

Wstała, zostawiając czasopismo w tornistrze. Nie chciała, żeby ciocia je widziała.

– Nie, nic – oznajmiła, ponieważ kobieta wyglądała na zasmuconą.

Gdy wróciła do pokoju, spojrzała na okładkę przedstawiającą statki kosmiczne zmierzające w stronę czerwonej planety, po czym starannie wcisnęła czasopismo między ubrania w walizce. Spojrzała przez ramię, a potem otworzyła *Na podbój przestrzeni*. Fotografia Tommy wciąż tam była. Przypomniała sobie, jak Kath podniosła ją z podłogi w łazience i podała jej. Przez chwilę obie trzymały ten kawałek papieru niczym talizman, który powołał je do wspólnego istnienia. To było tak dawno temu – a wydawało się, że zaledwie wczoraj.

Czas jakimś cudem nie stanął w miejscu. Walizka była już spakowana, babcia wróciła ze świątyni, a wujek Sam i ciocia May przyszli z placu zabaw z Minnie i Jackiem. Należało przygotować lunch – z resztek po noworocznej kolacji – i znów posprzątać bałagan. Eddie i Frankie wrócili ze szkoły. Wujek Francis przyszedł o wiele później, niż wszyscy sądzili, ponieważ wybrał się jeszcze na dworzec, żeby wymienić bilety kolejowe – swój i cioci Judy na nowe, na jutro – i by kupić dodatkowy dla Lily.

Późnym popołudniem rodzice Lily zebrali wszystkie dzieci i wyjaśnili jej braciom, że Lily uda się na jakiś czas do Pasadeny.

– Skończy tam szkołę – powiedział ojciec.

– Dlaczego? – zapytał Frankie.

– Tak będzie dla niej najlepiej – odparła matka tonem, który wskazywał, że nikt nie odpowie na ich kolejne pytania.

Eddie poszedł z Lily na ubocze, z dala od rodziców, i zapytał szeptem:

– Coś się stało? Słyszałem co nieco w szkole i nie wiedziałem, co robić.

Wciągnęła go do jego pokoju i zamknęła drzwi.

– Co dokładnie słyszałeś?

Jego policzki poczerwieniały.

– Nieważne – stwierdziła. – Nie musisz tego mówić. Uważasz, że jestem obrzydliwa?

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Jasne, że nie. Nie obchodzi mnie, co kto mówi. Jesteś moją siostrą. Mam ich pobić?

Musiała wziąć naprawdę głęboki oddech, żeby się nie rozpłakać.

– Nie. Ale zrobisz coś dla mnie?

– Co takiego?

Z kieszeni spódnicy wyjęła małą kopertę zaadresowaną do Peggy Miller przy Union Street. Nie miała pewności, czy rodzice Kath nie konfiskują jej poczty, ale uznała, że Peggy na pewno

przekazuje list.

– Wyślesz to?

Wziął kopertę.

– Peggy Miller – odczytał z zaskoczeniem. – To siostra... – Urwał, wyraźnie speszony. – Słyszałem coś o jej siostrze.

– I o mnie?

Poczerwieniał.

– Możliwe.

– W porządku. Po prostu... wyślesz to do Peggy?

– Znam ją – powiedział Eddie. – Jesteśmy w jednym zespole. Peggy to pierwszy puzon. Mogę jej to przekazać.

Lily poczuła przypływ ulgi.

– Naprawdę?

– Jasne.

– Tylko niech nikt inny się o tym nie dowie.

– Dobra.

– Dziękuję – oznajmiła i spontanicznie go uściskała. Po chwili zaskoczenia odwzajemnił gest.

Kiedy się od siebie odsunęli, zapytała:

– Powiesz mi coś jeszcze?

– Co takiego?

– Czy Shirley została Miss Chinatown?

Wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

– Nie.

– To kto nią został?

– Jakaś dziewczyna ze szkoły Waszyngtona.

Lily wypełniło absolutnie podłe poczucie satysfakcji.

A potem nadszedł czas rozstania.

W dniu jej odjazdu wszyscy dorośli udawali, że wyjazd Lily z ciotką i wujem w środku noworocznych uroczystości jest absolutnie normalny. Pytania dzieci były uciszane, a same dzieci zagnane do salonu, żeby mogły przez okno popatrzeć na oczekującą taksówkę.

Matka Lily wcisnęła jej w rękę papierową torbę wypełnioną bułeczkami z parzonego ciasta. Były jeszcze ciepłe i dziewczyna zrozumiała, że matka kupiła je dosłownie przed chwilą.

– Tylko pamiętaj o jedzeniu – powiedziała sztywno.

Ojciec Lily zniósł jej walizkę na dół, po czym wsadził ją do bagażnika obok toreb ciotki Judy i wujka Francisa. Gdy tak stał na chodniku, położył ręce na ramionach córki i wreszcie spojrzał jej w oczy, mówiąc:

– Słuchaj się ciotki i wuja. I zadzwoń, jak już dojedziecie.

Lily pierwsza się odwróciła, zła na siebie, że chce jej się płakać.

Podróż taksówką na dworzec pamiętała jak przez mgłę. Przejechali przez niższy poziom Bay Bridge w stronę Oakland, a między stalowymi filarami migotała zatoka w postaci wody, łódek i małych, pomarszczonych fal. Było jej od tego niedobrze. Otworzyła okno, żeby odetchnąć bryzą, ale poczuła tylko ohydny mieszkankę morskiej wody i spalin. Zamknęła oczy, marząc o tym, by jechać w przeciwnym kierunku.

Dworzec był mniejszy, niż się spodziewała, lecz mimo to można było się na nim zgubić, gdy niezliczone tłumy ludzi krążyły z walizkami i zaciśniętymi w dłoniach biletami. Ze wstydem

przyznawała, że jest wdzięczna wujkowi i cioci za pokierowanie nią we właściwą stronę. Gdy czekali, wujek Francis zapalił papierosa i chodził w tę i we w tę, a ciocia Judy usiadła na ławce obok Lily, przyglądając się rozkładowi jazdy. Kiedy zapowiedziano ich pociąg, ciocia gwałtownie się zerwała, wujek zgasił papierosa, a Lily ruszyła za nimi w stronę peronu i do pojazdu. Ciocia gestem ręki nakazała jej zajęcie miejsca przy oknie.

Podczas pakowania Lily wrzuciła do walizki pierwszą lepszą książkę ze stosu przy łóżku. Nawet nie spojrzała, co wrzuca do bagażu, a teraz ją wyjęła i odkryła, że to *Kroniki marsjańskie* Raya Bradbury'ego, które dostała od cioci Judy. Otworzyła je teraz, ale nie mogła się skupić na słowach. Czowała się tak, jakby ktoś wyłączył jej umysł, a wszystko to działo się teraz z kimś innym, kto wyglądał jak ona, ale kto nie mógł być nią.

Gdy pociąg ruszył, a konduktor przeszedł przez ich przedział, by sprawdzić bilety, wujek Francis poszedł do wagonu restauracyjnego po kawę. Zostały same, a ciocia Judy zwróciła się do Lily:

– Wiem, że teraz za mną nie przepadasz, ale muszę ci coś powiedzieć. Proszę, wysłuchaj mnie.

Lily nie odpowiedziała, ale zamknęła książkę.

– Naprawdę staram się robić to, co dla ciebie najlepsze – zapewniła ciocia Judy. Położyła dłoń na rękę Lily, a ta bardzo się starała nie zeszywnieć. Cienka złota obrączka połyskiwała w świetle wpadającym przez okno.

– Wiem, że teraz pewnie ci się wydaje, że to koniec świata, ale tak nie jest – ciągnęła kobieta. – Za kilka miesięcy skończysz szkołę i całe życie będzie przed tobą.

Moje życie jest tu i teraz – chciała odpowiedzieć Lily i już podniosła wzrok na ciotkę, by to zrobić, ale powstrzymał ją wyraz twarzy Judy. Ciotka miała szczerą, błagalną minę. W jej oczach migotały krople łez.

– Nie rozumiem tego, przez co przechodzisz – wyznała – ale będziesz musiała ze mną wytrzymać, aż zrozumie.

Ścisnęła jej rękę, a potem puściła. Lily lekko skinęła głową, tylko tyle, by ciocia Judy to zauważyła. Przypominało to taki sposób otwierania drzwi, by zrobić jak najmniejszą szparę – tylko tyle mogła zrobić. Potem musiała odwrócić wzrok, by nie patrzeć na pełen nadziei wyraz twarzy ciotki.

Przyglądała się mijanemu Oakland z ceglаныmi blokami, wysokimi kominami i stalowym blaskiem wężyka samochodów. Zastanawiała się, gdzie jest teraz Kath. Myślała o tym, czy ta czuje ją siedzącą w pociągu, który wywozi ją tak daleko. Może i tak by się dało, gdyby zamknęła oczy i przesłała myśli po trakcji niczym telegram po telegraficznych drutach.

Kocham cię. Kocham cię.

Pociąg łagodnie sunął po szynach. Lily oparła się o okno, by poczuć chłód na policzku. Miała pewność, że Kath ją usłyszała. Niezachwianą pewność.

Później wujek Francis wrócił z gazetą, którą dzielił z ciocią Judy. Lily zaś z zamkniętą książką na kolanach wyglądała przez okno. Po Oakland przejeżdżali przez przedmieścia i miasteczka, a potem za oknem pojawiała się woda – skraj zatoki San Francisco lśniącej pod zasnutym chmurami niebem. Pociąg zatrzymał się na krótko w San Jose – na tyle, by pasażerowie mogli wstać i rozprostować kości, wychodząc na chwilę na stację. A potem ruszył dalej.

Lily wyjęła torbę z bułeczkami, którą dostała od matki, i podzieliła się nimi z ciocią oraz wujkiem. Uniosła do ust jedną z bułeczek i odgryzła kawałek; zaskoczył ją smak: karmelizowane brzegi mięsnego nadzienia, puszysta miękkość ciasta i wytrawna słodycz w miejscach, gdzie nasiąkło sosem jak dżemem.

Mijała okrągłe zielone wzgórza znaczone dębami, a potem nagle chmury, które towarzyszyły im

od San Francisco, gdzieś zniknęły. Niebo stało się lazurowo niebieskie. Nad nimi krążył jastrząb, łapiąc wiatr w szeroko rozpostarte skrzydła.

Lily właśnie sobie uświadomiła, że nigdy dotąd nie była tak daleko od San Francisco. Na całym ciele przeszył ją dreszcz.

Tak wyglądał świat.

Rok później

Epilog

Była dopiero czwarta po południu i Vesuvio's świeciło pustkami. Wzrok Lily ominął długi drewniany kontuar z nieliczną klientelą i kolorowe obrazy przywieszane wysoko na ścianach, po czym poszybował na drugi koniec pomieszczenia. Ścianę naprzeciwko baru znaczył rząd niewielkich stolików otoczonych krzesłami o wysokich oparciach. Na samym końcu, w zacienionym kącie, zobaczyła ją.

Kath też dojrzała Lily i wstała.

Wyobrażała ją sobie przez cały ostatni rok wypełniony listami i rozmowami telefonicznymi, ale teraz zrozumiała, że wyobrażenia ominęła wszystkie istotne szczegóły. Kiedy Kath wychodziła zza stołu, Lily sobie przypominała, jak stoi z rękami nerwowo skrytymi w kieszeniach. Kiedy podeszła bliżej, spostrzegła na twarzy Kath znajomą, niepewną minę i te same rumieńce na białych policzkach.

– Cześć – rzuciła miękko Kath.

– Cześć – odpowiedziała Lily. Dzieliły je teraz może dwa metry i nie miała pojęcia, jak się przywitać. Uściśnięcie rąk brzmiało niedorzecznie, nie mogły się też cmoknąć w policzek, jak gdyby były zwykłymi przyjaciółkami.

– Usiądź, proszę – zaproponowała Kath, nieco zbyt formalnie, podsuwając jej krzesło.

– Dziękuję.

Lily usiadła, a Kath – nim wróciła na swoje miejsce po drugiej stronie stolika – musnęła jej ramię, bardzo przelotnie. Miała na sobie koszulę o męskim kroju i spodnie, a do tego ścięła włosy – Lily wywnioskowała, że zrobiła to niedawno, ponieważ były starannie podgolone na karku. Nadal miała te same delikatne usta i niebieskie oczy okolone długimi rzęsami. Uśmiechała się do Lily, a im dłużej na siebie patrzyły, tym szerszy stawał się ten uśmiech.

– Naprawdę dobrze cię widzieć – powiedziała Kath z tą swoją prostotą. Lily jednak zrozumiała, jak ważne są to słowa, i też nie mogła przestać się uśmiechać.

– Ciebie też.

– Jak podróż?

– Dobrze. Nic ciekawego.

– Nie widziałam cię od ponad roku – powiedziała Kath. – Wszystko, co mówisz, jest ciekawe.

Lily zapiekło pod powiekami. Spuściła wzrok na drewniany stół i zobaczyła na nim dwie szklanki z piwem.

- To ty je kupiłaś?
 - Tak. Ale jak masz ochotę na coś innego, to nie ma problemu, pójdę do baru.
 - Nie. To jest w porządku. – Lily wzięła szklankę w dłoń, a Kath poszła w jej ślady. Ostrożnie się nimi stuknęły.
 - Szczęśliwego nowego roku – oznajmiła Kath.
 - *Kung hei faat ts'oi!* – odpowiedziała Lily chińskimi życzeniami i obie się napiły.
 - Mówiłam poważnie – dodała Kath. – Chciałabym wiedzieć, jak się masz.
- Nagle Lily poczuła zdenerwowanie, jakby zapomniała, w jaki sposób rozmawiać z Kath. Dużo o sobie opowiadały w listach wysyłanych przez ostatni rok – Lily może nawet opowiedziała za dużo – ale pisanie było czymś innym niż spotkanie twarzą w twarz. Kath zaś zawsze była w listach bardziej zdystansowana. Może nie powiedziała Lily wszystkiego. A co, jeśli kogoś poznała? Minęło wiele czasu i nie mieszkaly już w jednym mieście. Nigdy nie składały sobie żadnych obietnic, więc przyszłość była dla nich jedną wielką niepewnością.
- Kath przesunęła krzesło tak, by znaleźć się tyłem do drzwi – i bliżej Lily. Chwilę później Lily poczuła dłoń Kath na swojej dłoni pod stołem, palce splatające się z jej palcami, jakby dla zatrzymania jej tu i teraz. To było pewne.
- Lily – mruknęła miękko Kath – opowiedz mi wszystko.

Rozmawiały przez blisko dwie godziny. Znały już najważniejsze detale swojego życia, ale mówienie o nich na głos sprawiało, że stawały się one bardziej rzeczywiste. Minionej wiosny Lily skończyła szkołę, a lato spędziła, pracując w biurze w Laboratorium Napędu Odrzutowego, po czym zaczęła studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Mieszkała w Westwood, dzieląc mieszkanie z inną Chinką. Studiowała matematykę. Opowiadała Kath o nowych zajęciach dotyczących programowania komputerów – ciocia Judy mówiła, że to bardzo przyszłościowe.

Wiosną Kath przeprowadziła się do Berkeley i przez jakiś czas mieszkała z Jean, ale potem znalazła mieszkanie w Oakland. Mieszkała tam z dwiema innymi homoseksualnymi dziewczynami; jedna z nich też studiowała na Uniwersytecie Kalifornijskim, a druga pracowała jako mechanik. Kath znalazła pracę na małym lotnisku w Oakland i wkrótce miała rozpocząć lekcje latania. Ostatecznie z pomocą panny Weiland skończyła szkołę w grudniu, w trybie korespondencyjnym.

- Składasz papiery na uniwersytet w Berkeley? – zapytała Lily.
- Może. W tym semestrze jest już na to za późno, ale może jesienią...
- A Los Angeles? Tam trafiają naprawdę mądzy ludzie.

Kath zachichotała.

- Przemyślę to. Ale... nie chcę odchodzić z pracy. Potrzebuję pieniędzy, a poza tym właśnie przekonałam szefa, żeby nauczył mnie naprawiać samoloty. Chyba właśnie to najbardziej mnie kręci.

Lily poczuła przyływ śmiałości.

- Ale to nie wszystko, czego pragniesz, prawda?

Kath odpowiedziała uśmiechem.

- Prawda.

Lily zrobiło się ciepło. Przez ramię spojrzała na pozostałych klientów baru. Odkąd tu przyszła, lokal zaczął się zapełniać. Była ciekawa, która jest godzina, więc niechętnie zerknęła na zegarek.

- O nie – mruknęła. – Muszę iść, bo spóźnię się na kolację.

Wstała, wyobrażając sobie zirytowaną minę matki i to, jakim kłamstwem będzie musiała ją

poczęstować.

– Odprowadzę cię – oznajmiła Kath i też wstała.

– Nie chcę iść – przyznała Lily.

– Ja też nie chcę, żebyś szła.

W tej samej chwili jakiś mężczyzna na drugim końcu baru zaśmiał się bardzo głośno, co po raz kolejny im przypomniało, gdzie są. Kath już nic więcej nie powiedziała, ale pomogła Lily założyć płaszcz, po czym sama się ubrała. Szybko i w milczeniu minęły innych klientów, którzy właściwie nawet nie zauważyli, że wychodzą.

Kath przytrzymała jej drzwi, a Lily wyszła na miasto, spostrzegając, że w czasie gdy ze sobą rozmawiały, zdążył zapaść zmrok. Światła paliły się na całej długości Columbus Avenue. Dziewczyna wyczuła charakterystyczny zapach opadającej mgły. Na plecach czuła dłoń Kath popychającą ją lekko w stronę Adler Place, wąskiej ulicy między Vesuvio's i sąsiednim budynkiem. Z drugiej strony Adler Place łączyła się z Grant Avenue, a Lily spostrzegła w oddali lśniące latarnie Chinatown.

– Chodźmy gdzieś jutro – powiedziała Kath, przyciągając ją bliżej siebie.

Lily cofnęła się w cień budynku, poza światło rzucane z okien Vesuvio's, a Kath poszła w ślad za nią.

– Jutro nie mogę – przyznała Lily. – Jest noworoczna parada.

– A pojutrze wieczorem?

– W poniedziałek?

– Tak, w poniedziałek.

– Dokąd? – zapytała Lily. Kath stała już tuż przed nią, ale między nimi wciąż było kilkadziesiąt centymetrów przestrzeni. Lily chciała jej dotknąć, ale się powstrzymywała – w końcu raptem kilka metrów od nich samochody przejeżdżały przez Columbus Avenue.

– Na Union Street, na zachód od Grant Avenue, jest taki jeden ciekawy lokal, nazywa się Paper Doll – wyjaśniła Kath. – Możemy tam coś zjeść. Mogłabym być na ósmą wieczorem.

– Dobrze. Spotkajmy się.

Lily nie wiedziała, jaką wymówkę sprzeda rodzicom, ale teraz, gdy Kath była tak blisko, nie przejmowała się tym zanadto. Raz jeszcze spojrzała na światła na Columbus Avenue i zanim obleciał ją strach, uchwyciła dłoń Kath, po czym wciągnęła ją głębiej na Adler Place. Cień nie był wystarczająco ciemny, by mogły się w nim ukryć, ale Lily dotarła tak daleko – setki kilometrów od Los Angeles – i nie zamierzała pozwolić, by pokonały ją ostatnie metry.

– Ostrożnie – powiedziała łagodnie Kath.

Nie opierała się jednak, kiedy Lily ją objęła, a po chwili wahania odwzajemniła uścisk. Lily, zupełnie pozbawiona tchu, na krótki moment ukryła twarz w zagłębieniu szyi Kath. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby zapamiętać tę chwilę na zawsze: puls Kath, ciepło jej ciała, zapach jej skóry.

– Kocham cię – wyszeptała Lily.

To, jak gwałtownie Kath nabrała powietrza. To, jaki ruch jej ciała to wywołało.

Kath cofnęła się na tyle, by móc ją szybko pocałować.

– Też cię kocham.

– Do zobaczenia w poniedziałek – powiedziała Lily, a potem ruszyła pogrążoną w mroku ulicą. Na jej końcu, zanim przeszła na Grant Avenue, odwróciła się, by sprawdzić, czy Kath nadal tam jest.

Była.

Stała pośrodku Adler Place, a kiedy zobaczyła, że Lily się odwróciła, podniosła rękę i pomachała do niej. *W poniedziałek.*

Lily poczuła, jak jej serce wyrywa się z piersi. Odmachała Kath, a potem ruszyła w stronę Chinatown. Grant Avenue spowita była złoto-czerwonymi banerami witającymi Rok Małpy. Grupa dzieci w kącie zapalała zebrane w pęki nielegalne zimne ognie. Lily uniosła palce do ust, jakby chciała w ten sposób musnąć ostatni ślad dotknięcia warg Kath. Czuła, jak opanowuje ją osobliwe roztargnienie, jakby mogła się oderwać od ziemi – taką radością nappełniała ją ta lekkość, ta miłość.

- 1954 — Senat Stanów Zjednoczonych potępia działalność Josepha McCarthy'ego
- 1955 — Doktor Hsue-shen Tsien zostaje deportowany ze Stanów Zjednoczonych i powraca do Chin.
- 11 lutego 1956 — **LILY spotyka się z Kath w Vesuvio's Cafe w San Francisco**
- Służba Imigracji i Naturalizacji rozpoczyna Chiński Program Lustracyjny mający skłonić Chińczyków do dobrowolnego wyznania, że imigrowali do USA nielegalnie. W efekcie wśród chińskich Amerykanów wybucha zbiorowy strach przed deportacją.
- 1957 — ZSRR wypuszcza na orbitę Sputnika 1
- Kath zdobywa licencję pilota
- 1958 — Stany Zjednoczone wypuszczają na orbitę Explorera 1, sztucznego satelitę zbudowanego w Laboratorium Napędu Odrzutowego
- 1959 — Lily kończy studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles i rozpoczyna pracę w Laboratorium Napędu Odrzutowego

Od autorki

Inspiracją do opowieści o Lily Hu była lektura dwóch książek. W *Rise of the Rocket Girls: The Women Who Propelled Us, From Missiles to the Moon to Mars* Nathalia Holt przedstawia obliczeniowczynie pracujące w Laboratorium Napędu Odrzutowego, począwszy od lat 40. XX wieku, w tym historię amerykańskiej imigrantki z Chin, Helen Ling, która została inżynierką w Laboratorium i zatrudniła tam wiele innych kobiet. Z kolei w *Wide-Open Town: A History of Queer San Francisco to 1965* Nan Alamilla Boyd niemal mimochodem zauważa: „Pochodząca z San Francisco Merle Woo wspomina, że niebiałe lesbijki w latach 50. były częstymi gośćmi w [klubie] Forbidden City [Zakazane Miasto]”. Obie te książki pozwoliły mi przyjrzeć się z bliska historii azjatyckich Amerykanów, tak często pomijanej. Zaczęłam się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać życie queerowej azjatycko-amerykańskiej dziewczyny marzącej o raketach kosmicznych i dorastającej w latach 50. XX wieku. Ten załazek pomysłu stał się najpierw opowiadaniem pod tytułem *New Year (Nowy Rok)* opublikowanym w antologii *All Out: The No-Longer-Secret Stories of Queer Teens* pod redakcją Saundry Mitchell, wydanej w 2018 roku. A teraz historia Lily urosła do rozmiarów tej powieści.

Język

Dołożyłam wszelkich starań, by w niniejszej książce posługiwać się historycznie adekwatnym językiem. Wykorzystałam na przykład terminy rasowe, którymi szeroko posługiwano się w latach 50. XX wieku, spośród których niektóre dziś są uważane za obraźliwe lub co najmniej archaiczne. *Oriental*,^[47] dziś uznawane za obraźliwe, była powszechnym określeniem azjatyckich Amerykanek do lat 70. i 80. Sam termin „azjatycka Amerykanka” (*Asian American*) został ukuty dopiero w latach 60. na fali ruchów obrony praw człowieka.

Lily i jej rodzina posługują się kilkoma chińskimi dialektami, w tym kantońskim i mandaryńskim. Wykorzystywałam historycznie adekwatne sposoby zapisu tych języków. Romanizowałam chińskie terminy, kiedy Lily i inni bohaterowie używali chinglish, czyli języka angielskiego z wrzuconymi chińskimi słowami. Natomiast gdy całe zdania lub myśli bohaterów były po chińsku, używałam adekwatnego pisma^[48]. Wszystkie ideogramy zostały odwzorowane

w formie tradycyjnej lub złożonej. Uproszczony chiński pojawił się w Chińskiej Republice Ludowej dopiero w latach 50. i 60. XX wieku, a wtedy też nie trafił jeszcze do użytku w Stanach Zjednoczonych. Metody romanizacji kantońskiego zaczerpnęłam z *The Student's Cantonese-English Dictionary* autorstwa B. Meyera i T. Wempe opublikowanego w 1935 roku. Terminy mandaryńskie podpowiedział mi system romanizacji Wade'a-Gilesa uznawany za standard przez większość XX wieku.

Istnieje jednak kilka wyjątków od tej reguły. Nazwy miejsc (Kwangtung [pol. Guangdong]) oraz postacie historyczne (np. Chiang Kai-shek [pol. Czang Kaj-szek]) zostały oddane w historycznej transkrypcji. Użyłam też słowa cheongsam na określenie obcisłej sukni z rozcięciami po obu stronach spopularyzowanej w Szanghaju w latach 20. XX wieku. Słowo to stanowi luźną romanizację słowa 長衫, dosłownie znaczącego „długą koszulę” noszoną tradycyjnie przez mężczyzn, nie zaś kobiety. Kobiecą suknię określa termin 旗袍, który należałoby zromanizować jako kantońskie *kei po*. Jednak jako że w angielskim cheongsam przyjął się jako określenie chińskiej kobiecej sukni, postanowiłam używać tego właśnie słowa.

Lata 50.

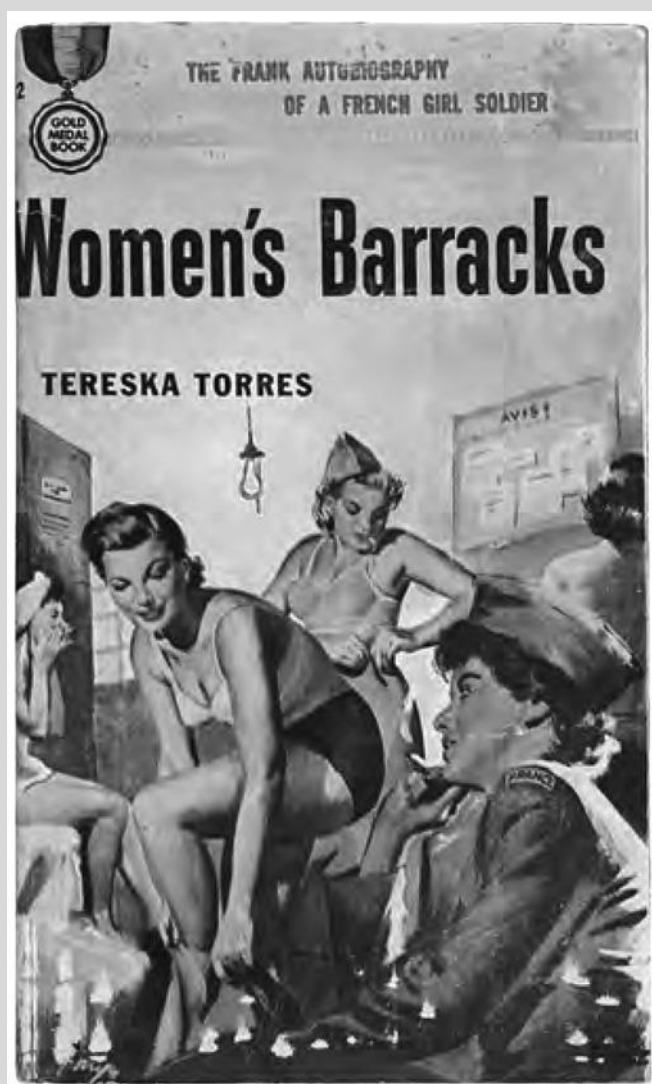
W powszechnej percepcji lat 50. XX wieku podkreśla się konformizm oraz opresję społeczną. W praktyce jednak połowa owego stulecia była okresem przejściowym, a zatem czasem ogromnych lęków kulturowych wyrażanych nierzadko poprzez próby wymazywania wszelkich różnic.

W roku 1952 Stany Zjednoczone zdetonowały pierwszą bombę wodorową. Związek Radziecki zrobił to samo rok później, wzbudzając zbiorowy strach przed zagładą nuklearną, co zaowocowało między innymi ćwiczeniami przeciwoatomowymi w szkołach. Zakończyła się wojna koreańska, ale trudno było mówić o zwycięstwie; Chiny zaś, w czasach II wojny światowej sojusznik Stanów Zjednoczonych, stały się ich komunistycznym wrogiem. W 1950 roku senator Joseph McCarthy rozpoczął paranoiczną krucjatę przeciwko komunistycznej infiltracji – i chociaż jego działalność została ukrócona przez senat w 1954 roku, a zmarł trzy lata później, makkartyzm zdominował całą dekadę. Skutkiem tego była deportacja doktora Hsue-shena Tsiena, chińskiego naukowca, współzałożyciela Laboratorium Napędu Odrzutowego okazującego pomoc Stanom Zjednoczonym podczas II wojny światowej. Po powrocie do Chin w 1955 roku doktor Tsien stał się znany jako ojciec chińskiej techniki raketowej. Makkartyzm doprowadził także do tak zwanej Lawendowej Paniki, czyli nagonki rządowej na osoby homoseksualne i zwalnianie ich z rządowych posad wyłącznie z tego względu, że homoseksualność była kojarzona z komunizmem.

Chociaż w latach 50. wiele osób utożsamiało się z kulturą rock'n'rolla i takimi artystami jak Elvis Presley, to sam Elvis pojawił się dopiero w 1956 roku wraz z wypuszczeniem piosenki *Heartbreak Hotel*. Na listach przebojów z początku dekady królowali croonerzy – tacy jak Perry Como czy Rosemary Clooney. Rock'n'roll to nadal było R&B nagrywane przez czarnoskórych wykonawców, coraz szerzej odkrywane przez młodzież, która pracowała na reputację samodzielnej grupy dostrzeganej przez reklamodawców i napawającej lękiem dorosłych. Ci ostatni przedstawiali nastolatków jako młodocianych przestępców w takich filmach jak *Dziki* (*The Wild One*, 1953), *Buntownik bez powodu* (*Rebel Without a Cause*, 1955). Chociaż *Dziki* stał się później powszechnie znany z uwagi na jego homoerotyczny podtekst, to w mainstreamowej

kulturze związki jedнопłciowe stanowiły tabu – pomijając tanie powieści sprzedające się jak ciepłe bułeczki.

Pierwsza lesbijska powieść popularna, *Women's Barracks* autorstwa Tereski Torrès, została opublikowana w roku 1950 i sprzedana się w milionie egzemplarzy. W 1952 roku pojawił się *Spring Fire* sprzedany w co najmniej półtora miliona kopii. Vin Packer, autorka powieści, była pseudonimem Marijane Meaker, która później jako M.E. Kerr pisała powieści dla młodzieży. Lesbijskie powieści popularne sprzedawano powszechnie w drogeriach w całym kraju i chociaż wiele z nich napisano z myślą o mężczyznach, chętnie czytały je także lesbijki. Mimo wymagań wydawców – związanych z ustawą o moralności – by książki kończyły się karą dla postaci homoseksualnych, wciąż stanowiły one fikcyjną społeczność dla lesbijek rozproszonych po kraju, które czytały je i odkrywały w ten sposób istnienie osób do nich podobnych.



Okładka książki *Women's Barracks* wydanej w 1950 roku. Podobnie jak inne tanie powieści, wyprodukowano ją najtańszym możliwym sposobem, stąd też przycięty tytuł[49].

San Francisco

Miasto to jest od dawna uważane za magnes na społeczność queerową. W *Wide-Open Town* Boyd pisze, że chociaż wyuzdane San Francisco było od czasu do czasu podważane przez kampanie na rzecz moralności, to starania te paradoksalnie doprowadzały do odwrotnego skutku i jeszcze bardziej skupiały uwagę na reputacji tego miasta jako ostoji libertynizmu, co sprawiało, że „pełna gama poszukiwaczy przygód, w tym osób homoseksualnych, ściągała za Złotą Bramę” w poszukiwaniu tej wolności.

II wojna światowa znacząco wpłynęła na queerową społeczność San Francisco, co wynikało z przybycia do portowego miasta tysięcy członków służb – w tym gejów i lesbijek – którzy poruszali się po nim w poszukiwaniu podobnych sobie i uciech nocnego życia. W San Francisco podczas wojny zmieniała się także dynamika mniejszości w związku z internowaniem Amerykanów pochodzenia japońskiego oraz migracją Afroamerykanów do San Francisco w celu podjęcia pracy w bazach wojskowych oraz przemyśle obronnym.

Już na początku lat 50. Chinatown było znanym przystankiem na turystycznych trasach, a właściciele przedsiębiorstw ochoczo korzystali z tej fascynacji ludzi białych Dalekim Wschodem, oferując im *chop suey* oraz pamiątki. Dzielnica North Beach, pod koniec dekady tradycyjnie uważana za włoskie terytorium i serce kultury bitników, już wtedy upstrzona była licznymi klubami zwracającymi się ze swoją ofertą do gejów i lesbijek. Turyści pragnący seksualnych przygód mogli odwiedzić słynny klub Finocchio's (reklamowany jako miejsce, „gdzie chłopcy zmieniają się w dziewczęta”) albo Mona's („gdzie dziewczęta zmieniają się w chłopców”). Telegraph Club to wprawdzie fikcyjne miejsce, ale zostało ono zainspirowane tego typu lokalami. North Beach sąsiaduje z Chinatown, dzieląc z nim kilka wspólnych przecznic wzdłuż Broadwayu i Columbus Avenue, toteż osoby zainteresowane wizytą u Finocchia i obejrzeniem występu o wysokim stężeniu queeru mogą potem bez problemu przejść się do Chinatown na porcję nocnego *lo mein*.

Chinatown i chińscy Amerykanie

Pierwsi Chińczycy trafili do San Francisco w 1848 roku, a niedługo później osiedlili się również w centrum miasta, nieopodal Portsmouth Square – w okolicy, która wkrótce zyskała miano Chinatown. Przez kolejne dekady antychińskie uprzedzenia mieszały się z zapotrzebowaniem na tamtejszą siłę roboczą. Biali amerykańscy przedsiębiorcy potrzebowali chińskich pracowników do budowy kolei i prania bielizny, co z kolei powodowało, że biali amerykańscy robotnicy zarzucali Chińczykom, że ci odbierają im miejsca pracy. W 1882 roku prezydent Chester A. Arthur podpisał w związku z tym *Chinese Exclusion Act*, pierwszy zakaz imigracji do Stanów Zjednoczonych wymierzony w konkretną grupę etniczną. Akt ten obowiązywał aż do II wojny światowej.

Sześćdziesiąt lat jego funkcjonowania doprowadziło do powstania wśród chińskich Amerykanów

społeczności kawalerów, ponieważ większości Chinek odmawiano prawa do imigracji na podstawie rasistowskiego przekonania, iż wszystkie tamtejsze kobiety są prostytutkami. Zdecydowana większość chińskich imigrantów w XIX i na początku XX wieku pochodziła z południowej części kraju i porozumiewała się kantońskim oraz spokrewnionymi z nim dialektami, w tym tajszańskim. Chińscy Amerykanie, pozbawieni możliwości zakładania rodzin w Stanach, stworzyli organizacje, dzięki którym mogli służyć społeczności jako kawalerowie, na przykład samopomocowe stowarzyszenia oparte na nazwiskach albo miejscu pochodzenia. Biznesmeni założyli Skonsolidowane Chińskie Stowarzyszenie Dobroczynne (*Chinese Consolidated Benevolent Association*, CCBA – istniejące do dziś), znane też jako Sześć Firm (*Chinese Six Companies*), w ramach którego oficjalnie reprezentowali interesy swoje oraz Chinatown.

II wojna światowa wywarła ogromny wpływ na chińską imigrację. Kiedy Japonia stała się wrogiem, Chiny – które zrzuciły imperialne jarzmo w 1912 roku i utworzyły republikę pod przywództwem generalissimusa Czanga Kaj-szeka – zostały sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Żona Czanga, Song Meiling, znana także jako Madame Czang Kaj-szek, stała się kluczową postacią mogącą przekonać USA do wsparcia Chin w walce z japońską agresją. Madame Czang ukończyła Wellesley College i płynnie mówiła po angielsku. Amerykańskie media kochały ją tak bardzo, że trzykrotnie trafiła na okładkę czasopisma „Time”. W 1943 roku odbyła krajowe tournée, by zebrać datki i pomoc rzeczową dla Chin. Była też pierwszą kobietą przemawiającą na wspólnej sesji Kongresu Stanów Zjednoczonych. Po jej wizycie w USA Kongres postanowił zakończyć okres działania *Chinese Exclusion Act*, co miało miejsce w grudniu 1943 roku, i wprowadził limit 105 osób, które co roku mogły imigrować z Chin do Stanów.

Tymczasem wojna otworzyła przed chińskimi imigrantami dodatkową możliwość uzyskania obywatelstwa: służbę w armii. Wcześniej, w związku z ustawą, wielu Chińczyków przybywało do Stanów nielegalnie. Po tym, jak trzęsienie ziemi w San Francisco zniszczyło w 1906 roku tysiące dokumentów, Chińczycy zaczęli przybywać do USA z fałszywymi zaświadczeniami, jakoby byli dziećmi amerykańskich obywateli chińskiego pochodzenia. Tacy imigranci zyskali później miano „papierowych synów”. Kiedy Stany Zjednoczone ogłosiły swój udział w II wojnie światowej, niemal jedna trzecia wszystkich chińskich Amerykanów w wieku poborowym (15–60 lat) zapisała się do armii, w porównaniu z zaledwie 11 procentami całej populacji USA. Służba wojskowa nie jest zgodna z tradycją ceniona w chińskiej kulturze, ale jednym z powodów, dla których tak wielu chińskich Amerykanów postanowiło wziąć udział w wojnie, był fakt, iż taka służba umożliwiała im zostanie naturalizowanymi obywatelami niezależnie od wcześniejszej imigracyjnej historii.

Po wojnie zniesiono limity imigracyjne dla chińskich imigrantów. Najpierw zezwolono na wjazd weteranom (w tym chińskim Amerykanom) oraz ich rodzinom, później ten przywilej został rozszerzony na resztę chińskich Amerykanów. W 1952 roku ustawa imigracyjna McCarrana–Waltera zezwoliła na naturalizację członków rodziny obywateli amerykańskich, dzięki czemu wiele chińskich rodzin mogło się na nowo połączyć w Stanach. Na początku lat 50. XX wieku w Chinatown w San Francisco były już dwie różniące się, ale i nakładające na siebie grupy – starzejący się kawalerowie, imigranci sprzed wojny oraz rosnąca społeczność rodzin (głównie z rodów kupieckich). Shirley Lum należy do tej drugiej grupy, a jej aspiracje, by uczestniczyć w konkursie o tytuł Miss Chinatown, to echo celów przyświecających biznesowej społeczności Chinatown.

Ze względu na zakorzenione rasistowskie przekonania, jakoby Azjaci nie mogli być prawdziwymi Amerykanami – wzmożone najpierw przez internowanie Japończyków, a potem

przez makkartyzm – przywódcy Chinatown zamierzali rozproszyć lęki białych przed „obcymi”, angażując się w kwintesencję amerykańskiej kultury: konkursy piękności. Wybierano dziewczęta z Chinatown, które miały reprezentować społeczność jako wzorzec amerykańskiej kobiecości z nutą starannie dopracowanej egzotyki w charakterze stroju, cheongsamu. Pierwotnie konkurs Miss Chinatown był przeprowadzany 4 lipca, dla podkreślenia patriotycznego nawiązania, lecz w 1953 roku przeniesiono go na okres uroczystości związanych z Chińskim Nowym Rokiem. Zarówno świętowanie, jak i konkurs piękności stanowiły element starań mających na celu przekonanie białych Amerykanów, że chińscy Amerykanie mogą się zasymilować i zostać wzorowymi obywatelami – wzorową mniejszością.



Faktyczne uczestniczki noworocznego konkursu Miss Chinatown w 1954 roku. Od lewej: Frances Fong, Margie Yee, Gloria Leong, Maye Leong, Bernice Wong i Florence Young[50].

Walka z rasizmem przy pomocy asymilacji nigdy nie była skuteczną metodą. W 1956 roku Służby Imigracji i Naturalizacji zapoczątkowały Chiński Program Lustracyjny, który obiecywał amnestię imigrantom przyznającym się do wjazdu do Stanów na podstawie statusu „papierowego syna”. Auto-lustracja rozciągała się jednak na całą rodzinę, a niekiedy ujawnione informacje służyły do deportacji osób podejrzanych o sympatyzowanie z komunistami. *De facto* program lustracyjny zwabił w swe sidła członków lewicowej grupy, którą w powieści spotyka Lily,

i doprowadził do unieważnienia obywatelstwa co najmniej dwóch jej członków.

Rodzina Lily reprezentuje kategorię imigrantów z Chin rzadko przedstawianych w kulturze popularnej i została zainspirowana moimi własnymi doświadczeniami. Pod koniec XIX i na początku XX wieku synowie (i niektóre córki) z chińskich klas wyższych przybywali do Stanów Zjednoczonych, by studiować na amerykańskich uniwersytetach. Z racji przywileju klasowego i dlatego, że najczęściej po ukończeniu nauki wracali do kraju, studentów z Chin nie obejmowały restrykcje imigracyjne dotyczące pracowników. Wielu z nich uczyło się angielskiego w szkołach misyjnych w Chinach. Chociaż podobnie jak wszyscy inni imigranci doświadczali oni rasizmu w USA, przywileje ułatwiały im adaptację do życia w Stanach.

W latach 1937–1945 wojna chińsko-japońska oraz II wojna światowa, obie toczące się na terenie Chin, ograniczyły napływ chińskich studentów do Stanów, ale po wojnie przybyły kolejne tysiące poszukiwaczy nowoczesnej edukacji, którą mogliby wykorzystać do odbudowania zniszczonej ojczyzny. Jednak przeszkodziła w tym chińska wojna domowa trwająca w latach 1946–1949 i tocząca się między Partią Narodową Czanga Kaj-szeka oraz Partią Komunistyczną Mao Zedonga. Kiedy Mao triumfował, a w 1949 roku powołano do istnienia Chińską Republikę Ludową, ci sami studenci zostali porzuceni w Stanach, nieuznani przez komunistyczny rząd aż do roku 1972. Wielu chińskim studentom udało się uzyskać obywatelstwo, szczególnie po wprowadzeniu w życie ustawy McCarrana–Waltera, choć część deportowano – w tym doktora Hsue-shen Tsiena.

Mój dziadek od strony ojca, John Chuan-fang Lo, przybył do USA w roku 1933 na studia doktoranckie w zakresie psychologii na Uniwersytecie w Chicago. W tym czasie poznał moją babcię od strony ojca, Ruth Earnshaw – białą. Po ukończeniu studiów wrócił do Chin, gdzie uczył na Uniwersytecie Huachung. Pobrali się 5 sierpnia 1937 roku w Szanghaju, na kilka dni przed początkiem japońskiej inwazji. Resztę chińsko-japońskiej wojny oraz część II wojny światowej spędzili jako uchodźcy w zachodnich Chinach w pobliżu Drogi Birmańskiej. W 1944 roku moja babcia została ewakuowana z pomocą armii amerykańskiej, dziadek jednak pozostał w Chinach aż do 1946 roku, kiedy to otrzymał tymczasową posadę we Franklin & Marshall College w Pensylwanii. Wkrótce dotarło do niego, że zarabia mniej niż jego biali koledzy po fachu, a z racji problemów z ubezpieczeniem jego rodzina potrzebowała dodatkowego dochodu. Dlatego też wszyscy wrócili do Chin już w roku 1947 i nie mogli wjechać do Stanów aż do roku 1978, kiedy to ja się urodziłam.

Moi dziadkowie nie spodziewali się, że komuniści przejmą władzę. Często zastanawiam się, czy gdyby to wiedzieli, próbowaliby pozostać w Ameryce. To pytanie w sposób luźny zainspirowało mnie do wykreowania rodziny Lily, choć jest ona inna od mojej.

Lesbijki, gender i społeczność

W latach 50. XX wieku idea małżeństw jedнопłciowych była w zasadzie nie do pomyślenia; nawet małżeństwa między-rasowe zalegalizowano w Stanach Zjednoczonych dopiero w 1967 roku. Homoseksualność do roku 1987 była traktowana jako zaburzenie psychiczne, a prawo nakładające sankcje za seks jedнопłciowy zdjęto dopiero w roku 1962. Te ograniczenia prawne nie oznaczały, że geje i lesbijki nie istnieli, ale że ich istnienie nie było kulturowo akceptowalne – to oznaczało, że społeczności homoseksualne funkcjonowały w podziemiu i posługiwały się własnym kodem.

W społeczności białych lesbijek w San Francisco w latach 40. i 50. XX wieku używano terminów

takich jak *butch* i *femme* na określenie ekspresji płciowej oraz preferencji seksualnych. W owym czasie płeć kulturową (*gender*) postrzegano jako koncepcję przeważnie binarną. Choć ludzie oczywiście przekraczali jej granice i funkcjonowali pomiędzy nimi, terminologia dostępna społeczności Lily była biało-czarna: kobiety i mężczyźni, *butch* i *femme*. Jako *butches* określano lesbijki o męskiej ekspresji, *femmes* zaś były tradycyjnie kobiece. *Butches* z reguły wchodziły w związki z *femmes*. Te terminy czasem interpretowano błędnie jako imitację związków heteroseksualnych, ale Elizabeth Lapovsky Kennedy i Madeline D. Davis w książce *Boots of Leather, Slippers of Gold: The History of a Lesbian Community* wyjaśniają: „*Butches* rzuciły wyzwanie konwenansom, uzurpując sobie męskie przywileje poprzez wygląd i seksualność, a wspólnie ze swoimi *femmes* doprowadzały społeczeństwo do szaleństwa poprzez tworzenie związków romantyczno-seksualnych, w których kobiety nie podlegały męskiej kontroli... Role *butch* i *femme* służyły jako kluczowa struktura organizacji przeciwko heteroseksualnej dominacji”.

Ekspresja typu *butch* obejmowała „męski” wygląd, co mogło oznaczać także noszenie męskich ubrań. W wielu miastach zakazany był publiczny *cross-dressing*, a w San Francisco prawo to utrzymało się aż do roku 1974. Jak relacjonuje lesbijka Reba Hudson w *Wide-Open Town*, w latach 40. i 50. geje i lesbijki byli prześladowani przez policję, ale *cross-dresserki* nosiły damską bieliznę, ponieważ „nie można było nikogo aresztować za przebranie się za osobę płci przeciwnej”.

Cross-dressing był jednak dopuszczalny na scenie. Mężczyźni w kobiecych przebraniach i kobiety w męskich przebraniach mają wielowiekową tradycję w teatrze – różnią się też od tego, co współcześnie określamy jako *drag*. Takie przebrania same w sobie nie były z początku queerowe, a występy w nich wykonywały osoby heteroseksualne. Jednak w latach 20. XX wieku kobiety w męskim przebraniu przestały być popularne, prawdopodobnie z uwagi na zmieniające się wyobrażenie o seksualności i kojarzenie takich występów z osobami homoseksualnymi. Mimo to nie nastąpił ich kres, a kobiety w męskich przebraniach wciąż występowały, tyle że w przestrzeni zmarginalizowanej. W latach 20. i 30. w Harlemie afroamerykańska piosenkarka Gladys Bentley występowała w męskim stroju, nie kryjąc przy tym swojej queerowości. Kiedy jej kariera w Harlemie zaczęła podupadać, Bentley udała się na zachód i wyładowała w Mona's, lesbijskim klubie w San Francisco. Występowały tam także inne kobiety w męskich przebraniach, które – podobnie jak Bentley – nosiły smokingi, a standardowe teksty piosenek często zastępowały takimi o otwarciu homoseksualnej treści. Podobne kluby wciąż reklamowały się w „San Francisco Chronicle” i innych wydaniach jeszcze z lat 50., a heteroseksualni turyści trafiali na takie występy w poszukiwaniu egzotycznej rozrywki – na tej samej zasadzie, na jakiej odwiedzali Chinatown w nadziei na orientalną nutę.

Początek lat 50. XX wieku był w gejowskich barach w San Francisco okresem względnej wolności z powodu wyroku w sprawie *Stoumen vs Reilly* z 1951 roku, legalizującego publiczne zgromadzenia osób homoseksualnych w Kalifornii. Sam akt homoseksualny pozostał jednak nielegalny, a w miarę upływu lat siły policyjne coraz bardziej koncentrowały się na odnajdowaniu przejawów działalności osób homoseksualnych. We wrześniu 1954 roku policja dokonała nalotu na Adler 12, bar należący do *butch* Tommy Vasu. Aresztowano także wiele nastolatek, a lokalne gazety podgrzewały atmosferę mieszaniną wieści o narkotykach, homoseksualności i *cross-dressingu*. W 1956 roku nowy burmistrz rozpoczął kampanię w obronie moralności, mającą na celu zamknięcie licznych barów gejowskich. To nie przypadek, że w roku 1956 powstała także organizacja Córki Bilitis (*Daughters of Bilitis*, DOB) – pierwsza lesbijska organizacja w USA, której celem było umożliwienie lesbijkom socjalizowania się poza barami.



Reklama Mona's w „San Francisco Examiner”, 25 czerwca 1943 roku[51].

W DOB i lesbijskich barach opisanych w *Wide-Open Town* przeważały osoby białe. Trudno mi było znaleźć dowody na temat sposobu życia w tym okresie niebiałych lesbijek, chociaż *research* Kennedy i Davis obejmuje także czarne kobiety. Znalezienie historii queerowych azjatyckich Amerykanek stanowiło zadanie o wiele trudniejsze, choć w wielu źródłach pojawiały się obiecujące wskazówki. Naturalnie, w *Wide-Open Town* pojawiają się wzmianki o Merle Woo – azjatyckiej amerykańskiej aktywistce z lat 70. i 80. – oraz o istnieniu filipińskich lesbijek. Tak się składa, że właśnie Filipinka imieniem Rose była inicjatorką pomysłu DOB, chociaż znacznie większą sławę zyskały założycielki organizacji, Del Martin i Phyllis Lyon. *Forbidden City, USA* Arthura Donga – film dokumentalny oraz książka o klubie nocnym w Chinatown – wspomina o gejowskich azjatyckich amerykańskich wykonawcach, lecz ci nie opisują szczegółowo swoich doświadczeń. Chińska lesbijka, o której wspomina ojciec Lily, została zainspirowana postacią Margaret Chung, pierwszą chińską amerykańską lekarką. Krążyły plotki, jakoby była lesbijką w związku z piosenkarką Sophie Tucker. Chung nigdy nie dokonała coming outu. Historyczka Amy Sueyoshi skontaktowała mnie z Crystal Jang, chińską amerykańską lesbijką dorastającą w Chinatown w San Francisco, która chodziła do szkoły średniej Galileo na przełomie lat 50. i 60. Rozmawiałam też z Kitty Tsui, lesbijką-poetką działającą aktywistycznie w latach 70. i 80. wraz z Merle Woo. Zarówno Tsui, jak i Jang opowiadały, że często były jedyną azjatycką amerykańską lesbijką w okolicy.

Opowieść o Lily to moja próba wyciągnięcia tej części historii poza margines w celu zapobiegnięcia wymazywaniu pamięci o osobach takich jak Crystal Jang, Merle Woo czy doktor Margaret Chung. Niniejsza powieść jest w całości fikcją, której nie opierałam na historiach prawdziwych osób, ale wyobrażam sobie, że zarówno Lily, jak i wspomniane kobiety musiały walczyć z podobnymi przeciwnościami: musiały się nauczyć żyć jednocześnie jako chińskie Amerykanki i lesbijki, w dodatku w miejscach, które często nie pozwalały tym częściom tożsamości na współistnienie.

[47] W języku polskim brakuje określenia oddającego kolonizatorską wyższość nad Azjatami, niebędącego jawnie obraźliwym jak „Żółtek” czy „skośnooki”, ale niebędące też neutralnym. Stąd też decyzja, by poprzestać na określeniu „Azjatka”, które w kontekście („Hej, Patsy! Mamy tu Azjatkę. Gdzie spotkałaś tę drugą?”) spełnia swoją rolę (przyp. tłum.).

[48] Tłumaczka rezygnuje z tego zabiegu autorki w imię klarowności. Więcej poniżej, w komentarzu „Od tłumaczki” (przyp. tłum.).

[49] Zdjęcie dzięki uprzejmości Malindy Lo (przyp. red.).

[50] Zdjęcie dzięki uprzejmości San Francisco History Center, San Francisco Public Library (przyp. red.).

[51] Zdjęcie dzięki uprzejmości „San Francisco Examiner”, archiwa (przyp. red.).

Wybrana bibliografia

Oprócz gazet i czasopism z lat 50. XX wieku – w tym „San Francisco Chronicle”, „San Francisco Examiner” oraz „Seven-teen” – korzystałam również z innych przydatnych źródeł, a oto ich lista.

Książki i artykuły

Boyd Nan Alamilla, *Wide-Open Town: A History of Queer San Francisco to 1965*, Berkeley 2005.

Chang Iris, *The Chinese in America*, New York 2003.

Halberstam Jack, *Femal Masculinity: 20th Anniversary Edition*, Durham 2018.

Holt Nathalia, *Rise of the Rocket Girls*, New York 2016.

Kao George, *Cathay by the Bay: Glimpses of San Francisco's Chinatown in the Year 1950*, Hong Kong 1988.

Kennedy Elizabeth Lapovsky, Davis Madeline D., *Boots of Leather, Slippers of Gold: The History of a Lesbian Community*, New York 1994.

Lim Shirley Jennifer, *A Feeling of Belonging: Asian American Women's Public Culture, 1930-1960*, New York 2006.

Moy Victoria, *Fighting for the Dreams: Voices of Chinese American Veterans From World War II to Afghanistan*, Los Angeles 2014.

Nee Victor G., Brett de Bary, *Longtime Californ': A Documentary Study of an American Chinatown*, New York 1973.

Ni Ting, *The Cultural Experience of Chinese Students Who Studied in the United States During the 1930s-1940s*, Lewiston 2002.

Rodger Gillian, *Just One of the Boys: Female-to-Male Cross-Dressing on the American Variety Stage*, Urbana 2018.

Sueyoshi Amy, *Breathing Fire: Remembering Asian Pacific American Activism in Queer History*, [w:] *LGBTQ America: A Theme Study of Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender, and Queer History*, National Park Service, U.S. Department of the Interior, 2016.

Wong Edmund S., *Growing Up in San Francisco's Chinatown: Boomer Memories From Noodle*

Rolls to Apple Pies, Charleston 2018.

Wu Judy Tzu-Chun, *Doctor Mom Chung of the Fair-Haired Bastards*, Berkeley 2005.

Yeh Chiou-Ling, *Making an American Festival: Chinese New Year in San Francisco's Chinatown*, Berkeley 2008.

Zhao Xiaojian, *Remaking Chinese America: Immigration, Family, and Community, 1940-1965*, New Brunswick 2002.

Filmy dokumentalne

Chen Amy, Zhan Ying, *Chinatown Files*, Filmmakers Library 2001.

DeLarverié Stormé, Parkerson Michelle et al., *Stormé: the Lady of the Jewel Box*, Women Make Movies 2000.

Dong Arthur E. et al., *Forbidden City, USA*, DeepFocus Productions 2015.

Poirier Paris, *Last Call at Maud's*, Frameline 1993.

Od tłumaczki

Proces tłumaczenia literackiego to ciągle podejmowanie wyborów, w których często nie ma opcji dobrej lub złej, a są tylko różne sposoby odczytywania i przekazywania tekstu oryginalnego. Zazwyczaj też nie czuję potrzeby wyjaśniania moich decyzji, wychodzę z założenia, że dzieło – a takim jest przekład literacki – powinno bronić się samo. Uznałam jednak, że *Ostatniej nocy w klubie Telegraph* to sytuacja wyjątkowa z uwagi na mnogość kontekstów i językowych niejednoznaczności wymagających nie tyle wytłumaczenia, co komentarza, zwłaszcza w obliczu posłowania od samej autorki.

Zacznijmy od tego, co właśnie posłowiu przeczy. W tekście oryginału Malinda Lo zamieszcza frazy i całe zdania zapisane pismem chińskim w dwóch językach – kantońskim i mandaryńskim – bez transkrypcji i z tłumaczeniem w przypisie. Decyzja ta z punktu widzenia autorki i oryginału jest usprawiedliwiona – z pewnością wielu czytelników sięgających po *Ostatniej nocy w klubie Telegraph* to chińscy Amerykanie, którzy posługują się przynajmniej jednym z tych języków. Jednakże w realiach polskich osoby znające kantoński lub mandaryński (a co dopiero oba te języki) to bardzo niewielka grupa, przekład literacki zaś ma na celu wywołanie w osobie czytającej takich emocji, jakie w odbiorcy oryginału wywołałby tekst wyjściowy. Z tego powodu pozwoliłam sobie na modyfikację oryginalnej treści i cytowanie fragmentów chińskich w wersji zromanizowanej, by móc choć w przybliżeniu przedstawić czytelnikowi brzmienie poszczególnych fraz i zdań. Podziękowania za pomoc w transkrypcji składam na ręce następujących osób: Enoch Cheng i Han Zhao.

Chińskie pismo pozostało jednak na osiach czasu, gdzie autorka podaje oryginalny zapis imion i nazwisk dzieci państwa Hu. Warto zwrócić uwagę na to, że w miejscu drugich imion (*middle names*) bracia bohaterki mają swoje „właściwe” chińskie imiona. To element charakterystyczny dla dalekowschodnich (szczególnie japońskich i chińskich) rodzin emigrujących na Zachód – imigranci, zwłaszcza ci w pierwszym i drugim pokoleniu, przybierają podwójne imię: zachodnie, łatwe do wymówienia przez anglojęzycznych, oraz wschodnie, na okres przebywania w ojczyźnie / kraju przodków. Dlatego też gdyby państwo Hu wybrali się z dziećmi do Chin, Eddie znany byłby jako Chen-te, a Frankie – jako Chen-yeh. Z kolei imię Lily, w zależności od języka, brzmiałoby Li-li (po mandaryńsku) lub Lai-lai (po kantońsku).

Drugim zagadnieniem, które wymagało podjęcia konkretnej decyzji, jest tłumaczenie nazw zawodów. Chociaż jestem miłośniczką i orędowniczką feminatywów, historia Lily Hu została

osadzona w określonych czasach, kiedy terminy na żeńskie przedstawicielki pewnych zawodów nie wydawały się potrzebne, bo i mało kto sobie wyobrażał, że kobiety mogłyby (masowo) je wykonywać (albo też wykonywały je rzadko i były uznawane za wyjątki). Dlatego też bohaterki są obliczeniowcami (nie obliczeniowczyniami) i mechaniczami (nie mechaniczkami), a także paniami doktor (zamiast lekarkami), ale już piosenkarkami czy pielęgniarkami. Co oczywiste, zasady tej nie stosuję w tłumaczeniu posłowania od autorki, stanowiącego współczesny komentarz do historii osadzonej w połowie ubiegłego wieku.

Postanowiłam też pozostawić w oryginalnym brzmieniu nazwy miejsc w San Francisco, by zadbać o pewną toponomastyczną konsekwencję, zwłaszcza że – w przeciwieństwie do ulic czy innych punktów Nowego Jorku lub Chicago – w większości przypadków brak jest utartego przekładu danych toponimów na język polski. I od tej zasady odstąpiłam w ramach wyjątku w trzech przypadkach: wyjaśniając w przypisie nazwę klubu Forbidden City (z uwagi na jego kulturowe konotacje), umieszczając w narracji tłumaczenie określenia Seal Rocks (znaczenie tej nazwy było istotne dla konkretnej sceny), a także pisząc o „szkole Waszyngtona” (przy całym pragnieniu ujednoczenia nazewnictwa nie mogę wyjść poza utartą konwencję spolszczania nazwiska pierwszego amerykańskiego prezydenta, a komfort czytelnika widzącego znajomą pisownię był w tym przypadku ważniejszy od konsekwencji).

Anglojęzyczne tytuły kolejnych części są zaś podyktowane faktem, iż stanowią one tytuły piosenek „z epoki”, odpowiednio:

The Andrews Sisters – *I Can Dream, Can't I?* (1949);

Pat Suzuki – *I Enjoy Being A Girl* z musicalu *Flower Drum Song* (1958);

The Flamingos – *I Only Have Eyes For You* (1959);

Tin Pan Alley – *Chinatown, My Chinatown* z musicalu *Up and Down Broadway* (1910);

Billy Strayhorn & Kay Davis – *Lush Life* (1948);

Doris Day – *Secret Love* z musicalu *Calamity Jane* (1953).

Wreszcie pewnych wyborów wymagało tłumaczenie określeń związanych z rasą czy z queerową terminologią. W przypadku tej pierwszej uznałam, że o ile wybrane przez autorkę na osoby czarnoskóre słowo „Negro” idealnie oddaje klimat lat 50. (o czym Lo pisze zresztą w posłowie), o tyle polski odpowiednik – „Murzyn(ka)” – byłby kłopotliwy z co najmniej dwóch powodów. Nie dość, że w przeciwieństwie do „Negro” nie został jeszcze przez użytkowników języka polskiego uznany powszechnie za obraźliwy, to jeszcze użyty w narracji dodawałby rasistowski aspekt do perspektywy Lily – aspekt nieobecny w oryginale (bohaterka w latach 50. nie mogłaby raczej znać innych słów na określenie osoby czarnej). Z kolei termin „male impersonator” po długich dyskusjach z różnymi przedstawicielami środowisk queerowych postanowiłam oddać opisowym, lecz trafnym semantycznie określeniem „kobieta w męskim przebraniu”, z uwagi na to, że termin „drag king” (oprócz tego, że w polskojęzycznych kręgach po prostu rzadki) brzmiałby anachronicznie i nie oddawał pełnego wyobrażenia o Tommy Andrews. Takie zastrzeżenia wobec słowa „drag”, a dokładniej delikatnej zmiany jego znaczenia na przestrzeni dekad, wysuwa zresztą w posłowie autorka.

Mam nadzieję, że wszystkie te wybory sprawiły, iż lektura *Ostatniej nocy w klubie Telegraph* była przyjemna i płynna, a także że dała lepsze wyobrażenie o chińskiej amerykańskiej społeczności San Francisco połowy XX wieku i tamtejszych przedstawicielach środowiska queer.

Pytania do dyskusji

1. (PROLOG) Jakie tematy i konflikty autorka uwypukla w prologu, szczególnie dotyczące rasy, nacjonalizmu, kultury i płci?
2. (ROZDZIAŁ 2) Kiedy Lily wraca do domu z Eastern Pearl, wyjmuje reklamę Telegraph Club ze zdjęciem Tommy Andrews i dokłada ją do innych wycinków z gazet. Dlaczego ta kolekcja jest dla niej tak ważna?
3. (ROZDZIAŁ 5) Lily czuje radość po znalezieniu *Dziwnej pory* w drogerii, „jakby wreszcie złamała ostatnią część szyfru”. Co takiego odkrywa na swój temat i dlaczego tania powieść jest tak istotna w tym procesie?
4. (ROZDZIAŁ 9) Po tym, jak ojciec Lily jest przesłuchiwany przez FBI, stwierdza: „Żyjemy w skomplikowanych czasach. Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją, a my musimy im pokazać, że jesteśmy przede wszystkim Amerykanami”. Dlaczego to mówi i co jest stawką dla rodziny Hu? W jaki sposób to doświadczenie współgra z doświadczeniami współczesnych imigrantów?
5. (ROZDZIAŁ 12) Lily opowiada Kath o swoim planie znalezienia pracy w Laboratorium Napędu Odrzutowego, ale nie wszyscy z podobnym entuzjazmem traktują jej zamiary. W jaki sposób zainteresowanie Lily kosmosem różni ją od innych kobiet w jej życiu albo w jaki sposób ją to do nich zbliża?
6. (ROZDZIAŁ 15) Shirley „uprzedza” Lily w kwestii Kath, a potem ją odrzuca, gdy dziewczyna wraca do szkoły na balu. Jaką rolę odgrywa przyjaźń Shirley i Lily w całej tej historii?
7. (ROZDZIAŁ 18) Kath załatwia dla Lily fałszywy dowód, żeby mogły się wślizgnąć do Telegraph Club mimo niepełnoletniości. Co w tym dokumencie niepokoi Lily?
8. (ROZDZIAŁ 22) Autorka wykorzystuje ruchome dioramy w Musée Mécanique w Playlandzie jako metaforę romantycznych uczuć Kath i Lily. Co Lo chce zakomunikować przez tę scenę i w jaki sposób korzysta z tej metafory na późniejszym etapie powieści?
9. (ROZDZIAŁ 25) W Telegraph Club Lily i Kath słyszą rozmowę dwóch kobiet o byciu *butch* i *femme*. Kiedy ktoś nazywa Kath „małą *butch*”, Lily rozpoznaje, że to komplement. W jaki inny sposób Lily i Kath uczą się o lesbijskiej kulturze?
10. (ROZDZIAŁ 27) W scenach w termach Sutro Lo ilustruje napięcia rasowe oraz rasizm białych wobec chińskich Amerykanów, kiedy ktoś uznaje Lily i Shirley za Japonki. W jaki sposób autorka podejmuje ten temat? Dlaczego bohaterki reagują w tak konkretny sposób?

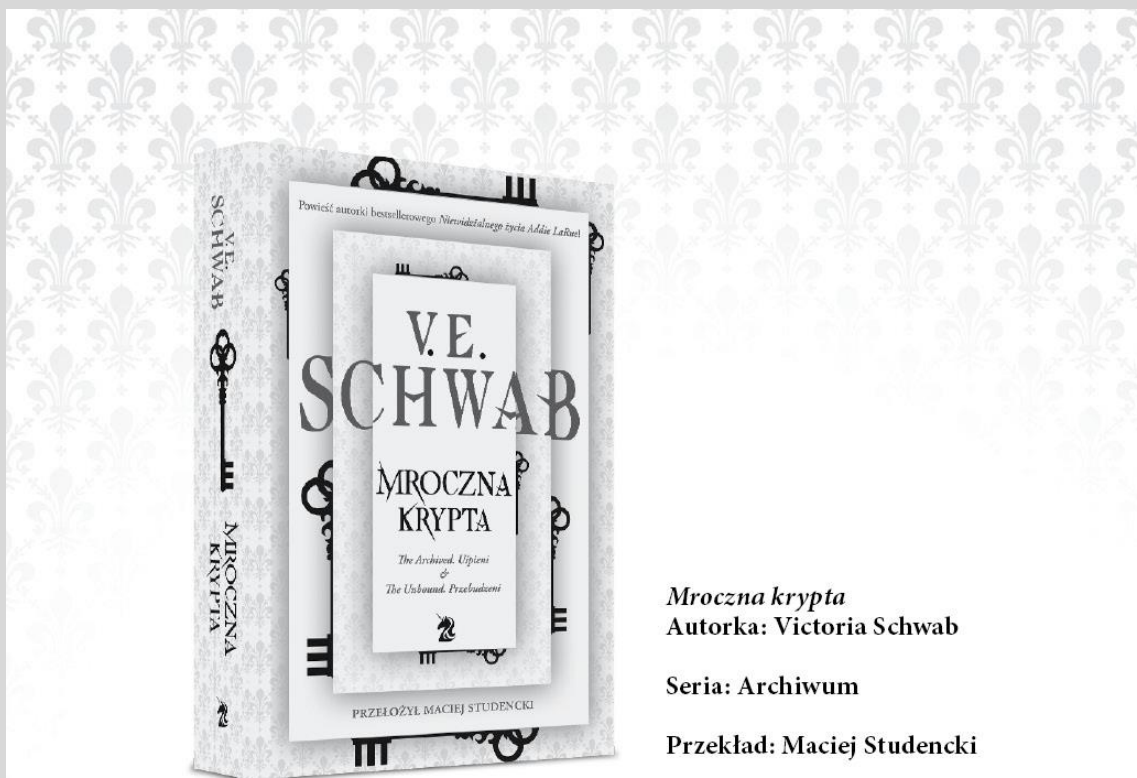
11. (ROZDZIAŁ 30) Lily zauważa różnicę w rozmowach kobiet w Telegraph Club na temat „federalnych” i komunizmu. Jakie podobieństwa i różnice można odnaleźć między tą rozmową a dyskusją Lily z rodzicami dotyczącą podejrzeń FBI wobec chińskich Amerykanów?
12. (ROZDZIAŁ 31) Lily ponownie doświadcza mikroagresji podczas rozmów z kobietami w Telegraph Club; tym razem jednak dowiaduje się też o chińskiej kobiecie w męskim przebraniu, z której natychmiast czuje dumę. Dlaczego autorka zestawia te dwa doświadczenia? W jakich innych momentach Lily staje się obiektem rasistowskich komentarzy w społeczności lesbijek?
13. (ROZDZIAŁ 36) Lily obserwuje Shirley wysiadającą z samochodu Calvina, ale nie mówi o tym rodzicom. Dlaczego dochowuje tajemnicy Shirley? Dlaczego Shirley tak nie postępuje wobec niej?
14. (ZAKOŃCZENIE CZĘŚCI I–V) Autorka kończy części I–V wspomnieniami Josepha i Grace, rodziców Lily, a także jej ciotki, Judy. W jaki sposób te retrospekcje wpisują się w całość historii?
15. (ROZDZIAŁ 40) Kiedy matka Lily mówi: „W tej rodzinie nie ma żadnych homoseksualistów. [...] Jesteś moją córką?”, co ma na myśli? W jaki sposób reaguje Lily i dlaczego?
16. (ROZDZIAŁ 41-42) Co mogłoby się przytrafić Lily po ucieczce z domu, gdyby nie pamiętała, gdzie mieszka Lana albo gdyby Lana jej nie wzięła do siebie?
17. (ROZDZIAŁ 47) „A skoro jej ojciec nie chciał kłamać, dlaczego ona by miała?”. Kiedy Lily dokonuje coming outu przed rodzicami, sytuacja komplikuje się przez status imigracyjny jej ojca oraz atmosferę lat 50. XX wieku, a mimo to dziewczyna nie zamierza kłamać. Dlaczego dokonuje takiego wyboru?
18. (ROZDZIAŁ 48) „Tak wyglądał świat”. Co Lily chce powiedzieć przez to zdanie podczas podróży pociągiem do Pasadeny? W jaki sposób Twoja interpretacja tego fragmentu wpływa na lekturę epilogu?



**że spodobała Ci
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

www.wydajenamsie.pl



Mroczna krypta
Autorka: Victoria Schwab

Seria: Archiwum

Przekład: Maciej Studencki

Autorka bestsellerowego „Niewidzialnego życia Addie LaRue” przedstawia niesamowitą opowieść o uniwersum, w którym ludzkie dusze spoczywają jak książki na półkach pewnej sekretnej biblioteki.

W tym świecie zmarłych nazywa się Historiami, a rozległe królestwo, w którym przebywają — Archiwum. Każdy ma do opowiedzenia własną historię i tylko Bibliotekarze mogą oglądać ją na obrazach pamięci.

Dziadek Mackenzie Bishop po raz pierwszy zabrał ją do Archiwum, kiedy miała dwanaście lat. Teraz mężczyzna już nie żyje, lecz Mackenzie – idąc w jego ślady – wyrosła na bezwzględną Strażniczkę, której zadanie polega na powstrzymaniu często bestialskich Historii przed przebudzeniem się i wydostaniem do świata zwykłych ludzi. Ze względu na swoją pracę dziewczyna okłamuje ludzi, których kocha, i czuje strach przed tym, czym się staje: narzędziem mającym zapewnić światu przetrwanie.

Bycie Strażniczką jest niebezpieczne – to ciągle przypomnienie sobie o tym, co Mackenzie straciła. Zaczyna się zastanawiać nad granicą między życiem, śmiercią a snem. W Archiwum zmarłych nigdy nie wolno niepokoić, jednak ktoś celowo zmienia Historie, wymazując istotne dla nich rozdziały. Jeśli Mac nie zdoła poskładać tego, co zostało naruszone, Archiwum może popaść w zapomnienie, a wtedy zawali się również jej świat.
Po raz kolejny.

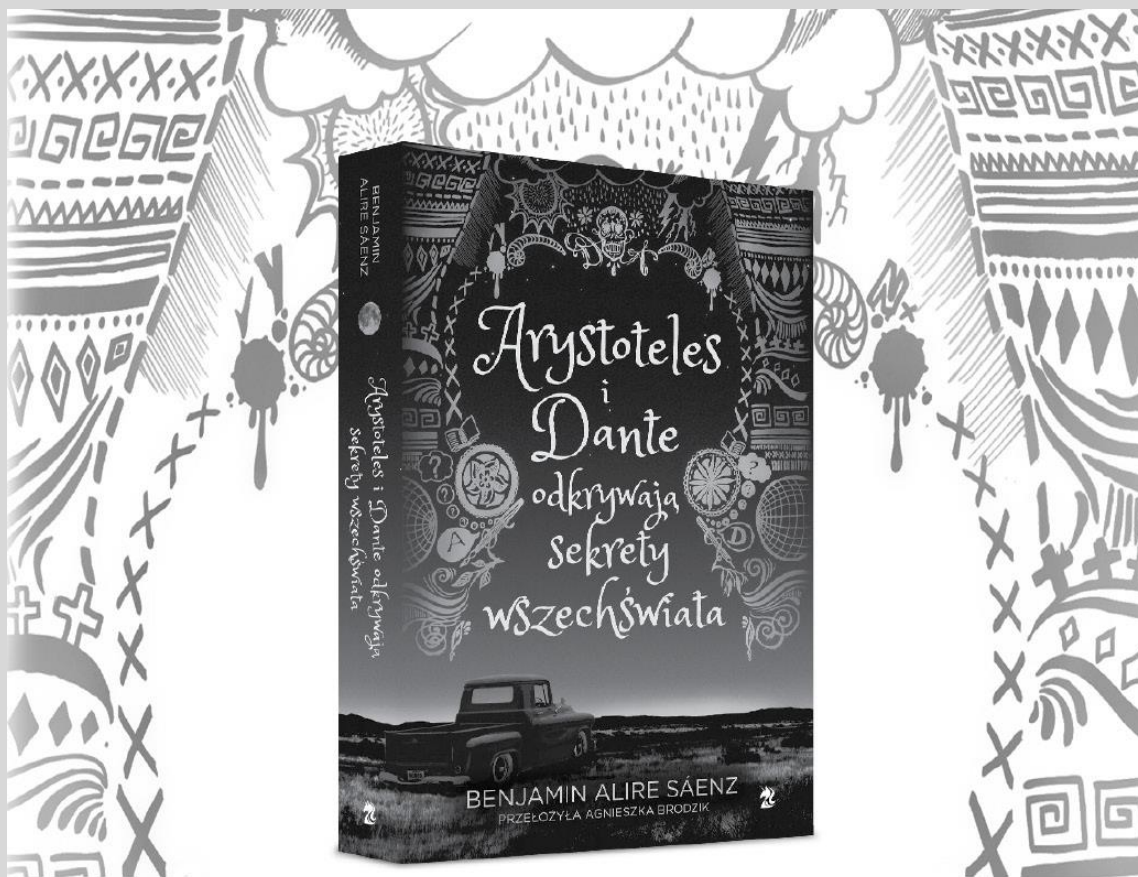
Dwie powieści z serii „The Archived” po raz pierwszy ukazują się w jednym tomie. Wejść do niezwykłego świata Strażników i przekonaj się, że pamięć bywa potężna... i zwodnicza.



Felix Love nigdy nie był zakochany, a ironią losu jest nazwisko, które nosi. Desperacko chce się dowiedzieć, jak to jest kochać, i nie rozumie, dlaczego innym przychodzi to tak łatwo, a jemu nie. I mimo że jest pewien swojej tożsamości, wewnątrz obawia się, że bycie czarnoskórym, queerowym, transpłciowym chłopakiem będzie przeszkodą do odnalezienia szczęśliwego zakończenia.

Kiedy ktoś anonimowo wysłał Felixowi transfobiczne wiadomości, zaraz po tym jak upublicznia jego zdjęcia sprzed korekty płci, Felix wymyśla plan zemsty. Jednak czekają na niego kolejne niespodzianki, a jedną z nich będzie uwikłanie w coś na pozór trójkąta miłosnego. Felix będzie musiał zmierzyć się z emocjami i wyruszyć w najtrudniejszą podróż swojego życia, aby odnaleźć samego siebie.

„Felix Ever After. Na zawsze Felix” to szczerą i wielowarstwową opowieść o tożsamości, zakochiwaniu się i odnajdowaniu miłości, na którą wszyscy zasługujemy.



Zdobywca Pen/Faulkner Award za najlepszą amerykańską książkę prozatorską. Niezwykła opowieść o rodzinie i przyjaźni!

Arystoteles jest krnąbrnym nastolatkiem, którego brat siedzi w więzieniu. Dante to wszytkowiedzący chłopak patrzący na świat w niezwykły sposób. Kiedy spotykają się na basenie, wydaje się, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Ale gdy ci samotnicy zaczynają spędzać czas razem, odkrywają, że łączy ich szczególna więź – taka, która wszystko zmienia i trwa przez całe życie. To dzięki tej przyjaźni Ari i Dante poznają najważniejsze prawdy o sobie i odkrywają, jakimi ludźmi chcą być.

„Czuła i szczerą opowieść o odkrywaniu swojej tożsamości i seksualności, która przypomina, że miłość, czy to romantyczna, czy rodzinna, powinna być otwarta, wolna i bez wstydu”. – Publishers Weekly

SPIS TREŚCI

Prolog

CZEŚĆ I. I Can Dream, Can't I?

1
2
3
4
5
6
7
8
9

GRACE

CZEŚĆ II. I Enjoy Being a Girl

10
11
12
13
14
15
16
17
18

JOSEPH

CZEŚĆ III. I Only Have Eyes For You

19
20
21
22

23

24

JUDY

CZEŚĆ IV. Chinatown, My Chinatown

25

26

27

28

29

GRACE

CZEŚĆ V. Lush life

30

31

32

33

34

35

36

37

38

JUDY

CZEŚĆ VI. Secret Love

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

Rok później

Epilog

Od autorki

Wybrana bibliografia

Od tłumaczki

Pytania do dyskusji

Polecamy również

